

BELINDA JONES

ZIMOWE *SERCA*

Wyobraź sobie, że budzisz się w śnieżnej kuli...



Jones Belinda

Zimowe serca

Wyobraź sobie, że budzisz się w śnieżnej kuli...

Właśnie tak czuje się dziennikarka Krista po przyjeździe do Quebec, gdzie ma zrobić reportaż o Zimowym Karnawale. Zimne dotychczas serce Kristy mimo dziesięciostopniowego mrozu zaczyna powoli topnieć, kiedy odkrywa zaczarowany świat pełen lodowych pałaców, psich zaprzęgów i smakołyków z syropem klonowym. I w końcu spotyka Jacques'a – mężczyznę równie przystojnego i szorstkiego, co tajemniczego... Obydwoje dzielą sekret, który mógłby ich połączyć na zawsze. Jednak czy uda im się znaleźć sposób, żeby skruszyć lód serc i rozgrzać tę zimową krainę?



Leżę na lodowym łóżku. Dosłownie - na wielkiej bryle lodu wyrzeźbionej na kształt łoża z baldachimem i wypolerowanej na błysk, dzięki czemu właściwie bardziej przypomina szkło.

Ściany i łukowaty sufit, które mnie otaczają, wykonano ze sprasowanego śniegu. Wokół panuje szczególny rodzaj ciszy, jakiego wcześniej nie znałam. Przytulny i kojący.

W zachwycie wypuszczam z ust chmurkę białej pary. To miejsce jest magiczne — nawet droga do mojej kryjówki wygląda jak wykopana przez niedźwiedzie polarne, a nad korytarzami roztaczają się pofałdowane sklepienia i pobrzękują lodowe żyrandole.

Muszę trochę rozmyć iluzję zamku Lodowej Księżniczki, bo naprawdę łóżko jest wyposażone w konwencjonalny materac. Jednak zanim za bardzo się rozmarzycie i zrobi wam się zbyt wygodnie, uświadomcie sobie, że ten sam materac przez tygodnie chłodził się w czymś w rodzaju wielkiego zamrażalnika. Narzucone na wierzch luksusowe sztuczne futra - sprawiające wrażenie przypalonych na grillu — są tylko na pokaz.

W rzeczywistości mój komplet pościeli składa się z jasnopomarańczowego śpiwora North Face i koca uszytego z materiału do czyszczenia okularów przeciwsłonecznych.

Mogło być gorzej. Mogłam leżeć tu nago, ze skórą przywartą do szklistej powierzchni jak w akcie niekończącego się, lodowatego pocałunku. Pewnie tak wyglądałaby śmierć którejś dziewczyny Bonda.

Najdziwniejsze, że akurat teraz jestem w pracy. To jest mój tryb badawczy. Co prawda w pozycji leżącej, dygocąc z zimna - ale właśnie dokonuję zawodowego rozeznania.

Przyleciałam do Kanady, a konkretnie do francuskojęzycznej prowincji Quebec, żeby zdać relację z dorocznych obchodów tutejszego Zimowego Karnawału - największego na świecie i regularnie ogłaszanego najlepszym. I najpiękniejszym. To wszystko, co wiem na pewno.

Zazwyczaj planuję moje wyprawy z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem i zdobywam tyle informacji na temat miejsca, do którego się wybieram, że mogłabym z powodzeniem dorabiać jako lokalny przewodnik turystyczny. Tym razem jednak stało się inaczej.

Ponieważ w ostatniej chwili zrezygnowaliśmy z wizyty w Cortina d'Ampezzo (postanowiliśmy odłożyć to na przyszły rok, w którym mija pięćdziesiąta rocznica powstania *Różowej Pantery* - film został nakręcony właśnie w tym wspaniałym, staroświeckim kurorcie narciarskim) i musieliśmy wynająć na tydzień kompetentną osobę znającą Quebec jak własną kieszeń. O zmianie planów dowiedziałam się dosłownie dwadzieścia cztery godziny temu i zanim zameldowałam się w Hôtel de Glace, byłam przekonana, że to gigantyczny magazyn z deserami lodowymi. Możecie sobie wyobrazić moje rozczarowanie.

Gdybym spakowała szpikulec do lodu i niebieskie curaçao, teraz robiłabym sobie sorbetowe drinki.

Albo wryłabym w ścianie napis „Krista Carter tu była”.

Oczywiście moje bohomy i tak nie dorastałyby do pięt misternym dziełom wygrawerowanym w hotelowych pomieszczeniach. W tym sezonie motywem przewodnim jest Pierwszy Naród, czyli kanadyjski odpowiednik amerykańskich Indian. Mój pokój nazywa się La Coiffe, co można przetłumaczyć mniej więcej jako Fryzura - a to w związku z portretem plemiennego wodza, którego głowę zdobi pióropusz przypominający czubek kakadu. Oprócz wizerunku Indianina w sypialni znajduje się uchwycony w locie, śnieżnobiały (dosłownie!) gołąb.

Kiedy pierwszy raz przekroczyłam próg tego pomieszczenia, otoczyła mnie absolutna cisza. I w tym perfekcyjnym bezruchu usiadłam i przy migocącym, żółtym świetle świec wpatrywałam się zachwycona w ścienne lodowe płaskorzeźby.

Może i teraz czuję przejmujący chłód, ale to nic w porównaniu z ekscytacją wywołaną przez doświadczenie czegoś zupełnie nowego. Nie mogę się doczekać, aż opowiem o tym wszystkim naszym internautom. Piszę dla Va-Va-Vacation!, bez wątpienia najlepszego portalu podróżniczego na świecie, dzięki któremu można zaplanować wycieczkę online. Mogę to potwierdzić z całą pewnością, bo jestem jedną z założycielek strony - razem z Danielle Mitchell, która zajęła się oprawą graficzną (kiedyś pracowałyśmy dla tego samego czasopisma) i Laurie Davis, była pracownicą biura podróży, której udało się ocalić stanowisko.

Wybrałyśmy nazwę Va-Va-Vacation! jako ukłon w stronę Va-Va-Voom! - czegoś szykownego, energetycznego i zalotnego, z zamiłowaniem do lat 50. (co odzwierciedla nasze logo). Ale nie był to nasz pierwszy wybór. Na początku chciałyśmy nazwać portal Go Girl!, ale okazało się, że ubiegła nas firma zajmująca się sprzedażą gadżetów, które umożliwiają kobietom oddawanie moczu na stojąco. Więc życzymy im powodzenia.

Przygotowuję większość materiałów do przewodników, które publikujemy w portalu, i zdobywam wstępne kontakty dla Laurie, a później ona organizuje zniżki dla naszych czytelników. (Ceny biletów są dziś tak skandalicznie wysokie, że staramy się zrekompensować podróży wydatki, aranżując rabaty, gdzie tylko nam się uda - nie tylko w hotelach i restauracjach, ale także w położonych nieopodal butikach, barach, galeriach sztuki, a nawet salonach kosmetycznych...). Reklamujemy się jak Match.com z branży podróżniczej, ponieważ wszystkie nasze plany podróży są opracowywane indywidualnie na podstawie szczegółowych wytycznych zawartych w profilu konkretnego użytkownika. Co istotne, zawsze zanim skorzysta się z oferty (a jeśli zajdzie taka potrzeba - również i w trakcie wycieczki), można porozmawiać z prawdziwą osobą (czyli ze mną albo Laurie). Nasze motto brzmi: „Życie jest za krótkie, a podróże zbyt drogie, żeby marnować postoje na kawę, kisząc się w jarzeniowym świetle, podczas gdy równie dobrze można się wygrzewać w słońcu na jakimś sekretnym dziedzińcu, gdzie kelner będzie raczył gości darmowymi makaronikami”.

Zwykle mogłabym wychwalać nasze usługi i wymieniać kolejne powody, dla których warto skorzystać z ofert portalu tak długo, aż (żeby wreszcie się mnie pozbyć) wskoczysz do pociągu, samolotu albo autokaru. Jednak w tym momencie jestem trochę rozkojarzona.

Czy to możliwe, żebym dzisiaj rano startowała w Heathrow, a teraz siedziała... w Narnii?

Bezpośrednio po przybyciu na miejsce odniosłam nieco inne wrażenie - czułam się, jakby ktoś oddelegował mnie do bazy podczas wyprawy na biegun. Później, kiedy wysiadłam z taksówki, pochłonęła mnie śnieżycą - wirujące szaleńczo płatki

śniegu wdzierały mi się pod powieki, wlatywały do ust i nosa, aż miałam ochotę krzyknąć: „Przestańcie telepać tą śniegową kulą!”.

Podpisałam się na liście gości w recepcji Celsius Pavilion, gdzie miałam odbyć rozmowę wprowadzającą. Nie było najgorzej - ciepło, bez kapryśnej pogody i mieli nawet maszyny do kawy Keurig, w których przytyka się kubek do tuby i naciska dźwignię. Gorąca czekolada dla mnie! Hurra!

Po dwudziestu pięciu minutach instruktażu „Jak spać w lodowym hotelu” zaczęłam odczuwać ciężar całego przedsięwzięcia. Dowiedziałam się, że bawełna to szatańska tkanina. Jeśli się spocisz, nasiąknie. I nie wyschnie, tylko zamarznie. A ty razem z nią. Na szczęście coś mi podpowiedziało, żeby spakować bieliznę ze sztucznego materiału. Zaplanowałam też, że będę spać w kompletnym ubraniu - płaszczu i reszcie. Co prawda przewodnik przekonywał, że się przegrzeję, ale jakoś mnie to nie ruszyło. Radził również, żeby przed snem wykąpać się w gorącej wodzie i podnieść temperaturę ciała. Śpiwór bowiem „nie ogrzeje cię, tylko utrzyma temperaturę, z jaką do niego wejdiesz”.

Problem tylko w tym, że nie wzięłam stroju kąpielowego. W końcu to nie jest oczywista rzecz, którą wrzuca się do walizki razem z puchatymi nausznikami.

Przez głowę przemknęła mi myśl, żeby zdobyć zastępcze majtki, ale szybko zorientowałam się, że: a) najpierw musiałabym sprintem przedrzeć się przez sięgające do kolan zaspę, żeby dostać się do wanien, które - podkreślam - znajdują się na świeżym powietrzu i b) jeśli zapomnę założyć czapki albo założę ją niedokładnie, wystające kosmyki moich włosów zamienią się w sople.

Bar wydawał się znacznie lepszym wyborem.

Szczególnie dlatego, że na jego środku paliło się ognisko, a mnie skostniały ręce. Podbiegłam do iskrzącego się ognia i desperacko położyłam dłonie na szklanej osłonce. Nic.

- Ogień jest prawdziwy, ale szkło nie przepuszcza ciepła.

- Słucham?

- To tylko dla efektu - wyjaśnił gość.

- Co za chała! - jęknęłam.

- A zdajesz sobie sprawę, że gdyby ogień palił się swobodnie, całe to miejsce by się roztopiło?

- Ach, no tak.

Przytaknęłam, ale wcale byście tego nie chcieli. To wszystko stanowczo zbyt cudowne.

Pięć minut temu byłam w białej dziczy - nagle wchodzę do baru pulsującego muzyką klubową i widzę dyskotekowe lampy zmieniające kolory z jaskraworóżowego przez turkusowy do ciemnej zieleni. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie pogibać się chwilę w rytm *Moves Like Jagger*. Dziwne uczucie nie dostrzec ani jednej niezakapturzonej głowy w miejscu, gdzie ludzie zazwyczaj są skąpo ubrani. Tymczasem wszyscy w barze stali opatuleni od stóp do głów.

Wielu gości piło drinki z mango, ale wydało mi się to lekkim przegięciem. Hej, moi drodzy! Nie jesteśmy na Karaibach! Podeszłam więc do świecącego na niebiesko baru i zamówiłam lokalny specjał - miks wódki i lodowego cydru Domaine Pinnacle (wytworzonego z jabłek zerwanych po pierwszych przymrozkach). Drink podano mi w masywnej, lodowej kostce z wydrążonym środkiem.

Gdybym tylko mogła teraz znaleźć sposób, żeby przetransportować ten alkohol do moich ust...

- Proszę pić z najwęższej krawędzi - doradził mi barman.

Czułam się dziwnie i nawet kiedy lodowy kubek dawno został przeze mnie opróżniony, nieustannie byłam do niego przyssana.

Po wyjściu z baru postanowiłam odwiedzić hotelową kaplicę. Zjechałam niezdarnie na tyłku po lodowej zjeżdżalni i starałam się udawać przed chichoczącymi imprezowiczami, że doskonale wiem, co robię. Po chwili jednak przyznałam przed sobą, że trochę się pogubiłam. Gdyby tylko Laurie była tutaj ze mną. Danielle to świetna osoba i fantastyczny grafik, ale Laurie jest dla mnie wszystkim - moją najlepszą przyjaciółką, siostrą, której nigdy nie miałam, czasem nawet zastępuje mi mamę...

Kiedy tylko skończyłam osiemnaście lat, moja prawdziwa matka stwierdziła, że wykonała swoje zadanie, i od tamtej pory miałam sobie radzić sama. Chciała swoje życie z powrotem. Najwyraźniej zbyt długo ograniczałam jej pole manewru. Dokładnie to od momentu zapłodnienia.

Wręczyła mi małą teczkę z aktem urodzenia i paroma dokumentami, które - jak uznała - mogły mi się przydać, i nasze drogi się rozeszły. Później prawie jej nie widywałam.

W zasadzie to może i lepiej. Wieczne poczucie bycia problemem, balastem i niewygodnym obowiązkiem nie wpływa zbyt korzystnie na budowanie pewności siebie i własnej wartości.

Z Laurie czuję się zupełnie inaczej. Ona chętnie wysłucha najdrobniejszego detalu z każdego dnia mojej podróży. I kiedy jestem w domu - też. Jest wspaniałą słuchaczką i zawsze służy dobrą radą. To zasługa długiej „pracy” na jej własnych emocjach. Po tym, jak rozstała się ze swoim ostatnim chłopakiem, którego dewizą było hasło: „Staram się ciebie kontrolować, bo chcę twojego dobra”, postanowiła nigdy więcej nie dać się złapać w taką pułapkę.

Koniec przemykania oka, pouczeń i w kółko tych samych problemów... Laurie postanowiła wypracować własną drogę. Zapisała się do sekcji samopomocy w lokalnym Waterstones i nie ustąpi, dopóki nie złamie kodu, który pozwoli jej stać się jedną z tych nielicznych osób w naprawdę szczęśliwym związku.

- Czuję, że jeszcze tylko jeden krok i wyjdę na prostą - wyznała mi ostatnio w szczerzej rozmowie, kiedy piłyśmy martini z liczi. - Teraz jeszcze nie mogę ryzykować i pakować się w jakiś nieudany związek, bo cholernie trudno się później wygrzebać. Nie znajdę w sobie siły na kolejną ucieczkę.

W tym czasie zadowala ją coś lepszego niż porządny mężczyzna - Manhattan. Nowy Jork to jej prawdziwa pasja. I ponieważ to również popularny cel podróży naszych internautów, Laurie stara się często aktualizować informacje na portalu, być na bieżąco, jeśli chodzi o kluby, restauracje i trendy w sklepach. Mówię wam - byłaby w stanie wycisnąć ostatnie poty z recepcjonistów w hotelu Gramercy Park. Może się też pochwalić niesamowitym talentem do znajdowania idealnych kandydatów na nasze stanowisko „Światowca”. Zazwyczaj jest to lokalny przystojniak, którego egzaminuje z wiedzy o rodzinnym mieście. Laurie vyhacza takiego chłopaka z Wielkiego Jabłka przy okazji każdego wyjazdu do Nowego Jorku. Jak twierdzi, dokładnie tego w tym momencie potrzebuje - pięciominutowego flirtu na ulicy, żeby podnieść poziom endorfin i zostać w grze.

Jednak według mnie pragnie czegoś więcej.

- Nie możemy dopuścić do tego, żeby kolejny rok minął, a Andy nadal był facetem, z którym ostatnio się całowałaś. To musi się zmienić. I myślę, że Kanada jest odpowiednim miejscem.

- Serio?

- Cóż, chyba Kanadyjczycy słyną z tego, że są uprzejmi, prawda? Sądzę, że najwyższy czas na pocałunek z miłym mężczyzną, Krista.

To byłaby bez wątpienia nowość.

Powiedzmy to sobie - zdarzyło mi się w życiu leżeć na zimniejszym łóżku niż to lodowe. Jeszcze zanim Andrew mnie zostawił, między nami dało się wyczuć ewidentny chłód. Kładł się tak blisko brzegu, jakby stosował się do stwierdzenia: „Jeśli nie żyjesz na krawędzi, zajmujesz za dużo miejsca”. Mogłam swobodnie leżeć na plecach i pozwalać łzom spływać po moich policzkach. Wsiąkały w poduszkę, a ja zastanawiałam się, jak doszło do tego, że moje życie stało się takie bolesne.

Najbardziej dotkliwe okazały się wspomnienia. Na początku wszystko wyglądało zupełnie inaczej - Andy był ciepły i oddany, przytulał mnie mocno i szeptał, że dzięki mnie jego życie wreszcie nabrało sensu. To uczucie traktował jak skarb. Byłam jego największą miłością. Potem się wyłączył i zamknął w swoim pancerzu.

Nie winię go całkowicie za to, że odszedł. W pewnym sensie to była moja wina - albo przynajmniej rzeczy, nad którymi nie miałam kontroli. Tylko jedna osoba zna prawdziwy powód naszego rozstania i tą osobą jest Laurie. Nie mówiłam o tym nikomu innemu przede wszystkim dlatego, że ciągle staram się pozbierać i zaakceptować siebie. Lecz także dlatego, że ta przyczyna okazała się tematem tabu - gdy tylko pada hasło, rozmówca czuje się niezręcznie. Podejrzewam, że właśnie dlatego nazywa się to po prostu „różnicami nie do pogodzenia”. Śliczna przykrywka.

Właśnie! Coś do przykrycia! Zaczęłam się wiercić. Przynajmniej moim stopom było ciepło i wygodnie - dwadzieścia osiem funtów na moherowe skarpetki to chyba najlepiej wydane przeze

mnie pieniądze w życiu. Gdybym tylko mogła naciągnąć którąś z nich na całe ciało...

Najbardziej w tamtym momencie martwił mnie mój nos. Czułam się tak, jakby całe zimno z Quebecu zgromadziło się właśnie w tym małym, różowym trójkącie. Zaczęłam go nerwowo szczypać, bo bałam się odmrożenia.

Okej. Czas spać. Wystarczy się rozluźnić. Ręce wzdłuż tułowia. Tylko się temu poddać...

I nagle coś się zmieniło. Poczulałam ciepły oddech na mojej twarzy. I wyraźny zapach męskiej wody toaletowej - klasycznej, drogiej, z nutą bergamotki. Otworzyłam oczy, żeby ujrzeć pochylającego się nade mną wspaniałego mężczyznę. Jakby dopiero wyszedł z pokazu najnowszej zimowej kolekcji Christiana Diora.

Powiedziałabym, że zamarzam, ale to chyba oczywiste.

- Proszę pozwolić.

Zdjął mi z głowy kaptur od śpiwora i zaczął układać moje włosy na poduszce.

Pomyślałam: „Czy to obsługa hotelowa? Bo akurat mam ochotę na czekoladę i raport z prognozy pogody na jutro”.

Mówił do mnie po francusku - zresztą bardzo urzekająco - a to oznaczało, że tym bardziej powinnam się postarać o przetłumaczenie, zanim bez mojej wiedzy na rachunku hotelowym pojawi się kwota za skorzystanie z usług Męskiej Ekipy Wytwarzającej Ciepło. Faktycznie robiło się coraz goręcej - mężczyzna właśnie sięgnął ręką pod płaszcz na wysokości pachwiny...

- *Excusez-moi* - wyskoczyłam ze swoją dosyć okaleczoną francuszczyzną.

- *Oui*. — uniósł pytająco brew.

- Kim TY jesteś?

- Gilles - odpowiedział, jakby to było oczywiste, że każdy zna Gilles'a.

-Gilles...?

- Gilles Pelois. Pomocne.

Spojrzał na mnie niecierpliwie i włożył rękę za pasek przy spodniach. Staralam się oderwać wzrok, ale jakoś nie potrafiłam. Byłam lekko zawiedziona, kiedy w rezultacie przybysz wyjął ze spodni aparat.

- Jesteś fotografem?

- *Evidemment*¹]

- Spodziewałam się ciebie dopiero jutro.

- Nie dostałaś mojej wiadomości?

- Trzymasz aparat w nogawce?

- Tak, żeby nie zmarzł, a soczewka nie zaparowała.

- Ach, rozumiem - powiedziałam. - I nie, nie dostałam od ciebie żadnej wiadomości. Pewnie dlatego, że nie naładowałam telefonu...

Wydobyłam komórkę z czeluści śpiwora, a Gilles sprawnymi ruchami zamienił baterie, dzięki czemu mój telefon wreszcie wrócił do życia.

- Teraz możesz sprawdzić.

- W porządku, wierzę ci. Jednak wolałabym, żebyś najpierw zapukał.

- W co niby?

Celny strzał - w końcu, do cholery, mieszkam w hotelu w całości wykonanym z lodu. Równie celnie Gilles wymierzył we mnie obiektyw aparatu.

¹ Oczywiście (z fr.) - przyp. red.

- Daj mi chociaż chwilę, żebym mogła poprawić makijaż!
-nalegałam.

- Nie-nie-nie! - Zatrzymał mnie. - Proszę. Niech zostanie tak, jak jest.

- Naprawdę?

- Zaufaj mi. Mam specjalny filtr.

- Masz na myśli przykrywkę od obiektywu?

- *Les dames* - westchnął i potrząsnął głową. Z tego, co zrozumiałam, narzekał na kobiety.

- Więc co mam robić? - spytałam, chociaż miałam raczej ograniczone pole manewru, bo byłam szczelnie owinięta puchowym śpiworem.

- Mogłabyś na chwilę wyjąć ręce? I odwróć się na brzuch. I pozwól włosom swobodnie opadać z przodu.

Ustawiłam się tak, że w rezultacie kosmyki zakryły mi prawe oko.

- A teraz spójrz na mnie - nie musisz się uśmiechać. Ważne, żebyś wyglądała, jakbyś właśnie budziła się ze snu...

- Wiesz, że to idzie na stronę o podróżach, tak?

- Owszem, ale chyba możemy dodać odrobinę yyy... - Szukał właściwego słowa.

-Tak?

- Sztuki! -Och.

Zaczął cykać kolejne zdjęcia, ale kiedy poprosił mnie, żebym wysłała do aparatu buziaczka na dobranoc, odzyskałam trzeźwość umysłu.

- Myślę, że powinnam raczej siedzieć z kubkiem kakao.

- I może jeszcze w wełnianej czapie na głowie? - zadrwił z mojego pomysłu.

- Właśnie! - Z entuzjazmem przekręciłam się na bok i sięgnęłam do torby. - Zobacz, mam nawet przy sobie jedną z ogromnym pomponem!

Mina mu zrzędała.

- Nie chcesz wyglądać pięknie?

- Cóż, nie w tym rzecz. -Nie?

Chyba był zaskoczony moim nastawieniem.

- Nie. To ma być raczej żartobliwe.

- Ale to rodzaj reklamy, prawda?

- Tak sędzę, ale nie chodzi o to, żebym wyglądała jak modelka. Zdecydowanie nie. To strona o prawdziwych ludziach i dla prawdziwych ludzi. Ma być dużo dobrej zabawy i przyjazny klimat.

Gilles na chwilę zamilkł.

Sprawiał wrażenie, jakby odpływał, puszczając wodze fantazji. Jakby w myślach mnie dekorował i na każdej z moich rzes kładł kryształek.

- Jestem przyzwyczajony do robienia zdjęć modelkom.

- W takim razie - odparłam z kwaśną miną - nie zapowiada się dla ciebie tydzień marzeń.

- *Pardon?*

- Reportaż? Znasz takie słowo?

- To francuskie słowo.

- Och. No to właśnie.

- Czy chcesz, żebym opowiedział historię twojej podróży w obrazkach?

- Tak, żeby to był bardziej dokument niż katalog modowy.

- Muszę się napić.

Odwrócił się nagle i zaczął przekopywać masę toreb, które ze sobą przyniósł. Z jednej wyjął całą butelkę cydru Domaine Pinnacle.

- Mam jeszcze szklankę z baru. - Sięgnęłam po nią z radością, ale niestety zdążyła przymarznąć do stolika. - Ojej...

- Nie przejmuj się. - Gilles usiadł na krawędzi łóżka, blisko mnie. - Możemy się podzielić.

- Ja po tobie.

- *Saluń*

Wow, ale sobie golnął.

- To nie będzie miało wpływu na twoją pracę? - zapytałam z lekkim przejęciem, widząc na etykiecie, że trunk ma dwanaście procent.

- Ustawiłem aparat na autofokus.

Nagle poczułam ogromną chęć, żeby się śmiać - to wszystko było nierealne. Co się dzieje? Upijam się z nieznajomym w igloo.

- Masz ochotę na mały eksperyment? - zapytał w pewnym momencie fotograf.

- Co dokładnie masz na myśli? - wolałam się upewnić po tym szczególnie dużym cydrowym łyku, jaki sobie zafundowałam.

- Nie musimy wykorzystać na stronie tych zdjęć, które już zdążyłem ci zrobić, ale mam pewien pomysł. Jeszcze zanim się dowiedziałem...

- Dowiedziałeś o czym?

- O stylu, którego szukasz. -Aha...

Podszedł do najbardziej pojemnej ze swoich toreb i wyjął z niej wielką białą kołdrę razem z kilkoma puchowymi poduszkami.

- Wzięłeś własną pościel?

- Pomyślałem, że wyglądałabyś pod tym na zdjęciu jak pod warstwą śniegu.

- Czy to jedwab?

- Powiedzieli mi, że bawełna to nie najlepszy pomysł. Nie mogłam się powstrzymać od chichotu.

- Możemy to wykorzystać, żeby ukazać kontrast między spaniem w lodowym hotelu a rzeczywistością.

Niezły pomysł - bardziej Królowa Śnieżka niż pomarańczowy lizak.

- W końcu podróżowanie wymaga fantazji, mam rację? - zapytał, ścieląc łóżko. - To jak ucieczka od rzeczywistości. Albo przynajmniej nowa rzeczywistość.

- Tak, to prawda - westchnęłam.

Byłam zupełnie zaskoczona, że trafiłam na kogoś, kto nadaje na tych samych falach.

Mogę jeszcze przypomnieć, że Gilles mówił z francuskim akcentem?

Zdaje się, że to połączenie samopoczucia po zmianie strefy czasowej, alkoholu i otwartości Gilles'a sprawiło, że pozowałam przed obiektywem jak młoda Brigitte Bardot - czarująca i z potarganymi włosami. Mam nawet podobną przerwę między zębami. Nienawidziłam jej z całego serca do czasu, gdy zobaczyłam odcinek amerykańskiej serii „Top Model”, w którym Tyra namówiła jedną z piękności do poszerzenia luki między jedykami - za pomocą dentystycznego wiertła.

Nadal na samą myśl o tym przechodzą mnie ciarki.

- Jest ci zimno?

Nawet nie zdążyłam odpowiedzieć, a Gilles zgrabnym ruchem otulił mnie śpiworem.

- Może wytworzę małe tarcie, żeby było ci cieplej?

- Mmm-hmm.

Przyciągnął mnie bliżej swojej klatki piersiowej i zaczął energicznie nacierać. Działo. Ale przy okazji byłam do tego stopnia

unieruchomiona, że gdyby wtedy zdecydował się mnie pocałować, nie byłabym w stanie mu przerwać. Ale czy w ogóle bym tego chciała? Odwróciłam głowę, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

- Masz ładny nos.

Gładki, elegancki, z najśłodszym na świecie małym zagłębieniem na czubku. Gilles spojrział na mnie pytająco.

- Na pewno bym go podziwiała, jeśli robiłabym ci zdjęcia. Ale nie robię. Tylko jest odwrotnie.

Zawstydziłam się i pozwoliłam mojej głowie swobodnie opaść, żeby przerwać kontakt wzrokowy i ukryć, że splonęłam rumieńcem. Ale przez przypadek tym ruchem połaskotałam go w szyję.

Rozgrzewające ruchy stawały się coraz wolniejsze, aż w końcu zupełnie ustały. Gilles trzymał mnie po prostu w ramionach i gładził po plecach. Mimo wielu dzielących nas puchowych warstw to było bardzo intymne.

Po chwili jednak fotograf usiadł obok mnie i przechylił głowę w zamyśleniu. Powinnam się czuć zakłopotana, jakby gapił się na wszystkie moje wady, ale w rzeczywistości patrzył na mnie w zupełnie inny sposób. Jakby podziwiał moje piękno. Jak ci mężczyźni to robią?

- Gotowa na więcej zdjęć?

Kiwnęłam głową, ale tak naprawdę wcale nie miałam na to ochoty. Wpadłam na inny pomysł. Zaczęłam badawczo mieć poduszkę podłożoną pod mój kark.

- Pierze?

Gilles przytaknął.

- Walka na poduszki?

Zmarszczył brwi, nie do końca rozumiejąc moją propozycję. Jednak zanim zdążyłam wyjaśnić, złapał pierwszą z brzegu poduchę i rzucił nią prosto we mnie. Drugą ręką zrobił zdjęcie.

- Ty mały łobuzie!

Chcąc się odplącić, chwyciłam moją puchową broń i zaczęłam wymachiwać nią w amoku, aż straciłam Gilles'owi czapkę. Poleciała gdzieś daleko, ujawniając jego dwukolorowe, rozczochrane włosy.

- Czekaj!

Gilles zatrzymał grę i rozstawił statyw, ustawił aparat na tryb automatyczny. Kiedy sprzęt był gotowy, wrócił do bitwy. Tym razem odpowiedziałam na cios przeraźliwym piskiem. Wyskoczyłam z łóżka, śpiwór opadł mi do kostek, a Gilles okładał mnie poduchą po łydkach, kolanach i w rezultacie po tyłku. Śmiał się - pewnie na widok mnie w wacianej bieliźnie - ale też jak człowiek, który przypomniawszy sobie, jak bardzo lubi tego typu zabawy. Oczywiście dopóki nie przypomniawszy sobie, jaki jest przystojny i opanowany.

Upadliśmy z łomotem na podłogę, chichotaliśmy, pruliśmy poduszki, turlaliśmy się i tarzaliśmy, aż całe pomieszczenie wypełniło się wirującymi w powietrzu piórami, które wyglądały zupełnie jak śnieg.

- *C'est magnifiquur!* - dyszał z zachwytem Gilles, łapiąc opadające piórka.

Wetknął kilka z nich w moje włosy, a jedno, które wpadło mi do ust, wyjął, muskając mnie delikatnie.

Nagle zorientowałam się, jak moja klatka piersiowa podnosi się i opada, a my wymieniamy równomierne, jabłkowe wdechy i wydechy... Trudno mi powiedzieć, czy Gilles właśnie oceniał moją gotowość do kolejnego ujęcia, czy faktycznie coraz bardziej się przybliżał. W pewnym momencie jego usta znalazły się tuż

² To jest piękne! (z fr.) - przyp. red.

przy moich. Cały pokój zaczął wirować, a ja nie mogłam nic zrobić - uległam jego pocałunkom. Każdy ruch podkreślały dźwięki aparatu fotograficznego.

- Musimy przestać! - Poderwał się nagle Gilles.

- Musimy? Ależ naturalnie, musimy! To koszmarnie nieprofesjonalne z naszej strony. To właśnie masz na myśli?

Nie potrafiłam nic odczytać z jego mimiki. Szczególnie, gdy siedział do mnie odwrócony plecami i szamotał się ze sprzętem.

- Nie mogę tego zrobić.

Czy to było „nie mogę tego zrobić, bo mam dziewczynę”?

Otworzyłam usta, żeby poprosić o wyjaśnienie, ale w rezultacie nie wydałam z siebie żadnego dźwięku. Obserwowałam tylko w odrętwieniu, jak Gilles składa statyw, zwija pościel z powrotem do torby podróżnej i wtyka aparat za pasek w spodniach.

- Widzimy się rano. W Quebecu.

- W porządku - wymamrotałam półprzytomna, widząc, jak wychodzi.

Znowu znalazłam się sama.

Wróciła cisza. I bezruch. Ale mimo to wciąż czułam jego ślad na moim ciele i smak pocałunku w ustach. A gdy oddychałam, wcale nie widziałam białej pary - bo powietrze w moim pokoju było rozgrzane. I ja tak samo.

- O, matko! - Opadłam na łóżko oszołomiona.

O tym, że zagłówek jest wykonany z lodu, przypomniałam sobie niestety po fakcie.

W ciągu nocy kilka razy wydawało mi się, że czuję przeciąg. Dopiero nad ranem zdołałam się zorientować, że mój pokój znajduje się tuż przy wyjściu. I nie mam tu na myśli drzwi z metalowym drążkiem, który trzeba nacisnąć. Chodzi o ogromną, otwartą, półkolistą bramę wiodącą na zewnątrz, gdzie hulała śnieżycą. Jedyne zasłona mojego łóżka separowała mnie od zacinającego, mroźnego wiatru. Pod jego wpływem łopotąła jak flaga.

„O ja cię!” - wzdrygnęłam się i zanurkowałam głębiej do śpiwora. Całe szczęście nadal miałam czucie w kończynach. Zaśmiałam się na myśl o ostrzeżeniu, że można się przegrzać we własnych ciuchach. Tęskniłam w tamtym momencie za moją polarową kurtką, ale żeby po nią sięgnąć, musiałabym wyjąć rękę z mojego puchowego kokonu - i jakoś nie mogłam się na to zdobyć. Postanowiłam ponownie zasnąć. Może wtedy łatwiej by mi było przetrwać do rana.

Wtedy jednak zaczęło mi coś chodzić po głowie. Staralam się odpierać myśl o tym tak długo, jak potrafiłam, ale pilna potrzeba zaczęła dochodzić do głosu: „Muszę siusiu!”. Prowadziłam wewnętrzną walkę: - Nie, nie, nie. Nie musisz. Tylko ci się tak wydaje.

- Muszę. Naprawdę muszę.
- Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? -Tak.
- I mimo to ciągle chcesz iść?
- Bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

Kto by się spodziewał, że chęć oddania moczu zdominuje wszystko inne. W tamtej chwili żałowałam, że nie poświęciłam więcej uwagi stronie Go Girl!

Spojrzałam na zegarek. Godzina 4:43.

Cóż, zawsze mogło być gorzej. Po zmianie strefy czasowej to normalne. Niestety nie dostanę śniadania w ciągu najbliższych dwóch godzin, ale przypomniała mi się paczka orzeszków ziemnych upchnięta w jednej z moich toreb. Bagaż z kolei znajdował się zamknięty w szafce razem z walizką. Znalazłam więc kolejny powód, żeby wyczołgać się z pieleszy i stawić czoła minusowej temperaturze. Nie ma co czekać na wschód słońca - i tak nie zrobi się cieplej.

„Teraz! Dawaj! Uda ci się” - dodawałam sobie otuchy.

Usiadłam i zaczęłam się gramolić, ale w swoim szaleństwie zupełnie zapomniałam, że troczki śpiwora są ściśnięte zbyt mocno, żeby cała zmieściła się przez otwór. „O nieee! Nie chcę zostać uwięziona połową na zewnątrz, połową w śpiworze!”. Wyobraziłam sobie nagłówek w gazecie: „Zamarzła od pasa w górę, ale wciąż wierzgała nogami”.

Na szczęście w śpiworze był jeszcze boczny zamek. Rozpięłam go z ulgą, ale zrobiłam to tak niezdarnie, że trzy razy dotknęłam gołymi kostkami lodowej krawędzi łóżka.

Chwyciłam moją czarną, wodoodporną torbę podróżną i wyjęłam z niej (zimny) płaszcz, (zimny) sweter i (zimne) buty ze skarpetkami. Założyłam to wszystko i zaczęłam wykonywać szybkie

i gwałtowne ruchy w nadziei, że uda mi się wygenerować jakieś ciepło z poruszanych cząsteczek. Nareszcie.

Przerwałam na chwilę, żeby z podziwem rzucić okiem na mój pokój, po czym zaciągnęłam zasłony i wyszłam na korytarz. Było zupełnie cicho.

Poszłam po własnych śladach do wielkiej bramy wejściowej i zapatrzyłam się w szalejące płatki na tle czarnego nieba. To, co nazwałam śnieżycą poprzedniego dnia, w porównaniu do obecnego widoku było raptem jak konfetti. Nie mogłam jednak odmówić piękna całej scenerii. Ziemia pod niezbyt grubą warstwą śniegu wyglądała jak przykryta białą pierzynką. Nie chciałam psuć krystalicznej powierzchni swoimi grudkowatymi podeszwami. Kiedy zrobiłam krok, okazało się, że śnieg pochłoniął mnie aż do wysokości ud.

— Wow! - wyrwało mi się.

Rozejrzałam się. Wokół mnie nie było żywej duszy. Ale Celsius Pavilion i otoczone czcią łazienki kusily...

Dzielił mnie od nich raptem krok - a przynajmniej tak mi się wydawało.

Śnieg był tak głęboki, że nie dało się do końca przewidzieć, co pod nim leży. Obejrzałam się i spostrzegłam, że wiatr zasypuje ścieżkę z odcisków moich stóp. Wzdrygnęłam się i dałam odważnego susa.

W końcu się udało. Kiedy znalazłam się w toalecie, pękałam z dumy. Mój pęcherz też pękał, więc czym prędzej zamknęłam się w kabinie.

Zdarzało się, że na spacerach z psem czekałam całą wieczność, aż raczy opróżnić pęcherz. Sikał i sikał, i sikał... Teraz miałam tak samo. Ale co to była za ulga!

Lecz kiedy tylko z powrotem poowijałam się, czym miałam, pozasuwałam wszystkie zamki i pozapinałam wszystkie guziki -potrzeba fizjologiczna wróciła.

- Nie mogę uwierzyć, że ci się udało! - Laurie cieszyła się przez telefon, że przetrwałam noc w lodowym hotelu.

- No wiesz, nie do końca.

- Słuchaj, dla mnie godzina to byłby już sukces. Sama wiesz, że cierpię, kiedy muszę przejść przez alejkę z mrożonkami w Tesco.

- Więc gdybym teraz zdezerterowała i kimnęła parę godzin w zapasowym hotelu, to nie byłaby klapa?

- W zapasowym hotelu? - dopytywała Laurie.

- Piszą o nim w przewodniku. Całkiem niezłe warunki. To dla tych z nas, którzy jednak nie będą zainteresowani zgłębianiem tajników kriogeniki na własną rękę.

-Jesteś pewna, że tam będzie lepiej?

- To Hilton.

- Hilton? A przypadkiem nie wysyłałyśmy im notki służbowej, że nie wspieramy sieciówek?

- Akurat ten jest godny polecenia ze względu na jedną rzecz -ogrzewanie! Och...

-Co?

- Myślałam, że może mi się to przyśniło... - Wyjęłam zza kołnierza piórko. — Tej nocy do mojego pokoju przyszedł niesamowicie przystojny mężczyzna mówiący z francuskim akcentem.

- Podejrzywałam raczej, że zapewnią ci butelkę ciepłej wody w ramach ogrzewania, a tu taka niespodzianka. Czego chciał?

- Przez kilka minut chciał mnie.

I opowiedziałam Laurie całą historię. Od początkowego spięcia przez bitwę na poduszki aż do jabłkowych pocałunków.

*

- Wow.
 - No widzisz - westchnęłam. - Ale teraz wolałabym go już nigdy więcej nie spotkać.
 - Słucham? Dlaczego?
 - Wiesz przecież, jak szybko nocne przyjemności zamieniają się w udrękę następnego ranka.
 - State jak świat - skwitowała Laurie.
 - Mam z nim pracować przez najbliższy tydzień i nie zniosę tego, jeśli będzie się czuł niezręcznie dręczony przez wyrzuty sumienia.
 - A ja już widzę, jak tygodniowy flircik zostanie zwieńczony upojną nocą tuż przed twoim wylotem do domu. Jakby nie patrzeć, sam fakt, że pocałowałaś wreszcie kogoś innego niż twój były mąż, to wielki przełom.
 - To prawda.
 - Ale chyba ustaliłyśmy, że masz poderwać członka Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej albo giętkiego akrobatę z Cyrku Słońca?
 - Okazało się, że przedstawiciele konnej policji to rzadki gatunek, a siedziba Cirque du Soleil znajduje się w Montrealu, czyli jakieś trzy godziny drogi na zachód.
 - Hm, może wizyta tam byłaby rzeczywiście warta zachodu. Wiesz, dodatkowa historia na naszą stronę. Mogłybyśmy oferować naszym klientom wycieczki z dwoma ośrodkami.
 - To by było super! Podwójne podróże!
 - Tak jak oferta Manhattan i Hamptons! - szczebiotała zachwycona Laurie. - Któregoś pięknego dnia...
- Laurie żyje w przekonaniu, że swojego przyszłego męża znajdzie właśnie w którejś z tych dzielnic Nowego Jorku. Jedyne, czego potrzebuje, to zaproszenie do letniej rezydencji, a potem wszystko

samo się ułoży. Tak się składa, że właśnie pracuję nad kontaktami z jedną z takich wakacyjnych rezydencji, ale nie wspominałam o tym Laurie. Nie chciałam, żeby za bardzo się podekscytowała -w końcu ta współpraca to jeszcze nic pewnego. A propos...

- Co sądzisz o słowach Gilles'a? No wiesz... „Nie mogę tego zrobić”?

- Trudno powiedzieć - zastanawiała się Laurie. - Podejrzewam, że chodzi o inną kobietę. A może jest fizycznie niezdolny do pewnych rzeczy...

-Ojej...

- Mam wrażenie, że to jeden ze scenariuszy typu „Przygotuj się na najgorsze, spodziewaj się najlepszego”.

- A jak to wygląda w praktyce?

- Musisz odłożyć na bok wszelkie romantyczne myśli, zanim się nie upewnisz co do jego sytuacji. Przede wszystkim nie możesz wyskoczyć z pytaniem: „Co znaczyła ostatnia noc i co z tym zrobimy?”.

- Mimo że to byłyby zupełnie naturalne i adekwatne pytania w związku z tym, co zaszło?

- Zupełnie nie myśl o tym, co będzie. Nie wyobrażaj sobie rezultatów. Bądź neutralna - przynajmniej przy pierwszym najbliższym spotkaniu. Żadnych uprzedzeń, żadnych potrzeb ani cienia ciekawości.

- I co mi pozostanie?

- Mam nadzieję, że twoja godność. Nie byłam przekonana.

- W każdym razie na pewno już po chwili zdołasz się zorientować, dokąd to wszystko zacznie zmierzać. Albo jego oczy od razu zabłysną na twój widok, albo poczuje się niezręcznie i będzie unikał kontaktu wzrokowego.

- Spodziewam się raczej tej drugiej ewentualności.
- Przede wszystkim ty NIE MOŻESZ czuć się zakłopotana.
- Czyli co... mam się zachowywać tak, jakby to nigdy się nie stało?
- Cóż, masz trzy wyjścia - stwierdziła Laurie. - Możliwość numer jeden: jesteś beczelnie wesoła - w końcu nie ma się czym przejmować! Zawsze tak działasz na mężczyzn.

Parsknęłam gwałtownie, jakby ktoś właśnie zafundował mi zabieg Heimlicha.

- W porządku. Numer dwa?
- Skrywasz jakiś sekret.
- No nie wiem... Zawsze, kiedy staram się sprawiać wrażenie tajemniczej, wyglądam na zmieszaną. A trójka?

- Jest takie słowo... - Zamilkła na moment, starając się je sobie przypomnieć. - Już wiem! Anielskość!

- To znaczy?

- Masz być spokojna, pogodna i trochę „ponad” wszystkim. Błogość - bez względu na to, co ten cały Gilles wymyśli. Jeśli będzie drażliwy i zacznie się skręcać, ty wzbijesz się na swoich anielskich skrzydłach i udzielisz mu błogosławieństwa.

- To nie brzmi jak opis mnie, prawda?

- Masz rację, ale on o tym nie wie. I wcale nie musi wiedzieć, że normalnie oglądałabyś się za siebie i próbowała za wszelką cenę ukoić jego ból. Idź do przodu, miej czyste konto. Tyle.

- Dobra. - Z trudem przełknęłam ślinę.

Zastanawiałam się, czy o piątej trzydzięci zaczynają się gdzieś w pobliżu lekcje z aktorstwa.

- Domyślam się, że istnieje jeszcze jedna paląca kwestia - dodała Laurie. - Gdyby się okazało, że nie ma dziewczyny, byłabyś zainteresowana?

- Nie wiem. - Przygryzłam wargę. - Chyba nie jest do końca z mojej bajki. Obawiam się, że to za wysoka półka.

- Delikatesik? Zachichotałam.

- Zwykłam się obracać w kręgu elit mody.

- I to właśnie może się okazać najfajniejsze! Wtedy zadzwonił budzik Laurie.

- Masz spotkanie?

- Mhm, o dziesiątej trzydzięci. Z madrycką turystyką.

- Nie mogę uwierzyć, że u ciebie tak wcześnie.

- Przecież u ciebie jest jeszcze wcześniej, dziecinko! - przypomniała mi. - Proponuję, żebyś zrobiła tak: napij się czegoś gorącego, zamów taksówkę do Hiltona i się zdrzemnij.

- W porządku.

- I jeszcze jedno...

- Co tylko zechcesz.

- Tym razem zostaw na klamce wywieszkę „Nie przeszkadzać”.

Uśmiechając się do siebie, schowałam telefon do torebki i ruszyłam w stronę maszyny z kawą. Tam wysłodziłam inne Ludzkie Istnienie ziewające w recepcji z niedowierzaniem, że zgodziło się na nocną zmianę.

- O, witam!

- *Bonjour!*

Było dla mnie stanowczo za wcześnie, żeby próbować swoich sił w rozmowie po francusku, więc zapytałam po prostu: „Czy mogłabym zamówić taksówkę?”. Chociaż opcja sań zaprzęgniętych w konie brzmiałaby bardziej racjonalnie.

Ponieważ nikt nie zdążył jeszcze odśnieżyć podjazdu, człowiek z recepcji zorganizował mi przejażdżkę autem z napędem

na cztery koła. Spodziewałam się, że kierowcą będzie młodzieniaszek cierpiący na bezsenność, ale okazał nim się dziarski pan po siedemdziesiątce. Czy nie powinien właśnie siedzieć w domu w barankowych papuciach i kopcić fajki? Nie wiem, jak dzisiejsi seniorzy to robią, ale sprawiają wrażenie bardziej żywiołowych i śmiałych niż ludzie trzy razy młodszy od nich.

Z moją walizką poradził sobie tak łatwo, jakby była wypchana watą cukrową. Co więcej - wiele wskazywało na to, że potrafił czytać w myślach.

- Wie pani, że w tym tygodniu nocuje u nas dziewięćdziesięciodziesięcioletek? - zapytał.

- Żartuje pan? — zapytałam z niedowierzaniem. - Jak on sobie poradził ze śpiworem?

- Poradził i to całkiem sprawnie! Widziałem nawet zdjęcia -jego dzieci wszystko uwieczniły.

- Jego dzieci?

- Mówiąc „dzieci”, mam na myśli oczywiście ludzi, którym dawno stuknęła sześćdziesiątka.

Szczęka mi opadła z wrażenia.

- Widzi pani te klatki? - Zwolnił nieco przy szeregu ogrodzonych metalowymi prętami przestrzeni. - Kiedyś tu było zoo.

- Dla niedźwiedzi polarnych?

- Och, nie tylko. Mieliliśmy tu wszystko - kangury, nosorożce, flamingi...

- Teraz to się wydaje niemożliwe. Staruszek się zaśmiał.

- Spała pani w tamtym budynku? Przytaknęłam.

- Wcześniej mieszkały tam nasze małpy. Oczywiście po nich posprzątało.

-Tak, tak. Warunki są wręcz sterylne. - Stłumiłam chichot.

Kierowca opowiedział mi historię zoo. Kiedy zostało zamknięte, zwierzęta przekwaterowano, a teren przejął Hotel de Glace. Stało się to sześć lat wcześniej i od tamtego momentu starszeczki regularnie zatrudnia się na sezon zimowy w hotelu.

Dla mnie to niepojęte - świadomie marznąć codziennie przez trzy miesiące w roku? Ten człowiek nawet nie miał włączonego ogrzewania w samochodzie.

- Och, ale teraz wcale nie jest zimno! Uniosłam brew.

- Kiedyś służyłem w kanadyjskich siłach zbrojnych. Spędziłem pół roku na Biegunie Północnym, a tam temperatura sięgała do czterdziestu kresek poniżej zera i było ciemno całą dobę.

To zmieniało sytuację.

- Ale do czego potrzebowali żołnierzy na biegunie?

- To była baza meteorologiczna.

- A nie mogli użyć maszyn, które by się zajęły pogodą?

- Teraz by użyli - przyznał. - Ale dawniej to my musieliśmy wykonywać tego typu zadania. W stacji pracowało nas dwustu.

- Boże, aż trudno mi to sobie wyobrazić.

- To było coś! Między poszczególnymi budynkami były przeciągnięte liny...

- ...żebyście mogli znaleźć drogę w ciemności?

- Nie. Żeby wiatr nas nie porwał. Jeżeli wiało zbyt silnie, nawet nie mieliśmy pozwolenia, żeby wyjść na zewnątrz.

- Ma pan na myśli, że mogło was dosłownie wywiać na jakieś lodowe pustkowie i ślad by po was zaginął? - zapytałam.

- Właśnie. Wokół nie było zupełnie nic. Nie mieszkali tam żadni Eskimosi, nie przechodziły tamtędy nawet karibu. Wszędzie tylko śnieg...

- Teraz czuję się jak cykor! Uśmiechnął się.

- A wie pani, co było najlepsze?

- Czy tam było cokolwiek dobrego?

- Chleb.

- Chleb?

- Samolot dostawczy zrzucał nam skrzynki z żywnością, ale ponieważ nie było w nich miejsca na dwieście bochenków, dostawaliśmy zapasy mąki. Nasz kucharz piekł świeży chleb na miejscu. Był taaaki pyszny...

Patrzyłam na niego w osłupieniu. Po trzydziestu czy czterdziestu latach wciąż z taką przyjemnością wspomina pieczywo! Miałam chęć go przytulić.

- Pani taksówka już tu czeka.

Pokierowaliśmy się do miejsca, gdzie dzień wcześniej zaczęła się moja przygoda. Po historii opowiedzianej przez kierowcę czułam się wręcz niechętna do wyjazdu. Ten człowiek sprawił, że zapragnęłam być odważna. Co właściwie jest fajnego w ogrzewaniu i wykładzinach? Mimo wszystko uległam perspektywie wygody.

W taksówce panowała przyjemna duchota i mimo woli co chwila odpływałam w sen. Przez szyby było widać tylko biel. W którymś momencie zobaczyłam przebijające się przez zamieć kamienne budynki i szeregi sklepów świadczących o tym, że zbliżałam się do cywilizacji. Jednak w porównaniu do neonowego oświetlenia lodowego hotelu wszystko wydawało się bure i nudne. Zamknęłam ponownie oczy, a kiedy je otworzyłam — taksówkarz parkował już przed Hiltonem. Po wygranej walce z obrotowymi drzwiami znalazłam się w przestronnym, nowoczesnym holu. Otaczały mnie geometryczne linie i niskie, kanciaste meble.

- Przyjechała pani z Hotel de Glace? — zapytała recepcjonistka.

- Czy to aż takie oczywiste? - zapytałam.

Byłam ciekawa, czy wszyscy goście lodowego pałacu czymś się charakteryzują.

Kobieta wskazała na laminowany identyfikator przypięty do mojego płaszcza.

- Ach, to!

- Spała pani?

- W pewnym sensie.

- Tutaj na pewno się pani uda.

Z tymi słowami recepcjonistka wręczyła mi klucz do pokoju z wielkim, miękkim, obłożonym poduszkami łóżem. Podkreśliłam ogrzewanie do trzydziestu stopni, więc miałam gwarancję, że do rana zdążę się upiec.

- O matko, ale gorąco! - obudziłam się zlana potem.

Miałam trudności, żeby wygrzebać się z syntetycznych powijaków. W końcu mi się udało, a kiedy stałam na środku pokoju naga, błyszcząca i zdyszana - zadzwoniła moja komórka. Dostałam wiadomość:

„Spotkajmy się na 23. piętrze o 9. Nie wyglądaj przez okno!”.

O mój Boże! On tutaj jest! W tym budynku! Szybko coś na siebie zarzuciłam na wypadek, gdyby ktoś miał mnie zobaczyć.

Potem zerknęłam na zegarek przy łóżku. Godzina. Została mi godzina, żeby wziąć prysznic, pomalować się i przećwiczyć beznamiętny wyraz twarzy, który będzie przekonująco mówił: „Jestem zupełnie wyluzowana i nie przejmuję się nadchodzącym spotkaniem”.

Czy ktoś widział strzykawkę z botoksem?

Ponieważ nasze wstępne spotkanie miało się odbyć w murach hotelu, mogłam spokojnie założyć dzinsowe rurki i ulubiony, puchary, brzoskwiniowy sweter - taki z ogromnym, opadającym na ramię kołnierzem. W rodzinnym kraju miałam łagodną zimę, więc miło było wreszcie wskoczyć w mięsiste dzianiny.

W miarę jak doprowadzałam się do ładu, wszelkie ślady niedoboru snu wyparowały. Suszyłam włosy i niecierpliwie czekałam na dziewiątą trzydzieści. To prawda - powiedziałam Laurie, że wolałabym go więcej nie oglądać, ale to dlatego, że po pocałunku wyglądał tak, jakby zalała go fala wyrzutów sumienia. Oczywiście w dalszym ciągu nie miałam pojęcia, jak to wszystko się potoczy, ale jego wiadomość była tak swobodna, że patrzyłam w przyszłość raczej optymistycznie. W windzie moja ekscytacja rosła z każdym piętrem... Ding! Dwudzieste trzecie! To moje! Wsiadłam i rozejrzałam się wokół. Dokąd teraz? - Krista?

Ujrzałam kobietę w białych narciarskich spodniach. Białych! Miała też na sobie złotawy płaszcz obszyty prawdziwym futrem, a jej blond włosy z miodowymi refleksami podkreślały delikatnie opaloną twarz. Przedstawiła się jako mój przewodnik - Annique.

Czułam, jak mój sweter się mechaci i rozwleka od samego patrzenia na nią. Wyglądała dokładnie jak kobieta, którą chciałby fotografować Gilles.

- Dostałaś moją wiadomość, prawda?

- T-tak... - Przełknęłam głośno ślinę. Byłam rozczarowana. Wiadomość od NIEJ. -Już jesteśmy w komplecie?

- Na razie tak. Gilles uparł się, że zrobi jeszcze trochę zdjęć głównym atrakcjom Karnawału, zanim impreza zostanie oficjalnie otwarta, ale wkrótce do nas dołączy.

-Okej...

- Pomyślałam, że będziesz miała ochotę na małe śniadanko, *non'*.

- O tak. Dziękuję.

- Możemy odwiedzić komfortowy bar w sekcji zarządu...

-Przejechała kartą elektroniczną przy drzwiach i poprosiła, żebym poszła za nią.

Początkowo spodziewałam się, że mój wzrok przykują tylko croissanty, ale szybko zakręciło mi się w głowie od widoku panoramy, która mnie przywitała. Przez przeszklone ściany widziałam spektakularny krajobraz: szeroka, zamarzająca rzeka, odległe, pokryte śniegiem zbocza, zabytkową część muru okalającego Stare Miasto, nad którym dominował rdzawy zamek nafaszerowany wieżami, wieżyczkami i iglicami...

Na dole udało mi się dojrzeć tylko odbite w śniegu ślady mieszkańców, ale coś mi podpowiadało, że nosili zakręcone na czubku buty z dzwoneczkami, aksamitne tuniki i peleryny powiewające na wietrze, kiedy pędzili brukowanymi alejkami, posypując cukrem pudrem każdą dostępną powierzchnię.

- Wow... — wyszeptałam zachwycona.

Wczoraj byłam Lodową Księżniczką, teraz wcielam się w rolę Królowej Śniegu obserwującej swoje imperium ze szczytu szklanej wieży.

Annique uśmiechnęła się z dumą.

- Witaj w Quebecu!

- Teraz rozumiem, dlaczego wybrałaś akurat ten hotel - powiedziałam i się zaśmiałam. - Co za punkt widokowy!

Warto było się wybrać w kolejną podróż właśnie do Kanady. Pomijając wszelkie osobiste pobudki, to miejsce było idealnym celem Va-Va-Vacation! Kto nie dałby się oczarować? W tamtym momencie byłam już gotowa zachęcić wszystkich do wizyty w Quebecu, żeby mogli poczuć tę magię, którą ja właśnie czułam.

- Może zajmiemy stolik przy oknie? Pokażę ci wszystkie najciekawsze punkty.

Byłam wdzięczna Annique za przejęcie inicjatywy.

- Po lewej stronie znajduje się port.

Wskazała miejsce, gdzie nawet najcięższe statki towarowe zdawały się bezradnie tkwić w pułapce zamrożonych wód „słynnej Rzeki Świętego Wawrzyńca”.

Mrużyłam oczy i usiłowałam rozróżnić, gdzie kończy się ośnieżony brzeg, a gdzie zaczyna oblodzona tafla. Za wskazówkę posłużył mi most przerzucony gdzieś w oddali nad korytem rzeki.

Na horyzoncie komin fabryczny wypuszczał dym, który wyglądał jak puchate, białe chmurki, którymi chciał ozdobić nieskazitelnie niebieskie niebo. Zima potrafi być monochromatyczna jak gazetowy papier, ale czasem stać ją na wyjątki. Miałam przed oczami widok jak ze świątecznej pocztówki. Równiutkie rzędy szeregówek urozmaicały tło krajobrazu całą paletą innych

kolorów: od rdzawej czerwieni, przez karmelkowy, szarzielony, aż po blade zielonkawoniebieski.

Coś, co w Anglii byłoby boiskiem piłkarskim, tutaj to pole do popisu dla hokeistów. Małe, szczelnie opakowane ochraniaczami figurki ślizgały się w tę i z powrotem z niebywałą gracją jak na tak męską dyscyplinę sportu. Zdawało mi się nawet, że słyszę świsty i szelesty, kiedy zawodnicy posyłali krążek do siatki, i odgłosy uderzających o siebie drewnianych kijów. A po chwili potrójny piruet...

- Czy to prawdziwy zamek? - zainteresowałam się, wskazując centralny punkt miasta.

- To Château Frontenac. Jeden z najczęściej fotografowanych budynków na świecie. Obecnie luksusowy hotel Fairmont. Musimy pójść tam na obiad pod koniec tygodnia!

- A co się dzieje z jego dachem? - zapytałam, bo był podejrzenie dwukolorowy.

- Wymieniają miedź na nową.

- O nie, przecież ta stara, pudrowa zieleń jest piękna!

- Napatrz się teraz, bo nieprędko dach znów się zazieleni. Minie ze sto lat, zanim się utleni!

Nie zdążyłam pogrążyć się w rozpaczy, ponieważ Annique pokierowała moją uwagę na jeszcze bardziej spektakularną budowlę... Elegancki, z wieżą wyposażoną w zegar, z żelazną koroną na szczycie, a na nim z kolei łopocąca flaga Quebecu - lazuruwa z białym krzyżem i czterema symbolicznymi, białymi kwiatami lilii.

- To nasz parlament.

- O rety! - zachwyciłam się. - A tuż za jego murami znajduje się teren Zimowego Karnawału?

Annique przytaknęła.

- Karnawał jest dobry dla miasta. Nie tylko jeśli chodzi o turystykę, ale również morale. To coś, na co wszyscy z niecierpliwością czekają po Bożym Narodzeniu. Nie można od razu zacząć planować wakacyjnego urlopu, bo to za wcześnie! - zaśmiała się.

- Uważam, że to kapitalny pomysł. W końcu wszyscy tego chcemy i potrzebujemy - czegoś do wyczekiwania.

- Są dwa wyjścia. Możesz albo narzekać na pogodę i zaszyć się w kącie, albo wyjść do ludzi i cieszyć się urokami zimy: jazdą na nartach, ślizganiem się w śniegu i saneczkowaniem... Och! - Sięgnęła do torby.

- Muszę ci to dać.

Wręczyła mi miniaturową „podobiznę” bałwana, którą można było przyczepić do zamka w kurtce.

- Powinnaś go nosić cały czas, jeśli chcesz swobodnie wchodzić i wychodzić z terenu Karnawału, kiedy tylko zechcesz.

Przyjrzałam się bliżej figurce — bałwanek nosił na głowie spłaszczony czerwony kapelusz, w pasie był przewiązany odjazdową szarfą. Uśmiechał się szeroko, a co ciekawe, miał nawet... nóżki.

- W końcu musi mieć na co założyć łyżwy i czym wywijać w tańcu. Sama rozumiesz - wyjaśniła Annique.

- Ależ oczywiście.

- Ma na imię Bonhomme i jest ambasadorem Zimowego Karnawału w Quebecu. Prawdziwą wersję poznasz później - ma ponad dwa metry!

Zaciekawiłam się, kiedy moja przewodniczka opowiadała historię Bonhomme'a. Reprezentował Karnawał od pięćdziesięciu siedmiu lat - ale jakim cudem za każdym razem organizatorom udawało się znaleźć tak wysokiego mężczyznę, który mógłby założyć strój bałwana? Annique oburzyło moje pytanie.

- To nie człowiek w kostiumie. Bonhomme to Bonhomme. Rozejrzałam się dyskretnie.

Czyżby podsłuchiwały nas jakieś dzieci i Annique nie chciała się przed nimi wygadać? Ale nie. Mówiła poważnie - Bonhomme to Bonhomme. I biada komuś, kto kiedykolwiek odpowie inaczej.

- Mogłabym cyknąć kilka zdjęć?

Chodziłam od okna do okna, starając się uwiecznić każdy szczegół. Od staroświeckich, okrągłych sygnalizacji świetlnych po grupy przystrojonych bożonarodzeniowymi ozdobami jodełek, aż w końcu mój wzrok spoczął na Annique.

Była naprawdę ładna i miła. I stylowa.

- Fajne kolczyki! - powiedziałam z uznaniem, kiedy zauważyłam misterną, złotą biżuterię dyndającą przy jej uszach.

- Merci!

- I buty.

„I twój metabolizm” - pomyślałam, widząc jej szczupłą sylwetkę i stos ciastek zgromadzonych na talerzu.

- Będziemy dzisiaj sporo chodzić - powiedziała i uśmiechnęła się znad łakoci. — Potrzebujemy paliwa!

Gdy byłam już w połowie drogi do baru, odwróciłam się i zapytałam nagle:

- Miałabyś coś przeciwko temu, gdybym zrobiła ci zdjęcie? Chciałabym pokazać przyjaciółce ubrania, które masz na sobie.

Wyświadczyła mi przysługę, wstając i pozując jak baletnica.

- Dziękuję! - powiedziałam i od razu wysłałam Laurie fotkę z podpisem „To mój dylemat”.

Potem wpakowałam całego rogalika do ust i zrobiłam zeza -i taką fotkę, tym razem z podpisem: „Którą byś wybrała?”, również wysłałam przyjaciółce.

Oczywiście dokładnie w tamtym momencie do bufetu wmaszerował Gilles.

Rzuciłam się za szklane półki, żeby w ukryciu wyjąć z buzi rogalika i udawać, że kaszlę, bo kawałki ciasta wpadły mi do gardła.

Meble ograniczały moją widoczność i nie do końca mogłam wypatrzeć, co robi Gilles. Za to nic nie zasłaniało mi Annique. Kiedy zajęłam się ekspresem do kawy, kątem oka obserwowałam jej gesty: poprawiła włosy i wstała, żeby przywitać się z Gilles'em. Pocałowała go w obydwa policzki. Potem on coś do niej powiedział, a ona (pociągłymi ruchami) gładziła go po twarzy.

Ręce zaczęły mi drżeć, a razem z nimi filiżanka kawy na spodku.

Oni są razem. To Annique jest tym tajemniczym powodem, dla którego Gilles powiedział mi wtedy „nie mogę tego zrobić”.

BO JUŻ TO ROBIŁ - Z NIA.

Ale zaraz... Na pewno? Czy wpadam w paranoję?

Może po prostu są starymi przyjaciółmi albo Gilles miał coś na brodzie.

Wtedy oboje spojrzeli w moją stronę i mi pomachali. Szybko odstawiłam szcękającą o talerzyk filiżankę i przerzuciłam się na bardziej poręczną szklankę soku pomarańczowego. „No dalej, uda się - zagrzewałam się do boju w duchu. - Jak gdyby nigdy nic wróc do stolika i przywitaj ich promiennym *bonjour**”.

- Gilles'a oczywiście poznałaś już wczoraj wieczorem... -upewniała się Annique, kładąc mu jedną rękę na plecach, a drugą na ramieniu, jakby prezentowała nagrodę w konkursie.

- Zgadza się.

- I jak było? - zapytała.

- Uhm... - Rzuciłam mu spanikowane spojrzenie.

- Sesja zdjęciowa się udała?

- Och, naturalnie... - wymamrotał Gilles.

- Obiektów nie zaparował?
- Słucham? — Zachłysnęłam się.
- Na zimnym powietrzu chyba o to nie trudno... Znów spojrzałam na Gilles'a.

- Było okej.

- Z chęcią obejrzę fotografie.

- Jak tylko nieco je obrobię - powiedział i oblał się rumieńcem.

To było potworne! Miałam w głowie straszny mętlik. Na pewno nie spędzili razem ostatniej nocy albo tego, co zostało z nocy, kiedy Gilles wyszedł ode mnie...

- Gilles, może zjesz coś na śniadanie, a potem porozmawiamy o naszych planach na dziś?

Annique i ja odprowadziłyśmy go wzrokiem do barku - ona wyraźnie delectowała się widokiem, a ja tylko czekałam, aż fotograf znajdzie się na tyle daleko, że nie usłyszy naszej rozmowy.

- Więc... - zaczęłam. - Długo się znacie?

- *Non* - odparła, zalotnie przechylając głowę. - Raptem trzy dni.

Po czym dodała:

- *Trois jours...*

Ale wypowiedziała to tak namiętym i rozmarzonym szeptem, że brzmiało to jak „trzy cudowne dni wypełnione seksem...”. Zupełnie nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Spotkaliśmy się, żeby obgadać projekt, a później... - Wzruszyła ramionami w typowo francuski sposób. - ... *Voilà*

- *Voilà*... - powtórzyłam bezwiednie.

- Uwielbiam to, z jaką pasją podchodzi do swojej pracy.

- Czy on nie jest po prostu...?

Wtedy do stolika wrócił Gilles. Wahał się przez moment, obok której z nas zająć miejsce, ale Annique ułatwiła mu wybór.

Zaproponowała krzesło najbliżej okna na wypadek, gdyby zechciał porobić trochę zdjęć. Co oczywiście zrobił, sprytnie zasłaniając aparatem twarz przez większość naszego spotkania.

- A co to za budynek? - zapytał, pokazując palcem w prawą stronę.

Annique spojrzała na mnie w oczekiwaniu na odpowiedź. Sprawdzała, czy pamiętam.

- To parlament - uświadomiłam kolegę.

- Chyba go mijałem w drodze do was.

- Pewnie tak. Wiesz, że Karnawał odbywa się tuż za nim?

Kiedy wiercili się na krzesłach, żeby lepiej widzieć, ja oddaliłam się myślami i zamknęłam w sobie. Słyszałam, jak Annique wymienia całą listę zaplanowanych dla nas atrakcji, i nawet wydawałam z siebie dźwięki zachwyty w odpowiednich momentach, ale tak naprawdę niewiele do mnie docierało. Chciałam jak najprędzej wrócić do hotelowego pokoju i zadzwonić do Laurie.

Na dodatek nagle oboje przerzucili się na francuski, przez co czułam się jeszcze bardziej wyalienowana. Postanowiłam udawać niczego nieświadomą i pochłoniętą widokiem za oknem, jakbym zadawała sobie pytania: czy śnieg zsuwa się tutaj tylko z jednego dachu? Czy wiatr nie rozdmuchuje go równomiernie z każdej strony? Wtedy dopiero zdałam sobie sprawę, że stoi za tym dwóch mężczyzn z łopatami - albo z grabiami, albo z miotłami, albo nawet z jakimś dziwnym narzędziem będącym połączeniem trzech wymienionych - którzy systematycznie zmiatają śnieżne płaty z krawędzi dachu, fundując im długi lot prosto na ulicę. Pomyślałam też, że kominiarze mają trudne warunki pracy.

Annique spostrzegła moje zamyślenie i wyjaśniła, że odśnieża się, żeby zachować wszelkie środki ostrożności. Jednak według

mnie dachy domów wyglądają dużo ładniej, kiedy są pokryte białym puchem. I kiedy domy sąsiadów mają śnieżne czupryny, ten odśnieżony wygląda tak, jakby ktoś go ogolił tępą maszynką - zostawiając tu i ówdzie białe placki...

- Okej. - Po raz kolejny wyrwała mnie z zadumy Annique. -Czas ruszać.

Och, dzięki Bogu.

- Wobec tego wrócę na chwilę do pokoju, żeby założyć cieplejsze rzeczy, a później spotkam się z wami w holu. Możemy się tak umówić?

- Doskonale.

Nie dało się stamtąd ulotnić zbyt szybko. Annique i Gilles szli tuż za mną. I jeszcze to niekończące się czekanie na windę... W pewnym momencie usłyszałam jej dziewczęcy chichot i zebrało mi się na wymioty.

- To jakiś koszmar! - jęczałam w rozmowie z Laurie przez Skype'a.
- I zobacz, w co w dodatku musiałam się dzisiaj ubrać!

- O rany! - Skrzywiła się przyjaciółka na widok moich narciarskich spodni.

Niestety nie mam na myśli gładkich, czarnych - raczej takie napompowane, z dodatkowymi warstwami ocieplenia. Brakowało tylko, żebym krzyczała: „Do zobaczenia na stoku!”.

- Dobra, weź głęboki oddech - uspokajała mnie Laurie. - Nie prześcigniesz jej w zawodach o lepszy wygląd, nie ma szans. Ale przecież byłaś w bieliźnie termicznej i śpiworze, kiedy pierwszy raz cię zobaczył, więc w porównaniu do tamtej „kreacji”, teraz przynajmniej prezentujesz się dużo smukłej.

- To prawda.

- Poza tym... -Tak?

- Skoro faktycznie między nimi coś zaszło, to chyba nie chciałabyś jego miłosnych podbojów.

- Ech, racja - westchnęłam.

- Mam na myśli to, że skoro nie może usiedzieć w miejscu już po paru DNIACH i zarywa do kolejnej kobiety...

- Wiem, wiem. Tylko jestem... - Próbowałam wyrazić słowami swoje uczucia. - Wściekła. I zażenowana. I oburzona! I zdumiona. .. - westchnęłam.

- Zdumiona?

- To oczywiste, że ci dwoje zasilają szeregi pięknych ludzi, którzy wygrali los w genetycznej loterii. Również oczywiste, że wobec tego się sobie spodobali. Tylko że...

- No co?

Skuliłam się w rogu łóżka.

- Skoro Gilles robi *voilà* z taką boginią jak Annique, co, u licha, go skłoniło, żeby całować się ze mną?

Spakowałam torbę i poszłam w stronę windy. Wtedy dotarło do mnie, że Gilles to pierwszy po Andym mężczyzna, w kwestii którego Laurie udzielała mi korepetycji.

Poznałyśmy się, kiedy akurat mieliśmy z mężem trudniejsze dni. Zostaliśmy zaproszeni na wystawne przyjęcie weselne do dworku w Oxfordshire. Dokładnie pamiętam, że z każdym toastem Andrew stawał się coraz bardziej kapryśny i złośliwy. Nie mogłam nic poradzić, że przy naszym stole siedziały akurat same pary szczęściarzy i karierowiczów, a nam nie udawało się osiągać sukcesów w zawrotnie szybkim tempie.

Jeden mężczyzna właśnie dostał pracę z pensją dwa razy wyższą niż w poprzedniej firmie, jakaś kobieta chwaliła się bliźniaczą ciążą, inne małżeństwo akurat kupiło wymarzony dom z osobnymi garderobami i strumykiem płynącym przez ogródek... Może i bylibyśmy w stanie czymś ich zaskoczyć, ale zdaniem Andy'ego w porównaniu do nich byliśmy jak pasażerowie wlokący się przez życie klasą ekonomiczną. Zawsze był chorobliwie ambitny.

W każdym razie końcówkę wesela spędziliśmy na parkiecie - przynajmniej tam dobrze się bawiliśmy i Andy nie był naburmuszony. I właśnie wtedy poznałyśmy się z Laurie - gdy nagle,

podczas szalonych piruetów, mój paluch został nadziany na obcas od podróbki Louboutina jak na rożen.

Oprawca mógł równie dobrze wziąć z baru korkociąg i wkręcić go w moją stopę. Tak bardzo bolało. Andrew był zażenowany i to wcale nie z powodu wyrządzonej mi krzywdy, tylko dlatego, że a) skakałam i skowyczałam jak opętana i b) zaplamiałam krwią dywan Lorda Fetheringtona-Ashbyego w drodze powrotnej do stolika.

- Chryste Panie! Kto przy zdrowych zmysłach tańczy bosy, kiedy pozostali mają na nogach szpilki?

- A wiesz, jak trudno w nich utrzymać równowagę? Ja bym raczej zapytała, kto przy zdrowych zmysłach tańczy w szpilkach! - odgryzłam się.

- Normalne kobiety, Krista. Normalne kobiety noszą buty na wysokich obcasach, a nie jakieś babcine cizemki! - drwił Andy, wymachując butem przed moim nosem.

- Chyba muszę cię uświadomić, że to profesjonalne buty do tańca! - Wyrwałam mu but z ręki. - Tylko spójrz, są tak miękkie i giętkie, że mogę je zginać.

- I to ma być zaleta?

- Dla mnie jest.

- A czym obronisz ten obcas? Wygląda tak, jakby przykleili do podeszwy pudełko zapalek i pomalowali je na srebrno.

- Wybacz, że chciałam czuć się komfortowo.

- Nie chodzi o to, żeby było wygodnie, tylko żeby dobrze wyglądać.

Wszyscy cierpią - nie możesz i ty?

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

- Chcesz, żebym cierpiała?

- Zwyczajnie nie mogę zrozumieć, dlaczego zawsze chcesz być czarną owcą!

- Dlaczego nie chcę być taka jak wszyscy? - drażylałam.

Doskonale wiedziałam, co miał na myśli - wcale nie chodziło o buty.

Andrew jednak nie chciał się dalej droczyć, więc tylko prychnął i rzucił:

- Sama sobie nawarzyłaś piwa. Teraz znajdź cholerny plaster i go sobie przyklej.

I z tymi słowami odwrócił się na pięcie i zostawił mnie przy stoliku.

Pomyślałam, że dobrym pomysłem byłoby się rozpłakać, żeby mój niezwykle wyrozumiały mąż poczuł się niezręcznie, ale w tym samym momencie spod falban obrusa wyłoniła się kobieca twarz.

- Nie przejmuj się mną - zaszcebiotała brunetka z lokami i uśmiechem jak Sandra Bullock.

Początkowo byłam zbyt zaskoczona, żeby coś powiedzieć.

- Nie chciałam podsłuchiwać. Wślizgnęłam się tu, żeby zjeść w ukryciu kawałek tortu weselnego, ale wtedy wy przyszliście, więc nie chciałam się ujawniać w połowie kłótni i...

- Wybacz, że byłaś świadkiem tych wszystkich głupot - poczułam zażenowanie.

- Przepraszam za zraniony palec. Przykra sytuacja.

Siedząc pod stołem „oko w oko” z moją stopą, dokładnie widziała, co nabroiła.

- Czy mogłabyś mi podać szklankę wody? Sięgnęłam po nią i wsunęłam szklankę pod obrus.

- I serwetkę.

- Został jeszcze jeden nieruszony kawałek tortu, gdybyś...

- Nie, nie. Dziękuję.

Wtedy kobieta zamoczyła róg serwetki w wodzie i zaczęła zmywać nadmiar krwi. Wierciłam się trochę z bólu, dlatego

przyłożyła mi do rany kostkę lodu w ramach znieczulenia. Potem porwała serwetkę zębami.

- Ostrożnie! - zdrygnęłam się.

- Spokojnie, mam kły jak rottweiler.

Wybrała węższy pasek materiału i obwiązała mi nim paluch, po czym poprosiła o jedną z wykałaczek do koktajli, żeby umocować opatrunek.

- Wygląda jak parówka w cieście - stwierdziłam z uśmiechem. Wtedy kobieta wyszła spod stołu. Trochę mnie zaskoczyła,

bo miała zupełnie normalną figurę. Spodziewałam się raczej, że skoro podjada słodczyce w ukryciu, jest dosyć otyła. Jednak nic z tych rzeczy.

- Jeśli mogę spytać - masz jakiś problem z jedzeniem?

- Owszem - odparła i pokiwała głową z powagą. - Ma na imię Erie.

- Erie?

- Mój chłopak. A już niedługo były chłopak. Tylko nie zawsze jest tak łatwo zakończyć związek, jak go rozpocząć. Dlatego ciągle mam nadzieję, że postawi mi ultimatum: „Albo ja, albo ciastka!”. I wtedy wybiorę łakocie - oczywista sprawa - i zacznę wieść życie słodkie jak krem.

Zachichotałam, a kobieta westchnęła i sięgnęła po coś, co dotychczas było moich kieliszkiem wina.

- Na początku zawsze są tacy mili, prawda? Wtedy jeszcze kochają cię za to, jaka jesteś.

- Albo za to, jaka myślę, że jesteś. Spojrzała na mnie z ukosa.

- Wiesz, co pomagało mi strawić wywody Erica?

- Co takiego?

- Budda.

Zaniepokoiłam się i modliłam się w duchu, żeby nie okazała się religijną świruską. Kobieta zbliżyła się do mnie i zaczęła opowieść:

- Pewien zgorzkniały gość przyszedł do Buddy. Nie miał mu nic miłego do powiedzenia, wszystkiego się czepiał, w kółko narzekał na to, co robi niewłaściwie, jęczał, że nic mu się nie udaje. Wyliczał wszystko, co mu przeszkadza, co go irytuje, pluł jadem. Chciał się pozbyć swoich problemów, zwalając winę na kogoś innego. A niewzruszony jego tyradą Budda zapytał tylko: „Jeśli kupiłbyś prezent, ale ktoś by go nie przyjął, to do kogo wtedy należałby ten upominek?”. Mężczyźnie wydało się oczywiste, że do niego - w końcu sam za niego zapłacił. Na co Budda: „Wobec tego nie przyjmuję wszystkich zniewag i oskarżeń, które mi zaoferowałeś. Prezent należy znowu do ciebie. W całości”.

Szczęka mi opadła z wrażenia.

- To jest wspaniałe!

- Prawda?

- Wspaniałe! - zachwyciłam się.

- Co jest takie wspaniałe?

Odwróciłam się i zobaczyłam zniecierpliwionego Andy'ego.

- Zabawna historyjka, którą... - urwałam. - Przepraszam, jak właściwie masz na imię?

- Laurie - odpowiedziała kobieta, wyciągając rękę w moją stronę.

- Krista - przedstawiłam się, podając swoją. - A to Andrew.

- Miło cię poznać.

- Ałaaaaa!!! - Andy zakwiczał jak proszę, odskakując od Laurie.

- O rety, przepraszam! Nadepnęłam cię? - Podwinęła falbany miętowej, szyfonowej sukni i odsłoniła śmiercionośne szpile

swoich czółenek. - Dobrze, że sam też masz buty na nogach, to może mniej bolało. Puściła mi dyskretnie oko i odeszła.

Zachowałam sobie fragment pozostały z podartej serwetki. Najpierw zaproponowałam Andrew, żeby wytarł nim łzy, a potem w samochodzie, kiedy wracaliśmy do domu, zasłaniałam sobie usta tym kawałkiem materiału - a to dlatego, że nie schodził z nich uśmiech. Nie mogłam się opanować.

Potem nie widziałam Laurie przez kolejne dwa miesiące. Śmieszna sprawa, bo codziennie dzieliło nas niewiele więcej niż szyba, a zupełnie nie byliśmy tego świadome! Każdego ranka po wyjściu z autobusu mijałam witrynę biura podróży, w którym -jak się okazało - pracowała. Rzucałam przelotne spojrzenie na plakaty z ofertami wycieczek i marzyłam o jednej z nich - szczególnie do Grecji. Na jakąkolwiek wyspę.

Redakcja magazynu, dla którego pracowałam, postanowiła ograniczyć sekcję podróżniczą na poczet rubryki „przed i po”. Wolą raczyć czytelników historiami o zrzucaniu wagi typu „Ty też możesz się pozbyć zbędnych kilogramów dzięki trzem zagrażającym życiu operacjom i dożywotnim zapasom zupy rzeżuchowej!”.

Któregoś razu zatrzymałam się przy szybie na dłużej, żeby przyjrzeć się reklamie studia znajdującego się nad brzegiem morza w małej wiosce rybackiej. Pomyślałam, że trochę słońca i prostota mogłyby wystarczyć, żebyśmy ja i Andrew zakochali się w sobie na nowo. Wtedy po drugiej stronie zobaczyłam twarz kobiety, która właśnie przyklejała do szyby ofertę promocyjnego lotu do Szarm el-Szejk.

Nasze oczy się spotkały, a źrenice od razu zaczęły się rozszerzać. My się znałyśmy!

Laurie zaprosiła mnie do środka i nakłoniła, żebym posiedziała z nią chwilę - najwyżej spóźnię się do pracy.

- Są ciągle razem, wiesz? - dostarczyła mi porcję nowości i poczęstowała świeżo zaparzoną, liściastą herbatą.

- Naprawdę? Niezły wynik. Nikt by się nie spodziewał, że w ogóle dotrważą do końca miesiąca miodowego, a tu proszę -już całe dwa miesiące razem!

- No właśnie, to tylko dowód na to...

- Ze nigdy nie wiesz...

- Nigdy! - Zaśmiała się.

- A ty ciągle chodzisz z... Erikiem? Dobrze pamiętam? -Nie.

- Wow, zrobiłaś to! - Ucieszyłam się.

- Powiedzmy, że sprawa jest zamknięta.

- Bardzo się cieszę, jakkolwiek do tego doszło! To znaczy -oczywiście to wcale nie powód do radości, ale...

- Dobrze się stało... -Tak.

- A co u ciebie?

- Ciągle z Andrew - oznajmiłam i pokiwałam głową. - Nie jest taki zły, naprawdę. Z pewnych powodów mamy teraz dość napiętą sytuację. Cóż, w zasadzie nawet bardzo napiętą. Ale myślę, że dojdziemy do porozumienia i wszystko będzie okej.

W tamtym momencie zawibrował mój telefon. Dostałam wiadomość od szefa i musiałam biec do pracy, więc postanowiłyśmy z Laurie dokończyć rozmowę przy lunchu.

Jednak miałyśmy sobie tak wiele do powiedzenia, że na jednym spotkaniu się nie skończyło. Umawiałyśmy się niemal codziennie, obgadując kwestie męczyzn i znajdując wspólny język, jeśli chodzi o zamięłowanie do podróży. Któregoś razu wpadłyśmy

na pomysł z Va-Va-Vacation! Uznałyśmy, że właściwie dlaczego miałybyśmy się nie realizować i robić w życiu czegoś, co sprawiałoby nam ogromną satysfakcję? Dlaczego nie miałybyśmy tego robić razem?

Początkowo uznałyśmy projekt za odskocznnię, zabawę. Coś raczej pobocznego niż pełnowymiarową pracę. Obydwie miałyśmy główne, stałe źródło dochodów, co okazało się niezwykle pomocne szczególnie przez kilka pierwszych miesięcy - kiedy rozkręcałyśmy nasz nowy portal i stopniowo osiągałyśmy zamierzone cele.

Wszystko zaczęło tworzyć zgraną całość, kiedy dołączyła do nas Danielle. Dzisiaj bez przemyślanej i klarownej strony internetowej nic się nie znaczy w branży. Poza tym, że Danielle jest doskonała w fachu grafika, potrafi bardzo szybko reagować. Mam wrażenie, że obecnie większość portali podróżniczych jest przeładowanych tekstem - my postawiłyśmy na fotografię, bo lepiej trafia do odbiorcy. Co więcej, umieszczamy unikatowe zdjęcia naszego autorstwa, a nie kupione w ogólnodostępnej bazie (które zresztą są oklepane i powtarzają się na wielu stronach internetowych). Chciałyśmy świeżego powiewu, zarówno jeśli chodzi o wygląd strony, dostęp do nas, jak i same plany podróży. Liczyło się dla nas, co ktoś chciałby poczuć, kiedy znajdzie się w wymarzonym miejscu.

Radość? Spokój? Zachwyty? Bez troskę? Wygodę?

Oczekuje czegoś wyszukanego? Przyziemnego? Uduchowionego? Seksownego?

A może chce mieć to wszystko naraz?

Możemy wcielić to w życie!

Jestem za doświadczaniem za pomocą zmysłów. Dźwięk hiszpańskich kastanietów, widok ogona wieloryba wyskakującego

z wód Alaski, smak prawdziwego włoskiego sosu do spaghetti, dotyk kaszmiru z Kaszmiru, zapach tajskich owoców durian — to przestępstwo, że nie można tego wszystkiego zabrać do ekskluzywnych hoteli.

Laurie z kolei uwielbia logistykę - układa loty i przesiadki jak puzzle. Wszystko po to, żeby transport pochłonął podróżnemu jak najmniej czasu (chodzi nie tylko o przesiadywanie na lotnisku, lecz także chociażby w taksówce podczas godzin szczytu), a jak najwięcej zostało na zwiedzanie. Laurie jest również mistrzynią w targowaniu się - i to nie z ulicznymi handlarzami, tylko z menedżerami hoteli.

- No dalej, Ferdinandzie - co byś wolał: dziesięć pustych casitas po trzysta funtów za dobę czy dziesięć zajętych, za które klienci zapłaciliby po stowie? Zresztą wiesz, że na pewno skorzystaliby też z usług twojej restauracji. W końcu nic nie przebije twoich tortilli!

Poza tym działa błyskawicznie, dzięki czemu nasz biznes się rozwija i poszerzamy zakres działalności - ostatnio na przykład cieszyliśmy się sporym zainteresowaniem w Irlandii, więc wizyta była obowiązkowa (i prawdziwy guinness w Dublinie). Potrafi się dogadać z liniami lotniczymi, a to ogromne odciążenie naszego budżetu (choć niektórzy przewoźnicy potrafią znaleźć sposób na wywindowanie cen naszych „darmowych” lotów).

Wprawdzie żadna z nas nie zbija kokosów, ale to nie ma żadnego znaczenia. Danielle ostatnio stwierdziła, że jest chyba jedyną osobą w Wielkiej Brytanii, która zarabia minimalną krajową pensję, a prosto z Morecambe poleciała na Malediwy (w tym miejscu należałoby dodać, że Morecambe to miejsce zamieszkania jej babci, a nie destynacja z Va-Va-Vacation!). Danielle dostaje w przydziale do zrecenzowania nadmorskie miejscowości — jest

do tego wprost stworzona. Nikt nie ma większego doświadczenia w opalania się na kacu niż ona, jej też zawsze udaje się znaleźć zacienione zatoczki, trafiać na najpyszniejsze pikniki i najfajniejszych kelnerów (ich akurat ocenia na podstawie atrakcyjności).

Jedną z naszych najpopularniejszych zakładek jest „Co spakować/W co się ubrać”. Umieszczamy w niej zdjęcia zawartości naszych walizek, opisujemy je i zaznaczamy, które elementy garderoby były wykorzystywane najczęściej podczas danej podróży.

Aktualnie żałowałam, że nie wzięłam ze sobą dodatkowego kompletu bielizny termicznej. Zauważyłam też, że puchate czapki (jak z filmu *Doktor Żywago*) po tym, jak wsiąknę w nie śnieg i poskleja sztuczne futro, wyglądają jak mokre koty siedzące na głowach właścicieli. Poleciałabym też naszym czytelnikom, żeby lecąc do Quebecu, nie zapomnieli okularów przeciwsłonecznych - ten śnieg potrafi oślepić!

Jesteśmy trochę jak króliki doświadczalne, a wszystko po to, żeby użytkownicy Va-Va-Vacation! nie popełnili już błędów, które nam się przydarzyły. Jesteśmy też zawsze szczerze, jeśli chodzi o słabe strony miejsca konkretnej podróży. I to nie tylko minusy w postaci biedy w Indiach czy ceny piwa w Reykjaviku. Pamiętam, jak Laurie zapytała mnie, co mi najbardziej przeszkadzało w Salzburgu. Przyznałam: „Codzienne rozmowy telefoniczne z Andym”.

To były szalone dni pełne pozytywnej energii - doskonale się bawiłam na *The Sound of Music*. Ale kiedy usłyszałam głos Andrew, poczułam przytłaczający ciężar. Zdałam sobie sprawę, że w ogóle go nie interesuje, co robię, i w żadnym stopniu nie żałuje, że nie siedzi akurat obok mnie, delektując się kawą i szarlotką. Bardzo mnie to zabolowało.

Nie minęło wiele czasu od mojego powrotu, kiedy stwierdził, że chyba „chcemy innych rzeczy”. Tak naprawdę obydwójce pragnęliśmy jednego - i tylko jedno z nas mogło to mieć.

Westchnęłam.

Nie mogłam teraz się tym zadręczać. Nikt w Kanadzie nie zna historii mojego związku, a ja mogę się cieszyć życiem jako singielka! Tak, mogłam na nowo mieć marzenia, nadzieje i uwierzyć, że wszystko jest możliwe. Wszystko!

Wtedy przyszedł mi do głowy tajemniczy monsieur Gilles...

Niestety niewiele dało się odczytać z mimiki Gilles'a, bo spod czapki, okularów przeciwsłonecznych i warstw owiniętego wokół szyi i brody szalika było mu widać tylko nos. Gdyby nie rzucający się w oczy aparat, nie byłabym nawet w stanie odróżnić go od reszty uczestników Karnawału.

Annique opowiadała mi, że Quebec słynęło niegdyś z handlu futrem, ale obecnie - jak sędzę - najbardziej pożądanym towarem byłaby któraś z kurtek Puffa. Do pasa, do kolan, do kostek. Błyszcząca czy matowa. W kształcie tuby czy z paskiem. Wszystko jedno. Dzieci ubrane na żółto albo na różowo wprawdzie wyglądały w nich przesłodko - jak żywe, mięciutkie żelki. Zauważyłam też, że większość rodziców ciągnęło swoje pociechy na połyskujących, plastikowych sankach. Wprost nie mogłam uwierzyć, jakie były zblazowane - ze zwieszonymi swobodnie ramionami, niektóre nawet spały! Miałam ochotę podejść do nich i nimi potrząsnąć, krzyżąc: „Czy masz pojęcie, ile jest stopni?”.

Ale nikt - bez względu na wiek - dosłownie nikt nie narzekał. Nikt nawet się nie wzdrygnął - wszyscy przyjmowali zimno bez mrugnięcia okiem.

— O, mamó! - Poślizgnęłam się niezdarnie na ukrytej pod warstwą śniegu zamarznętej kałuży.

Annique i Gilles natychmiast złapali mnie za ręce w ramach asekuracji. Wyglądaliśmy jak szczęśliwy trójkąt.

W pewnym momencie Gilles wyrwał do przodu, odwrócił się i zaczął nam pstrykać zdjęcia. Jak twierdził, starał się uchwycić siedzibę parlamentu w tle, ale według mnie zbierał materiały do folderu „Moje Zdobycze”. Z pewnością nie wykorzystałabym żadnego z tych ujęć na swoim portalu - ubrana w puchowy kombinezon i zestaw ozdobiony pomponami wyglądałam jak przerośnięty niemowlak człapiący jak kaczuszka za mamą--modelką.

Westchnęłam, wypuszczając kłęby białej pary.

Wciąż nie potrafiłam sobie tego poukładać w głowie. Co on myślał? Zapomniał o Annique i przypomniał sobie dopiero w połowie pocałunku? To jakiś absurd. Przecież miał świadomość, że spędzi tydzień towarzystwie nas obydwu. Czy milcząc, poddaję się i daję szansę Annique? Nie chciałam, żeby się miotał. Pasują do siebie. Nie mogłam się wygadać - Annique jest taka słodka i ładna, że nie miałam zamiaru robić jej przykrości. Jednak czy w związku z tym, co zaszło, nie powinnam jej ostrzec, zanim bardziej się w nim zadurzy?

— Jesteśmy na miejscu! - cieszyła się Annique, kiedy przeszliśmy pod tęczowym łukiem i trafiliśmy na właściwy teren festiwalu - ogromną przestrzeń znaną jako Równina Abrahama.

Panowała tam atmosfera jak w wesołym miasteczku, na środku stał diabelski młyn, ale wokół było tyle różnych atrakcji, że nie wiedziałam, na czym się skupić. Większość z nich miała związek z tradycyjnymi sportami zimowymi - można było zjechać z zawrotną prędkością po lodowej ślizgawce albo ścigać się na sankach. W końcu COŚ wypatrzyłam, ale aż trudno mi było uwierzyć w to, co zobaczyłam.

- Chcesz zacząć od śniegowych rzeźb? - zapytała Annique, widząc moje zainteresowanie.

- Brzmi nieźle.

Gilles był bierny i to w irytującym stopniu. Przez cały ten czas ledwie wycedził parę słów, a kiedy podeszliśmy bliżej lodowych figur, od razu wpadł w fotograficzny amok. Klękał i taplał się w śniegu - pewnie po to, żeby złapać odpowiedni kąt i światło.

Muszę przyznać, że te łatwo topliwe dzieła sztuki naprawdę robiły wrażenie. Wśród rzeźb można było znaleźć najrozmaitsze kształty - od figur szachowych, przez zonglujące piłkami foki, aż po sztuczne szczęki wgryzione w jabłka. A wszystkie zaczynały życie jako niepozorne bryły śniegu...

Annique powiedziała, że parę lat wcześniej zwycięska w konkursie okazała się figura dłoni układających kostkę Rubika, ale jej faworytem i tak był *Moby Dick* - otwarta książka z pofałdowanymi stronami, które wyglądały jak fale. Z lewej strony wyłaniał się kapitan z harpunem, a z prawej w „odmętach” znikał wieloryb. Majstersztyk.

Wielu artystów przed pierwszymi nacięciami zaznaczało sobie wstępny szkic za pomocą jaskrawego sprayu. Potem korzystali z całej gamy narzędzi: od dwuosobowej piły, której metalowe zęby wrzynały się w zamrożony śnieg, po owinięte gęstą siatką metalowe klocki służące do wygładzania ostrych krawędzi i chropowatej powierzchni lodowych brył. Tradycyjne dłuta przydawały się do rzeźbienia szczegółów. Mogłabym podziwiać pracę tych artystów cały dzień...

- Krista?

- Słucham? - Odwróciłam twarz do Annique.

- Co ty na to, żeby zrobić ci zdjęcie, jak „pracujesz” przy jednej z figur? - zaproponowała. - Którą wybierasz?

- Prosta sprawa - misia polarnego.

- Preferowałbym bardziej abstrakcyjne wzory. - Gilles wskazał na kanciastą rzeźbę, która bardzo przypominała zabawkę dla przedszkolaków.

- Niedźwiedź polarny ma jaśniejsze przesłanie - globalne ocieplenie zagraża jego naturalnemu środowisku, a przyszłość jego gatunku jest niepewna.

- Po prostu uważam, że wizualnie...

- Miś - przerwałam mu stanowczo.

Wystarczy, że poprzedniej nocy pozwoliłam na realizację jego „wizji” - i dokąd mnie to zaprowadziło? Postanowiłam myśleć tylko o tym, co najlepsze dla mojego portalu.

Rzeźbiarz - Brandon z Toronto — z radością przekazał mi narzędzia pracy, a ja zaczęłam ćwiczyć różne pozycje do zdjęcia. Trudno było objąć figury ramionami w puchowych rękawach, więc nie dziwiło mnie, że niektórzy artyści rezygnowali z wierzchnich okryć.

- Na mnie, na mnie! - Gilles chciał, żebym nawiązała z nim kontakt wzrokowy, a przynajmniej z obiektywem.

- Podoba mi się to chłodne spojrzenie - szczebiotała Annique. - Pasuje do lodowych rzeźb, prawda?

Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że miałam przymrużone oczy. Dla odmiany zrobiłam weselszą minę.

- Och, nie! - zaoponowała Annique. - Taki szeroki uśmiech i nóż w rękę?

- Jak psychopatyczny morderca? Pokiwała głową.

- Może będę udawała, że coś mówię. Zdaję relację. A ty uchwycisz mój „styl reportażowy”. W porządku? - zasugerowałam Gilles'owi.

Szczerze? Nawet nie chciałam się odwracać w jego stronę. Nie mogłam wprost uwierzyć, że nie pisał słowa na temat minionej nocy. Szczególnie gdy nadarzyła się okazja, bo Annique była akurat pochłonięta rozmową z artystą Brandonem.

- Spróbuj wyglądać tak, jakbyś naprawdę rzeźbiła.

- Nie jestem dla ciebie przekonującą aktorką? Mój złośliwy komentarz przeleciał mu obok uszu.

- Musisz bardziej się pochylić. I wykonywać silniejsze ruchy. Wszystko, co wtedy mówił Gilles, okropnie mnie denerwowało.

- Teraz to wyglądasz bardziej jak dentystka, a nie artystka. Dość tego!

Zdenerwowana zamachnęłam się i z impetem wbiłam dłuto w figurę. Za mocno - trafiłam akurat w partię szyi, na której z chrupnięciem pojawiło się spore pęknięcie, po czym głowa niedźwiedzia odpadła i wylądowała w śniegu, wzbijając w powietrze tuman białego pyłu.

O mój Boże! Zgilotynowałam misia! Gilles był przerażony.

- Co robić? Co robić? - Miotalam się w panice.

Gilles podszedł bliżej, żeby zasłonić rzeźbiarzowi tragiczny widok.

- Da się ją przytwierdzić z powrotem?

- Niby czym? - rozpaczałam. - Nie da się skleić zamrożonej wody!

1 wtedy usłyszeliśmy pełen bólu jęk Brandona z Toronto.

- CO WY ZROBILIŚCIE?

Serce podeszło mi do gardła. Nie miałam odwagi się odwrócić i spojrzeć mu w twarz.

- Bardzo nam przykro! - zaczęliśmy się przekrzykiwać w tłumaczeniach. - To był fatalny wypadek. Naprawdę. Nawet nie

mieliśmy zamiaru go dotknąć. Był idealny. To straszne. Może przynajmniej pokażemy sędziom zdjęcia. Żeby widzieli, jaki był piękny, zanim...

- Zanim go zniszczyliście? O, Boże.

- Zrobimy wszystko, żeby ci to jakoś wynagrodzić. WSZYSTKO...

- Wszystko?

- Wszystko - obiecaliśmy. Brandon zerknął w bok.

- Chciałbym pójść na obiad. Na randkę.

- To mi bardzo schlebia... - powiedziała Annique.

- Ale nie z tobą! Z nim. Wskazał na Gilles'a.

- Och. - Powstrzymałam się od uśmiechu. - Masz ewidentnie dobrą passę.

- Więc jak? - Oczy Brandona błyszczały.

- To brzmi rozsądnie - zasugerowałam Gilles'owi.

- No nie wiem... - próbował się wykręcić.

- Przynajmniej tyle możemy zrobić w ramach przeprosin, Gilles. Zresztą - kto lepiej zrozumie cierpienie artysty niż inny artysta? - Zbliżyłam się nieco i dodałam cicho: - Przecież nie musisz się z nim całować.

- A byłoby całkiem miło - ucieszył się Brandon.

- Możemy być o dwudziestą pod Auberge Saint-Antoine?

- Annique już zaczęła aranżować chłopakom wieczór. - Dlaczego właściwie nie zrobić z tego małej imprezy? Może chciałbyś zabrać ze sobą paru kumpli, Brandon?

- Cudownie! - zgodził się, już wtedy rozkoszując się zazdrością zżerającą jego kolegów na widok Gilles'a.

„Nieźle zagranie, Annique", pomyślałam. Uratowała nas przed procesem sądowym, a Gilles'a przed romantycznym sam na sam z Brandonem. I to jednym gładkim ruchem.

Gdy moi towarzysze zniknęli w tłumie, poczułam się w obowiązku, żeby jeszcze zamienić słowo z nieszczęśliwym rzeźbiarzem.

- Chciałam cię jeszcze raz przeprosić.

- W sumie wyszło nawet lepiej. Bardziej dramatycznie.

- Serio?

- Zobacz, ludzie zatrzymują się i mówią: „Ojej, co się stało temu biednemu niedźwiadkowi?". A to dokładnie reakcja, jakiej oczekiwałam. Wcześniej mówili tylko, że jest słodki.

Nagle zaczęłam widzieć moją sytuację z Gilles'em w zupełnie nowym świetle. Może ta przykra świadomość, że jego i Annique coś łączy, to tak naprawdę błogosławieństwo. Najwyraźniej wszelkie znaki na niebie i ziemi próbują mi powiedzieć, że to nie Ten Jedyny. Przynajmniej nie stracę znowu czasu - tak jak ostatnich ośmiu lat mojego życia. Nie miałam nawet jeszcze okazji zemścić się za bezlitosne zachowanie Andy'ego, więc może Gilles to zastępczy męski obiekt, na którym będę mogła się wreszcie wyżyć? Wiem, że powinnam myśleć w bardziej cywilizowany sposób, ale zapowiada się niezła zabawa.

Nie mogłam się doczekać, aż dogonię parę moich gołąbeczków.

Dokąd teraz? - zapytał Gilles, gdy do nich dołączyłam. - Jak najdalej od lodowych figur - zaproponowałam. Miałam nieodparte wrażenie, że nasza obecność stresowała pozostałych artystów.

- Proponuję Tornado - wyszczebiotała Annique z ekscytacją i ruszyła żwawo, kręcąc swoim apetycznym tyłeczkiem.

- Mhm, na pewno się zrelaksujemy... - wymamrotałam i zaczęłam zsuwać się ostrożnie ze stromej góry.

-Tutaj stoją tratwy - wskazała na żółte, solidne pontony, które pewnie ostatni raz widziano w nurcie rwących potoków Kolorado. - Ten okrągły dodatkowo wiruje, kiedy spada, dlatego nazywa się Tornado.

Spada.

I to z czego spada!

- Pewnie jeszcze podczas zjazdu ze zbocza stopniowo nabierają prędkości? - Zarechotałam.

- Tak jest! Megazabawa! Wahałam się.

- Nie jestem przekonana, czy chcę się skusić.

- Nic złego przecież się nie stanie, możemy zabrać się razem. Tratwy mieszczą po osiem osób.

- Wobec tego życzę sobie, żeby wśród pozostałej piątki znajdowali się ksiądz i ratownik medyczny.

- Och, Krista! Chodź, na pewno będziesz zachwycona. Ostatecznie postanowiłam spróbować. Teraz gdyby tylko

udało mi się usadowić w pontonie... W wacianych spodniach i puchowej zbroi ledwo mogłam podnieść nogę na tyle wysoko, żeby przekroczyć burtę. Z niemalą pomocą załogi wreszcie znalazłam się na tratwie i dołączyłam do reszty przy akompaniamencie zupełnie niekobiecych odgłosów ślizgania się po gumowej powierzchni.

- *Excusez-moi* — zarumieniłam się ze wstydu.

Chciałam czuć się w miarę możliwości bezpiecznie, więc chwyciłam kurczowo przytwierdzone z zewnątrz liny.

- Te sznurki ciągną goście, którzy rozpędzają tratwę.

- Więc czego mam się złapać dla asekuracji?

Annique podała mi rękę i zachęcała Gilles'a, żeby uczynił to samo.

- Ale ja potrzebuję obydwu, żeby trzymać aparat - usprawiedliwiał się.

- Wobec tego złap go za kolano, Krista!

- Oj, nie trzeba. Dam sobie radę.

Jednak kiedy tylko ponton został wprawiony w ruch, mimowolnie moja ręka zacisnęła się na nodze Gilles'a.

Za późno zorientowałam się, że trzymam ją stanowczo za wysoko nad jego udem, ale wtedy nic nie byłoby w stanie skłonić mnie do rozluźnienia uścisku.

- O mój Boże! O mój Boże!

Nie mogłam uwierzyć, jak szybko wirowało nasze Tornado. Prawie jak jedna z atrakcji w wesołym miasteczku - tylko łatwiej było się zabić.

Podczas gdy gromadka pasażerów pontonu krzyczała z radości jak dzieci, mój pisk wyrażał czyste przerażenie. Po jakimś czasie jednak stała się coś niesłychanego, bo zaczęło mi to w jakimś stopniu sprawiać przyjemność.

- Chcesz jeszcze raz? - zapytała na dole rozpromieniona Annique.

- Chyba nawet będziesz musiała. - Gilles nie wyglądał na oczarowanego, przeglądając zdjęcia. — Są zrobione ze zbyt bliskiej odległości.

Rzeczywiście fotografie idealnie obrazowały moje uczucia podczas szaleńczego zjazdu.

- Myślę, że najlepiej będzie, jak wykonam serię z tej perspektywy, z dłuższym obiektywem.

- W porządku - uległam.

Westchnęłam głęboko, widząc drogę powrotną na szczyt - mój mały Everest... Wtedy odziana w zamszową rękawiczkę dłoń Annique spoczęła na moim ramieniu.

- Poczekaj. Zapytam, czy któryś z tych gości na skuterach śnieżnych zechce ci pomóc.

Podeszła do dwóch mężczyzn i zleciła im zadanie specjalne. Skutery? Teraz to dopiero frajda!

- Powiedzieli, że nie pojedziesz skuterem bez kasku, ale możesz siedzieć w pontonie, a oni będą cię holować.

Oczywiście. Fajnie. Tylko jak zwykle będę wyglądać kretyńsko - wszyscy szusują ze stoku, a ja jako jedyna jestem wciągana na szczyt zbocza.

Kiedy zajęliśmy pozycje i ruszyliśmy w górę, czułam się jak dzieciaczek holowany przez rodziców na sankach. Z tą drobną różnicą, że skutery śnieżne okazały się naprawdę potężnymi maszynami. Nie zdawałam sobie wcześniej sprawy, że w gruncie

rzeczy budową przypominają motocykle. Zawsze w moich oczach bliżej im było do plastikowych zabawek, a tu proszę -warczą, charczą i brylują na stoku. Niezłe potwory.

- Odwróć się twarzą do mnie! - wołał Gilles. - Ręce do góry!

„Ta, jasne”, pomyślałam. Jeszcze mi życie na tyle nie obrzydło! Trzymałam się kurczowo uchwytów, bo im byliśmy wyżej, w tym dziwniejsze zakręty wchodziliśmy, więc pontonami miało na prawo i lewo.

Mijały mnie grupki wymachujące w powietrzu rękami i wydające z siebie okrzyki radości podczas zjazdu, więc może i ja mogłabym się zdobyć na małe „juuuu!” specjalnie do zdjęcia? Obróciłam się i pomachałam z uśmiechem do Annique. „Lepiej, żeby to uwiecznił”, pomyślałam i w tym samym momencie ponton zahaczył o wybój, a mnie katapultowało. Wypadłam za burtę, lądując niezgrabnie tyłem na śniegu, po czym w mało spektakularny sposób zaczęłam się turlać ze zbocza. Zastanawiałam się, czy zdążę zamienić się w ludzką śnieżną kulę, zanim wreszcie dotoczę się na dół.

Udało mi się zatrzymać, ale od razu na czymś się potknęłam. Wow! Co to było? Chyba gałąź. Nie chciałam zostać rozjechana przez skuter śnieżny albo jakiegoś zbłąkanego saneczkarza, więc z całych sił starałam się stanąć na nogach i utrzymać równowagę. Jednak to wcale nie było łatwe, bo w tamtym miejscu na górze śnieg okazał się wyjątkowo głęboki. Po raz kolejny straciłam grunt pod stopami, zachwiałam się i runęłam w zaspę z głuchym pacnięciem.

Ogarnął mnie dziwny spokój.

Leżałam otulona białym kokonem. W śnieżnej mogile. Jedyne, co widziałam, to blady, jedwabisty błękit nieba nade mną. Zastanawiałam się, czy przypadkiem czegoś sobie nie złamałam,

ale kiedy poruszyłam na próbę kończynami, tylko bardziej zasy-
pałam się śniegiem. Och, nie! Co teraz?

Leżeć bez ruchu i zamarznąć czy podjąć próbę, ryzykując osobistą
lawinę?

Śnieg na pewno sięga mi ponad głowę, więc nawet gdyby udało mi
się wstać, jak miałabym się wdrapać na powierzchnię?

- Ratunku! - krzyknęłam.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że lepiej będzie wzywać pomocy po
francusku. Jeszcze raz:

- *Aidez-moi* - brzmiało słabo.

Pomyślałam, że Gilles i Annique na pewno widzieli, co się stało, i
już spieszą z odsieczą. Miałam tylko nadzieję, że to nie wywołało za
dużo zamieszania. Nie chciałam wpędzić nikogo w tarapaty. Przecież
to nie wina tych chłopaków na skuterach, że wypadłam. Mieli dobre
zamiary.

Dokładnie wtedy ujrzałam twarz anioła - białego, puchatego anioła
o czarnych oczach i z czarnym, skórzanym nosem. Patrzył na mnie w
osłupieniu.

Jak miałam mu wytłumaczyć, że wymagam ratunku? Jedynymi
słowami, które przychodziły mi do głowy, były *chien* i - oczywiście -
Lassie. Modliłam się, żeby rzeczywiście miał coś wspólnego ze swoim
książkowym odpowiednikiem, bo zerknął na mnie po raz ostatni,
odwrócił się i poszedł.

Czekałam na wskazówki, co robić, ale żadnej nie usłyszałam.
Odcięło mnie od górnego świata, którego częścią byłam jeszcze do
niedawna. Górny świat został zagłuszony przez śnieg. Ale to nic. Nie
miałam zamiaru panikować.

W końcu kierowca skutera kiedyś musiał się zorientować, że zgubił
„towar”. Wtem!

- *Ca va?*

Nowa twarz pojawiła się przy wlocie do mojej lodowej mogiłki. Kasztanowe włosy potargane przez wiatr, naturalna opalenizna i - tu nie byłam pewna - kozia bródka czy delikatne bokobrody swobodnie podkreślające linię żuchwy. To był typ mężczyzny, którego wyobrażam sobie, jak siedzi przed ogniskiem w znoszonej, kraciastej koszuli, w jednej ręce ma butelkę piwa, a w drugiej zniszczoną książkę.

Jednak wtedy miał na sobie ocieplaną parkę i spoglądał na dół, patrząc na mnie.

- Wpadłam w śnieg i nie mogę się wydostać - wyrecytowałam oczywistą formułkę.

Zrobił krok bliżej, przez co porcja śniegu spadła mi na klatkę piersiową i rozbryzgnęła się na boki. Uniósł ręce, mówiąc „Pardon!”, po czym patrzył jeszcze przez chwilę i zniknął.

Czułam się jak atrakcja turystyczna. Spodziewałam się, że już niebawem wlot do mojego śnieżnego dołu będzie otoczony przez ciekawskie twarze jak kolejny element Zimowego Karnawału.

Jednak - na szczęście - zamiast tego brodaty mężczyzna wrócił z liną.

- Złap ją i trzymaj mocno.

Owinęłam nią sobie dłoń, ale jego szanse na wyciągnięcie mnie stamtąd w pojedynkę oceniałam na znikome.

- Powinnaś sobie zakryć twarz.

- Słucham?

Mam na myśli, żebyś otuliła twarz szalikiem na wypadek, gdyby w śniegu znajdowały się jakieś ostre elementy. I miej oczy zamknięte.

Brzmiało coraz bardziej niebezpiecznie.

- Gotowa?

- Co mam robić? - zastanawiałam się, czy mam się wspinać po ścianie zagłębienia, złapać przyczepność, walczyć z grawitacją?

- Po prostu mocno trzymaj sznurek i mi zaufaj.

Czułam się w obowiązku, żeby uświadomić mojego wybawcę, ile ważę, ale zanim powiedziałam cokolwiek, usłyszałam jego krzyki:

-*Allez, allez!*

I nagle poderwało mnie do góry. Ryłam głową w śniegu, czułam, jakby ta siła miała mi zaraz wyrwać ręce ze stawów. Potem wszystko ustało.

Czułam, jak przewraca mnie na plecy i delikatnie odwija szalik, żebym mogła swobodnie oddychać.

- Mogę już otworzyć oczy? -Tak.

Kiedy to zrobiłam, on zdjął okulary. Zauważyłam, że ma różne kolory tęczówek - jedno oko orzechowe, drugie błękitne. Byłam na tyle oszołomiona, że nie udało mi się powstrzymać od pytania:

- Jesteś w połowie husky? Uśmiechnął się lekko i pokiwał głową.

- Właściwie tak, bo uważam je za swoją rodzinę.

Wskazał na sześć dyszących psów z wystawionymi, różowymi językami i podobnie różnokolorowymi oczami.

- To moja drużyna zaprzęgowa.

- Moi bohaterowie! - zawołałam z zachwytem. - A co z tym samojedem?

- Znasz tę rasę?

-To pies moich marzeń. Ten niebiańsko bielutki puch... Wtedy zagwizdał, a do nas przybiegł pies anioł.

- Ma na imię Sibérie.

- Czyli Syberia? Przytaknął.

- Jest już trochę za stary, żeby ciągnąć sanie.

Usiadłam, żeby przywitać się z czworonogiem, zaskoczona, jak głęboko podczas głaskania moja dłoń zanurzyła się w jego niesamowitym futrze.

- Jest po prostu piękny! Zresztą - wszystkie twoje psy są piękne.

Wtedy mój wzrok powędrował z powrotem w kierunku jego twarzy. Przyjrzałam się dokładniej jego zaczarowanym oczom i poza niezwykle kolorami dostrzegłam coś jeszcze - coś dziwnego, czego nie potrafiłam określić, ale to coś obudziło we mnie tęsknotę...

Miałam milion pytań, ale powoli zaczęli nas otaczać z jednej strony Annique i Gilles, a z drugiej kierowcy śnieżnych skuterów. Zanim nawet zdążyłam mu podziękować, mężczyzna pomógł mi wstać i zapytał o imię.

- Krista - przedstawiłam się. Podeszedł bliżej.

- Krista, proszę, trzymaj się z dala od skuterów śnieżnych. Są zbyt niebezpieczne.

Jego słowa brzmiały z taką siłą, że w duchu obiecałam sobie już nigdy więcej nie zbliżać się do tych podstępnych maszyn. (A gdyby kazał się w tamtym momencie zaprosić na czekoladę, na pewno też bym się zgodziła).

- *Mon dieu!* - pisnęła Annique, biegnąc do mnie. - Tak się bałam! Widziałam, jak spadasz, a potem zniknęłaś!

- Wszystko w porządku, naprawdę. Jestem tylko troszkę zdezorientowana.

- Madame! Nic się nie stało?

- Czuję się dobrze - zapewniałam kierowcę. - To się stało z mojej winy. Nie powinnam ani na chwilę puszczać uchwytów.

Wtedy zwróciłam się do Gilles'a:

- I jak? Udało ci się przynajmniej zrobić dobre zdjęcia?

- Ja... J-ja... - jąkał się drżącym głosem. Uznałam zatem jego odpowiedź za przeczącą.

- Nieważne. A mógłbyś cyknać fotkę ekipie, która mnie uratowała?

- Odwróciłam się, ale już ich nie było.

Wszyscy zniknęli. Sześć husky, stary samojed i mój brodaty wybawca. Po prostu wyparowali!

Rozglądałam się gorączkowo. — W-widziałaś... - *Oui, oui* - przytaknęła Annique. Przynajmniej potwierdziła, że istnieją i mi się nie przyśnili. - To był *Lhomme Loup*.

- Lom Lup? - Zmarszczyłam czoło.

Jak się okazało, Annique powiedziała po francusku Człowiek Wilk. Podczas gdy Gilles popisował się bajerami aparatu przed chłopakiem od skutera, Annique zdradziła mi nieco więcej na temat tajemniczego właściciela psiej gromadki. Ludzie podejrzewają, że *Lhomme Loup* co roku wygrywa wyścigi zaprzęgów organizowane w ramach Zimowego Karnawału, bo jego podopieczni są spokrewnieni z prawdziwymi wilkami. Inna sprawa, że ma wyjątkowe podejście do zwierząt. Jest bardzo zżyty ze swoją czworonożną drużyną i wygląda na to, że po prostu dla niego psy chcą biec szybciej.

- Bardzo mi zależy na jego zdjęciu. Na mój portal.

- Rozumiem, ale obawiam się, że to już niemożliwe. Zawsze startuje tylko w pierwszym wyścigu igrzysk Karnawału, a potem wraca do domu.

- A prowadzi może jakiś biznes związany z zaprzęgami?

- *Oui*.

- Więc spróbujmy zamówić u niego przejażdżkę.

- Mieszka aż w Ile d'Orléans, ale możemy teraz podejść pięć minut w górę i zrobić kilka fotografii z tutejszym zaprzęgiem.

Machnęła do mnie ręką na zachętę, żebym się ruszyła.

Więc to wszystko? Najzwyczajniej w świecie idziemy dalej, jakby nic się nie stało?

Chyba ani Gilles'owi, ani Annique nigdy zdarzyło się cudem uniknąć pogrzebania żywcem, więc nie mogli wiedzieć, jaki strach temu towarzyszy.

Szłam za nimi w milczeniu, ciągle wypatrując śladów Wilczego Człowieka. Z perspektywy hotelowego bufetu w Hiltonie na pewno udałoby mi się go namierzyć, ale teraz byłam na straconej pozycji.

- Jesteśmy na miejscu - obwieściła Annique i zrobiła krok w bok, żebym mogła dokładnie się przypatrzeć saniom i wszystkim czworonogom.

- Och - przeraziłam się.

Żaden przytyk w stronę kundelków - w końcu zawsze miałam właśnie mieszańce - ale te zaniedbane, wychudzone psy z przeredzoną brązowo-kremową sierścią nie mogły się równać z monochromatycznymi pięknościami w postaci sześciu husky, które mnie uratowały. Sanie przypominały rozklekotane jajo, a sama, zapowiadana jako dziesięciominutowa, przejażdżka trwała według mojego zegarka jakieś półtorej minuty. Wchodzisz, wychodzisz, następna tura. I tak w kółko.

Nie chciałam, żeby moja pierwsza jazda psim zaprzęgiem wyglądała właśnie tak.

- Uważam, że warto poczekać i skorzystać z usług przedsiębiorstwa z prawdziwego zdarzenia - zasugerowałam. - I w bardziej naturalnych warunkach.

Nie wygląda to autentycznie, kiedy jest się w cieniu wybudowanego w latach siedemdziesiątych ogromnego biurowca z obrotową restauracją na ostatnim piętrze.

- Możemy spróbować to załatwić - zapewniała Annique. - Ale nie sądzę, żeby Jacques się zgodził...

- Jacques?

- Człowiek Wilk. Jacques Dufour.

Poczułam dziwne podniecenie, kiedy poznałam jego prawdziwe imię i nazwisko. To jakbym znalazła się krok bliżej od kolejnego spotkania z nim.

- Nie sądzę, żeby życzył sobie rozgłosu - kontynuowała Annique.

- Czy on jest... nieśmiały?

- Ceni sobie prywatność. W tym roku zupełnie się wycofał.

- Ze świata? - Od razu wyobraziłam go sobie w oblepionej śniegiem jaskini na odludziu, żyjącego tylko w towarzystwie swojej psiej paczki.

- Z wyścigów.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Dowiedziałam się wczoraj. Byłam zaskoczona, że go w ogóle tu dzisiaj zobaczyłam.

- Trudno, może to rzeczywiście zły pomysł. - Udawałam, że ustępuję. - Co nie zmienia faktu, że nie czuję się na siłach, żeby teraz jechać zaprzęgiem. Nie jestem gotowa. Jeszcze się nie otrząsnęłam po incydencie na stoku. Rozumiesz mnie, prawda?

- Naturalnie. - Annique zajrzała do listy zaplanowanych atrakcji. - Jak sądzę, saneczki również odpadają?

- Masz na myśli prucie z prędkością światła wzdłuż lodowego tunelu na kawałku plastikowej tacki, które kończysz z poprzesztawianymi zębami?

- Okej, skreślałam sanki. Skreślałam tobogan. Skreślałam wszystko, co jest związane ze śnieżnym szaleństwem.

Chciałam zapytać dla zasady, co takiego omijam, ale wtedy wypowiedziała te trzy magiczne słowa:

- Cabane a Sucre?

- Jeżeli masz na myśli „cukrową chatkę” - wchodzę w to.

Znowu żałowałam, że nie było ze mną Laurie. Zawsze szuka nowych sposobów, żeby zaspokoić swój apetyt na słodczyce.

To dzięki niej wprowadziłyśmy w biurze oficjalną „przerwę na herbatkę”.

Danielle i ja trochę przybrałyśmy przez nią na wadze, ale muszę przyznać, że to doskonała okazja, żeby rozluźnić się w ciągu dnia. Wcześniej harowałam non stop, nie wystawiając nawet nosa, żeby odetchnąć świeżym powietrzem i na chwilę oderwać się od pracy, ale Laurie nalegała, żeby tę przerwę spędzać razem. To jak odpowiednik rodzinnych kolacji dla pracujących razem dziewczyn. Z tym że nikt nas nie musztruje i nie powtarza w kółko „zjedz swoją porcję warzyw!”. Zamiast tego delektujemy się czymś tak pysznym jak pistacjowa posypka.

Danielle przepada za kruchymi ciasteczkami, ja z kolei preferuję świeże, kremowe nadzienia, ale obydwu nam zgodnie ciekła ślinka na widok babeczek z piekarni Magnolia, które Laurie przywozi nam z każdego wypadu do Nowego Jorku. Przyznała, że tak szczerze owija taśmą kartonowe pudełko z wypiekami, żeby nic jej nie podkusiło do schrupania babeczek w trakcie lotu. Dopiero w biurze idą w ruch nożyczki i niecierpliwie przecinamy każdą warstwę opakowania, żeby dokopać się do nowojorskich smakołyków. Uśmiechnęłam się na myśl o naszych słodkich tradycjach.

Laurie pewnie właśnie zmiata okruszki po dzisiejszej uczcie.

Korzystając z okazji, wyjęłam telefon i odpisałam na jej ostatnią wiadomość: „Jak leci?”.

Moja odpowiedź brzmiała: „Gilles to już przeszłość. Teraz jest Jacques!”.

„Jacques i Gilles? Żartujesz?” - odpisała od razu.

Zaśmiałam się bardzo głośno. Że też wcześniej mi się nie skojarzyło. Zwłaszcza że weszłam na szczyt zbocza i się z niego sturlałam.

„Ma oczy jak pies husky”.

„I co husky na to?” - droczyła się ze mną.

Miałam ochotę jeszcze chwilę powymieniać się esemesami z przyjaciółką, ale Annique zasygnalizowała gotowość do wprowadzenia mnie do świata klonowych cukierków.

„Strać na nich plombę! Zrób to dla mnie!” - pisała Laurie podkorytowana perspektywą mojej przygody z toffi.

Cały proces zaczął się, kiedy zapłaciłam trzy dolary kobiecie w drewnianej budce, a ona wręczyła mi drewniany patyk od lodu. Tak jest - pusty patyk.

- Mam wrażenie, że czegoś tu brakuje... - zastanawiałam się głośno, a Annique wybuchła gromkim śmiechem.

- Serio, powiedz! Co się teraz robi?

- Teraz musisz sama zrobić cukierek - poinstruowała mnie wreszcie, wskazując palcem na świeżo ośnieżony stolik.

Stał przy nim mężczyzna z wielką chochlą i właśnie polewał blat syropem klonowym.

Ciągle nie byłam w stanie się domyślić kolejnego kroku. Stanęłam tępo przy stoliku.

- Po prostu przyłóż patyk do syropu. A teraz obróć.

- Obrócić?

- Obtocz go.

Posłuchałam, ale moja próba zakończyła się fiaskiem.

- Możesz też użyć śniegu, żeby syrop lepiej się trzymał.

Z powodzeniem mogło to być „przezabawne” zadanie dla uczestnika jakiegoś talk show. Żeby skutecznie go poniżyć.

- Ooooch! - Smak bezkształtnego wyrobu cukierniczego mojego autorstwa zupełnie zaskoczył moje kubki smakowe.

Złoty syrop z mroźną posypką. Okazało się, że kryształki lodu są przyjemne i orzeźwiające, więc zanurzyłam wątpliwej urody cukierek w śniegu, żeby uzyskać dodatkową warstwę.

W tym samym czasie Gilles oczywiście próbował mnie ustawić do zdjęcia, żeby uchwycić chatkę w tle. Niestety nie potrafiłam jednocześnie patrzeć w obiektyw i kontrolować kapiącego, jeszcze nie do końca zastygniętego cukierka klonowego. Łapałam kropelki syropu na język - jednak w żadnym stopniu nie chciałam wyglądać prowokująco albo ponętnie. Starłam się raczej zaprezentować toffi na patyku i wystawić je na pierwszy plan, ale Gilles nalegał, żebym raczej wystawiła język i polizała cukierka.

O rany...

Wielka kropla syropu spadła mi prosto na płaszcz.

- Nieee! - Próbowałam od razu ją zetrzeć, ale zamiast tego tylko rozmazałam ją po całym ubraniu i wybrudziłam dodatkowo rękawiczki. - Jasna cholera!

Annique ratowała sytuację chusteczką, ale to jeszcze ją pogorszyło, ponieważ lepka, słodka plama pokryła się papierowymi farfocłami.

- Nie wygląda to najlepiej. - Gilles krzywił się, przeglądając fotografie.

- Chcesz wrócić do hotelu i się przebrać?

- Wiesz... - powiedziałam z grymasem bólu, masując wyimaginowane stłuczenie na ramieniu - może lepiej już tam zostanę. Wezmę gorącą kąpiel, napiszę kilka notek na stronę...

Zauważyłam, jak Annique ukradkiem spojrzała na Gillesa. Nie miałam wątpliwości, co zrobią z wolnym czasem.

- Chodzi o to, że przecież mam jeszcze cały tydzień na skorzystanie z karnawałowych atrakcji...

- Ale widzimy się wieczorem, prawda? - nalegała.

- Kolacja z rzeźbiarzem? - zapytałam, wręczając Gillesowi kleistą końcówkę klonowego lizaka. - Nie mogłabym tego przegapić!

Pognałam prosto do hotelu, oddałam do prania upaprane rzeczy, założyłam suche skarpetki i doprowadziłam do porządku moją twarz zbryzganą śniegiem. Nie mogłam ryzykować, że stracę animusz, więc szybko wydobyłam z szafy mój zapasowy płaszcz (czarny, firmy Puffa), owinęłam się wełnianym szalem, dodałam pasujące rękawiczki i złożyłam wizytę kierownikowi.

- *Oui, madame?*

Stanowczym gestem położyłam na biurku obydwie dłonie, żeby pokazać, że przyszłam w ważnym interesie (choć rękawiczki odbierały mi nieco powagi).

- W Ile d'Orléans mieści się siedziba firmy zajmującej się psimi zaprzęgami. Prowadzi ją Jacques Dafour znany jako L'homme Loup. - Moje brwi unosiły się rytmicznie.

- *Oui.*

Och, Boże, on to wie.

- Czy byłby pan w stanie udzielić mi informacji, jak tam dotrzeć? - zapytałam z nadzieją, że mój głos nie brzmi zbyt piskliwie i udało mi się ukryć niezdrowe podniecenie.

Kilka uderzeń w klawiaturę, zgrzyt drukarki i została mi wręczona mapa okolicy. Kierunki i nazwy nie mogły brzmieć bardziej francusko: Boulevard René Lévesque do Avenue Honoré Mercier, następnie skręcić w stronę Sainte-Anne-de-Beaupré...

Szłam zaczytana i dopiero mierząc się z obrotowymi drzwiami, zauważyłam Gilles'a po przeciwnej stronie.

„O nie, o nie!”, panikowałam w duchu.

Chciałam zrobić szybki unik i pobiec do taksówki, ale okazał się szybszy i odciął mi drogę ucieczki.

- Krista, poczekaj! Muszę z tobą porozmawiać!

- Nie teraz, Gilles. Spieszę się.

- Dokąd idziesz? Myślałem, że wróciłaś do hotelu, żeby odpocząć.

- Zmiana planów. - Obróciłam drzwi i weszłam do taksówki.

- Ej, co się dzieje? - protestował i próbował mnie zatrzymać.

Wzruszyłam tylko ramionami, zatrzasnąjąc drzwi auta.

- Psia sprawa.

Czy to reakcja obronna na Gilles'a? Za wszelką cenę próbuję skupić swoją uwagę na kimś innym, żeby nie czuć się poniżona przez zaistniałą między nami sytuację? Bo niby dlaczego jestem tak zdeterminowana, żeby odszukać tego obcego mężczyznę? A może to wcale nie o niego chodzi... Może po prostu chcę się znaleźć w otoczeniu jego pięknych psów. W końcu cudownie prezentowałyby się na zdjęciu, prawda?

- Skoro chodzi ci o zdjęcie, to dlaczego nie pojedziesz tam z fotografem? - odezwał się mój adwokat diabła.

- Bo najpierw muszę zapytać o pozwolenie. Sądzę, że osobiście łatwiej mi go będzie przekonać, że jesteśmy godni zaufania.

- I to wszystko?

Nie przeszkadzało mi, że Człowiek Wilk to kompletne przeciwieństwo zadbanego Gilles'a - pewnie nawet nie wiedział, co to maszynka do golenia. Zazwyczaj doceniam znajomość najnowszych trendów i podążanie z duchem czasu, ale w wypadku Wilka dużo bardziej atrakcyjna wydawała mi się właśnie jego nieświadomość...

Westchnęłam.

Istnieje prostsza teoria: są na świecie ludzie, którym jesteśmy przypisani. Pierwsze spotkanie może być krótkie, ale zupełnie

wystarczające, żeby wzbudzić nieokreślone uczucie i dziwną chęć, żeby w to brnąć, zobaczyć, dokąd zaprowadzi.

Z Andrew było ciekawie, bo zostaliśmy ze sobą dosłownie „połączeni” od chwili poznania. Parkiet był tak zatłoczony, że taniec polegał na kotłowaniu się wśród masy ludzi, a jeśli chciało się gdzieś wyjść, nie dało się uniknąć przepychanki. I właśnie w tym roju zegarek Andy'ego zahaczył o mój siateczkowy podkoszulek. Próbowaliśmy go odczepić, ale nawet nie było miejsca, żeby swobodnie poruszać rękami, dlatego Andrew po prostu przyciągnął mnie do siebie. Spoceni i przytuleni do siebie czekaliśmy, aż włączą światła. Wydawało się, że przeznaczenie owinęło nas swoją wstęgą - nareszcie jakiś facet przykleił się do mnie!

Kiedyś od razu pochwalałabym się dziewczynom w pracy: „Poznałam kogoś”, ale ponieważ zawsze taka znajomość okazywała się niewypałem, w wypadku Andy'ego wołałam chwilę odczekać. Nie chciałam zapeszyć i znowu podnosić fałszywego alarmu.

Jednak teraz to już naprawdę powinna wyc syrena! Aż trudno uwierzyć, że to robię. Co mną kieruje? Dawno nie byłam w takiej sytuacji, ale skoro mam możliwość dogonić obiekt zainteresowań i zasugerować scenariusz...

- Nie od wczoraj - wytknęła mi Laurie, kiedy zadzwoniłam do niej z taksówki.

- Wtedy było inaczej! - protestowałam. - Gilles sam mi się podstawił.

- A ten koleś jest w tajemniczy sposób poza zasięgiem? Spojrzałam na telefon naburmuszona.

„Lepiej nie będę jej nic mówić o odległym smutku w oczach Jacques'a, bo znów oskarży mnie udział w misji pocieszania faceta”, pomyślałam. A to przecież nieprawda. Tak sędzę. Po prostu jest niebywale intrygujący...

- Zastanawiałaś się, co zrobisz, gdy znajdziesz się na miejscu?

- Nie do końca.

- Doskonale. Właśnie to chciałam usłyszeć.

- No weź!

- Dobra. Twoje plany i tak nie pozostawiają wiele miejsca na jakiegokolwiek uszczypliwe komentarze. Właściwie to nie takie złe. Eksperymentalne.

- Właśnie.

- W każdym razie... - Laurie musiała skończyć rozmowę. Przypomniała mi, że jej kuzynka obchodzi urodziny, więc wyjeżdża na przyjęcie i zostanie parę dni w Sutton. - Z samego rana daj mi znać, co nowego.

- Zrobi się.

Spojrzałam w okno. W trakcie naszych pogaduszek taksówka zdążyła opuścić miejskie ulice i znalazła się na autostradzie. Właśnie przejeżdżaliśmy przez most nad Rzeką Świętego Wawrzyńca, więc z lotu ptaka mogłam podziwiać jej zamarznięte wody. Nietuzinkowy widok - piaszczyste wydmy przypominały pianki cukrowe, byłam zachwycona tym białym krajobrazem.

- Ile D'Orléans! - burknął kierowca, kiedy wreszcie dotarliśmy na wyspę.

Mijaliśmy urocze, drewniane domki - jeden po drugim, każdy przyprószony grubą warstwą śniegowej pierzynki jak bożonarodzeniowe ciasteczka. Ogołoczone z liści drzewa w innej scenerii wyglądałyby ponuro i przygnębiająco, ale tam prezentowały się jak pierzaste gałązki, jakimi floryści ozdabiają bukiety.

Oparłam głowę o szybę taksówki. Wszystko było takie nieskazitelne w promieniach słońca. Mniej miejskiego, pośniegowego błota, zdecydowanie więcej nietkniętych przez człowieka, dziewiczych terenów. Przez to runął mój pomysł na swobodne

rozpoczęcie rozmowy z Jacques'em w stylu „Akurat przechodziłam niedaleko.

Tylko już nie mogłam zawrócić. Zresztą wcale nie chciałam, byłam jak zahipnotyzowana.

Mój kierowca nacisnął hamulec, żeby zamienić słówko z kolegą po fachu, a ja obserwowałam zmagania rodziców, którzy próbowali usadzić w samochodzie swoją ubraną w puchową kurtkę pociechę (kolejne dziecko żelka!). Ganiali się wokół auta i sporo czasu zajęło matce dorwanie małej psotnicy, ale kiedy już trzymała córkę w ramionach, cała rodzinka tak chichotała i obsypywała się buziakami, że zrobiło mi się niedobrze.

Też tak chciałam. Bardzo mocno. Ale nigdy tego nie doświadczę. Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Dlaczego akurat ja? Zamknęłam oczy, żeby wymazać te dręczące obrazy i rozgonić myśli, próbowałam wziąć się w garść i nie rozklejać. Dlaczego nie mogę mieć dzieci? Gdybym tylko mogła, Andrew by mnie nie zostawił. Wciąż nie do końca otrząsnęłam się z szoku, że był do tego zdolny. Mogłam wyczuć zmianę w sposobie, w jaki na mnie patrzył. W jego oczach straciłam coś istotnego. Fizycznie nie byłam zdolna, żeby wydać na świat nowe istnienie. Nie mogłam tego zapewnić Andy'emu. Ja mu nie wystarczałam. I tyle.

Taksówkarz powiedział do mnie coś po francusku i przetłumaczyłam to sobie jako: „Nie myśl tak! Przecież masz tyle do zaoferowania!”.

Oczywiście mówił co innego.

Przejechał jeszcze niecały kilometr, potem zwolnił, obrócił samochód, złapał głęboki oddech, jakby chciał sobie dodać otuchy, z całej siły nacisnął na pedał gazu i ruszył w górę stromego, ośnieżonego zbocza.

- Rany Julek!

Pruliśmy wzdłuż prowizorycznej ścieżki - podwójny ślad po oponach równie dobrze będzie mógł komuś posłużyć jako zjazd narciarski.

- Ma pan świetne opony! - skomentowałam.
- Jestem świetnym kierowcą - poprawił mnie.
- Racja.

W zasadzie byłam mu wdzięczna za zapewnienie skoku adrenaliny. Przez jakiś czas nie widziałam nic oprócz śnieżnej bieli, ale gdy wreszcie udało nam się dojechać na szczyt, moim oczom ukazała się stodoła, kilka małych, kanciastych budynków i sielski dom farmerski z kamienia. Właśnie przed nim się zatrzymaliśmy.

- Co to znaczy? - zapytałam, wskazując palcem tabliczkę z napisem „ACCUEIL”.

- Witaj. Albo recepcja. - Wzruszył ramionami. - Tam właśnie musi pani pójść.

Jego radio chrypiało od nowych zamówień z centrali.

- Chce się pani tutaj zatrzymać? -Hm...

Czy to by było mądre z mojej strony? Rozejrzałam się i próbowałam wysledzić jakieś znaki życia — mężczyzna skoczył z dachu stodoły, wykonując salto.

Szczęka mi opadła z wrażenia.

- Widział pan to? - Przykleiłam się do okna samochodu.

- Czy widziałem...?

- Jakiś człowiek właśnie... - zaczęłam i zamilkłam.

Chyba miałam omamy. Przecież ta stodoła była za wysoka. To musiał być ptak albo jakiś śmieć porwany przez wiatr. Złudzenie optyczne.

- Madame?

- *Oui*

- *Tu reste ici?*

Wtedy ujrzałam Jacques'a pędzącego z zaprzęgiem w dół stoku, a walące jak młot serce kazało mi odpowiedzieć:

- Tak, tak, wszystko w porządku. *Merci*

W pośpiechu zapłaciłam kierowcy za kurs i podbiegłam do czerwonych drzwi farmerskiego domu. Miałam już przesunąć zasuwkę, ale zawahałam się. W końcu nie miałam pojęcia, co mogę zastać za drzwiami.

Ale czy miałam jakiś inny wybór? Stać na progu, aż zamienię się w lodową figurę zdobiącą ganek? Wchodzę!

Zrobiłam krok i znalazłam się w wielkim pomieszczeniu pełnym zimowych sprzętów, ciężkich buciorów i puchatych kurtek. Kamień, którym była wyłożona podłoga, odbijał żółte światło ognia z kominka.

- *Bonjour! Comment est-ce que je peux sous aider?*

Obróciłam się w lewo. Za starym, drewnianym biurkiem siedziała drobna dziewczyna w wełnianej czapce, spod której wystawał pęk niesfornych loczków.

- Można po angielsku?

- Pani na przejażdżkę o piętnastej?

- Prawdopodobnie... - próbowałam się asekurować. Kobieta wyglądała na zdezorientowaną.

- Ma pani rezerwację?

- Nie mam. Właściwie to chciałam tylko porozmawiać z Jacques'em...

- Za chwilę wychodzi z nową grupą. -Och...

- Może pani dołączy?

Dzień dobry! W czym mogę pomóc? (z fr.) - przyp. red.

- Ale... ma pani na myśli psi zaprzęg? To znaczy... przejażdżkę zaprzęgiem?

Recepcjonistka spojrzała na mnie jeszcze bardziej zakłopotana.

- Właśnie tym się tutaj zajmujemy. -Ale... TERAZ? Przytaknęła.

- Pięćdziesiąt dolarów za godzinę.

Wyobraziłam sobie, jak siedzę w saniach szusujących przez migocący w świetle zachodzącego słońca śnieg, owinięta kaszmirowymi kocami, a za mną stoi Jacques.

- Chętnie! - odpowiedziałam podekscytowana i zaczęłam szperać w torebce w poszukiwaniu portfela.

- Sebastien! *Tu es libre*¹? - zawołała do młodego, szczupłego mężczyzny, który właśnie zakradł się do recepcji.

Miał turkusowe ubranie, zupełnie jak mój wyimaginowany dachowy skoczek.

Zgodził się niechętnie i chrząknął wymownie, co miało mi uświadomić, że właśnie ukradłam mu czas na przerwę.

- On panią zabierze.

Miałam nadzieję, że zaprowadzi mnie prosto na spotkanie z Jacques'em. Widok Człowieka Wilka jest czatujący, ale przy okazji niezwykle rzadki. Nie chciałam zmarnować kolejnej godziny, delektując się nim niezdolna do interakcji.

- Sanki nr 1, tu Sanki nr 5. Słyszysz mnie? - Chyba mają jakiś wewnętrzny system komunikacji.

Dziewczyna z recepcji wstała, żeby ocenić mój strój.

- Okej, nadaje się. Czy chce pani pożyczyć jakieś dodatkowe ubranie?

Jesteś wolny? (z fr.) - przyp. red.

Grzecznie odmówiłam, bo było mi wystarczająco ciepło. Najpierw słońce grzejące przez szybę taksówki, teraz to ognisko. Wolałabym raczej orzeźwienie.

- Gotowa? - poganiał ją Sebastien. - Pani prowadzi. Zrobiło mi się słabo.

- To moja pierwsza wizyta tutaj...

- Będziesz wiedziała, dokąd iść.

Odtworzyłam trasę na podstawie własnych kroków i dotarłam do miejsca, w którym wsadził mnie kierowca. Potem rozejrzałam się po zboczach. Byłabym zagubiona, gdyby nie dobiegające odgłosy - skowyt, szczekanie i skomlenie potraktowałam jako wskazówkę. Poszłam w ich stronę.

- Brzmiały tak, jakby nie mogły się doczekać.

- Zawsze - potwierdził Sebastien.

Przeczesał palcami swoje utlenione włosy i poprawił na głowie kapelusz.

Spojrzałam na niego kątem oka. Oczywiście mogło mi się wydawać i wyszłabym na wariatkę, ale nie mogłam się powstrzymać od pytania:

- Czy to nie ciebie przypadkiem widziałam, kiedy robiłeś salta z dachu stodoły? - Jego żuchwa nagle się zacisnęła. - To było...

Jednak nie zdążyłam dokończyć, bo przed nami pojawiło się ze sto husky. Były rozsiane równomiernie po całym polu jak kwitnące psie uprawy. Każdy miał drewnianą budę i tabliczkę z imieniem - Flanders był czujny, zaciekawiony, patrzył w naszą stronę; jego sąsiad kopał w śniegu norkę, żeby wygodnie w niej się ułożyć. Zaskoczyło mnie, że wszystkie psy wyglądały na spokojne i wypoczęte — i tak się cieszyły przy powitaniu. Pogłaskałam kilka gołą ręką, podziwiając ich cudowne futerka. Każdy był inny - przystrzyżony szary, kudłaty czarny z białą

maską, kilka łaciatych jak fryzyjska krowa, kilka Zorro, a nawet Batmanów!

Śmiałam się, kiedy jeden z nich - śnieżnobiały - podskoczył i położył łapy na moich ramionach.

- Chcesz się przytulić? Och, wszystkie są takie cudowne! Rozejrzałam się jeszcze raz. Psy, psy, psy - jak okiem sięgnąć.

Ale żadnych ludzi.

- Gdzie jest reszta? - zapytałam zaniepokojona. Sebastien wskazał głową równinę za lasem.

- Już pojechali.

- Możemy ich dogonić? - Próbowałam ukryć konsternację.

- Chcesz się pobawić w pościg? - Wyglądał na rozbawionego. - Da się zrobić!

Sprawnie i bez zbędnej gadaniny zaprzął sześć psów i zaproponował miejsce w saniach. Nie sądziłam, że mają tak niską i cienką podstawę - całość nieco więcej niż kilka balsowych desek i wykładzina.

- Trzymaj to. - Sebastien wręczył mi linę.

- W porządku - odparłam, zastanawiając się, czy siedzę w prawidłowej pozycji - z nogami wyciągniętymi przed siebie.

Wyglądałam jak podparta lalka. Ale zanim zdążyłam zapytać, już ruszyliśmy.

Zatrzęsło nami, sanki zaklekotały i już pięć sekund po tym gwałtownym starcie było mi przeraźliwie zimno. Nie wzięłam pod uwagę zacinającego wiatru podczas jazdy, nie zauważyłam też braku wymarzonych kaszmirowych narzut. Zamiast tego siedziałam na tartanowej podkładce i zamarzałam. Żałowałam, że nie skorzystałam z propozycji pożyczenia dodatkowego ubrania. Kurtki i kamizelki wyglądały jak stroje robocze drwala, ale przynajmniej grzały jak trzeba. Tymczasem moje ciało

drętwiało coraz bardziej z każdym odgłosem psich łap tratujących śnieg.

Mimo to ich susy były tak pełne gracji, a ich puchate ogony powiewały zawadiacko, że nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu. Znacznie zwolniły, kiedy zaczęliśmy wjeżdżać pod górkę.

- Mam nadzieję, że nie jestem za ciężka - martwiłam się. Nie uzyskałam żadnej odpowiedzi.

Obejrzałam się i... jasny gwint! Znowu! Albo umysł płata mi figle, albo Sebastien jest ekstremalnym gimnastykiem. Zamiast stać wygodnie na gumowanym podeście, trzymał rękami drążek, a jego stopy były w powietrzu. Jak gdyby nigdy nic, z ciałem naprężonym jak struna i nogami wymierzonymi w stronę nieba, wykonywał jedno z ćwiczeń, jakie widziałam tylko w telewizji podczas relacji z olimpiady.

- Co do... - Przecierałam oczy ze zdumienia. - Czy ty nie miałeś kierować?

- Doskonale znają drogę.

Odwróciłam głowę i znowu patrzyłam, dokąd jedziemy. Nie mogłam uwierzyć, że trafił mi się psi poganiacz kamikadze. Nie odważyłam się znowu spojrzeć, co wyprawia Sebastien. Mógł na przykład wykonywać kolejne ewolucje albo tańczyć z psimi smyczami zamiast wstążek. Albo - co gorsza - mogło go w ogóle nie być.

Kiedy wjechaliśmy do lasu, silniejszy od niepokoju okazał się zachwyty. Każda gałązka balansowała pod ciężarem śnieżnej czupryny, sosny były całe białe od szronu. Po prostu piękne!

- *Allez! Allez!* - Sebastien zachęcał psy, żeby zwiększyły tempo. Wtedy zobaczyłam grupę przed nami. Doganialiśmy ich.

- Wow...

- Zatrzymujemy się?

- Oni się zatrzymali.

Przymrużyłam oczy i zobaczyłam, jak Jacques odpina jednego psa z zaprzęgu.

- Co jest grane?

- Zmienia skład swojej drużyny. Któryś z psów najwyraźniej spowalnia resztę.

Kiedy go mijaliśmy, przywitał się z Sebastienem.

- *Parfait*^.

Gdy się do zbliżaliśmy, czułam, że nie panuję nad sobą.

Jakimś cudem Jacques osiągnął w mojej głowie status cele-bryty. Z jednej strony miałam nadzieję, że mnie nie rozpozna, z drugiej - chciałam, żeby na mój widok krzyknął zaskoczony: „To ty!”.

Jednak był zbyt pochłonięty wymianą psów, żeby zastanawiać się nad tożsamością puchatego zawiniątka siedzącego w saniach. Nagle w ostatniej chwili odwrócił się, przechylił głowę i powiedział:

- *La fille qui est tombée dans la neige.*

To brzmiało tak romantycznie! Może gdybym była z indiańskiego plemienia, otrzymałabym właśnie takie imię? Dziewczyna, Która Wpadła w Śnieg.

Chciałam odpowiedzieć: „To ja!”, ale to tak, jakbym się chwaliła, więc powiedziałam po prostu: „Cześć!”.

- Co tu robisz?

-Ja... ja... Chciałam ci podziękować. Za uratowanie życia. Wzruszył ramionami.

-Jestem pewien, że twoi przyjaciele zrobiliby to samo.

- To akurat nie są moi przyjaciele, tylko znajomi z pracy - postanowiłam gładko przejść do Części Drugiej historii mojej obecności tutaj.

Doskonały! (z fr.) - przyp. red.

- Pracowałaś?

- Tak. To była część mojej pracy jako...

- ...jako kaskaderki? - wciął się, rzucając spojrzenie w stronę Sebastiena.

- Och, nie! - zatkało mnie. Co za interpretacja?! I jeszcze próbował mnie połączyć z tym świrusem. Musiałam wyprowadzić go z błędu. - Nic tak brawurowego.

Zanim zdążyłam wyjaśnić więcej, psy zaczęły skomleć, jakby narzekały: „Jejku, co to za pogaduchy? Chcemy już jechać!”.

- Musimy ruszać - potwierdził Jacques.

-Tak, *allez, allez*- odparłam i poczułam się zażenowana, kiedy zdałam sobie sprawę, że właśnie pogoniłam zaprzęg.

Zimny wiatr na moich rozgrzanych policzkach był mile widziany. Jak mi poszło? Nie byłam pewna. Miałam nadzieję, że nie uznał mnie za natrętną fanatyczkę. Gdyby tylko znów nadarzyła się okazja, wytłumaczyłabym mu, dlaczego tam się znalazłam...

- Więc spotkałaś już wcześniej Jacques'a? - zapytał nieco oskarżycielskim tonem Sebastien.

- Tak, dzisiaj.

- A gdzie?

- Na Karnawale - odparłam cicho.

Żałowałam, że sanie nie miały bocznych lusterek, ponieważ wyczuwałam ze strony mojego poganiacza dziwną wrogość.

- Ostrożnie! - krzyknęłam, gdy szarpnęło nami, bo sanie wjechały na wyboje, a we mnie trafiła sterta śniegu.

Miałam wrażenie, że raz jedziemy za szybko, raz za wolno, tracąc z oczu pozostałych. Nagle w ogóle się zatrzymaliśmy. -Yyy...

- Chciałbym, żebyś wyszła i przytrzymała hamulec.

Zrobiłam, jak prosił - nieco nieufna i świadoma, że w lesie jestem tylko z nim i sześcioma psami, które byłyby kiepskimi świadkami w sądzie.

Sebastien przywiązał linę do drzewa i zapytał, czy chciałabym kilka zdjęć.

Pozowałam nieśmiało, kiedy cykał fotki moim telefonem. Wołałam, żeby Jacques to zrobił. W pewnym momencie jedyne, czego chciałam, to powrót do bazy.

- Dobra, teraz twoja kolej.

- Na co?

- Żeby kierować.

- Chcesz, żebym prowadziła sanie? Przytaknął.

- Oczywiście. To część doświadczenia.

Spojrzałam na psy, które właśnie zapewniały sobie rozrywkę, zanurzając nosy w śniegu jakby sączyły bezsmakowy, sorbetowy napój. Niektóre chłodziły sobie brzuchy. Tylko jeden wiercipięta zajął pozycję do startu. Wzięłam głęboki oddech i podeszłam do gromady.

- Dokąd idziesz?

- Przedstawić się psom.

- Niby po co?

- Nie spodziewam się, żeby zechciały dla mnie biec, skoro nawet się nie zapoznaliśmy.

Sebastien przewrócił oczami i zrobił zniecierpliwiony grymas.

- Mogłabyś być nawet Michael Vickiem, a one i tak by ciebie słuchały.

- Michael Vick?

- Jeśli jeszcze nie wiesz, kto to, to nie chcesz wiedzieć. -Ale...

- Amerykański zawodnik futbolu amerykańskiego - wytłumaczył Sebastienem złośliwym tonem. - Poszedł do więzienia za udział w organizowaniu nielegalnych walk psów. I nie były to tylko walki jeden na jednego. On i jego kumple mieli na sumieniu wieszanie, topienie, porażanie prądem i zastrzelenie psów.

Ogarnął mnie gniew.

- Proszę, powiedz, że dalej siedzi w pierdłu.

- Niestety został zwolniony ponad dwa lata temu.

- Słucham?

- A kiedy wyszedł, podpisał kontrakt z drużyną Philadelphia Eagles, a Narodowa Liga Futbolowa przyznała mu nagrodę i tytuł Najlepszego Powracającego Zawodnika Roku.

- To chore - obruszyłam się, ale nie do końca wiedziałam, co zrobić z tą informacją.

- Nie chciałabyś go poszczuć psami? - zapytał zde gustowany Sebastien.

- Rozerwałabym go na strzępy! Sebastien pokiwał głową.

- Ja też.

Rozmawialiśmy chwilę o kosmicznych sumach, jakie zarabiają gracze futbolowi, jak bardzo chcielibyśmy przejąć całą pensję Vicka i przeznaczyć ją na cele charytatywne dla pitbulli, a jego samego trzymać na podwórku przykutego do budy łańcuchem i karmić psim jedzeniem z puszki.

- Paskudna sprawa.

Staliśmy przez parę sekund w milczeniu, po czym Sebastien podszedł do zaprzęgu i wskazał na jednego z husky.

- To jest Jupiter. Jest liderem w grupie. - Poglądził psa po łepku. Innego podrapał pod brodą i przedstawił: - A to jego brat, Orion.

Trochę mi zajęło, zanim się zorientowałam, że Sebastien właśnie spełnia moją zachciankę.

Podbiegłam do niego i przywitałam się z psami. Były wobec mnie zaskakująco czułe. W tym samym czasie Sebastien tłumaczył, jakie funkcje mają środkowe psy, a za co są odpowiedzialne te zaprzężone w ostatnim szeregu.

Szczególnie urzekł mnie pies wymieniony przez Jacques'a. Miał na imię Maddy.

- Masz swojego ulubieńca? - zapytałam Sebastiena, a on spojrzał na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Jeżeli sprawdzasz, czy jestem człowiekiem - nie zamierzam gryźć”.

- Dalej, teraz twoja kolej, żeby oprowadzić sanie. Odprowadził mnie do stanowiska i przekazał instrukcje:

- Trzymasz tu. - Poklepał drewniany drążek. - Stopy na gumowanych podstawach, a to jest hamulec. - Wskazał metalowy element. - Jeśli jedna stopa nie wystarczy, użyj dwóch.

- To znaczy... mam po nim skakać? Wyglądał na zaniepokojonego.

- Jedna wystarczy. Staraj się trzymać linę ciągle napiętą. To ważne - powiedział i klasnął w dłonie. - Wszystko jasne?

- To wszystko? -Tak.

- Cóż, to najkrótsza lekcja nauki jazdy, jaką w życiu odbyłam - stwierdziłam, spojrzałam na psy, a potem znowu na niego. -A one tak po prostu ruszą?

- Jak tylko odblokujesz hamulec.

- A jeśli doznam urazu kręgosłupa, bo przyspieszę albo zahamuję zbyt mocno, spadnę, a ty niczego nieświadomy odjedziesz beze mnie?

- Zatrzymam sanie.

Chciałam zapytać, jak miałyby zamiar to zrobić, ale w porę przypomniałam sobie, że przecież jest akrobatą. Teraz na przykład używał drzewa do maksymalnego rozciągnięcia nogi.

- Jesteś w ogóle świadomy, że masz stopę na wysokości ucha? - zapytałam zdumiona.

- Stary nawyk - chrząknął i „odłożył” ją na ziemię.

- Dlaczego po prostu nie wrócisz do Cirque du Soleil?

- Kto ci powiedział? - warknął.

- Co mi powiedział?

- O cyrku?

Próbowałam coś odczytać z jego twarzy.

- Należałeś do Cirque du Soleil?

Chciał się ulotnić, żeby uniknąć odpowiedzi, ale przecież nie miał jak.

- Mówisz poważnie? - drążyłam zafascynowana tematem. (Osobiście uważam, że Cyrk Słońca powinien zostać uznany

za kolejny Cud Świata. Gdyby tylko mieli wystąpić w którymś z miast, którym patronujemy na portalu, zawsze bukowałybyśmy bilety dla naszych klientów z gwarancją, że cyrkowe show będą wspominać jako jeden z najjaśniejszych punktów całej wyprawy).

- To nic takiego. Stare dzieje. - Sebastien próbował ostudzić emocje.

- Przeciwnie - to niesamowita sprawa! Prawdziwy zaszczyt. I jaki ty musisz mieć talent - na pewno potrafisz dużo więcej, niż dzisiaj widziałam.

Sprawił wrażenie naburmuszonego i uciał z rozdrażnieniem.

- Nie chcę o tym gadać.

- Okej, okej - dałam za wygraną, ale nie ukrywam, że byłam niezwykle zaintrygowana.

Jak trafił do Cirque du Soleil? W jakiej części przedstawienia występował? I którego przedstawienia? Jaki miał kostium? Podróżował? Czy ich przyjęcia są naprawdę tak ekstrawaganckie, jak słyszałam?

Jaką ten chłopak musi mieć historię!

Ale nie było na to czasu - musiałam poganiać zaprzęg...

Zaraz nastąpi przemiana obserwatora w uczestnika. Pasażer stanie się kierowcą. Czy tego chcę, czy nie. Długo nie mogło do mnie dotrzeć, że będę prowadzić psi zaprzęg - i to bez tabliczek z literką L. Brakowało mi tylko trochę odwagi, żeby wreszcie puścić hamulec...

Ostatecznie to psom udało się mnie przekonać - w końcu każda sekunda zwłoki z mojej strony to dla nich wielka strata.

„Puść nas! Pozwól nam biec!”, zdawały się mówić. Więc się zgodziłam.

Początkowo byłam spięta, miałam zgarbione ciało i zbyt kurczowo trzymałam linę. Dopadało mnie przerażenie za każdym razem, gdy skręcaliśmy albo psy przebiegały przez nieubity śnieg. Ale w końcu wyjechaliśmy z lasu i ze świstem pędziliśmy przez otwartą, białą przestrzeń.

Nagle ogarnęło mnie dziwne uczucie, jakby to było najwspanialsze doznanie na świecie. Nie mogłam się powstrzymać i dałam upust swojej radości.

- To jest niesamowite!

Nie wiem dlaczego, ale zupełnie nie było mi zimno. Czułam jedność z psami, z przestrzenią, z niebem. Zapomniałam, że Sebastien jest moim pasażerem, i odchyliłam się jak podczas jazdy

na nartach wodnych. Puściłam nawet jedną ręką drążek! To dopiero odświeżenie!

Czułam się otwarta i wolna. Byłam szczęśliwa. Po prostu bardzo szczęśliwa!

Wtedy dwa psy na przedzie zaczęły się podgryzać, warczeć na siebie i sprzeczać. Zastanawiałam się, jak zareagować w takiej sytuacji.

Sebastien je zganił, ale nie zareagowały, więc kazał mi nacisnąć hamulec. Najpierw nacisnęłam rączkę, jakbym była na rowerze, potem nadepnęłam nieistniejący pedał hamowania, jakbym jechała autem. Cholera! Dopiero wtedy, gdy Sebastien wystawił nogi i zaczął hamować, ryjąc w śniegu podeszwami, przypomniałam sobie o wyszczerbionym drążku między moimi stopami.

- Prz-przepraszam - wydyszałam, gdy wreszcie udało nam się zatrzymać.

- W porządku, dobrze sobie poradziłaś.

- Och, nie! Orion robi kupę! - Czułam, że muszę zasłonić oczy. - Dlaczego teraz? Dlaczego w środku przejażdżki?

Sebastien wzruszył ramionami.

- Kiedy ci się chce...

Gdzie jest teraz Gilles ze swoim modnym obiektywem? Pewnie testuje szerokość przesłony Annique. O, losie! To zabrzmiało w moich myślach jeszcze gorzej, niż zamierzałam.

- Dobra, ruszamy dalej.

I znów mogłam się rozkoszować pełnieniem nowej funkcji. Mogłabym tak jechać do samej Alaski! Jak się nazywa ten ich wyścig - Iditarod? Podobno trwa cały tydzień. Rozmyślałam, jak to musi wyglądać. Czy to bardziej test wytrzymałości, czy medytacja? Widzi się innych poganiaczy czy jesteś tylko ty i nieskończona biel?

Nastawiłam się na długą drogę, ale jak się okazało kilka minut później - mój czas minął. Spanikowałam na moment, bo psy wparowały prosto na teren kampusu, ale wszystko poszło zgodnie z planem i zatrzymaliśmy się dokładnie w punkcie, z którego wyruszyliśmy godzinę wcześniej. Schodząc z sań, ciągle byłam w stanie euforii, Sebastien wręcz przeciwnie - sprawiał wrażenie jeszcze bardziej posępnego i obrażonego.

- Jest okej? - zapytał niechętnie.

- Cóż, nie czuję stóp, ale poza tym...

- W środku możesz się napić gorącej czekolady - skwitował i natychmiast zaczął rozmowę po francusku z innym mężczyzną.

Koniec mojej kariery. Rozpaczliwie chciałam uścisnąć łapę każdego z psów, zanurzyć się w tym fantastycznym środowisku na jak najdłużej, ale miałam silną potrzebę, żeby rozmarznąć. Zdrętwiała mi twarz, mróz szczypał w policzki, palce u nóg zamieniły się w lodowe szpony. Nie to, żebym się przejmowała, ale kubek czekoladowego napoju w tamtym momencie okazał się zbawienny.

- Jak było? - powitała mnie pytaniem dziewczyna z recepcji, kiedy przekroczyłam próg.

- Cudownie! Bardzo mi się podobało! Te psy mają takie łagodne usposobienie.

- A Sebastien? - Tu była już ostrożniejsza.

- Więc... - szukałam właściwych słów - trzeba przyznać, że ma charakterek.

- Mhm.

- Zauważyłam, że bardzo troszczy się o Jacques'a... - zaryzykowałam podjęcie tematu.

Pokiwała głową.

- Zazwyczaj jest odwrotnie, *non?*

- To znaczy?
- Że to starszy brat jest obrońcą.
- Oni są braćmi? - Byłam szczerze zaskoczona. - W ogóle niepodobni.
- Mają różne matki.
- Ach, rozumiem. - Podeszłam bliżej biurka i zniżyłam głos. - A naprawdę był w Cyrku Słońca?
- Powiedział o tym?
- Nie do końca. W pewnym sensie sama zgadłam.
- Właściwie nie da się tego ukryć. To zostało w jego ciele, w każdym mięśniu, w każdym ruchu. Wszystko, co napotka na drodze, traktuje jak obiekt, na który można się wspiąć i z niego zeskoczyć.
- Dlaczego zrezygnował? Wyczułam jej rezerwę.
- Dokonał innego wyboru.
Chciałam zapytać o więcej, ale przyjechała kolejna grupa i recepcjonistka musiała się zająć nowymi gośćmi.
- Yyy, *salle de bain* - Poprosiłam jeszcze w pośpiechu o wskazanie drogi do toalety.
To była głupota z mojej strony pytać po francusku, bo kobieta odpowiedziała w ojczystym języku i jedyne, co zdołałam wyłapać, to *agauche*... Czyli gdzieś po lewej stronie...
Poszłam wzdłuż korytarza i otworzyłam pierwsze lepsze drzwi. Ciemno. Wyczułam na ścianie włącznik światła i przesunęłam pstryczek. Znajdowałam się w małym biurze. Półki uginały się pod ciężarem trofeów z wyścigów, pamiątek, na ścianach wisiały fotografie przedstawiające Jacques'a ze stadkiem samojedów - ich białe futra wyglądały jak pudding ryżowy na tle niebieskawej poświaty śniegu. Wyszło na to, że brał udział w rozmaitych

wyścigach - od sprintów po długodystansowe, i w tylu różnych lokalizacjach... W pokoiku roilo się od plakietek i identyfikatorów z zawodów typu Caledonian Classic z brytyjskiej Kolumbii, Can-Am Crown z Maine, The Copper Dog 150 z Michigan... Nagle mnie zatkało - legendarny Iditarod! Udało mu się! Ponad tysiąc kilometrów ze sztywną od szronu brodą. Wow. To skłoniło mnie do refleksji - jaki mężczyzna chciałby się sprawdzić w taki sposób? Samotny wilk, powiedzieliby niektórzy...

Wtedy zauważyłam jeszcze jedną osobliwą kolekcję, mianowicie kartki z kondolencjami. Mnóstwo z nich poustawianych na półkach, część przytwierdzona do blatu, kilka wetkniętych w ramki do zdjęć. Czy to dla psów, które odeszły? Właśnie miałam podejść do zdjęcia, na którym Jacques kogoś przytula, kiedy poczułam czyjąś obecność w pomieszczeniu.

- Jacques! - Podskoczyłam na widok Wilka we własnej osobie. - Nie miałam zamiaru tutaj myszkować. Szukam toalety.

- Następne drzwi na dole.

- Och. Dziękuję. - Byłam bardzo zawstydzona, ale musiałam się odwrócić i powiedzieć: - Imponujący zbiór...

Wyglądał na zakłopotanego. -To mój tata zajął się wystrojem.

- Musi być bardzo dumny.

- Kiedyś był. Ups.

Uśmiechnęłam się niezręcznie i pognałam do damskiej toalety. W zasadzie już nie miałam potrzeby skorzystania z niej, ale przynajmniej mogłam tam dojść do siebie i odzyskać spokój. To nie było komfortowe uczucie. I co on miał na myśli, mówiąc „kiedyś”...? Co się zmieniło? I czy to przypadkiem miało coś wspólnego z tymi listami kondolencyjnymi? Czy to jego ojciec

zmarł? Cholera! Po co ja otwierałam te drzwi? Rozważałam, żeby wyjść po cichu i zwyczajnie zniknąć z obozowiska, zanim zrobię przykrość kolejnej osobie.

Wychodząc z łazienki, zauważyłam jakichś ludzi rozmawiających żywiłowo w pomieszczeniu wypoczynkowym. Wszyscy trzymali w dłoniach kubki z gorącą czekoladą. Miałam już wracać do recepcji, kiedy ujrzałam Jacques'a niosącego mi napój. Przynajmniej tak mi się wydawało, że to dla mnie. Dla pewności spojrzałam za siebie - nikogo więcej nie było w pobliżu. Sam jeszcze to potwierdził, kiwając głową i mówiąc:

-Tak, tak, to dla pani. Dla pani z różowym nosem.

- Dz-dziękuję - wybąkałam z wdzięcznością.

- Nie wyjdiesz, dopóki nie spróbujesz naszego smakołyku.

- Jejku, nareszcie! A przejażdżka była fantastyczna! Uśmiechnął się.

- Sebastien powiedział, że doskonale sobie radziłaś i byłaś bardzo naturalna.

- Powiedział tak?

- Jesteś zaskoczona? Zrobiłam dziwny grymas.

- Możesz to przyznać. Wszyscy wiemy, jaki jest Sebastien.

- Nie, przecież jest w porządku. Sprawiał wrażenie poirytowanego mną przez większość czasu.

- Teraz ciągle chodzi poirytowany.

„A jaka jest twoja historia?“, chciałam zapytać. Co to za cień w twoim spojrzeniu?

Zamiast tego jednak (ledwo) zdobyłam się na odwagę, żeby poprosić o pozwolenie na umieszczenie materiałów o jego działalności na naszym portalu. A jeśli tak - to czy wobec tego następnego dnia mogę wrócić z fotografem.

Zastanowił się chwilę, zadał kilka dodatkowych pytań, spojrzał na mnie badawczo i odparł:

- Czemu nie. Ale musimy to załatwić wcześniej rano, zanim pojawi się pierwsza grupa. Ósma pasuje?

- Jak najbardziej - zgodziłam się. Jego twarz złagodniała.

- Mamy tu też szczenięta. Pokażę ci jutro, jeśli chcesz.

- Szczeniaczki husky? - Źrenice rozszerzyły mi się z wrażenia. Jacques przytaknął.

- Szesnaście psiaków.

To zbyt piękne, żeby było prawdziwe!

- Tak się składa - powiedział i zaprosił mnie gestem za róg, żebyśmy znaleźli się poza zasięgiem wzroku grupy - mam tu jednego...

Wtedy rozpiął suwak i zza kurtki wychyliła się pokryta puszką głowa małego śpiocha. Mój szczebiot zachwyty szybko zamienił się w ton pełen troski.

- Co się stało z jego pyszczkiem? - zapytałam, bo zauważyłam małe blizny i zadrapania.

- Matka go odrzuciła. Nie mamy pojęcia dlaczego. I teraz ja się nim opiekuję.

Wtedy szczenię podniosło łepkę i na mnie spojrzało. Zatkanęło mnie.

- On ma twoje oczy!

- Nieźle, co? Akurat wśród husky to dość powszechne, że mają różnokolorowe tęczęwki.

- Wśród ludzi to raczej rzadkość - odparłam, choć moja wiedza opierała się raczej na przypadłościach celebrytów jak Kate Bosworth czy David Bowie - poza tym u Bowiego to kwestia źrenicy.

Biłam się z myślami i próbowałam sobie przypomnieć jeszcze jakiś ciekawy medyczny przypadek, gdy nagle przeszła po mnie fala ciepła i dreszczyk - moje palce, które do tej pory muskały uszy szczeniaczka, dotknęły dłoni Jacques'a. Przez ułamek sekundy nasza trójka - dwie ludzkie skóry i psia sierść - były połączone. Jak rodzina. Niesamowite uczucie.

- Chcę kolejnego psa - wydusiłam z siebie, robiąc krok w tył i łapiąc oddech.

- A ile teraz masz? - zapytał Jacques.

- Żadnego. W tym problem. Spojrzał na mnie ze zrozumieniem.

- Są najlepsze.

- A ty? Ile dokładnie masz psów?

- Dorosłych? - Dumnie wypiął klatkę piersiową i rzucił: -Dziewięćdziesiąt osiem.

- Dziewięćdziesiąt osiem? - Byłam w szoku. - To dużo! I pamiętasz ich imiona?

- Wszystkie.

Westchnęłam. Mogłabym słuchać, jak wymienia imiona wszystkich podopiecznych, i w tamtym momencie ta wyliczanka brzmiałaby dla mnie jak poezja.

- Liczysz je przed snem zamiast owiec?

- Dobry pomysł! - Uśmiechnął się, ale po chwili popadł w zadumę, jakby naprawdę miał problemy z zasypianiem.

I czym to mogło być spowodowane? Nie ma żadnej pani Dufour, która by go ukołysała? „Później Laurie pomoże mi wszystko przeanalizować. Pewnie zapyta, czy ze mną flirtował, ale ja będę zmuszona zaprzeczyć. Skoro tak, to pewnie Jacques ma dziewczynę, której jest po cichu oddany”, pomyślałam. Jednak na razie nie byłam w stanie nic wydedukować. Mogłam tylko zgadywać.

Mimo wszystko sprawiał wrażenie, jakby nie był zainteresowany relacjami damsko-męskimi, jakby dochodził do siebie po zawodzie miłosnym. Znów przypomniałam sobie kartki z kondolencjami w biurze. Och, nie! A może to jego dziewczyna albo żona umarła?

- Jacques! - zawołała dziewczyna z recepcji, żeby dać mu do zrozumienia, że a) jego kolejna grupa jest gotowa na przejażdżkę i b) już czeka autokar, żeby odwieźć do miasta pozostałych.

Zaproponował mi miejsce w tym autokarze. Oczywiście się zgodziłam.

- Więc... - zaczął, zapinając kurtkę i chowając w niej pucha-tego pieska. - *A demain!*

- Do jutra! - Uśmiechnęłam się zadowolona, że motylków w brzuchu nie widać gołym okiem.

A może widać?

Sebastien spojrział na mnie podejrzliwie, kiedy pomagał mi wejść do busa.

- Nie możesz go uratować, wiesz o tym - powiedział w końcu z naturalnym dla siebie rozdrażnieniem, tym razem jednak pomieszanym z dziwnym smutkiem.

Jego słowa wwierciły mi się w mózg.

„Przed czym uratować? Przed tobą?”, chciałam zapytać, ale zrobiłam krok w tył, a kierowca zatrzasnął drzwi. Opadłam ciężko na siedzenie.

O co chodziło? Dlaczego wyglądał jak nawiedzony, kiedy mi to mówił?

Może chciał mi uświadomić, że nie jestem pierwszą kobietą, która próbowała „naprawić” Jacques'a, ale żadnej z nich się nie udało? Co ja właściwie zamierzam? Naturalnie, gdybym mogła,

przyłożyłabym okład do jego rany, jednak w tamtym momencie

chciałam go po prostu lepiej poznać. Chciałam się czegoś o nim dowiedzieć. Dobrze się zaczęło?

Przez parę chwil jechałam naburmuszona i dręczyły mnie różne myśli. W końcu przypomniałam sobie, że zajął się mną na osobności, miałam szczeniaczka na wyłączność, a co najważniejsze - umówiliśmy się na następny dzień. Odurzony uśmiech szybko znów pojawił się na mojej twarzy. Wtuliłam się w siedzenie i zrobiłam z kaptura poduszkę. Wyobraziłam sobie mnie i Jacques'a leżących na kocach przed kominkiem. Między nami wiercił się szczeniaczek...

Och, *demain, demain*. Dlaczego między dzisiaj a jutrem musi być jeszcze *ce soir*

Ustaliliśmy, że spotkam się ze wszystkimi na miejscu, w restauracji, bo wcześniej chciałam obejrzeć Stare Miasto. Oczywiście - chciałam - ale bardziej zależało mi na uniknięciu potencjalnej sytuacji sam na sam z Gilles'em. Nie wiem, o czym zamierzał rozmawiać, kiedy biegłam do taksówki - małe przeprosiny, *peut-être?* - ale wolałabym, żeby już w ogóle się nie odzywał. No bo co miałabym odpowiedzieć? W tamtym momencie na samą myśl o naszym pocałunku w Lodowym Pałacu czułam zażenowanie, poza tym miałam wrażenie, jakby to się stało wieki temu. A przecież stało się poprzedniej nocy.

Wróciłam do kąćka rozmyślań naprzeciwko mojej szafy. Jak mam się ubrać w elegancką sukienkę, skoro zanim trafię do restauracji, będę musiała się zmierzyć z minusową temperaturą i mnóstwem śniegu? Czy mieszkańcy Quebecu przed uroczystymi spotkaniami zawsze pakują torbę podróżną i przebierają się w szpilki czy garnitury, przechodząc przez obrotowe drzwi lokalu? A może rezygnują z szyku na poczet koszulek polo i ciepłych swetrów w śnieżynki? I najważniejsze - jak założyć kałesony pod przylegające do ciała dżinsowe rurki?

Westchnęłam ciężko.

Wtedy rzuciła mi się w oczy moja srebrna halka z cekinami. Może po prostu narzucę na nią mój kaszmirowy kardigan i będzie po sprawie? Chyba taki strój zdałby egzamin podczas dzisiejszej kolacji. Dodałabym jeszcze mój popielaty szal, gdyby całość wyglądała zbyt odświętnie. Założyłam na wierzch polarową bluzę - będę ją mogła zdjąć razem z puchowym płaszczem. Do tego czarne rękawiczki i buty. Jeszcze czapka, która zrujnuje całą prezencję, bo przez nią część włosów oklapnie, a część się naelektryzuje. Postanowiłam spróbować bez nakrycia głowy.

Jednak dwa kroki na dworze pomogły mi dojść do wniosku, że to był zły pomysł, i potruchtałam z powrotem do pokoju. Było dwa razy zimniej, niż sądziłam. Prawdziwa lodowa! I przy okazji dużo bardziej ślisko - w chodniku wręcz odbijały się światła latarni. Założyłam najcieplejszą czapkę, jaką miałam, i zaczęłam szukać czegoś, co mogło mi posłużyć za kijek narciarski. W rezultacie wyruszyłam na wyprawę wyposażona w czerwoną plastikową laskę ozdobioną głową Bonhomme'a. Nie miałam gwarancji, czy spełni oczekiwaną funkcję, ale na pewno był to gadżet *dujour* - każdy uczestnik Karnawału taką niósł. Zaintrygowało mnie to, że ludzie co jakiś czas odkręcali głowę festiwalowego bałwanka i coś pili...

Odkryłam, co to takiego, kiedy mijałam pierwszy napotkany bar: wszyscy wypełniali laski Caribou - oczywiście koktajlem, a nie rogatym zwierzęciem. Drink smakuje jak grzane wino, podaje się go również na ciepło. Po paru łykach w ogóle nie czułam mrozu. Wykonałam nawet kilka obrotów swoją czerwoną „różdżką”, kiedy przekraczałam bramę otoczonego murami, legendarnego Starego Miasta.

Jeżeli gdzieś na świecie istnieje podobne miejsce, na pewno zostało zaprojektowane z myślą o jakimś filmie. Nie było tam ani

jednego budynku, który psuł cały urok albo o którym można by było pomyśleć: „Dlaczego nie wyburzą tego paskudztwa?”. Każdy dach, każda markiza, każdy gzymś miały niepowtarzalny charakter i cieszyły oczy. Nawet sklepy z pamiątkami w postaci wełnianych biało-czerwonych czapek (na wzór kanadyjskiej flagi) wyglądały zachęcająco.

Na każdym kroku migotały światła. Pamiętam, jak Annique mówiła, że nie zdejmują tu świątecznych dekoracji do czasu, aż stopnieje marcowy śnieg; kolejny dobry sposób na utrzymanie wesołego nastroju i uniknięcie chandry po Bożym Narodzeniu. Stwierdziła też, że nie da się zgubić na terenie Starego Miasta, ale ośmielę się z nią nie zgodzić - uliczki są kręte. To labirynt pełengórek i dolinek. Jedyny obiekt, który zlokalizowałam bez problemu, to Château Frontenac. I to tylko dlatego, że jest po prostu ogromny. Według wskazówek restauracja Auberge Saint-Antoine miała się znajdować siedem minut drogi spod zamku. Pokonanie tej trasy zajęłoby tyle czasu pewnie latem, a nie wtedy, gdy trzeba się przedzierać przez zasy i człowiek ślizga się na każdym kroku, jakby miał sztuczne nogi. Wyglądałam tak nieporadnie i żałośnie na szczycie małego, oblodzonego wzniesienia, że pomoc zaoferowała mi staruszka. Wcale nie żartuję - osiemdziesięcioletnia kobieta prowadziła mnie pod rękę.

Ponownie zatrzymałam się na skraju parku, gdzie ławki tonęły w śniegu do trzech czwartych wysokości. Zerknęłam na mapę. Wynikało z niej, że powinnam iść tą drogą, aż trafię do Dolnego Miasta, a następnie skręcić w lewo.

Nie to, żebym jakoś specjalnie się spieszyła. Osiągnęłam akurat ten przyjemny, rozmyty alkoholowy stan, kiedy wszystko wydaje się cudowne. Wystarczyło spojrzeć na miasto. Widok przypominał obraz w stylu *trompe l'oeil*, wysoki na pięć pięter,

z widocznymi elementami czterech pór roku (śnieg, jesienne listowie, kwiaty i słoneczne ulice), miejscami był jak wehikuł czasu (konna dorożka, a obok niej świeżo upieczona mama pchająca nowoczesny wózek), wielobarwny i dynamiczny. Przyjrzałam się bliżej wystawie księgarni, starając się odczytać wszystkie tytuły. Zapamiętałam, a potem wyszukałam nazwiska autorów - okazało się, że to sami lokalni pisarze. Miły akcent.

Zdecydowałam się na okrężną drogę, żeby lepiej się przyjrzeć „malowidłu” i wtedy moim oczom ukazał się znajomy widok: niewielki placzyk z kościołem w gołębim kolorze, otoczonym małymi, pokrytymi drewnem domkami. Na dziedzińcu znajdowała się olbrzymia choinka. Stałam między nią a świątynią i zaczęłam się zastanawiać, gdzie wcześniej mogłam widzieć to miejsce.

- Złap mnie, jeśli potrafisz! Obróciłam się. Skąd dochodził ten głos?

- Przypominasz sobie scenę z filmu, jak Tom Hanks w końcu dogania Leonardo DiCaprio przy prasie drukarskiej we Francji?

- Oczywiście!

- Kręcili ją właśnie tutaj.

Prawie powtórzyłam spektakularny upadek w śnieg, bo straciłam równowagę na widok wyłaniającej się z cienia postaci. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. To Bonhomme!

Rozejrzałam się. Wokół nikogo więcej nie było. Coś tu nie gra... Gdzie się podziała cała parada jak z bajki o Grajku z Ha-melin? Albo przynajmniej eskorta ochroniarzy.

Wyciągnęłam rękę i szturchnęłam go lekko w brzuch.

- Nie krępuj się.

- Och, chciałam zobaczyć, czy jesteś prawdziwy!

- A nie halucynacją po Caribou?

- Fantastyczna sprawa! - Uniosłam laskę, jakbym wznosiła toast. —
To mój nowy ulubiony napój. Zgubiłeś się?

- Nie, a ty?

- W zasadzie tak - odparłam, ale wcale nie byłam z tego powodu zasmucona. - Na pewno bardzo dobrze znasz to miasto. Pokażesz mi drogę?

Powiedziałabym, że się uśmiechnął — a dokładnie czarne kamyczki, z których były ułożone jego usta, wygięły się na kształt uśmiechu.

- Dokąd chcesz się dostać?

- Auberge Saint-Antoine.

- Ktoś tu ma kosztowny gust.

- Nie ja.

- Randka?

- Nie, nie. To znaczy - nie moja. Umówiliśmy rzeźbiarza geja z heteroseksualnym fotografem w ramach rekompensaty za zniszczenie lodowej figury niedźwiedzia polarnego. Wzdrygnęłam się. - To długa historia.

Wtedy Bonhomme położył swoją pulchną łapkę na moim ramieniu.

- Najpierw musisz się cofnąć do końca tej drogi, potem pójść w prawo, a następnie w lewo przy Restaurant L'Initiale. Tak przy okazji, serwują tam pyszną faszerowaną przepiórkę. Potem będziesz już widziała ulicę Saint-Antoine.

Klasnęłam w dłonie jak ocalona księżniczka i zaszczębiotałam:

- Bonhomme! Jak ja ci się odwdzięczę?

- Może zechciałabyś zdjąć ubranie?

- Ale jest ze dwadzieścia stopni na minusie!

- Niekoniecznie teraz. Za dwa dni.

- Nadchodzi jakaś fala ciepła?

- Za dwa dni odbędzie się Bain de Neige w ramach Zimowego Karnawału.

- Błagam, powiedz, że to nie znaczy Śnieżna Kąpiel...

- Ależ tak! To świetna zabawa. Chciałbym cię tam zobaczyć. W bikini.

Poczułam się niezręcznie. Czy Bonhomme naprawdę mówiłby do mnie w ten sposób?

- Ja zamierzam mieć wtedy na sobie tylko czerwony kapelusz.

- Właściwie teraz jesteś ubrany dokładnie tak samo. Tylko oprócz kapelusza masz jeszcze tę harfę. Nie obraż się, ale nosisz ją trochę za wysoko.

- Chcesz mi ją poprawić?

- Nie, nie! Nie śmiałabym zmieniać stylu takiej ikony jak ty...

- Dobra, zobaczmy przynajmniej, jakby to wyglądało, gdybym nosił ją inaczej. Odwróć się, a ja rozplączę wstążkę.

Odwróciłam się twarzą do kościoła.

- Dlaczego mam wrażenie, że szykujesz jakiś psikus?

- W tych rękawiczkach?

Mój śmiech szybko zamienił się w przeszywający pisk.

- Jak mogłeś?!

Ten wyrośnięty łobuz wepchnął mi całą garść śniegu za kołnierz. Nabrałam porcję w dłoń i szukałam jakiejś luki w jego kostiumie, żeby móc się odegrać.

Niestety był zbyt szczelny.

- To niesprawiedliwe!

- Spójrz tam!

Znów dałam się nabrać. Spojrzałam i oberwałam śnieżką w okolice nerek.

- Dobra! Dostyc tego!

Szamotałam się i zaczęłam go bombardować wszystkim, co podniosłam z ziemi. Co za absurd - walczyłam na śnieżki z bałwanem...

Kiedy uciekał za drzewa, szykowałam amunicję. Chciałam być gotowa do poczęstowania go salwą śnieżnych pocisków, kiedy tylko wyłoni się z ukrycia.

- Madame?

Odwróciłam się i zobaczyłam policjantów, którzy bacznie mnie obserwowali. Upuściłam śnieżkę tak, jakby to była cegła, którą właśnie chciałam wymierzyć w okno zakładu jubilerskiego.

- P-przepraszam... To niedozwolone? Nie wiedziałam, nie chciałam nabałaganić.

- Widziała pani człowieka przebranego za Bonhomme'a?

- Ciiii... - Zachichotałam. - Nie wolno mówić, że w środku siedzi człowiek. Bonhomme jest prawdziwy!

- Droga pani, to poważna sprawa. Dostaliśmy zgłoszenie, że widziano go w tej okolicy.

Co to za komedia? Kolejna karnawałowa atrakcja? Ukryta kamera? Ci policjanci są aktorami czy co?

- Madame?

- Jest za drzewem!

Policjanci pognali w miejsce kryjówki psotnego bałwana, ale już go tam nie było. *Rien!* Nic!

Dlaczego w moim życiu ciągle trafiam na znikających mężczyzn? Chyba minęłam się z powołaniem. Powinnam była zostać asystentką iluzjonisty.

- Ale widziała go pani? -Tak.

- I rozmawiała z nim pani?

- Rozmawiałam. Zgubiłam się, on wskazał mi drogę... -To wszystko?

-Yyy...

- Nie powiedział nic więcej? Nic, co mogłoby nam pomóc go namierzyć?

- Chyba planuje się zjawić na Bain de Neige.

- Zrozumiałem.

Nagle z policyjnego radia dobiegł sygnał i z głośników wydobył się komunikat, że Bonhomme'a widziano przy promie. Jeden z funkcjonariuszy wręczył mi wizytówkę i powiedział:

- Gdyby coś się pani przypomniało, proszę do nas zadzwonić. Pokiwałam głową i oszołomiona obserwowałam, jak ruszają na

akcję. Czy to wszystko zdarzyło się naprawdę? Patrzyłam bezmyślnie na spadające płatki śniegu, kilka z nich wylądowało mi na wystawionych dłoniach. Po chwili namysłu zrobiłam zdjęcie kościołowi. Chciałam mieć dowód i pewność, że przynajmniej ja tam byłam.

Kilka minut później byłam już w Auberge Saint-Antoine. Mogę powiedzieć jedno - fałszywy Bonhomme udzielił doskonałych wskazówek.

- Oto i ona! - Annique wstała, żeby się ze mną przywitać. — Pokażę ci, gdzie odwiesić płaszcz.

Hotelowa restauracja była niezwykle elegancka. Bardzo mi się podobało, że połączono w niej przepych z wygodą, bo przy okazji sprawiała wrażenie naprawdę przytulnej dzięki wytwornej paletce kolorów - opisałabym ją jako fuzję żurawiny, waniliowego kremu i delikatnego odcienia szarawego brązu. Całość podkreślały ekscentryczne detale, jak poduszki w kształcie łosi i gruby, żelazny łańcuch przy kominku. Klienci mogli sobie urozmaicić

czas, czytając jedną z mnóstwa ustawionych na półkach książek albo grając w grę planszową. Mieli do wyboru krzesła ze szkła akrylowego, obłożone poduchami parapety albo wygodną sofę za kotarą, gdzie dało się poczuć jak we własnym kącie. Wystarczyło zamówić butelkę wina i deskę serów - i spędzony w miłej atmosferze wieczór gwarantowany.

Annique wyjaśniła, że część znajomych trochę się spóźni, dlatego mamy oddzielne rachunki. Miejsce bardzo mi się spodobało, cieszyłam się też, że nasze grono się powiększy. Im więcej osób, które nie są Gilles'em, tym lepiej.

- Annique? - Zatrzymałam ją, zanim zeszła schodami do naszego stolika.

- Słucham?

- Czy Bonhomme ma problemy z prawem?

- Oczywiście, że nie! - pisnęła. - Bonhomme to najbardziej honorowy, czcigodny, wspaniały...

- Tak, tak, wiem - to dobro narodowe.

- Więc dlaczego pytasz? Wzięłam głęboki oddech.

- Właśnie byłam świadkiem policyjnego pościgu. Policja go szuka.

- Och! - Zrzedła jej mina. - Więc to prawda.

- Co takiego?

- Słyszałam plotkę, że na wolności jest pewien oszust.

- No nie! Zniżyła głos.

- Mówią o nim Malhomme.

- Mai to znaczy zły? — Szukałam wyjaśnienia. - Coś jak alter ego dobrego bałwanka Bonhomme'a?

- Tak - przyznała i zagryzła wargi. - Przykra sytuacja.

- Co jeszcze wiesz na jego temat?

- Że wybiera sobie turystów. Przecież lokalni mieszkańcy znają go zbyt dobrze, żeby dać się nabrać.

- Czyli na przykład ktoś przyjezdny gapi się na kościół przy Place Royale...

- Chyba z nim nie rozmawiałaś? - przeraziła się.

- Rozmawiałam.

- I co powiedział?

- Cóż... flirtował ze mną.

- To nie może się dziać - zasmuciła się. - Reputacja Bonhomme' a jest nienaruszalna.

- Wiesz co? Raz widziałam, jak koleś w przebraniu Myszki Miki zrobił sobie przerwę na papierosa...

Spojrzała na mnie ponuro.

- ..oczywiście przypadek Bonhomme'a jest dużo gorszy. Annique zaczęła obgryzać idealnie pomalowane paznokcie.

- Przepraszam, nie chciałam cię tak zdołować.

- Nic się nie stało. Po prostu uważam, że powinniśmy zgłosić ten incydent.

- Już rozmawiałam z policją. Wszystko im powiedziałam.

- Wszystko? Liczy się każde słowo. To bardzo poważna sprawa. Zerknęłam w stronę stolika.

Gilles siedział zakłopotany z Brandonem.

- Masz rację. Trzeba jeszcze wiele dodać. Zróbmy to teraz!

Trudno powiedzieć, czy informacja, że bałwan oszust jest fanem nadziewanej przepiórki w Restaurant L'Initiale okaże się kluczowa - ale nigdy nic nie wiadomo.

Ciągle nie byłam wtajemniczona, co właściwie miał na sumieniu rzeczony Malhomme. Policjanci niechętnie wyjawiali

sprośne historie, więc nie uzyskałam wielu szczegółów dotyczących bałwanich ekscesów. W porządku. W każdym razie nie zachowywał się w sposób, jaki przystoi ambasadorowi.

- Ooo, Brandon! Co pijesz? - zapytałam, kiedy wróciłyśmy do stolika.

Rzeźbiarz sączył różowy koktajl podany w długim kieliszku z motywem poroża.

- Francuski Pocałunek. - Uśmiechnął się promiennie. -Chcesz jeden?

- Nie, dziękuję.

I dodałam cicho, tak, że tylko Gilles mógł to usłyszeć:

- Słyszałam, że zostawia nieprzyjemny posmak. Przejrzałam menu i zdecydowałam się na margeritę z papryczkami jalapeño, żeby pokazać wszystkim, jaka jestem twarda.

- Zamówiliśmy przystawki. - Annique zachęcała, żebym się czymś poczęstowała. - A fondue już w drodze!

- Pycha! - powiedziałam, po czym znów zwróciłam się do Brandona: - Jak przebiegł konkurs?

- Cóż, niestety nie wygrałem, ale za to dostałem najlepszą nagrodę.

- W tym momencie spojrzał zalotnie na Gilles'a.

- Macie już wspólne zdjęcie?

- Jeszcze nie - odparł kokieteryjnie.

- To na co jeszcze czekamy? - Wzięłam jego telefon i zaczęłam robić fotki. - No, dalej, przytulcie się! Wyglądacie uroczo!

- Przy okazji, Krista - przerwał mi Gilles - powinniśmy jutro wygospodarować trochę czasu i wybrać fotografie na twój portal.

- Nie ma pośpiechu - zaszczębiotałam. - Nie wrzucę nic na stronę, dopóki wszystkiego tutaj nie zobaczę. Później dokonam selekcji. Chyba że dasz sobie spokój...

- Och, nie.
 - W porządku. Sesja z psim zaprzęgiem pewnie będzie świetna. Dostałaś moją wiadomość, Annique?
 - Tak, ale ciągle nie mogę wyjść z podziwu, że ci się udało! Jak tego dokonałaś?
 - Czego dokonała? - Gilles wyglądał na zdezorientowanego.
 - Przekonała Człowieka Wilka, żeby się z nami umówił. Pozwolił zrobić sesję w swoim domu.
 - Aaa, Człowiek Wilk! Chyba właśnie podsunęłaś mi pomysł na kolejną rzeźbę - ucieszył się Brandon. - Jest taki seksowny, na jakiego brzmi?
 - Hmm, przede wszystkim ma szesnaście szczeniąt...
 - Dobry Boże! - Brandon musiał się powachlować serwetką.
 - Chyba będziesz miał konkurencję, Gilles...!
 - O, przyszli Simone i Yves! - Annique poszła przywitać swoich przyjaciół.
- Zaczęli mnie wypytywać, jak mi się podoba miejsce, gdzie nocuję. Opowiedziałam im o połowie nocy (bo dłużej nie dałam rady) spędzonej w Lodowym Hotelu oraz że później zakwaterowałam się w Hiltonie, a w środę mam zamiar się przenieść do...
- Auberge Place D Armes - pomogła mi Annique.
 - To słodko! - zachwyciła się Simone. - A w ich restauracji musisz koniecznie spróbować deseru bananowego z koniakiem - *c'est magnifique**.
- Po jakimś czasie wszyscy przerzucili się na francuski, co właściwie było mi na rękę, bo w pełni mogłam oddać się mojej miłości do fondue. Już miałam się oświadczyć chrupiącej kromce francuskiego pieczywa, gdy Annique szturchnęła mnie łokciem.
- Widzisz tego mężczyznę pod barem? Gapi się na ciebie.

Miała na myśli eleganckiego dżentelmena o piaskowych włosach i z dołączkiem w brodzie jak Aaron Eckhart. Parsknęłam.

- Fajnie, Annique, ale jeżeli się na kogokolwiek gapi, to na ciebie.

- Nie, nie. Nie wydawało mi się. Potrafiłabym rozróżnić. Zaprośmy go tutaj.

- Co? Nie! - zaprotestowałam i się zarumieniłam.

- Nie chcesz małego romansu w Quebecu? Zerknęłam kątem oka na Gilles'a.

- Już wyczerpałam limit.

- Och, nie zniechęcaj się przez jednego obleśnego natręta!

Gilles wyglądał jak przyłapany na gorącym uczynku, jakby zadawał sobie pytanie: „Ona wie? Annique wie?”. Dałabym słowo, że zawirowało mu w głowie. Może właśnie o tym wcześniej tak żarliwie dyskutowali?

- Nie chodzi tylko o to, że był obleśny - westchnęłam, delektując się wkręcaniem Gilles'a. - Ale to jedno, wielkie kłamstwo. Ten gość musi mieć tupet!

Niestety Annique zepsuła całą zabawę i wyjaśniła wszystkim, że natknęłam się na Malhomme'a.

- Opowiedz nam więcej! - nalegali, ale nie miałam już energii, żeby kolejny raz przytaczać tę samą historię, więc przeprosiłam i poszłam do toalety.

Podziwiałam nowoczesny wystrój i zwlekałam, jak najdłużej myjąc ręce, a potem jak najdłużej je susząc. Nie chciało mi się znów siadać do stolika, ale w końcu zebrałam się do drogi powrotnej. Byłam świadoma, że każdy mój krok zdradza, że jestem lekko wstawiona, więc zatrzymywałam się przy każdej zdobiącej ściany gablotce, podziwiając kolekcje starych kluczy i fragmentów ceramiki wykopanych przez archeologów. Właścicielami

byli państwo Price, którzy zaczęli życie w Quebecu jako walijska firma zajmująca się wycinką drzew. Nieźle im się powiodło.

Szykowałam się właśnie do pokonania drogi schodami w dół i już chwyciłam barierkę, kiedy zobaczyłam Pana Obserwatora idącego w moją stronę. Od razu poczułam się speszona, zrobiło mi się ciepło i nie byłam w stanie wykonać kroku. Patrzył w naprawdę bardzo przenikliwy sposób.

Kiedy mnie mijał, pochylił się nad moim karkiem i szepnął:

- Do zobaczenia na Śnieżnej Kąpieli. Ten głos! TO ON!

Odwrociłam się, ale już był za drzwiami. Co robić? Miałam za nim biec? Wolne żarty, z trudem w ogóle się poruszałam po tamtych oblodzonych chodnikach, a co dopiero pościg. Poza tym najpierw musiałabym założyć płaszcz. Nie znałam uliczek ani obejść, a on pewnie poszedł na skróty...

Położyłam rękę na klatce piersiowej. Serce waliło mi jak młotem. Mogłam zrobić wyjątek i nie mówić nic policji? Byłabym w stanie zaprezentować dokładny rysopis. To samo Annique. A co, jeśli się myliłam?

Ale nie, nie wydawało mi się. Jednak po co miałyby to robić? Wyglądał tak wytwornie, kiedy tu siedział i sączył szampana. Może jest znudzonym playboyem?

- Krista? Wszystko w porządku? - Annique przybiegła mi na ratunek.

- Trochę kręci mi się w głowie.

- Wypiłaś raptem jeden drink - zadrwił Gilles, kiedy niezdarnie opadłam na krzesło.

- Nie do końca. W drodze tutaj opróżniłam całą laskę Caribou...

- Ajjjjj... - jęknęli wszyscy z wyrazem współczucia.

- A w ogóle wiesz, co to jest?

- Grzane wino?

- Może i smakuje jak grzane wino, ale w rzeczywistości to mieszanka wybuchowa: brandy, wódka, sherry i porto!

O matko.

- Dodaj jeszcze fakt, że weszłaś do ciepłego pomieszczenia z kilkunastostopniowego mrozu...

- ...i teraz alkohol szybciej płynie w twojej krwi.

- Boże, pamiętam moment, gdy...

Wszyscy po kolei podzielili się traumatycznymi historiami z Caribou w roli głównej, a kiedy już ostatnia osoba wygłosiła morał opowieści, wybąkałam:

- Chyba powinnam wrócić do hotelu.

- Odprowadzę cię. - Gilles zerwał się na równe nogi.

- Nie trzeba. - Usadziłam go z powrotem, chyba zbyt stanowczo. - Mogłabyś zamówić mi taksówkę, Annique?

- *Bien suñ*

Całe szczęście taksówka przyjechała po kilku minutach. Nie mogłam się doczekać, aż położę się do łóżka. Gdybym tylko wiedziała, że przyśni mi się, że zostanę wciągnięta przez tornado razem z sześcioma husky sączącymi drinki i gorącym garnkiem fondue...

Już wiem, dlaczego nazywają ten drink Caribou.

- No? - dociekała Laurie.

- Bo zrobiło mnie w jelenia.

Ustawiłam rozmowę na tryb głośnomówiący, a sama podziwiałam w lustrze efekty zemsty alkoholu. — Nie wierzę. Pewnie nie jest aż tak źle.

- O, Jezu! - krzyknęła wstrząśnięta. (A nie mówiłam?). - Dzięki lasce sama jesteś teraz niezłą laską.

- Och, nie dobijaj mnie. Naparstek by zadziałał, co dopiero taki „długi” szot.

- Dobra, teraz najważniejszy wybór - co na siebie założysz?

- Cóż, przy tej pogodzie z dekoltem do pępka raczej nie wystąpię, więc albo mój czarny płaszcz...

- Oj, lepiej rozważ coś innego. — Laurie się wzdrygnęła. - Czarny tylko podkreśla cienie pod oczami.

- Poza tym miałam go na sobie poprzednim razem. Lepiej wezmę ten w kolorze kości słoniowej.

Miałam nadzieję, że Annique nie ubierze się dzisiaj na biało. Wyglądałabym przy niej jak rozbabrana bita śmietana przy mlecznym lodzie na patyku.

- Pogadajmy na Skypie, to zobaczysz.

- A który szalik? - Podniosłam cieniowany pomarańczowy i gładki szary.

Schylłam się jeszcze po rękawiczki.

- O Boże!

- Co się dzieje?

- Kolejna fala mdłości.

- Pewnie lepiej byś się poczuła, gdybyś zwymiotowała. Ulżyj sobie.

- Chciałabym. Kilka razy mi się zbierało, ale nic z tego.

- Czy to Krista? - zaszcebiotał kobiecy głos w tle. Danielle czaiła się za plecami Laurie. - Ojej, wybrałaś kiepskie zdjęcie.

- Tak się składa, że to nie zdjęcie - to ja.

- Powiedziałaś jej? - Skrzywiła się Danielle.

- Co mi miała mówić?

Najwyraźniej Laurie uszczypnęła Danielle, bo ta odskoczyła z sykiem i zaczęła się tłumaczyć:

- Pomyślałam, że powinna wiedzieć.

- Halo? Co mi macie do powiedzenia?

- Och, nic takiego. Nudne duperele na stronę. Potencjalne przeróbki. Zmiana designu. Nic, czym musiałybyś sobie zawracać teraz głowę.

- Mogłabyś mi po prostu powiedzieć prawdę. Laurie wyglądała na skrepowaną.

- Co Danielle miała na myśli? - drażyłam. - Czy to ma jakiś związek z Andrew?

Westchnęła ciężko.

- Naprawdę uważam, że to nie jest dobry moment na taką rozmowę.

Dziwne uczucie zaczęło mi świdrować brzuch. Starłam się jednak zachować świeżość w głosie i zakamuflować strach...

- Zmierzymy się z tym - zaczęłam. - Czuję się tak źle, że gorzej już chyba być nie może. Miejmy to za sobą. I tak nic więcej mi nie zaszkodzi.

- Racja.

- Wolę się teraz dowiedzieć. W razie czego czeka mnie tu wiele atrakcji na pocieszenie.

- Mhmmm.

- Będę się zadrećcać cały dzień, jeśli teraz mi nie powiesz. Laurie z impetem położyła na blacie obydwie dłonie i przybrała pozę prezenterki w serwisie informacyjnym.

- Nie jest dobrze.

- Jak to? Zapłodnił dziewczynę młodszą ode mnie o połowę czy co? Laurie wyglądała, jakby miała się zaraz rozplakać.

- No nie gadaj!

- Ma dziewiętnaście lat. Przywozi kanapki do jego biura.

- O mój Boże! - Poczołgałam się do łazienki i wszystko z siebie wyrzuciłam - Caribou, fondue i ból.

Kiedy skończyłam, usiadłam między wanną a toaletą i zaczęłam ryczeć jak bóbr. Tarłam dłońmi twarz i brałam w garści włosy. To nie do zniesienia! Czułam się bezużyteczna. Nie mogłam się wywiązać z pewnych usług, więc znalazł się ktoś z lepszą ofertą. I teraz ten ktoś zacznie życie, o jakim ja przez cały czas marzyłam. Łzy spływały mi ciurkiem po policzkach.

- Och, Krista - słyszałam zmartwioną Laurie. - Dlatego właśnie nie chciałam ci nic mówić.

Podpełzłam z powrotem do komputera i zakryłam twarz szalikiem.

- Wybacz, Laurie. Przepraszam, że to ty musiałaś mi wszystko wyznać.

- Nie wygłupiaj się. Cieszę się, że mogę być z tobą w takiej chwili - nawet wirtualnie. Szkoda tylko, że Danielle zaczęła tak z grubej rury.

- Tak jest lepiej - skłamałam.

Próbowałam wziąć się w garść, ale ciągle miałam w głowie obraz Andy'ego, który z dumą kładzie dłoń na brzuchu dziewczyny, a w drugiej ręce trzyma buciki i pozytywkę do zawieszenia nad kołyską. Sama dziewczyna się nie liczyła. Nie obchodziło mnie, jak wygląda i czy się dogadują - ważne, że będzie lepszą matką niż ja. To najbardziej bolało. Stanie na najwyższym piedestale, jaki mogła sobie wyobrazić. I ten sukces osiągnęła tak łatwo, niemal bez żadnego wysiłku...

- Czuję się z tym źle... - westchnęła Laurie.

- Daj spokój, serio - nalegałam. - Kiedyś to się musiało stać. W końcu do tego cały czas dążył i tego naprawdę chciał.

- Ale to niesprawiedliwe, że mu się udało. Przecież ty też o tym marzyłaś! I na pewno byłabyś wspomniała matką.

- Nie byłabym. - Potrząsnęłam głową, a łzy znowu napłynęły mi do oczu. - Muszę iść.

- Zaczekaj! Co masz zamiar zrobić?

Miałabym wstać, ubrać się i iść na przejażdżkę psim zaprzęgiem? A Gilles próbowałby uchwycić każdy mój ruch na zdjęciu? Nie, to już za wiele.

- Pójdę na zwolnienie.

- Ale jesteś tu tylko tydzień, chyba nie masz zamiaru zmarnować całego dnia na płkanie w poduszkę! - Przybliżyła się do kamerki. - Wiem, że łóżko wygląda w tym momencie zachęcająco.

- W istocie.

- Ale w nim czeka cię jeszcze więcej przykrości i będziesz opłakiwać coś, z powodu czego wylałaś już wystarczająco dużo łez.

Wystarczająco dużo łez. Skąd wiadomo, że już wystarczy? Dlaczego zawsze ma się wrażenie, że jeszcze sporo zostało do wypłakania? Zamiast dopytywać i zadrećzać Laurie, odpowiedziałam:

- Masz rację.

- Jeśli zostaniesz w łóżku, nic się nie zmieni. Jeśli wstaniesz, może czeka cię wspaniały dzień. Poza tym - co zawsze pomagało ci odzyskać dobry humor?

- Mój pies.

- A ile Jacques ma psów?

- Dziewięćdziesiąt osiem.

- Więc nie będziesz się czuła dziewięćdziesiąt osiem razy lepiej niż teraz?

- Będę! - Uśmiechnęłam się.

- Okej. Teraz plan działania: idziesz na śniadanie w czapce, wyglądając jak postać z filmu o zombie, zjadasz coś tłustego, wracasz na górę, bierzesz prysznic i pozwalasz wszystkim myślom o gościu, którego imienia nie wymówię, zniknąć w splotach. Kapujesz?

- Tak jest!

Trochę mnie to uspokoiło. To była przemowa podnosząca na duchu.

- I zażyj witaminę C.

- Dobrze.

- Jeszcze wszystko możesz odwrócić i mieć świetny dzień. Wiem, że możesz.

- Dziękuję ci - odparłam szczerze.

- W porządku. Pisz, jak ci idzie. Kocham cię!

- Ja ciebie też!

Przez minutę siedziałam w milczeniu, przyciskając telefon do piersi. Jakie to szczęście mieć taką przyjaciółkę jak Laurie.

Potem wstałam i zastosowałam się do jej zaleceń. Pokrzepiłam się podwójną porcją ziemniaków, wypićam oczyszczającą zieloną herbatę, a potem utopiłam smutki (i grzanekę) w syropie klonowym.

Już miałam pochłonąć ostatni, ociekający złotą słodyczą kęs, kiedy zabręczał mój telefon. Dostałam od Laurie e-mail z tytułem „Obczaj to!”.

Otworzyło mi się zdjęcie przedstawiające brązową figurkę husky z pręgą ze śniegu wzdłuż grzbietu. Wyglądał znajomo...

„Krista!!! - zaczynała się wiadomość. - Pamiętasz to zdjęcie z moich świątecznych zakupów w Nowym Jorku?”.

Nowy Jork.

Zmarszczyłam czoło.

„Zrobiłam to zdjęcie w Central Parku. Uznałam, że to po prostu fajny posąg ustawiony na kamieniu, ale kiedy przeglądałam fotografie psów zaprzęgowych, które mi podesłałaś, zakręcony ogon z czymś mi się skojarzył... I okazało się, że to figura słynnego na całym świecie psa Balto!”.

W drodze do pokoju przeczytałam w sieci o styczniu 1925 roku. Wtedy na Alasce szalała epidemia dyfterytu i istniało zagrożenie, że w wyniku choroby w mieście Nome umrą wszystkie dzieci. Najbliższa placówka medyczna znajdowała się dopiero w Anchorage, miejscowości oddalonej o tysiąc sześćset kilometrów. Żaden pociąg nie dojeżdżał tak daleko na północ, a jedyny samolot nie mógł wystartować z powodu zamarznętego silnika. Jedyna nadzieja została w saniach zaprzężonych w psy... Postanowiono z ich pomocą przetransportować szczepionkę do miasta potrzebującego ratunku.

- Ale numer! - szepnęłam zdumiona, szukając klucza do hotelowego pokoju.

„Ponad dwadzieścia psich zaprzęgów biegło nieustannie, nawet przez nawałnice i przy kilkudziesięciu stopniach poniżej zera. Psy zdawały się rozumieć pilną potrzebę i powagę ich misji”.

Zatkało mnie z wrażenia, wyobraziłam sobie ich determinację, obolałe łapy i wywieszane języki.

„1 lutego ostatni odcinek do Namo miał przebiec zaprzęg, którego liderem był pies Balto. Husky dzielnie przewodził w dramatycznych warunkach, gdy szalała zawieja i było niemal całkowicie ciemno. Dzięki jego instynktowi udało się pokonać ostatnie kilometry i dostarczyć paczkę z lekami. W Namo powitała go prasa i ogłoszono go bohaterem narodowym!”.

Brawo, Balto!

„Dziesięć miesięcy później wzniesiono tę statuę na cześć uczestników misji. A pamiętasz wyścig Itiarod, o którym kiedyś wspominałaś? Został powołany i organizuje się go co roku właśnie po to, by uczcić pamięć wyprawy do Namo!”.

Aż mi zawirowało w głowie, kiedy to czytałam...

„Chodzi o to, że to kolejny znak - podsumowała Laurie. -Wszyscy jesteśmy w jakiś sposób połączeni - ja, ty, Nowy Jork, psy husky i Jacques, a nawet wyścigi zaprzęgów! Jesteś tam, gdzie powinnaś być! Teraz tylko musisz brnąć do przodu!”.

Miała rację. Czas rozliczyć się z przeszłością! Co się skończyło, to się skończyło. Kropka. „Szczęście Andy'ego to już nie moja sprawa”, myślałam, stojąc pod prysznicem. To jego życie. Ja mam swoje. Jestem kobietą z misją. Co prawda nie jest to misja ratunkowa i nie muszę nigdzie dostarczać szczepionki, ale mam swój cel. Mam też najlepszą na świecie przyjaciółkę - jak można nie kochać kogoś, kto zawsze potrafi podnieść na duchu, a później jeszcze ciągle dopinguje i kibicuje. Szczęściara ze mnie, prawda?

Gdy już się ubrałam, czułam się silniejsza i byłam gotowa zacząć nowy dzień. Wrócił dobry humor i postanowiłam go zaakcentować energetycznym kolorem szalika. Wszystko znów było w porządku - do momentu, gdy wyszłam z windy i trafiłam na Gilles'a stojącego w holu.

W pierwszej chwili chciałam ukryć się w kącie i poczekać na Annique, czytając dalej ciekawostki o psich zaprzęgach, ale zmieniłam zdanie. Zwyczajnie nie miałam tego dnia energii, żeby silić się na opryskliwe zachowanie wobec niego. Jego „przewinienie” z perspektywy dwóch dni wydawało się błahe - przecież on nie składał mi obietnic na całe życie. W końcu dał mi jasno do zrozumienia, że „nie może tego zrobić”.

- Dzień dobry! - przywitałam się i usiadłam obok niego.

- Cześć...

- Chciałeś ze mną pogadać? Wczoraj...

- J-ja... - jąkał się. Wyglądał na przegranego, zanim zaczął. - Pewnie uważasz, że jestem draniem.

Zmarszczyłam brwi.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że tak namieszałem.

- Nie namieszałeś. Z Annique wszystko gra. Nic jej nie powiedziałam i nie powiem.

- Mam na myśli ciebie. — Spojrzał poważnie w moje przekrwione oczy. - Wszystko spartaczyłem.

- W porządku. - Wzruszyłam ramionami. - Udawajmy, że to nigdy się nie stało.

- Nie chcę, żebyś myślała, że zawsze zachowuję się w ten sposób.

- Więc tylko wtedy, gdy temperatura spada poniżej zera? Przygryzł usta.

- Próbowałem znaleźć dla siebie usprawiedliwienie. Dlaczego zachowałem się tak nieprofesjonalnie, przecież dopiero się poznaliśmy. .. Ale byłem tak pochłonięty tym, co robimy, że przestałem myśleć - kierowało mną pożądanie...

- Och. - Machnęłam ręką, jakbym chciała odbić jego słowa. Nie mógł w lepszym momencie wypowiedzieć słowa „pożądanie”. - Nie jestem kimś na długo, a Annique jest. Dokonałeś właściwego wyboru.

- Więc dlaczego ciągle coś cię gryzie?

- Chodzi o poczucie winy i zażenowanie, że nawet na chwilę zawróciłam ci w głowie.

- Naprawdę? - Wyglądał na zakłopotanego.

- Tak, bo jesteście dla siebie stworzeni. Jesteście piękni.

- O wilku mowa... - Poderwał się.

Odwróciłam się i przetarłam oczy z niedowierzania. Ledwo ją poznałam. Bujne fale zastąpił oklapnięty kucyk, wielkie, błyszczące oczy znacznie się zwężyły i podpuchły, jej promienna skóra zwiędła.

- O mój Boże! - Podbiegłam do niej. - To sprawka Caribou! Kiwnęła minimalnie głową.

- Co się stało?

- Kiedy wczoraj poszłaś, postanowiliśmy zrobić alkoholowe zawody...

- Jakim cudem ty wyglądasz normalnie? - zwróciłam się do Gillesa.

- Podrzucili mnie tu wcześniej, jadąc do Grande Allée - tłumaczył, kiedy odprowadzałam Annique do sofy. - Chciałem przejrzeć wykonane do tej pory zdjęcia i pokazać ci kilka najlepszych, żebyś widziała, że dobrze wykonuję swoją pracę.

- Dobrze, rzucę na nie okiem w samochodzie. Teraz musimy zaprowadzić Annique do bufetu...

Nie czułam się źle. Odkryłam nową więź z Annique i Gilles'em. Może to brzmi przesadnie cnotliwie, ale życzyłam im jak najlepiej, a sama nie chciałam się pakować w żadne romansowe gmatwaniny. Jacques wydawał się bardziej racjonalnym wyjściem, bo znajdował się poza zasięgiem - i fizycznie, i emocjonalnie - dzięki czemu mogłam zachować swoje zadurzenie w tajemnicy i nie martwić się o rezultaty. Zwyczajnie lubiłam przebywać w jego towarzystwie. Lubiłam jego obecność. Lubiłam jego oczy. Lubiłam obserwować go w otoczeniu psów. Lubiłam słuchać, jak mówi, a kiedy zwracał się bezpośrednio do mnie - czułam się zaszczycona. Może nawet wyróżniona. Zupełnie niegroźne zauroczenie.

To miejsce wygląda zupełnie inaczej, kiedy jest przykryte śniegiem. - Annique oglądała przez szybę krajobrazy Ile d'Orléans. - Zazwyczaj przyjeżdżałam tu w lecie. Rodzina mojego byłego ma tu dom - powiedziała z tęsknotą. - Każde wakacje przez dziesięć kolejnych lat...

Chciałam się dowiedzieć, w jaki sposób i dlaczego ten człowiek stał się „byłym”. Komu mogło przyjść do głowy, żeby ją zostawić? Ale uznałam, że to byłoby niegrzeczne w stosunku do Gilles'a.

Zamiast zadawać niewygodne pytania, postanowiłam popisać się przed dwójką moich towarzyszy nowo zdobytą wiedzą na temat psów i zaprzęgów.

- Czy wiedzieliście, że nos husky w ciągu zimy może zmienić kolor z brązowego na różowy?

Potrząsnęli głowami.

- To zjawisko zwane nosem śnieżnym! — wyjawiałam rozbawiona nazwą. - A pierwsze sanie Eskimosów wykonywano z zamrożonych łososi owiniętych w wyprawioną skórę zwierząt i paru kości!

-CO???

- A czasami rzeźbili je z lodu.

- Całe sanie?

Przytaknęłam.

- To kolejny pomysł, który możemy podsunąć Brandonowi -ucieszyłam się.

- A dlaczego tak wiele psów ma różnokolorowe oczy? - Gilles był ciekawy.

- Nie do końca wiem dlaczego, ale fachowo mówi się na to heterochronia.

- Jacques tak ma - zauważyła zamyślona Annique.

- To prawda - westchnęłam.

Większość trasy przejechaliśmy w milczeniu, żeby zachować energię i uspokoić szalejące w brzuchach motylki.

- Masz pewność, że jesteśmy tam mile widziani? - sprawdzała Annique, kiedy wjeżdżaliśmy na podjazd.

-Jak najbardziej - przekonywałam.

Tak się jednak niefortunnie złożyło, że pierwszą osobą, którą spotkaliśmy, był Sebastien.

- Witaj ponownie - brzmiał jego otwierający gambit.

- Sebastien! - symulowałam zachwyt. - Poznaj proszę moją przewodniczkę Annique i fotografa Gilles'a.

Uniósł brew.

- Masz swoją świtę?

- Tylko w pracy. Przygotowujemy materiał o tym miejscu do brytyjskiego portalu podróżniczego. Może Jacques ci o tym wspominał?

- Może.

Już wiedziałam, że się nie dogadamy.

- Jest gdzieś może w pobliżu?

Sebastien wykonał głową gest wskazujący główny budynek.

- Super, dzięki z pomoc!

- *Sacré bleu!* Z czym on ma problem? - dziwiła się Annique.

- Podejrzewam, że zrobił salto nie z tej strony stodoły, co trzeba.

- *Comment?*

- Aaa, nic. Po prostu jest gburem.

Tymczasem Jacques alias Człowiek Wilk - czyli ten, który powinien na nas warczeć i trzymać na dystans - przywitał nas ciepło, ciągle się uśmiechając.

- To miejsce jest wspaniałe - cieszył się Gilles. - Bardzo malownicze. Może mógłbym... - I od razu zaczął cykać zdjęcia kominkowi, topornym buciorom i błotnistym śladom zostawionym na posadzce.

- Proszę, czuj się swobodnie. Tylko nie rób mi zdjęć.

„Co za strata”, pomyślałam. Czytelnicy odwiedzający moją stronę na pewno z przyjemnością wpatrywaliby się w jego portret.

- Gotowa na kolejną przejażdżkę?

- Nie mogę się doczekać! Obawiam się tylko, że w moich żyłach ciągle płyną pozostałości Caribou z poprzedniej nocy...

- W takim razie zorganizuję ci delikatną ekipę - zaśmiał się. - Ty też po Caribou? - zapytał Annique.

Przytaknęła.

- Mielibyście coś przeciwko temu, gdybym została tu i na was poczekała? Za każdym razem, gdy ruszam głową, wiruje mi obraz.

- Nie ma problemu. W środku czeka na ciebie gorąca czekolada, a w skrzyni są koce. Rozgość się.

- Jest kilka ujęć, które chciałbym wykonać... - Gilles tłumaczył Jacques'owi, kiedy szliśmy do psów.

Planowaliśmy parę statecznych fotografii z psim zaprzęgiem, ale Gilles najbardziej czekał, aż psy wystartują i wtedy, leżąc w śniegu, będzie mógł uchwycić ich ruch.

- Zazwyczaj biegniemy po wyznaczonym okrążeniu, ale jeśli chcesz, możemy zaaranżować inną trasę, żeby było ci wygodniej.

Jacques przedstawił mnie gromadce czworonogów z mojego nowego zaprzęgu. Myślałam, że znowu zobaczę suczkę Maddy, ale akurat tego dnia miała wolne.

- Sherri sprawia wrażenie nieśmiałej - zauważyłam.

- Nie przejmuj się. Zobaczysz, jak zaczniesz biec - to prawdziwa atletka. Potrafi się doskonale skupić. - Pogłaskał ją po rudawym czole.

- Wszystko gotowe?

- A nikt ze mną nie pojedzie?

- Nie ma takiej potrzeby, podobno radzisz sobie doskonale. Sebastien powiedział, że bardzo szybko się nauczyłaś.

- To prawda, ale wtedy nie byłam po alkoholu.

- Będzie dobrze. Pojadę przed tobą, żeby psy mnie widziały.

- Skoro jesteś pewien...

- Jestem.

Podobało mi się jego zdecydowanie. Poza tym już bardzo dawno żaden mężczyzna tak we mnie nie wierzył. Miałam nadzieję, że niczego po drodze nie zepsuję.

- Okej, wsiadaj.

Trzymał sanie w miejscu, żebym mogła swobodnie zająć pozycję. Nigdy przedtem nie stałam tak blisko niego, nasze kurtki się o siebie ocierały. Przyjemnie uczucie.

- Pozwól mi kawałek odjechać, a potem odblokuj hamulec. Pokiwałam głową na znak zgody.

- Wszystko jasne?

Kiedy zszedł z moich sanek, ustawiałam się, żeby było mi wygodnie i bezpiecznie. Stałam na drążku hamulca obiema stopami. Zaczęłam się stresować.

Wcześniej, z pasażerem siedzącym z przodu, czułam się dużo pewniej, miałam dodatkowe obciążenie. Nie spodziewałam się,

że kiedykolwiek to powiem - ale w tamtym momencie tęskniłam za Sebastienem.

Jacques wystartował jak rakieta i po paru sekundach niemal zniknął z pola widzenia.

Moja drużyna zaczęła skomleć, tak bardzo chciała już ruszyć i dogonić kolegów. Jacques podniósł rękę na znak, ale nie mogłam się zdobyć na poluzowanie hamulca. Bałam się, że będzie za bardzo trzęsło saniami.

- *Allez!* - krzyknął Gilles.

Och, dlaczego stanęłam na hamulcu dwiema nogami? Teraz musiałam wykonać mały skok, żeby znaleźć się na stanowisku poganiacza.

- No dalej, Krista! Teraz!

Raz kozie śmierć! Zeskoczyłam z hamulca, źle wylądowałam na platformie, a kiedy próbowałam poprawić ułożenie stóp, zachwiałam się i zsunęłam z sanek. Leżałam twarzą w śniegu, a mój zaprzęg pruł do przodu beze mnie - prosto na przygotowanego do serii zdjęć Gillesa.

Jacques zawrócił i wołał Sebastiena. Ten akurat kucał na dachu stodoły jak Spiderman. Chyba nie zamierzał skoczyć do pędzących sań?

Ależ oczywiście, że zamierzał. I to zrobił - bo kto inny byłby do tego zdolny. Kiedy zaprzęg mijał stodołę, Sebastien z gracją dał susa z dachu i wylądował idealnie na siedzeniu pasażera sań. Wystawił nogę i zaczął ryc piętą w śniegu, żeby zwolnić. Wydawał też polecenia psom, żeby się zatrzymały.

A one posłuchały.

Gilles wstał i wiwatował:

- *C'est incroyable! Bravo!*

To niewiarygodne! (z fr.) - przyp. red.

A ja czułam się zupełnie skompromitowana. Wszystko schrzałam. Zawiodłam Jacques'a, a Sebastiena utwierdziłam w przekonaniu, że jestem jak wrzód na tyłku i wcale nie mam wycucia do prowadzenia zaprzęgu. Poza tym znowu zepsułam zdjęcie.

Wiele mnie kosztowało, żeby się podnieść. Rano miałam rację — trzeba było zostać w łóżku.

- Jesteś cała? - Jacques biegł do mnie, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Swój zaprzęg zostawił pod opieką Gilles'a.

- Przepraszam... - zaczęłam, nie patrząc mu w oczy.

- Przecież każdy poganiacz może zaliczyć upadek.

- Po dwóch sekundach?

- Zapomniałem, że ciężar sań był teraz dla ciebie inny. Następnym razem pójdzie ci lepiej, już jesteś przygotowana.

- Chcesz, żebym spróbowała ponownie?

- Oczywiście! Cicho! - uspokajał psy, które znów nie mogły się doczekać startu. - Sebastien wszystko naszykuje.

Świetnie, jeszcze tylko konfrontacja z Sebastienem...

- Krista... - Znów wypowiedział moje imię. - Nie rezygnuj. Spojrzałam mu w oczy - te niesamowite, nieziemskie oczy - i poczułam falę emocji.

- Okej, okej. Zrobię to.

- Dobra dziewczyna! - powiedział, poklepując mnie po tyłku w najmniej inwazyjny sposób.

Nie można było powiedzieć, że ten gest miał podtekst seksualny. Pod tyłoma puchowymi warstwami?

Pobiegł do swojego zaprzęgu, a ja powlokłam się w stronę Sebastiena. Zżerała mnie trema, oddychałam nerwowo, szykując się na najgorsze komentarze.

- Dziękuję ze zatrzymanie psów.

- Nie ma sprawy.
 - Nie chcesz mi nic więcej powiedzieć? - Zmrużyłam oczy.
 - Niby co?
 - Na przykład, że powinnam sobie dać spokój i wracać do domu?
 - A jaką bym miał wtedy rozrywkę?
- Trudno mi było ocenić, czy żartuje w miły sposób.
- Nie chcę ci psuć zabawy, ale tym razem zamierzam pojechać prawidłowo.

Spojrzał na mnie badawczo.

- Zamień się ze mną miejscami i stań na hamulcu. Zrobiłam, jak zarządził, ale ku mojemu zaskoczeniu wcale

mnie tak nie zostawił - stanął za mną i złapał za drążek, obejmując mnie rękami, jego klatka piersiowa przylegała do moich pleców, brodę wpijał mi w czapkę.

- Pozwól, że ja się teraz zajmę hamulcem.
- Dobrze... - Ostrożnie stanęłam na platformie.
- Weź głęboki oddech.

Napełniłam płuca, a potem powoli wypuściłam powietrze.

- Zdaj się na psy, to profesjonaliści. Wszystko, co musisz robić, to trzymać ten drążek i ładnie pozować przed obiektywem. *Allez, allez!* - krzyknął i zeskoczył z sanek, upadając plecami na śnieg.

Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

Sebastien jest okropny, a jednocześnie taki spoko! A mi dobrze idzie! Sama prowadzę zaprzęg! Tylko na mnie spójrzcie! Nagle poczułam się zupełnie swobodnie i niczego się nie bałam.

-Juhuuuu!

Co za wspaniała sprawa! Znowu miałam wrażenie, że mogłabym tak pędzić bez końca, ale Jacques zaczął wysyłać mi sygnały, że czas na przerwę.

- Oj, oj! - Zahamowałam.

Działało! Zatrzymałam się we właściwym miejscu.

Obserwowałam, jak Jacques przywiązuje zaprzęg liną do drzewa. Kiedy skończył, ruszył, żeby mi pomóc. Rozłożył ramiona i się uśmiechnął.

- Udało ci się!

Przytuliłam się do niego. Serce waliło mi jak młotem.

- Wiedziałem, że dasz radę.

- Dzięki za wiarę we mnie. - Spojrzałam na niego rozpromieniona. - I za cierpliwość. I za brata akrobatę.

Zaśmiał się.

- Niezły jest, co? Musimy go przekonać, żeby wrócił do Cirque.

- A dlaczego w ogóle zrezygnował? - zapytałam, ostrożnie uwalniając się z uścisku.

- Ze względu na mnie - odparł, strzepując śnieg z rękawiczek.

- Trochę źle ocenił sytuację, a teraz doprowadza mnie do szału!

- Nagle zadzwonił jego telefon. - Poczekaj - poprosił mnie. - Halo? Tak. Jesteśmy tuż za rzeką. Dobrze, poczekamy na niego.

- Po czym zwrócił się znowu do mnie: - Twój fotograf już do nas jedzie.

- Super - odparłam, ale oczywiście wcale nie byłam zadowolona z tego powodu. - A co z Cyrkiem Słońca? Przyjęliby go z powrotem?

- Z otwartymi ramionami. Włożyli wiele pracy w jego treningi. Jest jednym z najlepszych akrobatów wykonujących ewolucje na nartach w powietrzu.

- A oprócz tego jeszcze skacze na trapezie, dynda na linie albo rzuca się z wysokości bez żadnych zabezpieczeń?

- Wszystko to potrafi.

- Wyobrażam sobie. Można poznać po charakterze.

- W Montrealu jest zupełnie inną osobą. Tutaj staje się zrzędlawy, to dla niego zbyt prowincjonalne miejsce.

- Dobrze mówisz po angielsku - stwierdziłam z uśmiechem.

- To był główny język mojej mamy.

- Rozumiem. - Pokiwałam głową, a potem kucnęłam, bo Sherri ocierała się głową o moje nogi. - Twoje psy są takie kochane! Wiesz, Jacques, rozważałam jednodniową wycieczkę do Montrealu. Chciałabym zrobić tam krótki materiał na mój portal. Może Sebastien zechciałby mnie oprowadzić?

- Byłby najlepszym przewodnikiem, ale na pewno się nie zgodzi. Nie pojedzie tam.

- Nawet na jeden dzień? Przytaknął.

- Może spróbujemy z naszym ojcem...

- Mieszka tam?

- Tak. O, wraca twój kolega. - Wskazał za moje plecy. Gilles wyglądał na wyczerpanego i jednocześnie bardzo zadowolonego.

Gdybym wiedziała, że zjawi się tam tak szybko, nie zmarnowałabym całego czasu na rozmowę o Sebastienie. Miałam nadzieję, że nie zrobiłam złego wrażenia...

- Chcesz jeszcze raz?

- Nie trzeba. Mamy to! Tylko spójrzcie... Wyjął aparat i pokazał nam serię zdjęć.

- Wyglądasz na szczęśliwą. - Śmiał się ze mnie Jacques. Sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę potarosić moje włosy, ale przeszkadzała wełniana czapka. Szczerze mówiąc, sama chciałabym to zrobić z jego włosami.

- Zastanawiałem się, czy mógłbym zrobić jeszcze kilka ujęć z perspektywy Kristy i jej zaprzęgu.

- Naturalnie - zgodził się Jacques i pomógł Gilles'owi usadowić się w sankach.

-1 może jeszcze uda mi się uchwycić Kristę? Wyszłabyś bardzo korzystnie, gwarantuję! -Wątpię!

- W porządku. - Jacques odwiązał linę i wręczył ją mojemu pasażerowi. - Trzymaj to, a ty Krista - tak jak poprzednio - pozwól mi trochę odjechać, a potem sama wystartuj.

- Ma się rozumieć.

- Robiłeś to już kiedyś? - zapytałam Gilles'a.

- Nigdy. Auć! Nie sądziłem, że będzie tak trzęsło.

- Przyzwyczaisz się.

- A może nagram filmik? Chcesz? To urozmaiciłoby twoją stronę.

- Byłoby wspaniale. - Wyobraziłam sobie miniaturkę wideo z biegającymi psami.

Przez dłuższą chwilę jechaliśmy w milczeniu, skupiając się na rytmicznym tętnie psich łap, odgłosach skrzypiącego śniegu i trzasków drewnianych sań. Nagle Gilles krzyknął:

- Och, *merdé*.

- Dosłownie! - zazartowałam, bo Didier właśnie na środku drogi urządził sobie toaletę. - Ale, na litość boską, nie nagrywaj tego!

- Sama chciałaś autentyczny reportaż!

Jęknęłam głośno, ale od razu zaczęłam chichotać.

Ruszyliśmy ponownie, a ja delektowałam się widokiem błękitnego nieba i nieskazitelnych połaci śniegu, oddychałam głęboko krystalicznie czystym powietrzem. Cieszyłam się, że jednak nie zostałam w łóżku. Laurie miała rację! To fantastyczne, jak szybko dzień może stać się lepszy...

Kiedy wróciliśmy do bazy, Jacques już witał kolejną umówioną grupę. Przyszedł tuzin gości - jeśli nie więcej - więc Człowiek Wilk miał pełne ręce roboty.

- Zechcielibyście poczekać godzinę, żebym mógł wam w wolnej chwili pokazać szczenięta? - wychylił się i zapytał.

Spojrzałam prosząco na Gilles'a.

- W porządku. Będę mógł zrobić jeszcze więcej zdjęć. Wiedziałam, że Annique nigdzie się nie spieszy.

A ja? Użyłabym każdej wymówki, żeby zostać tam jak najdłużej się da!

Udawałam, że pokazuję Gilles'owi kudłate psie mordki, ale w rzeczywistości cały czas obserwowałam Jacques'a. Próbowalam podsłuchać, jak cierpliwie odpowiada na pytania turystów i zdradza szczegóły przebiegu Itiarod.

- Oczywiście to może być niebezpieczne - opowiadał. - Między przystankami nie wiadomo, co się może stać z poganiaczem i jego drużyną. Wtedy są zdani na pastwę dzikiej przyrody. To bardzo nietypowa dyscyplina. Nie ma w niej miejsca nawet dla komentatora.

- Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się zgubić albo może miałeś wypadek na odludziu?

- Miałem mnóstwo drobnych tarapatów, ale nigdy nic poważnego. Zdaje się, że najbardziej dramatyczny incydent przytrafił mi się kilka lat temu podczas Yukon Quest. Orli Szczyt to najwyższe i najtrudniejsze wzniesienie do pokonania. Tamtego roku - to chyba był 2006 - pogoda okazała się wyjątkowo kapryśna. Wiatr był tak silny, że zmiatał cały śnieg, obnażając skały i kamienie, na których nie dało się hamować. Wszelkie ślady, wskazówki i oznaczenia trasy również zniknęły. Widoczność z kolei była tak słaba, że nie widziało się własnych psów. - Pokręcił głową. - Jeden poganiacz zgubił zaprzęg. Próbował zlokalizować psy po głosach, ale ich szczekanie zagłuszał wyjący wiatr.

- Och, nie! - przeraziła się pulchna kobieta. - Czy miały szansę przeżyć?

- Cóż, zimno to nie problem, ale wciąż były przywiązane do sanek, co mogło się okazać fatalne w skutkach. Na szczęście się nie okazało - dodał szybko. - Zabłądziło wiele drużyn, a lokalnym traperom i kierowcom skuterów nie udawało się ich namierzyć, dlatego wezwano na pomoc wojskowych. Wysłano nawet helikopter Black Hawk i w ciągu dwóch godzin udało się uratować sześciu poganiaczy i osiemdziesiąt osiem psów.

- Wow! - Cała grupa była pod ogromnym wrażeniem i spontanicznie zaczęła bić brawo.

Mnie również ulżyło.

W duchu modliłam się, żeby historia dobrze się skończyła. Wyobraziłam sobie te biedne, zbłąkane psy biegnące ślepo w zawiei z pustymi saniami.

- Niestety żadna z uratowanych drużyn nie ukończyła wyścigu, ponieważ jeśli zaakceptuje się pomoc z zewnątrz, zostaje się automatycznie.

- O rety, to brutalne.
- Takie są zasady. - Wzruszył ramionami.
- A co się dzieje, kiedy podczas biegu pies zostanie ranny?
- Odpina się go od zaprzęgu, opatruje ranę (w miarę możliwości), układa na saniach i jedzie dalej.
- Czy to prawda, że można jechać zaprzęgiem liczącym do szesnastu psów?
- Tak, ale ja wolę dwanaście.
- Dużo kobiet startuje w wyścigach? - zainteresowała się młoda dziewczyna.
- Coraz więcej. W ostatnim Yukon Quest wzięła udział osiemnastoletnia debiutantka.
- Są sprzeczni, że kobiety chcą startować jako poganiacze?
- Niektórym konserwatystom się to nie podoba, ale to naturalne - w każdej nowej, rozwijającej się dziedzinie to się zdarza.
- A co ty o tym sądzisz?
- Uważam, że to wspaniałe. Moja przyjaciółka - Rosalie Morin-Dore - startuje w tym roku. Wraz z siostrą prowadzą delikatne treningi nawet dla szczeniąt. Droczyliśmy z nimi czasem, bo rozmawiają ze swoimi psami.
- I to sprawia, że biegają szybciej?
- Może to, może mieszanki - wolą łączyć husky z chartami. I to zdaje egzamin.
- Więc kobiety mogą być równie dobrymi poganiaczami, co mężczyźni?
- Naturalnie - odparł, zerkając w moją stronę. Odpowiedziałam uśmiechem i mrugnięciem.

W końcu poszli na przejażdżkę, więc razem z Gilles'em wróciliśmy do farmerskiego domu. Przysunął bliżej kominka stary fotel.

- Chyba mimo że przemarzłeś, na sercu zrobiło ci się cieplej, prawda?

Gilles przytaknął, ale nic nie powiedział. Jego dłonie wyglądały na spierzchnięte od wiatru, w końcu w rękawiczkach trudno by mu było trzymać aparat.

- *Chocolat chaud*? - zaproponowałam. Zadrżał z zimna.

- Tak, poproszę.

W czasie, gdy byłam w toalecie, zmieniałam skarpetki i zama-
wiałam czekoladę, Gilles przysnął.

- Pssst. - Skinęła na mnie Annique.

Siedziała w kącie owinięta w kokon z koca i z radością przygarnęła
porcję czekolady Gilles'a.

- Lepiej się czujesz? - zapytałam, kiedy przesuwała się, żeby zrobić
mi miejsce.

- Znacznie lepiej. A jak twoja przejażdżka?

Opisałam kompromitujący początek, a potem mój progres i
wrażenia z wypadu. Annique - jak się okazało - też nie próżnowała.
Była pochłonięta wyłapywaniem plotek...

- Serio? - zapytałam, dygocąc z nerwów.

Czy to będzie coś, co na pewno chciałabym usłyszeć? Sprawdziła,
czy nie idzie, i zapytała tajemniczo:

- Wiesz, że Sebastien należał do Cyrku Słońca?

- Tak się składa, że wiem, ale jak tobie udało się dowiedzieć?

- Och, ludzie mówią różne rzeczy, kiedy myślą, że śpisz i nic nie
słyszysz - wyjaśniła i puściła oko. - Chyba zapomnieli o mojej
obecności.

- A mówili może, dlaczego zrezygnował?

Czekoladę na gorąco? (z fr.) - przyp. red.

- Cóż, to osobliwa sprawa. Jest tu w związku z obserwacją po próbie samobójczej.

- O Boże! Wiedziałam, że jest humorzasty, ale...

- Nie, nie. On jest obserwatorem.

- Więc kogo pilnuje?

- Jacques'a.

- Słucham? - wykrztusiłam. - Nie sprawia wrażenia człowieka na skraju załamania psychicznego. To znaczy, da się w nim wyczuć pewien smutek, ale jeśli miałabym porównywać obydwu, to Sebastien wydaje się mniej stabilny emocjonalnie.

- Właśnie na to narzekali. Nowi pracownicy dziwili się, dlaczego Sebastien w ogóle tu siedzi, skoro wszystko mu przeszkadza, ciągle marudzi i jest wiecznie poirytowany, więc Lucy...

- Lucy?

- Kojarzysz dziewczynę z recepcji? Tę z kręconymi włosami.

- Tak, tak...

- Wyjaśniła im, że miał tu miejsce wypadek...

Z trudem łapałam powietrze. Byłam w szoku. Annique opowiedziała mi, jak mniej więcej rok temu przyjechał tu przyjaciel Jacques'a - przyjaciel od dawna, razem bawili się jako dzieci i razem dorastali. Postanowili spędzić dzień, jeżdżąc na skuterach. Obydwaj zawsze lubi jeździć i się ścigać, jednak w pewnym momencie Rémy - bo tak mu było na imię - stracił panowanie nad pojazdem, uderzył w drzewo i...

- Nie! - zawołałam.

- Niestety. Zmarł dosłownie w ramionach Jacques'a.

- O mój Boże. - Zakryłam oczy.

Trudno mi było sobie wyobrazić, jaka to tragedia. Jakie to uczucie widzieć, kiedy najlepszy przyjaciel wydaje z siebie ostatnie tchnienie, a ty jesteś przy nim i błagasz, żeby nie

odchodził, ale nic więcej nie możesz zrobić... Poczułam ogromny ciężar.

Potem przypomniały mi się listy kondolencyjne. I to, jak Jacques zareagował na moje wybryki ze skuterami, jak mnie ostrzegał i prosił, żebym więcej się do nich nie zbliżała. Westchnęłam. To dlatego Sebastien powiedział, żebym nie starała się go „ratować”. Jak miałabym go wyciągnąć z tak głębokiej rozpacz?

- Ale naprawdę sądzi, że Jacques sam mógłby sobie po tym odebrać życie?

- Był jeszcze inny wypadek.

- Jeszcze jeden?

- Tym razem to Jacques'owi coś się stało. Wpadł do zamarznętej rzeki... Wszyscy tutaj, na farmie twierdzą, że nie chciał sobie zrobić krzywdy, ale Sebastien jest święcie przekonany, że to nie był przypadek. Wie, że jego brat doskonale zna cały teren i nie popełniłby takiego błędu... W każdym razie Sebastien rzucił pracę...

- Swoją pracę marzeń. Kiwnęła głową.

- Wrócił tutaj i nie spuszcza Jacques'a z oczu.

- I żadne słowa Jacques'a go nie przekonają? -Nie.

- Wow. To ogromne poświęcenie. Zważywszy na to, że przecież z Jacques'em wszystko w porządku - zawahałam się. - Bo wszystko z nim w porządku, prawda?

Annique milczała.

- No co?

-Jest tego więcej.

- Więcej? — Zachłysnęłam się powietrzem.

- Więcej gorącej czekolady? - próbowała zmienić temat.

- Słucham?

Odwróciłam się i zobaczyłam człapiącego w naszą stronę Gilles'a. Miał zamglone oczy i raczej nie był świadomy, że nam przeszkadza.

Poszliśmy razem do aneksu kuchennego, ale szybko wycofałam się z rozmowy. Udawałam, że robię notatki, a tak naprawdę mazałam bez ładu po kartce.

Ciągle spoglądałam na zegarek. Grupa miała wrócić z przejażdżki za jakieś dwadzieścia minut. Chciałam przed tym poznać resztę historii, więc nigdzie się stamtąd nie ruszałam i czekałam na odpowiedni moment. Zastanawiałam się, jak Jacques'owi udaje się codziennie pokonywać te same okrążenia - mijać miejsce, w którym zginął jego przyjaciel. A może zboczyli z drogi? Przemierzali niezbadane tereny i krzyczeli z radości, gdy nagle w ciągu jednej sekundy...

Przeszedł mnie dreszcz.

Pomyślałam też, że zniknięcie Andy'ego z mojego życia to nic w porównaniu z tą tragedią.

- Krista...?

- Hmm? - Spojrzałam na Gilles'a.

- Dobrze się czujesz? - zapytał z troską.

- Po prostu myślałam o czymś smutnym.

- Nie martw się, szczeniaczki cię rozweselą - próbował mnie pocieszyć.

Niestety się mylił...

Oczywiście dzięki tym maluchom na chwilę zapomniałam o troskach. Te puchate urwisy z okrągłymi brzuskami były rozbrajające, kiedy turlały się po podłodze, podszczypywały wzajemnie dla zabawy, szarpały ostrymi jak szpileczki ząbkami nogawki naszych spodni i ciągnęły frędzle od szalików. Ale na samą myśl

o Jacquesie i Sebastienie żal ścisnął mi serce. Miałam ochotę wtulić się w któregoś ze szczeniaków i gorzko zapłakać.

Poza tym nie do końca zdążyłam się otrząsnąć po porcji porannych wiadomości. Kołysząc kilkutygodniowego czworonoga, przypominałam sobie o Andrew i jego jeszcze nienarodzonym dziecku - chociaż niemowlęta nie wiercą się tak mocno jak szczeniaczki i nie mają w zwyczaju urządzać sobie turniejów zapaśniczych, w których łapią swoich przeciwników za szyje i sprowadzają ich do parteru. Na szczęście dzieci nie rzucają się też na ziemię z krawężników, nie jedzą trawy i nie drapią się za uszami, używając stopy.

- Spójrz na mnie - zażyczył sobie Gilles, próbując zrobić zdjęcie, kiedy akurat bezskutecznie zganiałam z nóg psinkę z morelowymi akcentami na sierści.

- Widać, że nigdy nie miałaś dzieci - zażartował na widok wijącego się szczeniaczka, którego w wyniku szamotaniny trzymałam do góry nogami.

Wiem, że nie miał zamiaru mnie urazić, ale dlaczego ludzie mówią bez zastanowienia takie rzeczy? Chyba nikt nie chciałby usłyszeć, że czegoś mu brakuje i jest niezdolny do elementarnych rzeczy. A co, jeśli to się okaże prawdą? Ponieważ moje ciało nie potrafi wydać na świat dziecka, może nie widzi też potrzeby, żeby jakimś się opiekować.

Być może adopcja również okazałaby się niemądrym posunięciem. Niestety nie potrafię się obchodzić z dziećmi, więc poprzestanę na zwierzętach - przynajmniej są bardziej odporne na upadki...

Odwróciłam się pod pretekstem ułożenia czworonożnego wiercipięty, ale naprawdę chciałam ukryć oczy wypełnione łzami. Jak to możliwe, że moje zbiorniki łez tak szybko uzupełniły

zapasy po porannej powodzi? Jakim cudem jeszcze tyle mi zostało?
Dlaczego nie mogę ich zatrzymać?

-Jinx, źle się zachowujesz? - Jacques wszedł Gilles'owi w kadr, żeby sprawdzić, czy wszystko u nas gra.

Podniósł niesforną suczkę tak, że jej pyszczek znalazł się naprzeciwko mojej twarzy, a ona zaczęła zlizywać moje łyzy.

-I jak teraz?

-Lepiej. - Chlipnęłam.

Miałam wrażenie, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale nie w obecności innych ludzi. Zastanawiałam się, czy sam ma dzieci.

- Dlaczego tu nie usiądziesz? - Wskazał drewniany podjazd. - Dzięki temu będziesz mogła trzymać jednocześnie kilka piesków - powiedział i zaczął usadzać na moim udzie Toutou, Sky i Ashę.

Cała trójka miała niemal całkowicie beżowe umaszczenie, jedynie dół pleców i ogony naznaczały czarne ciapki. Toutou miał aksamitne, trójkątne, postawione w szpic uszka, Sky parę mleczno-szafirowych oczu, a Asha wyglądała tak, jakby zasnęła z makijażem i obudziła się rozmazana.

- Weź jeszcze Bandita, ma najpiękniejszą oprawę oczu z nich wszystkich...

Jacques krążył i co chwila donosił mi po szczeniaczku, aż w rezultacie siedziałam obłożona kochanymi, puchatymi brzdącami, które we mnie się wtulały, wypełniając psią miłością lukę w sercu po niespełnionym marzeniu o dziecku.

-To fantastyczne! - zachwycił się Gilles, gdy kolejne szczenięta podbiegały do mnie i kręciły się przy nogach, chcąc się przyłączyć do wspólnego pozowania. - Teraz tylko patrz w obiektyw i pozwól im robić, co do nich należy.

W końcu zdjęcia, których nie mogłam się doczekać - nie miałam pojęcia, co wyrabiają!

- Uważaj na Biscuita! - zaśmiał się Jacques. - Chyba chce ci poskubać ucho.

I wtedy zadzwonił telefon. Rzucił mi znamienne spojrzenie:

- To mój tata. - Przeprosił, że musi na chwilę wyjść, i zlecił Sebastienowi pilnowanie piesków.

Staralam się nawet nie patrzeć w stronę Sebastiena, gdy wchodził do zagrody. Byłoby zbyt oczywiste, że moje nastawienie do niego diametralnie się zmieniło. Już nie chciałam mu dokuczać ani zasypywać irytującymi pytaniami - mogłam zaoferować jedynie ciche zrozumienie. I wyraz podziwu za jego lojalność i oddanie w stosunku do brata - nawet jeśli rzeczony brat właśnie opracowuje plan zerwania kontraktu ze swoim Aniołem Stróżem.

- Ja nie mogę w tym tygodniu: trwa Zimowy Karnawał, mamy mnóstwo rezerwacji - tłumaczył głośno Jacques. - Będę musiał wysłać Sebastiena.

- Co? Dokąd mnie wysłać?

- Do Montrealu. Ojciec potrzebuje swojego starego samochodu, bo citroen odmówił posłuszeństwa, a tata musi się jakoś dostać na fizjoterapię.

- Nie mogę stąd wyjechać.

- A mamy wybór? Nie możemy go zostawić na pastwę losu. -To chyba tylko trzy godziny drogi stąd, prawda? - wtrąciłam. Sebastien zmroził mnie wzrokiem, jakby chciał powiedzieć:

„to nie twoja sprawa”, ale to zignorowałam...

- Możesz wyjechać pierwszym pociągiem rano i wrócić, zanim się ściemni.

- Masz w tym jakiś interes? - warknął na mnie.

- W istocie. Chciałabym zwiedzić Montreal pod kierunkiem rodzimego mieszkańca.

Patrzył nerwowo to na mnie, to na Jacques'a, wężąc spisek.

- Daj mi telefon.

- Słucham?

Wyrwał Jacques'owi telefon z ręki i ponownie wybrał jakiś numer.

- Tato? — Zamilkł na chwilę. - Och, czyli faktycznie się zepsuł. Chcesz w czwartek? - westchnął ciężko. - Dobrze, w porządku. W taki razie się widzimy. Tak, tak i cytrynowo-pistacjowe ciasteczka. Wiem, wiem.

Oddał komórkę bratu.

- Café Olimpico?

Sebastien kiwnął głową i sapnął:

- Chyba będzie okazja, żeby załatwić też kilka moich spraw.

Zamienili kilka zdań po francusku, po czym Sebastien stwierdził, że idzie do stodoły. Zdaje się, że była dla niego odpowiednikiem ogrodowej altanki.

Jacques poczekał, aż jego brat znajdzie się poza zasięgiem, i przybił mi piątkę.

- Pół roku próbowałem go tam wysłać! Jestem pewien, że się wkręci, jak tylko wróci na stare śmieci. Gdyby ryłko udało ci się przedłużyć jego pobyt...

- Oczywiście, spróbuję.

- To świetnie — ucieszył się i zaczął się bawić z zaczepnym Banditem.

- Poradzisz sobie, kiedy nas nie będzie?

Przerwał czynność i spojrzał na mnie poważnym wzrokiem.

- Dlaczego miałbym sobie nie poradzić?

- Chodzi mi o brak personelu, to znaczy, czy nie będzie ci brakowało dodatkowej pary rąk do pomocy...

- Będzie dobrze. W sąsiedniej wiosce mieszka mój znajomy, po którego w każdej chwili mogę zadzwonić. Bez problemu.

Chciałabym mieć co do tego pewność. Tak to jest, kiedy się w coś wmiesza, nie znając całej prawdy. Pierwotna wersja wydawała się prosta - twój brat rzucił wymarzoną pracę, żeby mieć na ciebie oko, ale sam się męczy, a ciebie wkurza? Odeślijmy go do Montrealu! Obydwaj cieszcie się własnym życiem! Ale kiedy się dowiedziałam, co naprawdę skłoniło Sebastiena do tak radykalnego posunięcia, nie chciałam już być osobą, która go odseparuje od Jacques'a. A jeśli, nie daj Boże, coś się stanie podczas naszego wyjazdu? Nie... Głupol ze mnie. Nie wolno tak myśleć. To tylko jeden dzień. Poza tym Jacques'a otaczają sami dobrzy ludzie. Znają sytuację, nie pozwolą, żeby stała mu się krzywda.

- Jacques! - zawołała Lucy.

Dawała znać, że czeka już kolejna grupa. Czas, żebyśmy już pojechali.

- Przepraszam, jestem dzisiaj taka nieprofesjonalna - kajała się Annique, gdy poszliśmy po nią do farmerskiego domu.

- Dlaczego od razu nieprofesjonalna? Ludzka rzecz! Uśmiechnęła się i zmrużyła tajemniczo oczy.

- Wiesz, że jest jedna rzecz, którą mogę robić nawet na kacu... ?

- Co to takiego?

- Zakupy!

- Oooooch! - I tu mnie miała... - Ale nie pozwól mi wydać za dużo pieniędzy.

- Będziemy tylko lizać szyby!

- Faj!

- To nazywamy zakupami przez okienko.

Zachichotałam.

- Tak się składa, że na potrzeby strony muszę uzupełnić dział zakupów - chodzi o takie szczególne rzeczy, które można kupić w Quebecu.

- Tak, pamiętam treść twojego e-maila. Przygotowałam listę miejsc, które chciałabym ci pokazać.

- I ty niby jesteś nieprofesjonalna?

- Ojej, daj spokój. - Zarumieniła się i spojrzała na zegarek. - Musimy lecieć! Większość sklepów zamykają o siedemnastej.

- Jak za starych, dobrych czasów w Anglii - stwierdziłam z uśmiechem.

W drodze do samochodu natknęłyśmy się na Jacques'a. Poświęciłam chwilę, żeby jeszcze raz podziękować mu za poświęcony czas i zaangażowanie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - oznajmił i wręczył mi wizytówkę. - To numer Sebastiena. Umówicie się na wycieczkę do Montrealu.

- Cudownie! - ucieszyłam się, ale jednocześnie byłam nieco zawiedziona, że nie podał mi swoich namiarów. Nie miałam pojęcia, czy się jeszcze spotkamy. - Lepiej już pójdę.

- Do zobaczenia na Bain de Neige! Odwróciłam się zszokowana.

- Co ty powiedziałaś?

- Bain de Neige - Gilles powiedział, że wszyscy się wybieracie.

- A ty? Będziesz się kąpał?

- Nie, nie. Ja akurat będę pomagał policji.

- Żeby złapać Malhomme'a? Zacisnął usta.

- Mogę powiedzieć tylko tyle, że zgodziłem się uczestniczyć w wydarzeniu i przyprowadzić psa tropiciela.

Rozważałam, czy powiedzieć mu o mężczyźnie gapiącym się na mnie w Auberge Saint-Antoine. Już otworzyłam usta, ale wtedy Annique zagłuszyła mnie dźwiękiem klaksonu.

W porządku, to mogło poczekać. Wszystko mogło poczekać.

W końcu zaraz miałam utopić wszystkie swoje troski w szaleństwie zakupów...

Zaczęliśmy od Artisans Canada - imperium lokalnych wyrobów rzemieślniczych, rękodzieła, upominków i ubrań. Wszystko wyprodukowane w Quebecu *avec fierté* - czyli z dumą.

Mieli nawet linię odzieżową zaprojektowaną przez byłą autorkę strojów dla Cirque du Soleil, Rosie Godbout. Elementy garderoby jej autorstwa były w przewadze czarne z misternie wplecionymi kolorowymi fragmentami materiałów. Chociaż moim czytelnikom ogromne płaszcze kojarzyłyby się pewnie z ciuchami szalonej nauczycielki plastyki, moje serce skradły swetry pozszywane z różnych kawałków.

- Są oryginalne i niespotykane - powiedziałam, trzymając asymetryczną koszulkę, która miała pagony z męskich krawatów. - Podoba mi się mieszanka materiałów i barw.

- Sprzedają je również w Lodowym Pałacu - uświadomiła mnie Annique.

- Och, nie widziałam ich tam. Wykwaterowałam się, zanim otwarto sklep.

- Krista — zaczepił mnie Gilles. - Trzymaj to przed sobą. Nareszcie wyczuł mój styl i poczucie humoru - do zdjęcia wręczył mi T-shirt z łosiem i napisem „Nie złoś się!”.

Obejrzelśmy wszystkie suweniry i świecidełka, ale wciąż nie dokonałam wymarzonego zakupu. W końcu zauważyłam kolekcję biżuterii - znów autostwa osoby powiązanej z Cyrkiem Słońca. Tym razem projektantką okazała się młoda Anne-Marie Chagnon.

Ekspedientka opowiedziała, że założyciel Cirque du Soleil, Guy Laliberté, natknął się gdzieś na jej prace i zdecydował od razu: „Chcę rwoją biżuterię w każdym naszym butikku na całym świecie”.

Od dziesięciu lat Chagnon co roku przygotowuje nową kolekcję dla Cyrku. To niewyobrażalny sukces - jednego dnia siedzisz z lutownicą i majsterkujesz przy metalowych elementach, a nazajutrz stajesz się wielkim odkryciem...

Od razu zakochałam się w masywnym pierścionku z miodowym oczkiem. Pierwszy raz, odkąd pozbyłam się ślubnej obrączki, wyrób jubilerski zdołał mój palec i czułam się, jakby moja prawa dłoń została stworzona do podziwiania. Ślubny zestaw miałam klasyczny, tradycyjny - w zasadzie nudny. Nowy pierścionek wręcz manifestował niezależność.

- I ceny nie są takie sttaszne - przekonywała Annique. Planowałam jeszcze wrócić do tego sklepu, tymczasem czekał

na nas kolejny - Simons założony w 1840 roku! Otworzyliśmy staroświeckie, drewniane drzwi, a naszym oczom ukazała się szeroka gama rękawiczek, czapek i szalików. Zdecydowanie odpowiednie miejsce dla kogoś, kto szuka jaskrawoczerwonych rękawiczek i pstrokatego nakrycia głowy w paski.

- Właśnie się zorientowałam, że jesteśmy przy Côte de la Fabrique!
- Pokazałam palcem tabliczkę z nazwą ulicy. - Co za zbieg okoliczności!

Gilles poczuł się w obowiązku, żeby uwiecznić plakietkę na fotografii i zapytał nieco płaczliwym tonem:

- Czy ktoś jest głodny?

- Tak, tak! - odezwał się nasz dziewczęcy chórek, ale Annique dodała: - Pozwól tylko, że pokażę ci jeszcze jedno miejsce - Har-ricanę. To po drodze...

Witryna przykuła moją uwagę - wszystko wyglądało na puszyste, ciepłe, a zarazem seksowne. Aż chciało się pomiętosić grube swetrzyska, przymierzyć masywne buty i pogłaskać błyszczące futra.

Problem w tym, że futra były prawdziwe.

- Nie, nie, to nie tak - tłumaczyła Annique, kiedy bulwersowałam się na ich widok, mówiąc, że w Anglii się takich nie akceptuje. - Wszystko tutaj wzięło się z recyklingu.

- Jak to?

- W Quebecu każda babcia ma w szafie naturalne futro, ale to wcale nie oznacza, że ciągle w nim chodzi. Ta marka zbiera od ludzi niechciane ubrania z materiałów wysokiej jakości i robi z nich coś zupełnie nowego. Widzisz to? - Wskazała na krótką kurtkę bez kołnierza, a następnie na zdjęcie wiszące obok. - Tak wyglądała wcześniej.

- Co za transformacja! - Podziwiałam kolekcję futrzanych toreb, ocieplaczy i pelerynek będących efektami przeróbek starej odzieży.

Muszę przyznać, że wiele razy zastanawiałam się, jak to jest przywdziać luksusowe palto z norek, ale zawsze dochodziłam do wniosku, że znacznie lepiej byłoby pozwolić żywemu zwierzęciu otulić się wokół szyi czy ramion i wymienić ciepłem ciała.

A propos - właśnie czułam, że jest mi za gorąco. Zakupy zimą wiążą się z zataczaniem pewnego (błédnego?) koła. Każdy klient wmieciony za próg sklepu przez lodowaty wiatr z wdzięcznością przyjmuje wszechobecne w pomieszczeniu, rozkoszne

ciepło. W środku chłód stopniowo ustępuje, jest przyjemnie, ale po chwili zapoznaje się z asonymem cały spocony. Zazwyczaj jest to czas, gdy ma zamiar opuścić sklep, więc rozgrzany wybiega znowu na mróz. Kupić albo nie kupić - oto jest pytanie.

Na szczęście w restauracji sytuacja przedstawia się nieco inaczej, bo można się rozebrać, rozsiaść i zrelaksować, co właśnie uczyniliśmy w Les Freres de la Côte.

To bistro z eklektycznym wystrojem od razu mi się spodobało. Urzekły mnie wściekle czerwone jak keczup ściany, mnóstwo rozwieszonych pamiątek pochodzących z najróżniejszych miejsc i czasów oraz karta win rozpisana flamastrem na lustrze za barem. W Anglii kelnerki kładą menu na stole, nawet nie patrząc w kierunku gości, tymczasem tam nawet najbardziej znudzona osoba z personelu przy kontakcie z klientem była szczerze miła i łagodnie się uśmiechała.

- Wiecie co? Zauważam pewną tendencję... — zaczęłam, kiedy kelnerka się oddaliła, żeby zrealizować nasze zamówienie. -Każdy tutaj, w Quebecu patrzy na ciebie w taki sposób, jakby naprawdę cię widział.

Annique i Gilles wyglądali na zmieszanych i nie do końca wiedzieli, co odpowiedzieć.

— Chodzi mi o to, że ludzie tu nie sprawiają wrażenia nieobecnych czy znajdujących się za jakąś zasłoną. I wszyscy są bardzo uprzejmi.

Na tym skończyłam swój wywód, ale naprawdę uważałam, że tak powinny wyglądać normalne relacje międzyludzkie - bez kompleksów i uprzedzeń, za to z przyjaznym nastawieniem i otwartością. Boli mnie, że coraz więcej osób ma problem z nawiązaniem szczerzej inrerakcji. A przecież luźna, spontaniczna

rozmowa pozwala lepiej się poczuć, a dobry nastrój udziela się innym...

- Oooch, jedzenie! *Merci!*

Gdy Gilles zamieniał widok mojej frytko-sałatko-zapiekanek w dzieło sztuki, zapytałam, jak zaczęła się jego przygoda z fotografią. Nie zaskoczył nas, mówiąc, że zainteresował się tą dziedziną podczas pracy jako model.

- Zostawałem w studiach po sesji, zadawałem dużo pytań, obserwowałem, uczyłem się; potem zacząłem asystować, aż w końcu dostałem pierwsze zlecenie. - Wzruszył ramionami. - To moja miłość i największa pasja.

Zwróciłam się do Annique, która słuchała Gilles'a z nieukrywanym podziwem.

- Pracowałaś kiedykolwiek jako modelka?

- Na potrzeby jednej kampanii - odparła, popijając wodę. — Kampanii mojego byłego. Tak się poznaliśmy. To była moja pierwsza i ostatnia praca w modellingu.

Nie byłam pewna, czy w jej głosie słyszałam nutkę żalu. Po chwili dodała:

- Dla mnie bycie przewodnikiem jest najfajniejsze.

„Lepsze niż kursowanie między Paryżem, Nowym Jorkiem a Mediolanem?", pomyślałam.

- Praca na wybiegu wiąże się z nieustanną introspekcją, każdy cię ocenia. Ja wolę podziwiać piękno, które mnie otacza - budynki, krajobrazy. Uwielbiam patrzeć, jak promienieją twarze ludzi odwiedzających moje miasto po raz pierwszy.

- Jak ja, gdy oglądałam Quebec przez okno hotelu? - przypomniałam sobie własną reakcję.

Annique przytaknęła.

- To zaszczyt móc się dzielić tym miejscem z gośćmi.

Wierzyłam, że czerpie satysfakcję ze swojej pracy i z kontaktu z ludźmi.

Była taka naturalna i czarująca, ujęła mnie nawet wtedy, gdy żartowała z kelnerką, która po chwili wróciła do naszego stolika z rachunkiem.

- Deser możemy zjeść gdzieś indziej - szepnęła nam do ucha. - To będzie coś szczególnego.

Mieliśmy już wychodzić, ale w ostatniej chwili Gilles postanowił skorzystać z toalety. Nareszcie same!

- Annique - syknęłam, dając jej znak, żeby podeszła. - Wspomniałaś, że jest jeszcze coś w historii Jacques'a...

- Ach, tak... - westchnęła. - Podobno najtrudniejsza dla Jacques'a, oprócz utraty przyjaciela, była również utrata drugiej rodziny...

- Drugiej rodziny?

- To akurat usłyszałam bezpośrednio od Lucy.

- Nieźle się spisałaś. Mnie nie udało się nic z niej wyciągnąć.

- Okazało się, że pracowała na wyspie z Masonem, moim byłym, więc...

- Zaufała ci i znalazłyście wspólny język?

- Wspólną pogardę dla Masona. -Ups.

- W każdym razie - Jacques i Rémy byli bardzo zżyci, ich rodziny również się przyjaźniły. Często się odwiedzali, Jacques każdej niedzieli gościł w domu rodziców Rémy'ego - praktycznie całe życie, aż dorósł - nawet wtedy, gdy sam Rémy wyprowadził się do Montrealu, żeby wstąpić do policyjnych oddziałów prewencji.

- Prewencja policji? - powtórzyłam. - Więc udawało mu się wychodzić bez szwanku z zamieszek i konfliktów, a stracił życie podczas przejażdżki dla zabawy?

- Podejrzewam, że właśnie sam ten fakt najbardziej zdruzgotał matkę Rémy'ego. Zawsze strasznie się o niego martwiła, kiedy pracował poza domem, więc odwiedzał rodziców, żeby choć przez chwilę mogła spokojnie odetchnąć. A to stało się tak nagle i niespodziewanie...

- I obarczyła Jacques'a winą za tragedię?

- Na to wygląda. Natychmiast po wypadku sprzedał wszystkie skutery i cały sprzęt, próbował jej dać pieniądze, jednak ona nic nie przyjęła i od momentu tragedii nie odezwała się do Jacques'a.

Myślałam intensywnie. W końcu musiał istnieć jakiś sposób, żeby ich pojednać. Może gdyby mieli mediatora... Albo żeby chociaż sprawdzić, czy czas nieco zagoił rany matki, czy zmieniła nastawienie i milczy z przyzwyczajenia...

- To wszystko takie smutne - westchnęła Annique. - To się stało tuż po rym, jak Rémy poznał wymarzoną dziewczynę. Życie jest czasami popaprane.

- Gotowe do drogi? - Gilles wrócił z łazienki.

Gdy szliśmy w górę Rue Saint-Jean, nie zwracałam większej uwagi na wystawy butików, bardziej byłam skupiona na wysyłaniu dyskretnych wiadomości do Laurie:

„Prośba od czapy, ale czy mogłabyś poszukać nazwiska pewnego Rémy'ego, który jakiś rok temu zginął w wypadku na Ile d'Orléans? Był z policji. Miał pewnie 30-40 lat. Próbuje znaleźć jego rodzinę”.

Laurie odpisała:

„Dla ciebie wszystko, Sherlocku”.

Serce zaczęło mi bić szybciej. Wiedziałam, że to bardzo delikatna sprawa i wszelkie działania z mojej strony mogłyby się okazać dalece niepożądane, ale sądziłam, że mimo wszystko warto spróbować. Wyjechałabym do Montrealu spokojniejsza

ze świadomością, że matka Rémy'ego byłaby skłonna podać Jacques'owi rękę na zgodę. To na pewno wiele by dla niego znaczyło.

- *Alors!* - Zatrzymała nas Annique. - Uważam, że sklepy przy Le Petit Champlain są bardzo szykowne, ale to w Dolnym Mieście, a na zegarku mamy prawie szesnastą. Dlatego wydaje mi się, że możemy sobie darować szal zakupów. Zamiast tego pragnę ci przedstawić świat syropu klonowego.

Zanim zadałam jakiegokolwiek pytanie, Annique zdążyła mi pokazać wszystkie możliwe klonowe wyroby: od kawy po musztardę, a nawet peelingi i balsamy do ust. Jakby mi było mało słodkich rzeczy...

Les Délices de L'Erable - czyli Klonowe Przyjemności - to również lodziarnia i kafejka, w której wszystkie ciasta, sorbety i napoje były posłodzone syropem klonowym.

- Który ma mniej kalorii niż miód - oświeciła mnie Annique.

- Serio?

- Pomógł mi schudnąć - przekonywała. - Poza tym jest bogaty w potas, magnez i wapń!

- Więc paradoksalnie jest zdrowy! - ucieszyłam się, zamawiając słodkości.

Kupiłam jeszcze książkę zatytułowaną *Gotowanie z syropem klonowym*.

- Na górze mają urocze minimuzeum poświęcone syropowi klonowemu.

- Mhm - mruknęłam.

Po co wiedzieć o syropie klonowym więcej niż to, jak smakuje?

- A wiesz, że Jacques należy do spółdzielni, która zajmuje się produkcją syropu dla Quebecu? - zapytała Annique.

- Nie miałam o tym pojęcia.

- To sezonowe zajęcie, więc w ciągu zimy prowadzi biznes związany z psimi zaprzęgami, a wiosną przerzuca się na fabrykę słodkiego syropu.

Nagle zechciałam się dowiedzieć wszystkiego o tym klonowym cudzie.

- Zerknę tylko - powiedziałam, krocząc schodami na piętro. Jednak spędziłam w małym muzeum pół godziny.

Okazało się, że syrop klonowy został odkryty przez amerykańskich Indian, którzy wycinali tomahawkami „V” w pniu drzewa, a potem zbierali sok sączący się spomiędzy pęknięć w korze. Współcześni zbieracze wykorzystują bardziej nowoczesne metody i dzięki specjalnemu systemowi sok jest odprowadzany tubami bezpośrednio do „klonowych chat”, gdzie gromadzi się go i gotuje.

Miałam nadzieję, że Jacques praktykuje staroświeckie sposoby, i wyobraziłam sobie, jak podjeżdża do klonowego lasu zaprzężonymi w konia saniami, a potem siedzi przy drzewie z wiaderkiem i drewnianym lejkiem. Siebie również widziałam przedzierającą się żwawo przez zarośla, ubraną w kraciastą koszulę, dżinsowe rybaczki i z głową owiniętą zawadiacko chustką. A może jak wyczekuję Jacques'a, piekąc w chatce ciasta, otulona zapachem owoców prosto z sadu?

Latem, po sezonie, chodzilibyśmy razem pływać w jeziorach i organizowalibyśmy dla naszych przyjaciół pikniki. A po nadejściu jesieni wyjeżdżalibyśmy do domu w Vermont i obserwowalibyśmy, jak liście na naszych oczach zmieniają kolor. Co za życie?! Rozmarzyłam się...

Na pewno napisałabym o tym książkę. Dałabym jej tytuł *Poślubiłam Człowieka Wilka* albo *Życie słodkie jak syrop klonowy*. Szybko stałaby się bestsellerem, a my oprowadzalibyśmy turystów

szlakiem tematycznym, czytając próbki poszczególnych rozdziałów. Otworzylibyśmy też kafejkę z domowymi wypiekami...

Próbowałam zatrzymać rozpedzoną fantazję, ale myśli biegły dalej.

Gilles zrobiłby zdjęcia portretowe wszystkim psom, a potem fotografie zdobiłyby ściany recepcji na farmie. Zaprojektowalibyśmy nawet specjalną edycję świątecznych pocztówek - przedstawiałyby całą gromadę husky patrzących zgodnie w obiektyw.

Wszystko zapowiadało się pięknie, lecz nagle jakiś głos z głębi mnie zapytał: „A co, jeśli zechce mieć dzieci?”.

A ja odpałam: „Myślę, że ma wystarczająco dużo zajęć z samymi psami”.

- Rozmawiasz sama ze sobą? - Annique przerwała moje szalone wizje.

- Och, ja tylko... yyy... to wszystko takie fascynujące! - Speszyłam się. - Nie wiedziałam, że potrzeba aż trzydziestu dwóch litrów soku klonu, żeby zrobić litr syropu!

- Niebawem, prawda? Proszę, kupiłam ci filiżankę klonowej herbaty. Spróbuj!

- Bardzo dziękuję.

- Dopiero odkryłam, że Gilles ma słabość do słodczy - szczebiotała podekscytowana. - Zamówił sobie już trzecią porcję klonowego musu!

Wtedy otrzymałam wiadomość:

„Remy Walker. Jego rodzina mieszka w Wendake, około dwadzieścia minut drogi od Starego Miasta Quebec. Matka, Johanna Laframboise, pracuje w restauracji LaTraite”.

Zwróciłam się znowu do Annique:

- Mamy określone plany na wieczór?

- Tak, oglądamy paradę...

- Zastanawiałam się - przerwałam jej - czy Gilles mógłby pójść tam sam i porobić trochę zdjęć, a my w tym czasie wybrałybyśmy się na obiad. Tylko my dwie.

- Masz na myśli jakieś konkretne miejsce?

- La Traite.

- La Traite? W Wendake?

- Tak, kojarzysz?

- Podobno mają tam wyjątkowe jedzenie. A musimy akurat dzisiaj?

- Im wcześniej, tym lepiej. Mam jeszcze jedną prośbę - czy mogłabyś być moim tłumaczem...?

- W porządku.

- Kiedy będę rozmawiała z matką Remy'ego. - Głośno przełknęłam ślinę. - Pracuje tam. W restauracji.

Annique wyglądała na zakłopotaną.

- Cóż, nie wiem, czy to będzie możliwe...

- Rozumiem, że to ingerowanie w czyjeś życie i istnieje ryzyko, że zrobię przykrość dwóm osobom, które już swoje wycierpiały. Jednak czuję, że to może zapoczątkować pozytywną reakcję łańcuchową. Może rany nie zostaną od razu w pełni uleczone, ale warto spróbować. A może zrobią pierwszy krok, żeby trochę uśmierzyć ból, stopniowo odnowią kontakt. I Sebastien stanie się spokojniejszy o brata, z czystym sumieniem wróci do Montrealu...

- Nie o to chodzi - skwitowała Annique. - Po prostu obawiam się, że nie będę w stanie tłumaczyć. Wiesz, co to za plemię?

- Plemię?

- Jeśli wywodzą się z Huron-Wendat - pomogę, bo potrafią mówić po francusku. Jednak w wypadku Kri, Irokezów albo Algonkinów będę bezradna.

Uniosłam brwi w zdumieniu.

- La Traite to część hotelu Pierwszy Naród. Cały personel to ludzie, których nazwałabyś Indianami.

- To znaczy, że... mama Remy'ego może się okazać na przykład Mohawką?

-Tak.

- Wow. To lepiej się zastanowię. I tak starałabym się odnosić z pełnym szacunkiem, ale w tym momencie nie wiem, czy nie popełnię zbyt wielkiego nietaktu. Myślisz, że wobec tego powinniśmy tam iść?

- Hmm... - Annique zdawała się rozważać tę kwestię. - Słyszałam wiele na temat tamtejszego klonowego fondue. Muszę go spróbować.

Uśmiechnęłam się i wyciągnęłam do niej rękę.

- Dziękuję. Bardzo to doceniam. Może wrócisz do domu i parę godzin odpoczniesz? Możemy się spotkać o dwudziestej.

- Byłoby wspaniale. A masz już pomysł, co powiedzieć matce Remy'ego, kiedy się z nią zobaczysz?

Po chwili milczenia przyznałam cicho: -Nie.

- W takim razie w drodze powrotnej koniecznie odwiedź jeszcze jeden sklep.

Napisała na karteczce adres i wcisnęła mi ją do kieszeni.

- Na pewno pomoże ci wejść w odpowiedni nastrój...

Droga do Wendake była mroczna i nieprzyjemna. Bałam się.

Co, jeśli Madame Laframboise wpadnie w furję albo zupełnie się rozklei? Może upadnie na środku restauracji i wybuchnie płaczem? Jeszcze się okaże, że straci przede mną pracę...

- Zapomniałam zapytać! - Przerwała moje rozterki Annique. - Zdażyłaś odwiedzić Le Sachem?

- Tak, dopiero tam po raz pierwszy zobaczyłam prawdziwy łapacz snów.

To było niesamowite uczucie trzymać oryginalne mokasyny wykonane z delikatnego zamszu i dotykać szorstkich, ręcznie tkanych pledów. W sklepie mieli nawet lalki-podobizny Hia-wathy, z warkoczami przewiązаныmi rzemykami. Moja kuzynka miała taką jako dziecko i pamiętam, że jej zabawka biła na głowę wszystkie Barbie. Indiańska lalka urzekała przede wszystkim wielkimi, ciemnymi oczami i postrzępioną sukienką.

Nawet po wizycie w Hurricanie byłam oszołomiona po zetknięciu z całą paletą traperskich czapek - z kojota, lisa, piżmaka, szopa, bobra i śnieżnobiałego królika. W Le Sachem mieli je wszystkie. Sprzedawali nawet kolczyki z dyndającymi na końcu bąbelkami z futra norek.

A co, jeśli źle postępuję?

Jednak moją uwagę i tak najbardziej przyciągnął pewien incydent. Kiedy kilkuletni chłopczyk przypadkiem niemal przewrócił wypchanego niedźwiedzia ze sklepowej dekoracji, jego ojciec - zamiast go skarcić i wyprowadzić ze sklepu - spojrzał mu głęboko w oczy i powiedział:

- Pamiętasz, jak o tym rozmawialiśmy? Musisz traktować wszystko wokół z troską i szacunkiem.

- Troska i szacunek - powtórzył synek.

Szczęka mi opadła z wrażenia. Nie miałam już wątpliwości, że w Quebecu wszyscy wyrastają na szarmanckich ludzi! Jako dziecko zawsze po stłuczeniu czy zepsuciu czegoś musiałam się szykować na reprymendę i ucięcie kieszonkowego. Sama nigdy bym nie wpadła na to, żeby wpajać maluchom zasady dobrego wychowania, zapoznając je ze słowem „respekt”, zanim dobrze nauczą się mówić. To głębokie.

- Kupiłaś tam coś?

- Gdyby moja babcia jeszcze żyła, wzięłabym dla niej małą ozdobę w kształcie białego niedźwiedzia - wykonaną prawdopodobnie z soli kamiennej - który trzyma w pysku onyksową rybę.

Kupiłam za to pudełko herbaty dla Laurie - skusiły mnie zabawne nazwy produktów herbacianych w stylu Rozkosz Wodza, Napar Wojownika czy Relaks w Wigwamie.

Sobie na pamiątkę wybrałam zestaw kadzidełek. Zapaliłam nawet jedno klonowe przed wyjściem z hotelu i pozwoliłam się otulić pachnącą mgiełką. Podobno Indianie zawsze tak robili przed spotkaniami, bo dzięki kadzidłom wytwarza się szczególna atmosfera i zostają wyeliminowane złe elementy z powietrza.

Nie wspomniałam tego Annique, bo pewnie pomyślałaby, że sfiksowałam.

- Wendake! - oznajmiła, wskazując na znak stopu, na którym widniały napisy zarówno po francusku - Arrêt, jak i w języku Huronów - Seten.

Przygotowywałam się na zetknięcie z trudnymi warunkami życia i zniszczonymi posiadłościami, ale okazało się, że Huronowie to jedno z najlepiej prosperujących plemion wśród Pierwszych Narodów.

- Dlaczego tak jest? Chciałam poznać historię.

- Huronowie od zawsze zajmowali się handlem i wymianą towarową, podczas gdy pozostałe plemiona skupiały się na przykład na polowaniach, co okazało się dużo mniej opłacalne na przestrzeni lat - wyjaśniła Annique, po czym zapytała: - A wiesz, że Mohawkwowie mają tak doskonałe wyczucie, jeśli chodzi o wszelkie wzniesienia i wysokości, że zawsze zleca się im projekty drapaczy chmur i wieżowców?

- Nie wiedziałam - powiedziałam i uśmiechnęłam się zaciekawiona.

- Zobacz, mają tu nawet salon piękności!

Mieścił się w drewnianym budynku z werandą. Nad wejściem wisiał szyld wykonany w wiktoriańskim stylu - całość była kiczowata w pozytywnym sensie. A co najciekawsze, salon sąsiadował z wodospadem Kabir Kouba.

- Pozwól, że jeszcze szybko pokażę ci ten kościół. To Notre-Dame-de-Lorette.

- Myślisz, że to w porządku, gdy wejdziemy do środka? - wahałam się.

- Oczywiście, nie przeszkodzimy w nabożeństwie.

W środku zafascynowało mnie połączenie katolickich i indiańskich symboli - świece i figurki Jezusa stały obok bębnow ze zwierzęcej skóry i portretu kobiety o kruczoczarnych włosach

przewiązanych opaską z ozdobnymi paciorkami. Na dodatek nad ołtarzem wisiała para śnieżnych rakiet.

- Niesamowita kultura, prawda? - westchnęła Annique. - Pierwotna i taka uduchowiona...

- Wiesz co? Kiedy byłam małą, zupełnie nic nie wiedziałam o historii tych ludzi i ich cierpieniu po najeździe kolonistów. Nie domyślałam się niczego, nawet oglądając westerny i programy w telewizji o kowbojach i Indianach. Jednak zawsze uważałam, że łuk i strzała są fajniejsze niż pistolet. Bardziej mi się podobała jazda na oklep niż bujanie się rozklekotanym powozem. Wiedziałam jedno - chciałam długie, czarne włosy, spódniczkę z frędzlami i opaskę z piórem. Właściwie do teraz moja wiedza bazuje tylko na *Tańczącym z wilkami*.

- No to masz sporo do nadrobienia. Każde plemię jest inne.

- I tak ich dużo! Jest taka piosenka zespołu Adam & The Ants, gdzie padają indiańskie nazwy: Czarne Stopy, Pawnee, Czejenowie, Wrony, Apacze, Arapaho... - przypominałam sobie. - Nigdy przedtem nawet nie słyszałam o Huronach!

- Wiesz w ogóle, skąd się wzięła nazwa ich plemienia? Potrząsnęłam głową.

- Huron to odpowiednik francuskiego słowa określającego dzika. Europejscy badacze stwierdzili, że włosy tych Indian przypominają sterczącą, dziczą szczecinę.

- Naprawdę? Dziwne, że lokalny salon piękności nie wykorzystał dzika w swoim logo!

Annique wybuchła śmiechem i wzięła mnie za rękę.

- Chodź! Ruszamy dalej!

I pojechałyśmy do hotelu Premieres Nations, gdzie mieściła się restauracja La Traite, co znaczyło tyle, co „porozumienie”.

Miejmy nadzieję, że pokojowe...

Wiedziałam, że w Ameryce istnieją hotele z pomieszczeniami zaprojektowanymi na wzór namiotów tipi. Nie do końca tego się spodziewałam, ale tym bardziej nie eleganckiego wystroju rodem z kart katalogu Hip Hotels.

Hol był wymuskany, przestronny i cudownie w nim pachniało. Nie byłam pewna, czy to zapach sosnowych igieł, drewna cedrowego, czy może specjalne, autorskie kadzidelka. Oczywiście od razu pognałyśmy w stronę paleniska. Znajdowało się obok ogromnego okna, przez które miałyśmy widok na skąpaną w świetle księżyca śnieżną równinę.

- Aaach... - westchnęłyśmy, napawając się wszechobecnym spokojem.

- Może posiedzimy tu chwilę, zanim pójdziemy na kolację?

Sofy i fotele były przykryte wilczymi skórami. Chociaż preferuję tapicerki bez ogonów i łap, to zaszczytem było móc zobaczyć z tak bliska prawdziwe wilcze futro. Kremowe, czarne i bursztynowe smugi wyglądały jak naniesione pociągnięciami pędzla.

- *Hors d'oeuvres?*

Pojawił się młody mężczyzna z drewnianą tacą pełną misternie ułożonych przystawek. Pierwszą z nich był krokiet - jak poinformował kelner — z farszem z kaczki. Annique wyczuła mięso z łosia w tartaletce, a ja skusiłam się na pozycję numer trzy - mieszankę o purpurowym zabarwieniu, udekorowaną żółtym kwiatkiem. Była już w połowie drogi do moich ust, kiedy An-nique powiedziała hasło...

- Foka.

- Foka? - Spojrzałam na nią pełna nadziei, że błędnie przetłumaczyła słowo. - Chyba nie masz na myśli małego, puchatego morskiego ssaka z oczami jak węgielki? Nie, tylko nie foka!

Podawała mi serwetkę.

W tamtym momencie moje obawy przeniosły się na całe menu. Nie bez powodu. Po przejrzeniu całej kulinarnej oferty z tego wszystkiego bizon wydał mi się najbezpieczniejszym wyborem.

- Nie dam rady zjeść ślimaka. - Zbladłam. - Albo węgorza. Tym bardziej że podają go z pastorałem, cokolwiek to jest.

- Część paproci. - Stłumiła moje dzikie myśli Annique.

- A stek z wapiti?

-Jeleń północnoamerykański.

- Jeleniowi szlachetnemu również mówię stanowcze nie. Szkoda, że nie lubię łososia, bo likier gruszkowy i marmolada z borówek, które do niego podają, brzmią smakowicie...

- Ja chyba zamówię królika z dyniowym purée i dżemem arni-kowym - zdecydowała Annique.

- O nie...

- Co takiego?

Pfzelatywałam wzrokiem listę deserów i zatrzymałam się na *fondant chocolaté au parfum* - do tego momentu wyglądało nieźle, ale druga część opisu brzmiała *Infusion au thé du Labrador*.

- Niby jak udaje im się uzyskać i dodać do herbaty „ekstrakt z labradora”? — zapytałam przerażona, że na następnej stronie moim oczom ukaże się lista psich potraw typu „Carpaccio Husky” czy „Samojedowa Niespodzianka”.

Annique spojrzała na mnie jak na wariatkę.

- Labrador to nie pies, tylko nazwa północnego obszaru Kanady. Żyją tam Eskimosi. Herbata jest ziołowa. Chyba będzie ci smakowała.

-Aha...

- Kurczę, lepiej chodźmy na dół do restauracji, zanim stchórzysz.

- Właśnie... kurczę... - wymamrotałam. - Gdyby tylko drób był w menu. Choć właściwie nawet kury już nigdy nie uznaję za pewnik.

Gdy czekałyśmy na wskazanie wolnego stolika, próbowałyśmy wypatrzeć panią przed sześćdziesiątką z nazwiskiem Laframboise na identyfikatorze.

Nagle Annique mnie uszczypnęła.

- Pssst! To ona! - Wskazała dyskretnie na niską, schludną kobietę o czarnych włosach.

Przez moment myślałam, że idzie dokładnie w naszym kierunku, ale w ostatniej chwili skręciła do stolika usytuowanego bardziej w centrum sali, a nam został przypisany kelner.

- Jeśli można zapytać - odważyłam się zagadać do chłopaka - z jakiego jest pan plemienia?

- Huron-Wendat - odparł.

- A ta dziewczyna?

- Z Irokezów.

- A ona? - zapytałam z kołatającym sercem o madame Laframboise.

- Huron-Wendat.

- Oooh! - spojrzałam wymownie na Annique. Jesteśmy w domu - będzie w stanie rozmawiać po francusku. - To bardzo interesujące. Dziękuję panu za informacje.

- Nie ma za co.

Zamówiłyśmy kolację. Mimo wszelkich moich obaw jedzenie okazało się wyśmienite. Jego smak był absolutnie unikatowy, bardzo intensywny. Zmieniłam zdanie - menu było niezwykle i dziwne w pozytywnym sensie. Zamówiłyśmy jeszcze butelkę białego wina *cuvée natashquan* - przede wszystkim dlatego, że potrzebowałyśmy klina, a poza tym musiałyśmy sobie jakoś

wypełnić czas do momentu, aż pani Laframboise skończy swoją zmianę. A kiedy podawała gościom klonowe fondue, Annique powiedziała:

- Mojej córce na pewno bardzo by się spodobało!
- Nie wiedziałam, że jesteś mamą. Przytaknęła.
- Coco ma teraz pięć lat.
- Coco? - ożywiłam się. - Jakie cudne imię!
- Mało btakowało, a musiałabym wybrać jakieś inne. Prawie mi nie pozwolili!
- Kto? - Zmarszczyłam brwi.
- Rząd - powiedziała z pochmurną miną.
- Rząd? - powtórzyłam zdumiona.
- Napisali do mnie, kiedy zarejestrowałam jej narodziny, i stwierdzili, że w całej prowincji Quebec nie ma żadnej innej Coco, więc nadając jej takie imię, narażam ją na śmieszność.
- Nie słyszeli o Coco Chanel? - spytałam zbulwersowana. - Nie ma bardziej francuskiego imienia!
- Wiem! Ale tutaj byłabym prekursorką i ostrzegli, że jeżeli nie obronię swojej decyzji na piśmie, będę musiała zmienić imię dziecku.
- Oburzające! Ale udało ci się ich przekonać?
- Owszem, więc teraz może żyć adekwatnie do imienia. - Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej zdjęcie.
- Wygląda na bystrą dziewczynkę. - Uśmiechnęłam się z nadzieją, że Annique nie uzna mojej wypowiedzi za eufemizm, bo nie powiedziałam, że mała Coco jest ładna. Po prostu miała specyficzny wyraz twarzy, jakby dokładnie wiedziała, co się dzieje dookoła i była w stanie przechytyć dorosłych. - Jest urocza - dodałam.
- Zgadzasz się - odparła dumna Annique.

Zamilkłam na chwilę, bo kelner akurat serwował wino. Gdy zostawił nam butelkę i kieliszki, zapytałam:

- Jak to naprawdę jest, kiedy ma się dziecko?

- To skomplikowana sprawa - odpowiedziała po namyśle.

-Przynajmniej dla mnie, w mojej sytuacji z Masonem...

- Twoim byłym?

- Tak. - Wyglądała na przybitą. - To najtrudniejsze. Nie wiem nawet, czy kiedykolwiek chciał zostać ojcem. Wiedział za to, jak bardzo ja marzyłam o macierzyństwie. Więc zdecydowaliśmy się, ale... Jak mam to powiedzieć? Dziecko nie pasowało do jego wyobrażenia o sobie. Lubił rzeczy, które dzieci mogłyby tylko pobrudzić swoimi lepkimi rączkami.

Uśmiechnęłam się nieznacznie.

- Jego zdaniem dzieci nie są ani efektowne, ani prestiżowe. Niedługo po narodzinach wszystko w ich przypadku sprowadza się do podstawowych ludzkich czynności - robienie kupy, siusianie i wymioty. Gorączka, kaszel, wysypka - wszystko to Mason uważał za... irytujące, obrzydliwe...

- O rety! Czyli nie angażował się w wychowanie?

- Zupełnie nie. Gdybym miała możliwość, najchętniej trzymałabym ją w ukryciu do czasu, aż podrośnie. Żeby później Mason mógł powiedzieć: „To moja dziewczynka! Wdała się we mnie”, kiedy osiągałaby sukcesy w szkole. Jednak nie dotrwaliśmy do tego etapu. Nie tylko z powodu Coco. Nie podobała mu się również zmiana w moim wyglądzie. Wkurzało go też to, że cała uwaga nie skupia się na nim, że poświęcam ją jeszcze komuś. Poza tym ogromną trudność sprawiało mu umawianie opiekunek i tego typu rzeczy...

- Boże, to musiało być dla ciebie straszne - nie móc na niego liczyć w żadnej kwestii...

- Było mi bardzo przykro z powodu Coco, było mi jej żal. Tak na dobrą sprawę nie miała ojca. Mogła zapomnieć o tym, że się z nią pobawi, że ją przytuli, podrzuci radośnie w powietrze i sprawi, że poczuje się jak księżniczka...

Pokiwałam głową.

- Zmarnowałam zbyt wiele czasu, łudząc się, że nastąpi zmiana w jego nastawieniu - że ją pokocha. Coco jest całym moim życiem, dawała mi radość każdego dnia i codziennie mnie zaskakiwała - jakim cudem on tego nie widział? I nie czuł tego, co ja wobec niej czuję?

- Czulaś się samotna? Wzruszyła lekko ramionami.

- To tylko jeszcze zacieśniło więzi między mną a Coco, jeszcze bardziej się do siebie zbliżyłyśmy. Byłyśmy bratnimi duszami, a on zrzęda, który psuł nam całą zabawę po powrocie do domu. To wielka ulga żyć teraz z dala od niego, mimo że i tak musimy być w stałym kontakcie - sąd przyznał opiekę nad dzieckiem nam obojgu.

- Chciał z tego w ogóle skorzystać?

- Używał tego jako pretekstu. Mógł żądać wiele podczas procesu, bo wiedział, że zgodzę się dosłownie na wszystko, żeby spędzać z nią jak najwięcej czasu.

- Szantaż? Co za drań.

- Więc raz w miesiącu spotykam się z nim, a on wtedy tylko krytykuje moje metody wychowania.

Zmarszczyłam czoło. Annique na pewno jest cudowną matką - błyskotliwą, ciepłą, fajną. Nie widziałam innej możliwości.

- Mason jest bardzo wybredny i kapryśny. Pod każdym względem. Wysyłał mi e-maile z komentarzami na temat nowych ubrań, które kupowałam Coco, albo kazał mi zapisać małą na balet i zawozić na lekcje trzy razy w tygodniu...

Poczułam przyływ złości i frustracji. To okropne, że Annique musiała się zmagać z taką negatywną energią ze strony najbliższej niegdyś osoby. Zdziwiło mnie, że nawet taka kobieta jak ona nie miała zawsze życia usłanego różami. Widocznie nie ma wśród nas wyjątków.

- Staram się wierzyć w szczęśliwe zakończenia - powiedziałam. — Ale to bardzo trudne - tym bardziej że coś, co zaczyna się wspaniale, zawsze później idzie na opak.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że zostanę matką samotnie wychowującą dziecko - przyznała Annique. - Ale musiałam się z nim rozwieść ze względu na Coco. Nie mogłam dopuścić, żeby żyła i dorastała w poczuciu, że jest niechciana. Mogłaby nawet stać naprzeciwko niego, a on by na nią nie spojrzał.

- Uważam, że zachowałam się bardzo dzielnie. Nie każdy miałby odwagę, żeby dokonać takiego wyboru. A to był zdecydowanie dobry wybór.

Przerwałam na chwilę rozmowę, żeby zamówić szklankę piwa kukurydzianego - oczywiście tylko na próbę! Annique zdecydowała się na kawę.

Potem zapytałam:

- A co z Gilles'em? On jest inny?

- Przede wszystkim jest dużo przystojniejszy od Masona - zaśmiała się. - Jednak trudno go rozszyfrować. Poza tym to pracoholik — przyznała. — Fotografia go pochłania.

- Nie chciałabyś być na drugim miejscu?

- Nie za czymś, co również nie sprawiałoby mi przyjemności - a ja cieszę się jego pracą. Uważam go za artystę. Lubię kreatywnych ludzi.

- Skoro tak, to może obydwójce „stworzylibyście” rodzeństwo dla Coco?

Zawahała się.

- Nie wiem, czy to zbieg okoliczności, ale nabrał lekkiego dystansu, odkąd o niej wspomniałam. Co prawda dzisiaj nie widziałam się z nim sam na sam...

- Jutro będzie lepiej - wtrąciłam.

- Tak myślisz?

- Oczywiście. - Wiedziałam, co mówię. W końcu odciążłam Gilles'a z wszelkich wyrzutów sumienia spowodowanych tym, co między nami zaszło, więc będzie mógł na nowo skupić się wyłącznie na Annique. - Przy okazji - weźmiesz udział w Śnieżnej Kąpieli?

- Niiieeeee! - Wzdrygnęła się.

- Sądzę, że powinnaś.

- Dlaczego?

- Z twoją figurą? Żartujesz? Przecież byłabyś królową balu, a sama wiesz, że nic tak nie rozpala męskiej pasji jak widok jego kobiety komplementowanej przez innych.

Zastanowiła się chwilę i odparła:

- Mam nawet swoje szczęśliwe bikini!

- W takim razie postanowione!

- Ale pod warunkiem że pójdziesz ze mną.

- Och! - zachłysnęłam się. - Wolałabym zostać na uboczu.

- Ale Krista! - nadąsała się. - Co to za zabawa stać i ryłko obserwować?

Trafiła prosto w mój czuły punkt. A ja nie miałam nawet stroju kąpielowego...

- Pożyczę ci jakiś - zaproponowała Annique.

- No pewnie, w końcu mamy ten sam rozmiar - zadrwiłam.

- Moja waga wiele razy się zmieniała, zaufaj mi. Mam jeden komplet, który będzie na ciebie pasował jak ulał.

- No cóż...

- No, dalej! Będzie super! Ale najpierw trochę wypijemy na rozgrzewkę.

- Jesteś w stanie w ogóle myśleć o alkoholu po ostatniej pijackiej przygodzie?

- Tym razem będzie inaczej. Kąpiel odbędzie się w pobliżu mojej rodzinnej wyspy, więc mam pewność, że następnego dnia nic cię nie będzie bolało. Gwarantuję ci!

Może to działanie kukurydzianego piwa, może poczucie koleżeństwa, a może fakt, że miałam wobec niej dług wdzięczności, bo z mojego powodu zrezygnowała z wieczoru spędzonego w towarzystwie Gilles'a - ale ostatecznie się zgodziłam. Brawo, Krista. Interes życia - taplać się w śniegu w północy obok supermodelki...

Rozmawiałyśmy jeszcze chwilę o Coco, ale nie wspominałam Annique o mojej sytuacji, ponieważ nie chciałam jej wprawić w zakłopotanie. W pewnym sensie słuchanie jej opowieści podnosiło mnie na duchu. Myślę, że to dzięki jej szczerości. Zdałam sobie sprawę, że każdy musi się borykać z jakimiś problemami, nikt nie ma idealnego życia. Nie zazdrościłam jej kontaktu z byłym mężem, ja przynajmniej już nigdy nie będę musiała oglądać Andrew. Po co zresztą miałabym się z nim spotykać? Człowiek, którego poślubiłam, który mnie kochał - już dawno przestał istnieć.

Rozejrzałam się po restauracji.

- Jesteśmy ostatnim stolikiem?

Annique chwyciła mnie za ramię na znak, że nasz cel właśnie się do nas zbliża. Zanim zjadły mnie nerwy, pospieszyłam kobiecie na spotkanie.

- Madame Laframboise?

- *Oui?*

Miała miły wyraz twarzy, trochę ciekawski, również nieco zmęczony. Lecz kiedy spojrzałam w jej ciemne oczy, zobaczyłam ocean smutku. Na sam widok ból przeszył mi serce.

- Czy miałyby pani minutę albo dwie, żeby ze mną porozmawiać? - Poprosiłam Annique, żeby tłumaczyła moje pytania. - Nazywam się Krista Carter. Jestem znajomą Jacques'a Dufoura.

Od razu nabrała pochmurnego wyrazu.

- Nie chciałam pani urazić - mówiłam swoim najdelikatniejszym tonem - i obiecuję, że będę się streszczać...

- Czy wszystko z nim w porządku?

- I tak, i nie - odparłam. - Jest zdrowy, ale tłumi w sobie ogromny żal. I podejrzewam, że jest on również spowodowany brakiem kontaktu z panią. - Poczekałam, aż Annique przełoży mój wywód na francuski. - Nie jestem w stanie sobie wyobrazić cierpienia, z jakim przyszło pani żyć. Sama nie jestem matką, ale wiem, że nie ma większej straty niż śmierć dziecka. Rozumiem, że naturalnym odruchem było obwinie...

- To nie obarczanie winą. - Potrząsnęła głową. Poprosiła również, żebyśmy usiadły na sofie. Po chwili milczenia kontynuowała: - Nie mogę spojrzeć na Jacques'a, kiedy Remy'ego nie ma obok. Od zawsze i wszędzie byli razem. Za każdym razem, jak widzę Jacques'a, zaczynam szukać też swojego syna — i odkrywam, że jego już nie ma. Już nie wróci - wyznawała łamiącym się głosem. - To zbyt duży ciężar - być ciągle uświadamianą w tak brutalny sposób.

Przytaknęłam i chciałam wziąć ją za rękę, ale powstrzymałam się w obawie, że przekroczę cienką granicę.

- Ostatnio przyszedł do mnie z pieniędzmi, ale pomyślałam tylko: „Zabrałeś mi syna. Nie chcę pieniędzy. Chcę go z powrotem”. - Zwiesiła głowę zawstydzona. - Tak nie tobą Huronowie.

- Co ma pani na myśli?

- Nie możemy wzywać do powrotu ziemskich dusz, które już odeszły. Mamy rytuały mające na celu zapobiec przyływowi żalu zakłócającego życie. Tak nas wychowywano. A teraz... -westchnęła głęboko.

Annique łypnęła na mnie.

- Chyba ma na myśli to, że według ich wierzeń ludzie mają dwie dusze: po śmierci jedna idzie do wioski w niebie, podczas gdy druga czeka, żeby ponownie się narodzić. Wydaje mi się, że ona czeka, aż Remy znów się narodzi...

Wtedy do pani Laframboise podeszła inna kelnerka.

Z ich rozmowy wynikało, że mają razem wracać do domu. Matka Remy'ego wstała i dała nam do zrozumienia, że musi już iść.

- Jeszcze jedna rzecz! - dodałam w pośpiechu. - Jacques nie wie, że tutaj przyszedłam, więc jeśli kiedykolwiek zdecydowałyby się pani z nim skontaktować - to pani wybór. Jeśli nie - on nigdy nie może się dowiedzieć o naszej rozmowie.

- Masz dobre zamiary - pogładziła mnie po twarzy. - Ale sama też musisz sobie wybaczyć.

Mrugnęłam na nią zaskoczona. Co mogła mieć na myśli? Położyła rękę na moim brzuchu.

- Wybaczyć.

Coś mi podpowiadało, że wcale nie chodziło jej o wybaczenie sobie zamówienia drugiego deseru...

Wracałyśmy do Quebecu w ciszy, każda pogrążona we własnych myślach. Przez całą drogę moje ręce nie oderwały się od brzucha.

W pokoju hotelowym zapaliłam kadzidełko (w intencji uleczenia ran) i odprawiłam własną ceremonię.

- Wybaczam ci, moje ciało, że nie jesteś w stanie wydać na świat własnego dziecka. Wiem, że gdybyś mogło, drogie ciało, dało byś z siebie wszystko. Nie będę się na ciebie dłużej gniewać. Nie będę już tobą rozczarowana. Nie mam zamiaru więcej cię obwiniać. Przestanę się uważać za wybrakowaną, gorszą, popsutą. Nie chciałam, żebyś poczuło się moją porażką. Udawało ci się służyć mi na milion innych sposobów. I za każdy z tych sposobów jestem ci niezmiernie wdzięczna. Wiem, że któregoś dnia wszystko się wyjaśni i okaże, że to było do czegoś potrzebne. Poczekam cierpliwie, aż ta chwila nadejdzie. Codziennie się dla mnie starasz. Dziękuję.

Po tym położyłam się do łóżka i zamknęłam oczy.

Na pewno coś innego jest mi przeznaczone. Na pewno jest.

Tego dnia wiatr był tak ptzeraźliwie zimny, że za każdym razem, gdy mocniej zawiało, czułam się tak, jakby ktoś potraktował mnie paralizatorem. I to przy moich standardowych dwudziestu siedmiu warstwach! Z trudnością myślałam o tym, że za kilka godzin na mrozie zrobimy striptiz z Annique.

Jednak pierwszy punkt w harmonogramie stanowiła przeprowadzka do jednego z hoteli w centrum Starego Miasta. Z przykrością opuszczałam moje Hiltonowe schronienie, gdzie na śniadanie serwują najlepsze na świecie ziemniaczki, a w drzwiach stoi odźwierny ubrany w traperską czapę z bobra. Stary hotel leżał dokładnie w środku magicznego królestwa, które zobaczyłam przez szybę wieży podczas pierwszego dnia mojego pobytu w Quebecu - uznałam więc, że warto się przełamać i spróbować zmienić azyl...

Budynek mieścił zaledwie dwadzieścia jeden pokoi i nie miał windy, lecz wystarczył jeden krok na klatce schodowej, żebym poczuła się jak w domu.

- Mamy dla pani paczkę, madame - oznajmiła recepcjonistka.

- Naprawdę? - Pomyślałam, że Gilles wydrukował zdjęcia, ale koperta była wypełniona czymś miękkim. Otworzyłam ją od razu — i wyjęłam czerwoną czapkę z pomponem.

- Idealna na Karnawał - stwierdziła z uśmiechem kobieta z recepcji.
- Bonhomme nosi taką samą.

Przeszedł mnie dreszcz.

- Cz-czy widziała pani, kto dostarczył przesyłkę? Pokręciła głową.

-Już tutaj czekała, gdy zaczynałam swoją zmianę.

Oczywiście to mógł być Jacques, z tym że nie wiedział, gdzie nocuję. A jeśli to Malhomme? Wróciłam pamięcią do wieczoru w barze. Czy to możliwe, że pod moją nieobecność doszło do rozmowy między nim a znajomymi z mojego stolika? Wyciągnął od nich jakieś informacje? Niczego nie mogłam być pewna...

- Nie dołączono żadnego liściku?

Zanurzyłam rękę w kopercie i rzeczywiście! Na dnie leżała karteczka z kilkoma nabazgranymi słowami.

- Och! Co to może znaczyć?

Przekazałam notkę recepcjonistce, mając nadzieję, że to nic zdrożnego.

- Masz ochotę na *toque*⁸? - przeczytała na głos.

- To coś złego?

- Nie, nie - chodzi o to nakrycie głowy.

Odetchnęłam z ulgą, ale na krótko. Wtedy już byłam pewna, że paczkę wysłał mi Malhomme. Jacques nie robiłby żadnych podtekstów.

Recepcjonistka wręczyła mi klucz do pokoju nr 7. W środku przeczesałam dosłownie wszystko - każdą szufladę, półkę, schowek, łóżko, nawet własny płaszcz. Teren czysty. I uroczy... Moja sypialnia mieściła się na poddaszu, stało w niej łóżko z pomalowanego na biało drewna, przykryte patchworkową, błękitną

Z ang. toczek, ale chodzi o grę stów: „wanna toque?”, co ma się kojarzyć z „fuck” - przyp. tłum.

narzutą. Była również wyposażona w ręcznie wykonane meble z odrysowanymi wzorkami w kształcie lilii. Podczas gdy w Hiltonie całą jedną ścianę stanowiło ogromne okno, tutaj mogłam wyrzeć na świat przez dwa zasypane do połowy śniegiem prostokąci. Miałam widok na dachy, kopuły i iglice sąsiadujących budynków - wyglądały jak kolekcja ozdobnych korków do butelek. Ale mi to odpowiadało.

Już miałam zacząć się rozpakowywać, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi.

- Kto tam?

- *C'est moi Annique!*

Była w dobrym humorze i rozglądała się po pokoju, wydając z siebie odgłosy zachwytu. Szczególnie podobała jej się nowoczesna, szklana umywalka w łazience, której sama jeszcze nie zdążyłam obejrzeć.

Annique nagle się odwróciła i krzyżąc „Tadaaam!”, rozpięła płaszcz i rozchyliła jego poły. Moim oczom ukazało się perfekcyjne ciało ubrane w białe bikini z motywem liścia klonu. Wyglądała jak skrzyżowanie Miss Kanady i rajskiej Ewy naszych czasów. Nie byłam pewna, czy posmarowała się rozświetlającym balsamem, czy jej ciało miało naturalny blask, ale każdy kontur - od przedziałka między piersiami po mięśnie łydek - wyglądał na subtelnie podkreślony.

- Wow! - Nie mogłam oderwać od niej wzroku. - Jest okej?

- Masz to! Poszła po torebkę.

- Wzięłam dla ciebie *maillot de bain*! Zamknęłam oczy.

Strój kąpielowy (z fr.) - przyp. tłum.

Bałam się, że wyskoczy z kusym zestawem, który z chęcią założyłaby Rihanna, ale zamiast tego wyjęła jednoczęściowy, z zaokrąglonym dekoltem.

-Och.

- Powiedziałaś, że wolisz bardziej zabudowany.

Zgadza się. Ale nie przypominam sobie, żebym prosiła o coś z kolekcji Cnota & Celibat.

- Spokojnie, jakoś przeżyję...

- Nie, nie, nie! - protestowała Annique. - Na pewno coś wykombinujemy!

Odwróciłam się, żeby ukryć przed nią moje wałeczki, ale Annique już przeczesywała zawartość mojej walizki. Wyjęła ceki-nowy top i zaproponowała, żeby przeciąć go na pół. Dolną jego część miałabym naciągnąć na biodra i nosić jako spódniczkę.

- Nie wyglądam w tym trochę jak tancerka go-go?

- Pokaż, jaką masz bieliznę.

Niestety nic nie nadawało się na kąpielówki.

- Poza tym przecież nie mogę pokazać aż tyle, co ty - powiedziałam, eksponując brzuch.

- Musi być coś, co możemy wykorzystać... - Zabębniła palcami o biurko i zmarszczyła brwi. - Już wiem! - wykrzyknęła po chwili. - Poczekaj tu!

- Dokąd idziesz?

- Do sklepu z pamiątkami obok. Zaraz będę!

Próbowałam odgadnąć, co jej przyszło do głowy, ale jakoś trudno mi sobie było wyobrazić, że pamiątkowe kieliszki i magnesy na lodówkę posłużą mi za bikini.

- O rety, już jesteś! Co kupiłaś?

Annique wyjęła trzy szarfy z frędzelkami - dokładne repliki wstęgi, którą jest przepasany Bonhomme.

- Owiniemy cię nimi.
- Super, czyli po prostu będę psychofanką Bałwana?
- To bardzo w duchu Karnawału.
- Skoro tak mówisz...
- A wiesz, że ten wzór na szarfie ma swoje korzenie w kulturze indiańskiej?

- Naprawdę? - Przyjrzałam się bliżej splotowi na wstędze, ale Annique wyrwała mi ją z ręki, żeby zakończyć krawiecką misję.

W efekcie stałam ubrana w pomysłową sukienkę bez pleców, której nie powstydziliby się sam Tim Gunn.

- Niezła z ciebie stylistka! - Byłam pełna uznania. - I jaka szybka!

- Zdążyłam się trochę podszkolić, urządzając przebieranki razem z córką.

Klęknęła przede mną, żeby dokonać ostatnich szlifów i dopiąć „projekt” na ostatni guzik - a właściwie agrafkę. Zapytałam, jak ostatniej nocy zachowywał się Gilles.

- Nie widziałam się z nim. Chciałam, żeby trochę się stęsknił i dzisiaj...

- Sptawić, że mu kapcie spadną!

- Wszystkie trzy pary! - Zaśmiała się. - No. Teraz wyglądasz *tresjolie*¹⁰.

Trzeba przyznać, że rzeczywiście nie prezentowałam się najgorzej. Na pewno korzystniej niż w tradycyjnym stroju kąpielowym - wzór w kształcie strzałek rozpraszał wzrok, supełki Annique umiejscowiła w okolicy moich bioder, więc końce szarf opadały swobodnie wzdłuż ud. Poza tym w tym ubiorze było mi całkiem ciepło!

¹⁰ Bardzo ładnie (z fr.) - przyp. tłum.

- Mam trochę ograniczone ruchy. Będę musiała uważać, żeby wstęgi się nie rozplątały. - Przytuliłam Annique ostrożnie w dowód wdzięczności. — A przy okazji...

- *Oui*.

- Pamiętasz mężczyznę, który siedział przy barze w Auberge Saint-Antoine? Tego, który się gapił...

- Tego o złotawych włosach, ubranego w garnitur od YSL i z tym uroczym dołeczkiem? — zapytała, dotykając palcem brody.

Uśmiechnęłam się.

- Poznałabyś go?

- To zależy, w co by się ubrał...

- Co masz na myśli? Czy ona wie?

- Byliśmy w lokalu, więc miał na sobie mniej. Gdybym zobaczyła go na ulicy w płaszczu czy kurtce, opatulonego szalikiem i z czapką naciągniętą na oczy...

- A gdyby był w kąpielówkach? Albo nawet bez... Zmrużyła oczy i uśmiechnęła się tajemniczo.

- Po prostu mam wrażenie, że dzisiaj zjawi się na Śnieżnej Kąpieli — odparłam i wzruszyłam ramionami. - Więc gdybyś zauważyła go przede mną...

- Na pewno dam ci znać - stwierdziła, ciągle patrząc na mnie podejrzliwie.

To dziwne uczucie nie mieć prawie nic pod płaszczem. Czułam się jak zakamuflowana striptizerka, która miała zamiar ni stąd, ni zowąd zdjąć sięgającą do łokcia rękawiczkę i zacząć nią wymachiwać przed nosem jakiemuś zaskoczonemu turyście.

Normalne ciuchy upakowałam w torebce. Nigdy tak bardzo nie tęskniłam za obciachowymi, ciepłymi kalesonami. Wciąż

nie mogłam uwierzyć, że mam zamiar zrobić szaloną rzecz. Tym bardziej że do końca nie wiedziałam, na czym by ta „szalona rzecz” miała polegać...

- Co właściwie się wydarzy, kiedy dotrzemy na miejsce?
-zapytałam.

- Jest trochę chaosu, niektórzy ludzie nurkują w śniegu, tańczymy, bawimy się z Bonhomme'em...

- Więc będzie tam prawdziwy Bonhomme?

- Cóż, przynajmniej mamy nadzieję, że to będzie TEN autentyczny Bonhomme.

Szłam, gorączkowo się rozglądając. Gapiłam się na każdego mijającego nas mężczyznę i sprawdzałam, czy przypadkiem nie ma w brodzie dołeczka. Zadanie utrudniały mi owinięte szczelnie szaliki i wysokie kołnierze.

Naprawdę miałby tupet, żeby zjawić się na publicznej imprezie, podczas gdy szuka go całe miasto?

- Patrick! *Bonjour* - Annique pocałowała w zarośnięty policzek mężczyznę wyglądającego jak połączenie Russela Crowe'a i Mar-tiego Pellowa z Wet Wet Wet.

- Patrick odpowiada za PR Karnawału. Dzięki niemu mamy wejściówki i specjalne przywileje - przedstawiła koleżkę.

- Jak na przykład możliwość wspólnej fotki z Bonhomme'em! - stwierdził, uśmiechnął się i zachęcił, żebym poszła za nim.

- Gdzie jest Gilies?

- Czeka na nas...

Rzeczywiście - wszystko już miał przygotowane. Wystarczyło rylko, żebym zrzuciła płaszcz i zapozowała przed Lodowym Pałacem Bałwana. „Po prostu zdejmij płaszcz - zachęcałam się w duchu. - Odepnij ptztyczki, rozepnij suwak i go z siebie zrzuci. No, dawaj!”.

- Nie mogę tego zrobić - zabczałam jak smutny baran prosto w ucho Annique.

- Oczywiście, że możesz! - nalegała.

- Zrób to dla mnie! - włączył się do dopingu Bonhomme. Zerknęłam na niego. Był łudząco podobny do Malhomme'a,

ale chyba nieco wyższy i jego głowa była wykonana z innego materiału - lżejszego, przypominającego styropian. Nie chciałam, żeby pomyślał, że marnuję jego cenny czas, więc zacisnęłam oczy, pozbyłam się warstwy ochronnej i weszłam na przygotowaną do zdjęcia platformę.

- Mamy pasujące stroje! - ucieszył się Bałwan i pomachał swoją szarfą.

Postanowiłam go przetestować.

- Trochę za wysoko jąnosisz, hm?

- Naprawdę? Wydaje mi się, że leży idealnie.

- Masz rację - przyznałam i się uśmiechnęłam. - Jest idealnie.

- Dobra. - Gilles nawoływał do zajęcia pozycji. - Przytulcie się!

- Uuuhh - ledwo dyszałam, kiedy Bonhomme objął mnie swoimi puchatymi łapami, jakby chciał ze mnie wycisnąć cały cellulit. - Jesteś bardzo silny!

- Dziękuję!

- Udało się! - oznajmił Gilles.

- Może jeszcze jedno szybkie z Annique?

- Masz coś przeciwko? - upewniała się.

Patrick się zgodził, więc Annique stanęła obok Bałwana, zrzuciła płaszcz i... wszystkie przysłowiowe kaptcie w jednym momencie spadły z wrażenia.

- W-wyglądasz olśniewająco! - Gilles'owi drżały ręce.

Parę chwil później zaczęło się śnieżne szaleństwo, a Annique odegrała karnawałową wersję słynnego biegu Bo Derek przez

plażę w filmie *10*. Nie miała zamiaru powtarzać spektakularnego sprintu przez śnieg - w przeciwieństwie do setek widzów, którzy zdołali uwiecznić jej wyczyn na telefonach. Zapewne wiele razy będą odrwarzać filmik w zwolnionym tempie...

Nie skosztowałam obiecanego alkoholu przez Annique i nie do końca rozumiałam, dlaczego Śnieżna Kąpiel jest uważana za „zabawę”. Jak kołek stałam zakłopotana z boku i przyglądałam się tłumowi obłąkanych, rozebranych ludzi - w końcu kto przy zdrowych zmysłach podrzuca śnieg w euforii, jakby to były banknoty? Najwyraźniej uczestnicy Karnawału robili wszystko, żeby nabawić się hipotermii.

Nie chciałam być sztywniakiem, który psuje imprezę, ale moja skóra z zimna zrobiła się już wściekle czerwona, a zęby szczękały jak kastaniety. Swoje zrobiłam - odhaczyłam obecność na Bain de Neige - wystarczy. Wróciłam po płaszcz w nadziei, że w końcu się ubiorę, ale... zniknął!

Rozglądałam się nerwowo. Gilles'a nie było w pobliżu. Nie mógł nosić naszych rzeczy i jednocześnie robić zdjęć, więc pewnie gdzieś je przeniósł.

- Do jasnej Anieli! - zawylałam, kiedy mocny wiatr smagnął moje ciało.

Tego już za wiele. Musiałam się ogrzać. Zaczęłam pędzić w stronę najbliższego ogniska, ale nagle poczułam szarpnięcie w tył. Odwróciłam się i zobaczyłam owczarka niemieckiego, który złapał za snującą się za mną szarfę. Zaparł się łapami w śniegu i ciągnął z całych sił.

- O nie, o nie! Nie! - błagałam, czując, jak moje dolne warstwy stopniowo się odwijają. - Zostaw! Puść! - Próbowałam szarpać wstęgą do siebie, ale to tylko sprawiło, że pies mocniej zacisnął w niej zęby i zaczął warczeć. - Dobry piesek, wypluj wstążkę...

- Niko! *Lâche-toi* Wypuść!

To Jacques! Znowu! Mój wybawca!

- Przemarzałaś - zaniepokoił się. - Gdzie jest twój płaszcz? Gdzie twoi przyjaciele?

- Nie wiem i nie wiem.

- Zadzwońmy po nich!

- Zostawiłam telefon w kieszeni płaszcza, a nie pamiętam numerów...

- Niko, przestań wreszcie! - skarcił nieposłusznego owczarka, kiedy ten stanął na tylnych łapach, a przednie położył na moich ramionach.

Wyraźnie frapowało go coś na mojej głowie.

- Może o to mu chodzi...

To szalone, że w tamtych okolicznościach zdecydowałam pozbyć się kolejnego elementu garderoby, ale zdjęłam z głowy czerwoną czapkę z pomponem i dałam ją psu. Niko zaczął ją obwąchiwać z każdej strony.

Jacques wyglądał na zmieszanego, gdy próbowałam mu wyjaśnić historię mojego nakrycia głowy, ale natychmiast skojarzył fakty i ruszył do akcji.

- Szybko, weź moją kurtkę - powiedział, otulając mi nią ramiona (Boże, jakie to było cudowne uczucie...). - Proszę, idź do bistro i trochę się ogrzej, a ja za minutę wrócę. Nie odchodź nigdzie daleko!

Jak na prowizoryczną, tymczasową restauracyjkę ta była całkiem przyjemna. Podobały mi się białe krzesła ustawione przy nakrytych czarnymi obrusami stołach i pomysłowe oświetlenie. Do tego strefa relaksu z limonkowymi sofami i fotelem, który zaraz miał się zwolnić...

Poluźnij! (z fr.) - przyp. tłum.

Jedynym minusem była strasznie długa kolejka zziębniętych amatorów panini i kawy. Co prawda nie miałam przy sobie żadnych pieniędzy, ale przecież lada chwila miał wrócić Jacques.

- Ogon bobra?

- Słucham?

Odwróciłam się i zobaczyłam kelnerkę trzymającą tacę płaskich ciasteczek pokrytych masłem klonowym.

- Żałuję, ale to nie ja je zamawiałam.

- Pewien mężczyzna poprosił, żebym je pani przekazała.

- Jaki mężczyzna?

Spojrzała w stronę bufetu, ale nikogo tam nie było.

- Och, jeszcze przed chwilą tam stał.

- Czy on miał... - Wymownie dotknęłam palcem brody.

- Tak. I blond włosy.

- O mój Boże! - Głośno przełknęłam ślinę i zerwałam się na równe nogi.

Zaczęłam się gorączkowo rozglądać po całym pomieszczeniu. Dlaczego on to robi? Chyba zwariuję. Nie odważę się nawet spróbować tych ciasteczek.

Ale czy to był powód do zmartwienia? Miałam ważniejsze sprawy na głowie niż zastanawianie się, co zrobić z tym słodkim prezentem. Na przykład odnalezienie ciuchów i rozgryzienie zamiarów Malhomme'a.

„Ogonki bobrów” prezentowały się całkiem nieźle - ładnie pachniały, były ciepłe i miały chrupiące krawędzie.

Może chociaż jeden mały gryz...

Co łączy waszą dwójkę? - zapytał Jacques, wręczając mi zagubiony płaszcz i torebkę, a ja - ubierając się w pośpiechu - wszystko mu opowiedziałam: o bitwie na śnieżki przy Place Royale, o tajemniczym Obserwatorze w barze Auberge Saint-Antoine, o czerwonej czapce czekającej na mnie w recepcji nowego hotelu, a teraz jeszcze o tych ciasteczkach. Wiele wskazywało na to, że przyciągałam figle Malhomme'a jak magnes.

- A gdzie się podział Niko?

- Sebastien go zabrał - wyjaśnił. - Pomyślałem, że lepiej w spokoju zjeść coś ciepłego.

Zerknęłam na kolejkę przy bufecie.

- Masz przy sobie dowód osobisty? - zapytał.

- Yyy...

- Prawo jazdy, paszport...

- Aż tak daleko jedziemy? Uśmiechnął się tajemniczo.

- To masz czy nie? Sprawdziłam w torebce.

- Mam.

- Świetnie, chodź ze mną.

Wzdrygnęłam się, kiedy wyszliśmy na zewnątrz.

- Nie martw się, jeszcze pięć minut i zapomnisz o tym mrozie. W drodze do najbliższego wyjścia z terenu festiwalu minęliśmy

Gilles'a i Annique wychodzących z wanny wypełnionej gorącą wodą. Bardziej niż lunchem wydawali się zainteresowani schrupaniem siebie nawzajem.

- Och! - Jacques na ich widok przystanął zszokowany. - Nie spodziewałem się tego.

- Serio? Ja sobie nie wyobrażam lepszej konfiguracji. Od początku im kibicowałam.

- Po prostu myślałem... że to ty mu się podobasz.

- Słucham? - spytałam i zaśmiałam się nerwowo. - W żadnym wypadku...

- Dziwne. Zazwyczaj moje obserwacje w tej kwestii są trafne.

- Cóż...

Przez moment chciałam się podzielić historią naszego pierwszego spotkania w Hôtel de Glace, ale po co właściwie miałby to wiedzieć?

- Więc...? - Spojrzał na mnie w oczekiwaniu na dokończenie zdania.

- Cóż... tym razem się myliłeś!

Myślałam, że przecinamy teten patlamentu, żeby wrócić do Hiltona, ale nagle Jacques skrzył do drzwi wejściowych rządowego budynku.

- Jest jakieś referendum? Idziesz głosować? Zaśmiał się.

- Wchodzimy do środka? -Tak.

- Myślałam, że chcemy zjeść lunch.

- Bo chcemy. Ale wszędzie indziej będzie za dużo ludzi. Ciągle czekałam, aż jego wybór nabierze sensu.

- Dorabiasz jako polityk czy co? Może właśnie tym się zajmował jesienią?

- W Quebecu panuje demokracja i jednym ze sposobów, w jaki rząd chce to udowodnić, jest udostępnienie parlamentarnej restauracji zwykłym obywatelom.

- Więc możesz zjeść obiad, siedząc obok ministra zdrowia?

- Dlaczego nie? - Wzruszył ramionami.

Jedynym uniedogodnieniem była konfrontacja z ochroną -żeby dostać się do budynku parlamentu, najpierw należało załatwić procedury podobne do tych przed wejściem na lotnisko.

- Madame, musi pani zdjąć płaszcz. Jacques zwiesił głowę.

- Zapomniałem, że jeszcze nie zdążyłaś się przebrać po śnieżnej kąpieli...

Jedynymi toaletami na terenie Karnawału były niebieskie budki z toaletą w środku, więc podczas zmiany odzienia nie dałoby się uniknąć umazania nogawek błotnistymi resztkami i zamoczenia szalika w chemicznej otchłani.

- Co mam zrobić?

Jacques za wszelką cenę starał się namówić ochroniarzy, żeby w drodze wyjątku pozwolili mi wejść w płaszczu, ale byli nieugięci.

- Mówisz, że jedzenie tutaj jest naptawdę smaczne? Przytaknął. To mnie przekonało.

- Dobra! Jedziemy z tym! - Zrzuciłam spektakularnie palto na ptzenośnik taśmowy w oczekiwaniu, aż przejedzie na drugą stronę, jednak szybko się spieszyłam. - Co oni mówią? - zapytałam z rumianymi policzkami, widząc szepczących funkcjonariuszy.

- Podziwiają twój patriotyzm.

- Bardzo dyplomatyczna odpowiedź!

Po pomyślnym przedostaniu się za bramkę Jacques pomógł mi się ubrać i zaprowadził do damskiej toalety.

Nawet po zmianie ekscentrycznego „bikini” na normalne ciuchy zastanawiałam się, czy jestem odpowiednio ubrana i przystoi mi w takim wydaniu poruszać się po terenie rządowym.

Podłogi pokrywały ozdobnie ułożone kafelki, wszędzie widać schody, a w oknach różnymi kolorami mieniły się witraże przedstawiające herby z umięśnionymi lwami i koronami obszytymi futrem gronostajów.

I pomyśleć, że miałam stać w kolejce po panini na papierowym talerzyku...

Jacques założył niebieską, kraciastą koszulę i sweter w okrągłym dekoltem. Wyglądał prawie jak mol książkowy, co było tym bardziej pociągające, że wiedziałam, jaki mężczyzna kryje się pod tą grzeczną powłoką...

Wypastowane na błysk drewniane schody wiodły do restauracji Le Parlementaire - główne pomieszczenie wyglądało według mnie bardziej jak sala balowa inspirowana paryskim stylem. Trzeba przyznać, że wysokie, błękitne sufity, masywne kolumny w kolorze kremu i złote, intensywnie niebieskie kotary i migoczące żyrandole robiły wrażenie. Czułam, że powinnam upiąć włosy w spektakularny kok i ozdobić je klejnotami, jednak na szczęście zarządca restauracji nie zwrócił uwagi na nasze raczej przeciętne stroje. Zamiast tego wskazał nam utoczy stolik pod oknem, zastawiony chińską porcelaną w kolorze granatu i kości słoniowej, z akcentami lilii. Usiadłam na obitym prążkowaną tapicerką krzesło i podziwiałam. Chciałabym potraktować to spotkanie jako naszą pierwszą randkę. Byłoby co wspominać - w końcu nie każde menu zaczyna się od notki powitalnej skierowanej do gości przez samego Prezydenta Zgromadzenia Narodowego.

Zamówiliśmy lunch składający się z trzech dań za jedyne dwanaście funtów - bezapelacyjnie wizyta w parlamencie zasługiwała na czołówkę mojej listy Niezwykłych Doświadczeń w Quebecu.

Zupa z paluszkami serowymi bardzo mi smakowała, a po skosztowaniu puree z wiejskich warzyw czułam, jak wreszcie ogarnia mnie przyjemna fala ciepła.

- Zawsze byłeś osobą lubiącą przebywać na powietrzu? - zapytałam Jacques'a, żwawo wiosłując łyżką.

Przytaknął.

- Mój tata był bardzo wysportowany i nauczył nas uprawiać wiele sportów. Mama z kolei korzystała z każdej okazji, żeby znaleźć się blisko natury.

- A psy?

- To zaczęło się dosyć wcześnie - powiedział z uśmiechem. - Mieliśmy sąsiada, który bardzo źle traktował swojego psa.

- Och, nie.

- Pies był zawsze uwiązany na łańcuchu, ciągle szczekał. Wszyscy się go bali, bo był stary i wredny - zupełnie jak jego właściciel. Ale ja wiedziałem, że po prostu chciałby zażyć wolności. I może zjeść coś lepszego niż odpadki. Więc kiedy nadeszły wakacje, zakradałem się na posesję sąsiada zawsze wtedy, gdy wychodził do pracy, zdejmowałem mu kolczatkę i wyprowadzałem na spacer na smyczy z ogrodowego sznurka. Codziennie.

- Nie bałeś się?

- Miałem pewność, że to nie był zły pies. Każdy by zwariował przykuty do budy łańcuchem przez całą dobę. Byłem dzieciakiem, więc obchodził się ze mną łagodnie. I okazał się dużo słabszy, niż wyglądał. Wcale nie miał wyrobionych mięśni, ponieważ nie miał jak ćwiczyć. Ale to zaczęło się powoli zmieniać. Chodziliśmy, spacerowaliśmy, a kiedy robiło się za gorąco,

odpoczywaliśmy w garażu. Ja czytałem książkę, a on spał z głową na moich kolanach...

- To piękne! - zawołałam rozczulona.

- Jednak któregoś razu wślizgnąłem się na teren sąsiada, nie zdając sobie sprawy, że wrócił wcześniej z pracy...

- Ojejku! I co powiedział?

- Ze jeśli jeszcze raz wezmę psa, całe szczekanie, skargi, rachunki za weterynarza i jedzenie staną się moim problemem.

- Naprawdę? Uniosłam brwi.

- Najlepsza kara, jaką w życiu dostałem! Uśmiechnął się.

- A co na to twoi rodzice? Zgodzili się, żebyś go zatrzymał? Kiwnął głową.

- Barney stał się członkiem naszej rodziny.

- Barney?

- Daliśmy mu nowe imię. Stary właściciel wołał na niego Cujo.

- Boże, czego ci ludzie nie wymyślą...

- Mieliśmy go tylko kilka lat, bo był już stary, ale i tak wspominamy go jako wiernego i wspaniałego kompana.

- I jak cudowne dla niego musiały być te ostatnie lata życia -nie zawsze sprawy przybierają taki obtót.

Jacques uśmiechnął się nieznacznie i nagle jego twarz przybrała tęskny, smutny wyraz.

Spięłam się trochę - zamilkliśmy akurat po poruszeniu tematu śmierci. Na pewno stracił wiele psów na przestrzeni lat, ale co najgorsze - stracił też Rémy'ego...

- A potem wpadłeś na pomysł z zaprzęgami? - Staralam się jakoś popchnąć rozmowę.

Jacques podniósł na mnie wzrok.

- W moje szóste urodziny ojciec zabrał mnie na wyścig zaprzęgów, a ja mu wtedy powiedziałem: „To będzie moja praca, gdy dorosnę. To właśnie chcę robić”.

- I dotrzymałeś słowa!

- Tak samo było z tobą i pisaniem tekstów?

- Właściwie to od zawsze pisałam.

- Więc nie miałaś dylematów, czym zająć się w życiu? -Nie.

- Czyli jesteś naturszczykiem? Samorodnym talentem?

- Trudno powiedzieć. Nie zawsze było z górki, ale opłacało się pokonać pewne przeciwności. Jakie osiągnęłam cele, korzyści - tak jak tetaz. Robię badania, jestem w pracy, a to właśnie największa frajda! - Wtedy zmrużyłam oczy. - I nasuwa mi się pewne pytanie...

-Tak?

- Czy naprawdę jesteś Człowiekiem Wilkiem? Oswajałeś wilki? Zaśmiał się.

- Nie. Po prostu zawsze miałem psy, które przynajmniej wyglądem przypominały wilki, ale nigdy nie miałem krzyżówki. Prawda jest taka, że wilki atakują psy.

- Oooch... Czyli to nieprawda, co mówią ludzie? Że na twojej farmie wyją wilki?

- Tak się składa, że husky wyją jak wilki. Z tego słyną. Łatwo je pomylić z wilkami. A mi najzwyczajniej w świecie nigdy nie chciało się wyprowadzać ludzi z błędu! Właściwie to odpowiada mi taka teputacja. Przynajmniej nikt nie ośmielił się ze mną zadzierać.

- No ba!

Po chwili kelner postawił przed nami parujące talerze - mój ze specjałami ze świeżego połowu, Jacques'a z wieprzowym medalionem w panierce z orzechów laskowych.

- Piękne tu mają sztuce. - Podziwiałam ciężkie, misternie ozdobione srebro. - Jest taka kafejka, do której codziennie chodzę na lunch z moją przyjaciółką Laurie, a tam je się najtańszymi nożami i widelcami z topornymi krawędziami, które wbijają się w ręce i zostawiają bolesne ślady. Posiłki sprawiały nam tyle trudności, że w desperacji zaczęłyśmy przychodzić z własnymi sztucami!

- Czyli ich jedzenie jest warte zachodu?

- Frytki. Mają najlepsze frytki.

- A próbowałaś już naszych? Słyszałaś o przekąsce zwanej poutine?

- Poutine? - Zmarszczyłam brwi.

- To przysmażone na złotobrazowo frytki...

- Ale w środku raczej miękkie? - zapytałam z nadzieją w głosie.

-Tak, idealne frytki polane sosem pieczeniowym...

- Okeeej...

- .. .posypane z wierzchu specjalnym, twarogowym serem. Wiedziałam, że nie udało mi się zrobić przyjaznej miny.

- Szczerze - są wyśmienite. Obiecujesz spróbować?

- Kiedyś w Amsterdamie zamówiłam frytki z majonezem.

- To znaczy, że się zgadzasz?

Przez chwilę się wahałam. Nie chciałam złożyć Jacques'owi fałszywej obietnicy, ale zsiadły ser do frytek? Jednak jemu chyba mogłam zaufać...

- W porządku, zrobię to.

- Jedne z najsmaczniejszych serwują w Montrealu, w La Banuise, więc gdybyś miała czas...

Wyjęłam notes i zapisałam sobie nazwę.

- Mają tam około dwadzieścia rodzajów poutine, nawet Poutine Kamikaze, jeśli byś się odważyła.

- Jeszcze mi życie miłe.

„Och, nie... Znowu palnęłam coś prawie o śmierci...”. -Jeszcze jakieś rekomendacje? - spytałam.

- Toi, Moi et Café. Moje ulubione miejsce.

- Ty i ja? - przetłumaczyłam, a moje policzki od razu się zaróżowiły.

W takim razie to chyba będzie nasze wspólne ulubione miejsce.

- Może Sebastien zechce cię tam zabrać na śniadanie. Porozmawialiśmy jeszcze trochę o jedzeniu. Dowiedziałam się,

że Jacques lubi gotować dla innych. Ja wyznałam, jak bardzo lubię ludzi, którzy gotują. Potem przyszedł czas na deser, a właściwie „słodki smak”, jak zwykli to nazywać mieszkańcy Quebecu.

- Uważam, że to genialne - powiedziałam z uznaniem, delektując się przepysznym, kremowym ciastkiem oblanym czekoladą.

- Nie trzeba się zastanawiać, czy zamówić na przykład pudding

- to po prostu wjeżdża na stół razem z kawą jako prezent! To takie... cywilizowane.

- Podoba mi się to określenie!

-Jeśli chodzi o jedzenie, nie uznaję deprywacji.

- W takim razie powinnaś spróbować „diety zaprzęgowej” -zachichotał, popijając kawę. - Wszystkie dziewczyny, które przyjeżdżają do nas na farmę, na początku twierdzą, że dbają o linię. Jednak kiedy się zorientują, jak wiele kalorii spala się podczas karmienia psów, sprzątania i przejazdów - są w stanie pochłonąć tyle ciastek i dokładek, co chłopcy. A co najlepsze - w rezultacie nie przybierają na wadze nawet kilograma!

-To chyba raj!

- Miałaś kiedyś męża?

Na parę sekund mnie zamurowało. Nie byłam przygotowana na to pytanie.

- Przepraszam — kajał się Jacques. — Nie chciałem być wścibski.
- Wszystko w porządku. Hmm... - Próbowałam się pozbierać. -
Odpowiedź brzmi: tak, miałam. Ale już nie mam - tłumaczyłam nieskładnie. - To po prostu dla mnie dosyć nowa sytuacja. Oficjalnie minęło dopiero pół roku, więc jeszcze nie zdążyłam przywyknąć.
- Rozumiem. Nie powinienem był pytać...
- Nic się nie stało, naptawdę. A ty? - Też.
- Czas przeszły?
- Czas przeszły od prawie trzech lat.
- Przykro mi. To nic przyjemnego, prawda? Rozwód. To z powodu jednej dużej rzeczy czy wielu mniejszych?
- Jednej dużej.
- U mnie tak samo - wyznałam.
- Cieszę się, że nie zagłębialis'my się w szczegóły. Nie chciałam popsuć naszego lunchu. Ale czy to rzeczywiście taka tajemnica, że małżeństwa się kończą? Dla mnie cud następuje właśnie wtedy, gdy udaje im się przetrwać.
- Czytałam, że ludzie w Quebecu właściwie nie biorą ślubów.
- To prawda, ale w mojej rodzinie małżeństwa były tradycją. Mój tata zenił się dwa razy, a teraz szuka trzeciej kandydatki!
- Taki z niego optymista! - zachichotałam. - A Sebastien?
- W Montrealu mieszka jedna dziewczyna, Julie. Zerwali, gdy Sebastien się tutaj przeniósł, ale powinni być razem.
- Dopiszę to do mojej listy zadań na wycieczkę.
- Czy czasem życie nie mogłoby być takie proste? - zapytał z uśmiechem.
- Wtedy zadzwieczył mój telefon.

- Przepraszam na chwilę. - Czułam się zażenowana, że psuję scenę jak z Downtown Abbey swoją nieokrzesaną technologią. -Powinnam była go wyłączyć!

- Nie krępuj się, sprawdź, kto to. Może to coś ważnego.

- Wiadomość od Annique. Ma dla mnie jeszcze jedną atrakcję w ramach Karnawału.

- Też muszę wracać - westchnął. - Ttzeba sptawdzić, co tam u Sebastiena i Niko.

Jednak żadne z nas nawet się nie ruszyło. W końcu wyciągnęłam rękę i złapałam jego dłoń.

- Dziękuję, że mnie tu zabrałeś, Jacques. To było bardzo eleganckie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł, kłaniając się lekko.

Na terenie Zimowego Karnawału wróciłam do rzeczywistości. Annique namawiała, żebym wzięła udział w turnieju w piłkarzyki. Z tym że w rolę plastikowych ludzików kopiących turlającą się po stole kulkę mieli się wcielić prawdziwi ludzie...

- Przyznaj, że każesz mi to robić, bo dzisiaj doznałam za mało urazów. I co? Mam się dać przymocować do poziomego pala, który ślizga się z jednej strony na drugą, i pozwolić kopać we mnie piłką?

- Zawsze istnieje szansa, że tobie też uda się ją kopnąć.

- Tak, na bank. I może jeszcze strzelę gola.

- To naprawdę doskonała zabawa - namawiała Annique. -Jestem pewna, że ci się spodoba.

- A ty zagrasz?

- Grałam przez ostatnie dwa mecze, ale teraz kazali mi wpuścić na moje miejsce kogoś innego.

- Serio? - Spojrzałam surowo na Gilles'a, żeby potwierdził wersję wydarzeń.

- Annique uwielbia rywalizację.

- No dobrze... - westchnęłam. - Ale tylko dlatego, że jestem wam coś dłużna.

Weszłam na teten zielonego pudła, założyłam kilka rozmiarów za dużą czerwoną koszulę (żeby było wiadomo, która nieszczęsna drużyna właśnie zyskała mnie jako zawodnika) i pozwoliłam się przypiąć do żółtego kijka.

- Stabilnie?

- Tak. — Czuję się wręcz zbyt ograniczona.

Sędzia dmuchnął w gwizdek, piłka w grze, okrzyki i gwizdy dochodziły z obydwu stron trybun, podczas gdy drużyny plątały się, robiły uniki i przepychały. Jeden chłopak stracił grunt pod nogami i zawisł nad boiskiem jak postać z *Mission Impossible*. Dwa razy udało mi się dotknąć piłkę - problem w tym, że nie za pomocą odpowiedniej części ciała.

Nagle znowu znalazła się pod moimi stopami i poza zasięgiem ptzeciwników. To moja szansa.

Wzięłam prowizoryczny rozbieg i zamachnęłam się, żeby dać jej porządnego kopniaka, ale poślizgnęłam się i nawet jej nie musnęłam - przynajmniej w tym podejściu, bo kiedy wtacałam do właściwej pozycji, przypadkiem posłałam ją w powietrze. Tylko nie w tę stronę, co chciałam - prosto do własnej bramki... i strzeliłam samobója.

- Brawooo! - Jakiś głos wybił się ponad tłum. Głos, który był mi znajomy...

To znowu on! Co za tupet! Wychylał się przez barierkę na końcu trybun. Słomkowe włosy mógł ukryć pod czapką, ale tę brodę rozpoznam wszędzie...

Rozglądałam się gorączkowo - gdzie się podział Jacques? Jest ciągle w zasięgu wzroku?

Annique była zajęta rozmową z Patrickiem. I wtedy pomyślałam o Gillesie - przecież miał aparat...

W momencie, gdy do niego się odwracałam, piłka uderzyła mnie w twarz. Otrząsnęłam się dopiero po chwili.

- Gilles! - wołałam.

- W porządku! Mam to - doskonale ujęcie!

- Nie o to mi chodzi! Chcę, żebyś zrobił zdjęcie...

Chciałam wskazać w miejsce, gdzie siedział poszukiwany w całym Quebecu, ale oczywiście już zwiewał. Szamotałam się z moją piłkarską uprzężą, ale im bardziej zмагаłam się, żeby rozpiąć pasy, tym bardziej się zaplątywałam.

- Może ci pomóc?

Bezczelny! Podszedł tak blisko mnie i jeszcze ze mnie drwił! Wtedy zdałam sobie sprawę, że krzyczałam niewłaściwe imię.

- Niko! - darłam się wniebogłosy. - Niko, Niko! Tutaj!

W końcu zagwizdałam. Nauczyłam się tego, kiedy miałam pierwszego psa. Malhomme patrzył mi przez chwilę w oczy i powiedział:

- Nie sądziłem, że to zrobisz. I zniknął.

Niko i Jacques wpadli na jego trop, za nimi w pościg rzuciła się policja. Radiowozy wyglądały jak prowadzone przez załogę Keystone Kops, ślizgając się w różne strony. Na końcu ttuchtałam ja (w rezultacie uwolniona przez Annique).

Szło nam strasznie wolno, więc Annique zamówiła taksówkę i pojechałyśmy śladem policyjnych aut - prosto do portu.

- To już drugi raz, gdy trop prowadził dokładnie w to miejsce - zauważyłam.

- Musimy wyjść mu na spotkanie - powiedział Jacques czekający na poboczu. - Chcecie dołączyć?

— Możemy jechać wszyscy?

Jacques zapytał o zgodę szefa policji. Wiadomo, że żaden mężczyzna nie byłby w stanie odmówić Annique, a Gilles miał w aparacie obiektyw, który mógł się okazać przydatny - więc odpowiedź komisarza była twierdząca.

Na początku to do mnie nie docierało, ale kiedy prom odbił od brzegu i zaczął przecinać zamarzniete wody, zdałam sobie sprawę, że narażaliśmy się na spore niebezpieczeństwo...

Wiesz, że nie tylko sami francuskojęzyczni Kanadyjczycy są tacy mili? - zapytałam Laurie. - Mają też fajne toalety na promach.

- Czasami martwię się o ciebie.

- Dlaczego?

- Czy nie powinnaś' właśnie ścigać przestępcy?

- Przestępca to zbyt brutalne określenie. Powiedziałabym, że po prostu trochę zakłóca porządek publiczny.

- Więc po co pies tropiciel i cały oddział pościgowy policji? -droczyła się ze mną.

- Pewnie nie mają niczego do roboty.

- Ponieważ wszyscy są zbyt „mili”, żeby łamać prawo?

- Zdecydowanie.

Laurie jęknęła i zapytała, czy mam zamiar umieszczać przejażdżkę promem na trasie Quebec-Levis w naszym przewodniku turystycznym.

- Właściwie to chętnie! Przejażdżka promem kosztuje zaledwie cztery funty, a stwarza możliwość spojrzenia na miasto z zupełnie innej strony. To świetna sprawa.

- Czyli to odpowiednik wycieczki nowojorskim promem na Staten Island?

- Dokładnie tak! - Zaśmiałam się. - Co prawda niekoniecznie chce się wysiadać w miejscu docelowym tej krótkiej podróży, ale warto się ptzepłynąć. Po drodze wiele rzeczy zasługuje na podziw.

Ponieważ padło hasło „Nowy Jork”, byłam przekonana, że Laurie zacznie wymieniać przygody i przywoływać najjaśniejsze punkty swojej ostatniej wizyty w Wielkim Jabłku, lecz tym razem powiedziała po prostu:

- Okej, w takim razie dzięki za informacje...

- Zaczekaj! - powstrzymałam ją, żeby jeszcze się nie rozłączała. Czulałam, że coś się mogło wydarzyć. - Żadnych niusów z twojej strony?

- Jeszcze nie. -JESZCZE NIE?

- Dam ci znać, gdy ryłko się dowiem...

- Ale to nic złego, prawda?

- Nie, nie! Wręcz przeciwnie.

- Może jakaś podpowiedz? - Zmrużyłam oczy.

- Jeszcze nie.

- Mhm. W porządku. W takim razie prowadź się dobrze.

- A ty właśnie spróbuj się źle poprowadzić, ale z właściwą osobą.

- Co masz na myśli? - Zrobiłam niezadowolony grymas.

- Radzę ci tylko, żebyś została ptzy miłym mężczyźnie, a dała sobie spokój z tym niegrzecznym.

Poczułam się nieco urażona tym komentarzem, ale doszłam do wniosku, że warto posłuchać przyjaciółki. Laurie doskonale zna moje słabości. Jednak jestem pewna, że gdyby w tamtym momencie widziała Jacques'a, gdyby czuła to, co ja wtedy czulałam, patrząc w jego stronę - nie wpadłaby na pomysł, że mogłabym się zawahać.

Wróciłam z łazienki, ale niewiele się zmieniło. Niko chodził z nosem przy ziemi i obwąchiwał cały pokład. Był bardzo skupiony, dał się tylko raz rozproszyć mężczyźnie jedzącemu głośno chrupki - jednak to był fałszywy alarm. Malhomme dobrze się ukrył.

Policja z kolei miała swoją przynętę. Mnie. Chcieli, żebym wyszła na zewnątrz i nonszalancko wychylała się za barierkę.

- W ten sposób go zwabisz i będzie miał możliwość, żeby do ciebie podejść.

- I zrobić ze mną, co zechce?

- Nie musisz się zgadzać, jeśli nie masz ochoty - zainterweniował Jacques.

- Spokojnie, dam sobie radę. Gdzie dokładnie mam stanąć?

- Tutaj. - Policjant wskazał mi miejsce przy najbliższych drzwiach.

Do dzieła!

Zachłysnęłam się, gdy wiatr zawiął mi prosto w twarz. Chwilę mi zajęło, żeby się opanować, po czym nieśmiało zerknęłam za róg...

Woda oracząca prom wyglądała raczej jak zaniedbane, roztopione do połowy lodowisko, a nie rzeka, przez co od razu wyobraziłam sobie alternatywną wersję zatonięcia Titanica. Sama myśl o zanurzeniu koniuszka palca w lodowatej wodzie sprawiała, że moje serce przestawało bić. Zastanawiałam się, jak Jacques'owi udało się przeżyć upadek do zamarznętej tzeiki. Pewnie bardzo szybko się z niej wydostał. Może wdrapał się na dryfującą krę? Te, które widziałam z pokładu, nie wyglądały na niezatapialne — bardziej jak postrzępione, białe liście lilii wodnej albo fragmenty rozbitego okna. Unosiły się bezwiednie na powierzchni i ocierały o siebie nierównymi krawędziami. Kojarzyły mi się z puzzlami,

które same się próbują ułożyć, ale trudno im ttafić na pasujące elementy układanki.

Ciągle nikt do mnie nie podszedł. Jediną interakcję nawiązałam z kobietą, która chciała zrobić zdjęcie konturowi Quebecu - ułożonym artystycznie warstwom budynków, z górującym nad nimi zamkiem Chateau Frontenac, znajdującym się na tle wzniesienia Cap Diamant.

- Jezu! - krzyknęła, gdy przez silniejszy podmuch wiatru niemal straciła równowagę i upuściła aparat.

W końcu policja się poddała i pozwoliła reszcie do mnie dołączyć.

- Hej! - krzyczał Gilles, kręcąc obiektywem. - Zapozuj jak Rose w *Titanicul*

-Jest stanowczo za zimno, żeby stać z tozpostattymi ramionami! - protestowałam. - Poza tym nie odważyłabym się wejść na szczeble balusttady. Co ty na to, żeby ująć mnie obok maszyny z napojami?

Nikt nie miał nic ptzeciwko temu, żeby wejść z powrotem do środka. Kupiłam stos czekoladowych batonów i rozdałam je funkcjonariuszom - właśnie takie miłe gesty pamiętałam z zamieszek w Londynie z 2011 roku. Ludzi kupujących policjantom herbatę. Poczułam się dumna z bycia Btytyjką.

Kiedy porównywaliśmy nadzienia naszych batonów - nugat kontra karmel, orzeszki ziemne kontta laskowe - miałam wrażenie, jakbym była na spotkaniu rodzinnym. Panowała taka fajna atmosfera!

- Krista, tylko nie to! - Annique spanikowała, widząc moje ręce całe umazane czekoladą.

Nie chciała, żeby powtórzyła się historia z płaszczem upaókanym od góry do dołu syropem klonowym.

- Och, no dobrze - tym razem po prostu umyje ręce.

- Tylko nie idź sama - ostrzegł mnie szef policji.

- Nie sądzę, żeby coś mi groziło.

Wszyscy spojrzeli na mnie jak na kobietę, która koresponduje z więźniami w placówce o zaostrzonym rygorze.

- Oczywiście mogę się mylić - poprawiłam się speszona. - Annique, byłabyś uprzejma mi towarzyszyć?

- Nie martwisz się? - zapytała mnie, stojąc przy umywalce. - Wszystko wskazuje na to, że sobie upatrzył.

- Jediną tzczą, która mogła dodać trochę gorczy do naszego związku - powiedziałam, zakręcając kurek - jest fakt, że poszczałam go Niko.

- Może. - Uśmiechnęła się Annique. - Po prostu nie chciałabym, żeby stało ci się coś złego.

- Wiele już przeżyłam - nawet wizytę w Mall of America - więc poradzę sobie i w tej sytuacji.

- Chciałabym mieć w Quebecu taką przyjaciółkę, jak ty... - westchnęła.

To było urocze z jej strony. Spojrzałam jej w oczy i zapewniłam:

- Wiesz, że jeszcze tu wrócę. To jedno z najbardziej magicznych miejsc, jakie kiedykolwiek odwiedziłam.

- Musisz koniecznie zobaczyć Quebec latem! - rozpromieniła się.

- Nie sądziłam, że to powiem, ale na pewno będę też tęsknić za śniegiem.

Po powrocie zastałyśmy Gilles'a rozmawiającego z Jacques'em.

- Skąd masz psa tropiciela? A może sam go tego przy okazji nauczyłeś?

- Kiedyś należał do mojego przyjaciela.

- A on go zostawił?

- W pewnym sensie - odparł Jacques.

- Zawsze się dziwię, jak ludzie mogą się pozbywać swoich psów - obtuszył się Gilles. - Przecież tak bardzo się przywiązują. Może dlatego Niko wygląda na takiego smutnego...

Wymieniłyśmy się z Annique przerażonymi spojrzeniami, ale nic nie mogłyśmy zrobić.

Było już za późno, żeby Gilles ugryzł się w język. Jacques wstał nagle, zawołał Niko i powiedział:

- Przepraszam na chwilę.

- Gilles! - Annique podbiegła do niego i wyjaśniła sytuację.

- Nie miałem o tym pojęcia! Mogłaś mi wcześniej powiedzieć. Zostawiłam sprzeczącą się dwójkę i poszłam szukać

Jacques'a. Po chwili zaczęłam się wahać. Przecież oficjalnie nic nie wiedziałam o Rémy'm. Gdybym wtedy do niego podeszła, zaczęła pocieszać i krążyć wokół tematu — tylko pogorszyłabym sprawę.

Zamiast tego stanęłam w pewnej odległości od niego, ale wciąż na widoku. Żeby wiedział, że przynajmniej jestem obok.

Oparłam się o balustradę. Niebo było przepięknie oświetlone, dzięki czemu budynki po drugiej stronie rzeki wydawały się mieć złotawy kolor, ośnieżone brzegi odbijały róż zachodzącego słońca, a woda - paradoksalnie przybrała jeszcze bardziej ponury wyraz. Wręcz grobowy... Zaraz, o mój Boże! Czy ja właśnie wdziałam...?!

- Jacques! - zawołałam go.

Spojrzał na mnie ciągle nieobecny i pogrążony we własnych myślach.

- Szybko! Chodź tutaj!

- Co się stało?

*

- Wydawało mi się, że widziałam...

- Co takiego?

- Wyglądało jak gumowe płetwy - tłumaczyłam. - Takie jak noszą płetwonurkowie. Kojarzysz? O, znowu! - krzyknęłam. - Tam!

Odskokczyłam na widok kawałka opony wynurzającej się na powierzchnię.

- Głupol ze mnie - kto byłby w stanie w tej lodowatej wodzie przeżyć, a co dopiero nurkowanie dla przyjemności?

Jacques uśmiechnął się grzecznie i podniósł wzrok.

- Nie wiedziałaś, że co roku z okazji Karnawału w Quebecu organizowany jest wyścig kajakowy od brzegu do brzegu?

- Żartujesz? Płyną w takich warunkach? Nie wierzę.

- Château Frontenac sponsoruje drużynę.

- Pingwinów?

- Nie. - Zaśmiał się. - Prawdziwych ludzi. Ubranych w kombinezony do nurkowania.

- A co, jeśli ktoś z załogi wpadnie do zamrożonej wody?

- Możliwe jest przeżycie nawet pięciu minut pod wodą.

- Naprawdę? - To wydawało mi się niemożliwe, ale mężczyzna, który właśnie ze mną rozmawiał, był przecież żywym dowodem.

- Najważniejsze, żeby kontrolować oddech. Pod wpływem szoku będziesz chciała oddychać szybko i głęboko, więc pod wodą musisz się postarać, żeby spowolnić ten proces. Trzeba oszczędzać energię, żeby wypłynąć na powierzchnię. Znam ludzi, którym udało się wynurzyć, a potem celowo pozwolili swoim tamionom przymarznąć na przykład do kry - tylko po to, żeby zapewnić sobie odpowiednią przyczepność przy próbie wyciągnięcia z wody dolnej partii ciała.

- To szalone!

- A kiedy już uda ci się wypełznąć na powierzchnię, nie możesz od razu wstać, bo lód w pobliżu dziury czy przerębla jest najcieńszy. Najpierw należy podpełznąć na stabilniejszy grunt...

Na samą myśl o nasiąkniętych lodowatą wodą ubraniach przeszedł mnie dreszcz. Na dodatek, jeśli w promieniu wielu kilometrów nie ma nikogo, kto mógłby pomóc...

- Sam miałem podobny wypadek w zeszłym toku - wyznał Jacques.

- Nie tutaj. Wpadłem do jeziora niedaleko farmy. Zupełnie źle oceniłem grubość lodu. Ale jestem tutaj.

- Cieszę się, że tutaj jesteś.

- Ja też się cieszę, że ty tu jesteś - odpowiedział z uśmiechem i od razu zrobiło mi się ciepło!

Komisarz oznajmił, że w Levis dołącza tamtejszy oddział policji, ale my jesteśmy już zwolnieni z obowiązków. Mogliśmy jednak zostać na promie i wrócić do portu w Quebecu.

Z bólem serca żegnałam się z Jacques'em. Następnego ranka miałam wyjechać do Montrealu i nie wiedziałam, kiedy następnym razem go zobaczę. Przynajmniej mogłam liczyć na kontakt z nim ze względu na powierzoną mi misję. To zawsze jakieś pocieszenie.

Podobnie jak pyszny filet *mignon avec deux sauces*¹² w Café de la Paix...

- I to najbatdziej lubię w podwójnym świecie Kanady - mówiłam Annique, wyjadając końcówkę sosu. - Splendor i kulinarne rozkosze francuskiej kuchni bez cienia snobizmu!

Zaśmiała się.

- Mówię poważnie! Wiesz, jak jest w Wielkiej Brytanii? Każą ci się uczyć języka w szkole przez lata, potem lecisz do Paryża

¹² Polędwiczka wołowa z dwoma sosami (z fr.) - przyp. tłum.

podeksytowana, że wreszcie poćwiczysz swoje francuskie słownictwo, a oni tylko patrzą na ciebie beznamiętnie, jakby chcieli powiedzieć: „Nie rozumiem ani słowa, głupcze”. Jedyłą powtarzaną przez siebie frazą jest: „Un pain au raisin, s'il vous plaît!”.

- Tak samo zachowują się w stosunku do nas - wyjaśnił Gilles.

- Naprawdę? To niemożliwe.

- Ależ tak. Dla nich nie jesteśmy prawdziwymi Francuzami.

- Jesteście najlepszymi Francuzami z możliwych - francuska pasja połączona z radosnym usposobieniem i życzliwością mieszkańców Ameryki Północnej!

Powiedziałam im również, że Kanadyjczycy są bardziej znośni dla cynicznych Brytyjczyków, którzy Amerykanów uważają za przesadzonych. Kanadyjczycy są ich zdaniem bardziej powściągliwi - nie popisują się, są bardziej naturalni.

- W takim razie dziękujemy za uznanie. - Annique wzniosła toast i zadzwoniliśmy kieliszkami.

Było mi miło i czułam przyjemne ciepło.

Wieczorem panuje nieco inna atmosfera - trochę jak na festynie z atrakcjami dla dzieci, podczas którego największą popularnością cieszy się oświetlony żarówkami diabelski młyn. Z głośników Lodowego Pałacu sączyła się muzyka - wyglądał jak żarzący się na niebiesko budynek ułożony z klocków lego. Z tym że zamiast klocków do jego budowy zostały użyte ogromne bryły zamrożonej wody. Na terenie Zimowego Karnawału ciągle dużo się działo, nie wiedziałam, na czym skupić uwagę. Była scena, tancerze, Bonhomme przytulający organizatora, który nazywa się - wierzcie lub nie - Alan Winter. Odpowiednia osoba na odpowiednim miejscu!

Chleb z rodzynekami, proszę! (z fr.) - przyp. tłum.

Annique załatwiła nam wejściówki do disconamiotu, gdzie huczała muzyka klubowa, a ludzie machali rekami i kręcili biodrami w rytm tłustych beatów. Nie mogłam się jednak przekonać do wykonywania jakichkolwiek tanecznych ruchów - nie tylko dlatego, że czułabym się tak, jakbym poszła na siłownię w kaszmirowych gatkach i golfie.

- Może pójdziemy na łyżwy? Lodowisko jest odkryte, przyjemnie nam się będzie jeździło pod gwiazdami - zaproponował Gilles.

Byłyśmy zachwycone pomysłem, lecz w moim przypadku pojawił się pewien problem - nie potrafię jeździć na łyżwach...

- Ale to dziecinnie proste! - nalegał fotograf.

- Jak ludzie mogą tak mówić? - jęknęłam. - Balansowanie na krawędzi czegoś, co przypomina nóż, wcale nie jest łatwe. Powstrzymanie się od ciągłego myślenia, że przejeżdżający łyżwiarz odetnie ci rękę, kiedy upadniesz - też wcale nie jest łatwe!

Gilles zaczął się histerycznie śmiać.

- Serio? Bawi cię to?

- Ty mnie potrafisz rozbawić.

Pod wpływem tego komplementu poczułam się niezręcznie i nerwowo łypnęłam w stronę Annieque, ale ona też chichotała.

- Później będziesz mogła opowiadać ludziom, że nauczyłaś się jeździć na łyżwach w Quebecu! Czy to nie wspaniałe?

- Pewnie.

Równie mocno chciałam im powiedzieć, że nauczyłam się surfować na Maui i chodziłam jak Egipcjanin w Kairze. Chociaż akurat to drugie rzeczywiście miało miejsce...

- Więc na co czekasz?

- No, dalej! - zachęcał Gilles. - Tata nigdy nie zabierał cię na lodowisko, gdy byłaś mała?

- Niestety nie.

- Podejrzewam, że u nas jest trochę inaczej. W końcu hokej to sport narodowy. A twój ojciec pewnie grał w krykieta?

- Nie znałam go - odparłam cicho.

- Przepraszam, nie chciałem... - Gilles'owi zrobiło się głupio.

- Nic się nie stało. Nadrobiłam to, przynajmniej częściowo, kiedy dorosłam. W dzieciństwie było inaczej. Rodzice nie żyli po to, żeby zabawiać swoje dzieci. Robiło się to, co się trafiło od życia. Bez wybrzydzenia. Nie było poczucia, że jest się czymś oczkiem w głowie.

Annique wyraźnie posmutniała.

- Spokojnie, moi przyjaciele mieli tak samo.

To zapewnienie wcale nie pomogło, a wręcz pogorszyło sytuację.

- Och, no dobra! - krzyknęłam zdesperowana. - Nauczcie mnie jeździć na łyżwach!

- Naprawdę? - zapytali rozpromienieni.

- Muszę wykorzystać sytuację, że mam milion warstw ochraniaczy. To się może nie powtórzyć!

- Dzielna dziewczyna! Usiądź, proszę, a ja pomogę ci się przygotować.

Dziwna sytuacja, ale w oczach zebrały mi się łzy wzruszenia. Siedziałam rozplaszczona jak księżniczka w puchowym płaszczu od Puffy, a Annique klęczała przede mną (jak pewnie setki razy przed małą Coco), najpierw ściągając mi bury, a potem sznurując skórzane łyżwy — jak troskliwa mama.

- Nie za ciasno?

- W sam raz. Będzie się liczyło, jak posiedzę tutaj z łyżwami na nogach i będę obserwować wasze wyczyny na lodzie?

- Nie ma mowy, wstawaj.

Nie wiedziałam, czy lepiej trzymać się Gilles'a i Annique, czy próbować złapać własną równowagę. Wiedziałam jedno - bałam się jak cholera!

- Kochani, to chyba nie jest moja domena - przyznałam po pięciu minutach chaotycznego machania rękami i przeraźliwych pisków.

- Musisz się po prostu przewrócić.

- Tak jest, to właśnie mój cel.

- Chodzi o to, żebyś się przekonała, że to nie takie straszne - tłumaczyła Annique.

- Słuchajcie - powiedziałam, wystawiając dłonie i ptzebierając palcami - te maleństwa zapewniają mi utrzymanie. Jeśli je stracę, jak będę pisać?

- Jeśli połamiesz wszystkie palce, kupię ci dyktafon i osobiście przepiszę wszystkie teksty, obiecuję.

- Boże, wy, wysportowani ludzie, jesteście zawsze tacy uparci!

Moje narzekania zostały jednak ptzerwane przez wybuchy, huki i trzaski - nagle niebo zostało rozświetlone blaskiem fajerwerków!

- Tylko spójrzcie! - zadarłam głowę w zachwycie.

- Podjedź tutaj, będziesz lepiej widziała. - Gilles ptzyciągnął mnie trochę batdziej na prawą stronę.

Nie patrzyłam pod nogi, bo byłam zbyt pochłonięta obserwacją złotego efektu i nie mogłam oderwać wzroku od roziskrzonego nieba.

- Trochę dalej - wydawała komendy Annique, a ja jak zahipnotyzowana wykonywałam jej polecenia, ciągle podziwiając kolorowe, świszczące smugi.

Ani się sposttzełam, a sama złapałam rytm i jechałam na łyżwach samodzielnie i płynnie.

- Jeżdżę na łyżwach! Jeżdżę na łyżwach! - Byłam pełna uznania dla pracy swoich stóp.

Dokładnie wtedy, gdy zerknęłam w dół - sttaciłam równowagę i przewróciłam się na zamarznąłą tafłę, ciągnąc na sobą Annique i Gilles'a. Leżąc na lodzie, wyglądaliśmy jak kłębek kończyn.

- Ręce do góry! Ręce do góry! - krzyczałam, gdy już otrząsnęłam się z szoku.

-Co?

- Wszyscy podnieście ręce, szybko!

- Nie martw się, Krista. Nikt nie stracił palców - starała się mnie uspokoić Annique.

- A możecie ruszać nogami?

- Ja będę mógł, kiedy łaskawie z nich zejdziesz. - Gilles z trudem wygramolił się spod mojego obłożonego puchowymi warstwami tyłka.

W tym samym czasie pokaz sztucznych ogni zbliżał się do finału, a hałasy osiągnęły apogeum - bzycząc, ttzeszcząc i zderzając się ze sobą, fajerwerki brzmiały jak efekty podczas walki niebiańskich superbohaterów: Bum! Łup! Brzdęk! A masz!

Wciąż siedzieliśmy na lodzie, obserwując oślepiające eksplozje, kiedy coś do mnie dotarło. Pfzypomniałam sobie wszystkie odwiedzone przeze mnie spektakularne miejsca. Zawsze liczyłam na to, że przy okazji wizyty - czy to stojąc na krawędzi Wielkiego Kanionu, czy patrząc w wodę nad brzegiem Gangesu, czy słuchając muzułmańskich modlitw w arabskiej świątyni - najdzie mnie jakaś przenikliwa refleksja, doznam objawienia albo stanę się świadkiem iluminacji. A odmrażając sobie pośladki w towarzystwie Annique i Gilles'a, zrodziła się w mojej głowie jak do tej pory najmniej wzniosła — ale jednocześnie ulubiona — myśl:

- Podoba mi się tutaj. Bardzo, bardzo mi się tu podoba...

Było jeszcze ciemno, kiedy Sebastien odbierał mnie z oberży. Byłam tak zaspana i zdezorientowana, że prawie weszłam do bagażnika. Może chciałam dotrzymać towarzystwa mojej pękającej w szwach torbie podróżnej? Spakowałam bardzo dużo, żeby być gotową na wszelkie ewentualności.

Mimo że z lekkim żalem opuszczałam Québec, nie mogłam się doczekać spotkania z tatą Jacques'a. Byłam ciekawa, czy uda mi się odkryć nić połączenia między jego tak różnymi od siebie synami - choć dałoby się za punkt wspólny (już w tamtym momencie) uznać odziedziczoną po ojcu sptawność fizyczną, o której Jacques wspominał podczas naszego lunchu w parlamencie. Dokładnie tak - w parlamencie.

Uśmiechnęłam się do siebie. Naprawdę trudno jest nadążyć za Quebekiem...

Słońce akurat zaczynało wschodzić, a ja dzięki kolejnej filiżance kawy z termosu w końcu odzyskałam zdolność do prowadzenia rozmów, co akurat niezbyt ucieszyło Sebastiena.

- Jest dużo bardziej płasko, niż sądziłam. - Patrzyłam przez okno na bezkresne, ośnieżone pola. Gdzieniegdzie dla urozmaicenia równinnego krajobrazu stały samotne stodoły. - Gdy myślę o Kanadzie, mam przed oczami skały, jeziora i góry...

- Tak się składa, że jesteśmy drugim co do wielkości państwem na świecie, więc mamy trochę miejsca na różnorodność topograficzną.

Dogadał mi!

- Proszę. - Sięgnął za siebie, po czym wręczył mi atlas. -Zerknij.

Orworzyłam mapę na odpowiedniej stronie, a Sebastien pokazał mi, gdzie znajdował się Québec.

- Sama nasza prowincja jest trzy razy większa od Francji.

- Patrz na drogę! - panikowałam, chociaż wiele wskazywało na to, że trasa będzie prosta aż do Montrealu.

Przyjrzałam się bliżej - nasza droga była usłana „świętymi” miejscowościami: Saint-Célestin, Saint-Hyacinthe, Sant-Lazare-de-Bellechasse, Saint-Bernard (mnie kojarzący się z rasą psów), a nawet odpowiednik San Francisco!

Niektóre nazwy brzmiały zabawnie, ale Sebastien sprowadzał mnie na ziemię i uświadamiał, że wcale nie znaczą tego, co mi się wydawało. Z czasem zaczęło mnie to ciekawić, więc dręczyłam mojego kierowcę kolejnymi pytaniami.

- A ta miejscowość? - Wskazałam tabliczkę z napisem Asbestos. - Czy to też znaczy po francusku coś zupełnie innego, niż się kojarzy?

- Nie. To miasto naprawdę miało kiedyś największą kopalnię azbestu na świecie!

- I mieszkańcy chcieli w ten sposób ją zareklamować?

- Nazywało się tak, zanim złoża zostały odkryte. - Sebastien był już wyraźnie rozdrażniony moją naiwnością. - W latach sześćdziesiątych nastąpił tu rozkwit przemysłowy.

-Tutaj jest napisane, że Montreal to miasto bliźniacze Hiroszimy. Wyczuwam niepokojący motyw przewodni...

Sebastien wcale nie był rozbawiony, więc postanowiłam skończyć z suchymi żartami. Przerzuciłam się na bardziej konwencjonalny zestaw pytań.

- Dorastałeś w Montrealu?

- Tam urodzony i tam wychowany.

- A Jacques?

- On akurat w Quebecu. Został z matką, kiedy mój ojciec od niej odszedł.

- Och, więc nie dorastaliście w jednym domu? -Nie.

- Ale teraz jesteście tak blisko...

- Razem spędzaliśmy wakacje. Jacques zawsze się mną opiekował, w końcu jest dziesięć lat starszy.

- A teraz role się odwróciły?

- Byłem mu to dłużny.

- Coś mu zawdzięczałeś?

- Moje życie.

Na chwilę zamilkłam. Brzmiało poważnie, ale po raz kolejny okazało się, że Sebastien po prostu uwielbia wprowadzać napięcie i brzmieć dramatycznie.

- To dzięki niemu dołączyłem do Cirque du Soleil.

- Naprawdę? - Rozpromieniłam się. - Więc to pozytywna odpłata.

- Pogubiłem się jako nastolatek. Jacques pomógł mi wrócić na właściwą drogę.

Coś mi podpowiadało, że problem dotyczył narkotyków. Prawdopodobnie działo się to w czasie, gdy jego rodzice się rozwodzili. Sebastien zszedł na złą drogę, Jacques się nim zajął, a Cyrk Słońca stał się najważniejszym celem i nadał jego życiu sens. Dziwne tylko, że spłacając biału dług wdzięczności,

rezygnuje z tego, co kocha najbardziej. Nie widzi, jakie to dla Jacques'a obciążenie?

Chociaż skoro rzeczywiście miał przygodę z dragami, teraz nie myśli logicznie...

- O czym tak rozmyślasz? - zapytał podejrzliwie Sebastien.

- O tym, jakie to niesamowite, że było ci dane występować w Citque du Soleil.

- Widziałaś w ogóle któreś z ich widowisk?

- Och, tak! Jestem ich wielką fanką. Kiedyś nawet starałam się u nich o pracę. Jednorazowo, jako biletowa podczas spektakli, które mieli zaprezentować w Londynie, w Battersea. Stwierdziłam, że to musi być fantastyczne - pokazywać ludziom, gdzie są ich miejsca na widowni, a potem stać wśród nich - każdego wieczoru - i podziwiać to, co się dzieje na scenie. Wiedziałam, że nigdy by mi się to nie znudziło...

Prawda jest taka, że moje życie w tamtym czasie było potwornie nudne. Marzyłam, żeby uciec w ich świat fantazji, choćby na moment.

- I co, udało się?

- Cóż, narzekali, że mają problem ze znalezieniem osób władających językiem angielskim, więc zaproponowali mi pracę w biurze. Miałabym odbierać telefony i zajmować się papierami, ale to nie wydawało mi się już tak pociągające.

- Jak to? Nie mogli znaleźć osób mówiących po angielsku w Anglii?

- Londyn to taki tygiel kulturowy, że rodzimi użytkownicy języka należą teraz do mniejszości!

- Więc które spektakle widziałaś?

- Od czego by tu zacząć? W Vegas oglądałam *Mystère*, *O, Zumanity* i *Kà* - totalnie odjechane, spektakularne i zapierające

dech w piersi. Czyli tam właściwie wszystkie, z wyjątkiem tej sztuki z Beatlesami.

- Wszystko oprócz *Miłości*?

Komentarz wydał mi się w dziwny sposób osobisty, więc gładko wymieniałam dalej.

- Potem *Salimbando*, *Alegrię*, *Quidam*... Całkiem niedawno nawet widowisko *Michael Jackson Immortal*.

- I co o tym sądzisz?

- W zasadzie spośród wszystkich innych tym show byłam najmniej zainteresowana, jednak warto było - choćby dla samego tańca z kołami przy *Can You Feel It*

- A niby co takiego fajnego było w tym fragmencie?

- Nie wiem, po prostu do mnie przemówił - muzyka pulsowała, w końcu to bardzo pobudzająca piosenka, czterech półnagich mężczyzn w metalicznych kaskach obracało ramionami we wszystkie strony jak figurki Action Man... - Przez chwilę miałam ich znów przed oczami. - Huścili się tak wysoko i fruwali w powietrzu akurat w momentach kulminacyjnych utworu... Mocne!

Sebastien wybuchł śmiechem.

- No co?

- To właśnie ja robiłem!

- Nie może być!

- Świetny numer Jacksona.

- Powiedz mi, jakie to uczucie? - Poderwałam się w ekscytacji. - Być tam, być częścią takiego spektaklu?

- Przede wszystkim trzeba się skupić na osiągnięciu celu i trafieniu dokładnie w punkt. Koncentrujesz się na swoim zadaniu, nic nie może cię rozproszyć. Jednak kiedy grupa wykonuje jakiś spektakularny manewr i słyszysz oddechy zachwyty z tymbun -przechodzi cię dreszcz emocji.

- Są takie momenty, że cała arena *wydaje* się urzeczona, jak pod wpływem magicznego zaklęcia. Potrafisz wyczuć, kiedy to następuje? Kiedy masz publikę w garści?

- Da się to wyczuć. Energia się zmienia, nie ma co do tego wątpliwości.

- O mój Boże, nie mogę uwierzyć! Jadę samochodem z kimś tak odjazdowym!

Sebastien przewrócił oczami.

- Jestem pełna podziwu!

- Umiejętność wykonania salta nikogo nie czyni lepszym człowiekiem.

- Według mnie czyni. A występowałeś kiedyś u boku Julie? Automatycznie posmutniał. Chyba za bardzo się rozpędziłam z tym pytaniem...

- Powinnaś się zdrzemnąć - odburknął. - W mieście będzie sporo do oglądania, będziemy dużo chodzić. Chyba nie chcesz być zmęczona, kiedy dotrzemy na miejsce?

Opracowywałam metody udobruchania Sebastiena, kombinowałam, jak go przeprosić albo płynnie zmienić temat, jednak w tamtym momencie najlepszym wyjściem było milczeć. Tego najbardziej ode mnie chciał. Żeby zostawić go w spokoju z jego myślami.

Wtuliłam się w siedzenie i znowu zaczęłam się wpatrywać w krajobraz - bezlistne drzewa i zamarznęte jeziora. Na powierzchni niektórych z nich widniały odcisnięte ślady opon. Próbowałam rozszyfrować, dokąd prowadzą i czy samochód wrócił na normalny grunt, ale jechaliśmy za szybko...

Nic by się nie stało, gdybym na trochę przymknęła powieki... Odwinęłam z szyi szalik i zrobiłam z niego zastępczą poduszkę, żeby nie tnęło mną za bardzo, kiedy oprę głowę o szybę.

Gdy otworzyłam oczy, otaczały mnie już wieżowce.

- Rety, rzeczywiście jest większy!

Sebastien uświadomił mnie, że Montreal jest dokładnie trzy razy większy niż Quebec. Dodatkowo wlicza się powierzchnia wyspy (nietypowo otoczonej przez wody rzeczne).

- W sercu miasta znajduje się wzniesienie otoczone parkiem, w pobliżu znajdują się rzeka i cmentarz z milionem pochowanych ciał.

- Milionem? - Wybałuszyłam oczy i wyobraziłam sobie, jak ekipa Cirque du Soleil robi tam temake teledysku *Thriller*. Co to byłby za refren!

- Wzgórze nazywa się Mont Royal - kontynuował Sebastien, wyraźnie zadowolony, że zeszliśmy na neutralny temat.

- Mont Royal... - Brzmiało znajomo.

- Montreal wziął od niego swoją nazwę.

- O, proszę. Nie wiedziałam - powiedziałam z uśmiechem.

- Gdyby było lato, zabrałbym cię tam.

- Ale nie ma lata.

- No nie ma - potwierdził, obserwując kobietę, która próbowała odwrócić się plecami do wiatru i swobodnie przejść przez jezdnię.

Włączyło się zielone światło i pojechaliśmy dalej. Pierwszym miejscem, które planował mi pokazać Sebastien, było Stare Miasto. Kolejna nazwa brzmiąca znajomo.

- Zastanawiałam się - próbowałam brzmieć naturalnie i swobodnie - gdzie by tu zjeść śniadanie... Słyszałam o niezłym miejscu. Jak ono się nazywało? Toi, Moi et Café?

- Jacques już kazał mi obiecać, że cię tam zabiorę, ale najpierw chciałbym, żebyś zobaczyła to... Skreślił gwałtownie i zatrzymał się przy szarej katedrze.

— Bazylika Notre-Dame.

Prawdopodobnie wyczuł, że nie do końca mnie kupił, ponieważ dodał po chwili:

- Céline Dion brała tu ślub. To mnie przekonało!

- Możemy wejść do środka?

Pozwolił mi pierwszej przekroczyć próg świątyni, żeby sam mógł stanąć z boku i podziwiać, jak opada mi szczeka. Gloria!

Nie sądziłam, że kiedykolwiek zobaczę katedrę z takim wnętrzem. Widziałam już wiele - bogato zdobione, pełne przepychu - ale ta wyglądała niemal jak z filmu Disneya... Tak jaskrawa i pełna życia!

Dominowały kolory niebieski — świetlista mieszanka lazurowego i kobaltowego - i złoty. Katedra wyglądała jak królestwo samo w sobie, z mnogością łuków, iglic, posążków i (co mnie akurat rozbawiło)... odkurzaczem pozostawionym na pokrytych dywanem schodach wiodących do ołtarza.

Nawet witraże bazyliki wydawały się bardziej bogate w kolory niż tradycyjne (w których przeważało szkło o zabarwieniu krwistoczerwonym i królewski błękit), widziałam nawet odcienie liliowego i purpury.

- Zachwycające! - szepnęłam, patrząc przez mieniające się kryształki.

- Wspaniałe, że filary wyglądają jak grzbiety starych książek. Wiesz, o co chodzi? Skórzane, ze złotymi detalami.

Zanim Sebastien zdążył odpowiedzieć, zadzwonił jego telefon.

— Muszę odebrać.

— Poczekam tu — odparłam zadowolona z obrotu sprawy. Cieszyłam się i kontemplowałam w samotności - do czasu, aż minęła mnie pewna młoda para...

Młodych odprowadzano do bardziej przystępnej kaplicy na tyłach bazyliki i na ich widok automatycznie przypomniał mi się mój dzień ślubu. Zmiękły mi kolana, doczłapałam do najbliższej ławki i odwróciłam się, jakbym miała obserwować siebie sprzed lat, idącą w stronę ołtarza.

Pamiętam, że broniłam się wszelkimi możliwymi sposobami przed ślubną histerią. Celowo wybrałam prostą sukienkę, nie chciałam wielkiej pompy. Tuż przed wyjściem przemknęło mi przez myśl, że mogłam trochę bardziej zaszaleć, nawet lekko podrasować partnera, żeby było nad czym wzdychać, ale nutka żalu szybko wyparowała. Może od zawsze podświadomie wiedziałam, że to nie wypali? Ślub wydaje się spektakularnym przedsięwzięciem - ale równie spektakularnie małżeństwo może się potem rozsypać. Po co komu małżeństwo, skoro później człowiek bardziej cieszy się z rozwodu niż obchodów pierwszej rocznicy? Jakim cudem ludzie ciągle wierzą w wieczny ideał związku dwojga sobie przeznaczonych po wypowiedzeniu sakramentalnego „tak”?

Mimo całego cynizmu w dniu, w którym stanęłam na ślubnym kobiercu, czułam się jak w ekstazie.

Nigdy przedtem nie doświadczyłam takiej zażyłości z drugą osobą. Dosłownie jakbyśmy ja i Andy byli jednym ciałem, którego jednak nic nie ogranicza.

I wszyscy tak się cieszyli. Tak nam kibicowali. Nawet się nie spodziewałam tylu dobrych życzeń. To było zbyt piękne, żeby było prawdziwe...

Siedząc w Norre-Dame, zastanawiałam się, czy on naprawdę mnie kochał, czy liczył na coś, co mogę wnieść do jego życia. Minał raptem miesiąc od naszego pierwszego spotkania, a my już

tozmawialiśmy o dzieciach - jak będą wyglądały, które z naszych

cech chcielibyśmy, żeby po nas odziedziczyły, jak będziemy je wychowywać i czy nauczymy się dla nich gotować. To było fajne. Pomysł stworzenia czegoś tak osobistego. Razem.

Andrew nigdy nie lubił swojej pracy i sprawiał wrażenie, jakby chciał pracować po prostu jako ojciec. Cóż, w zasadzie mimo naszego rozstania dalej mu tego życzyłam. Chciałam, żeby dziecko rozwijające się w brzuchu dziewczyny od kanapek pomogło mu się spełnić życiowo. Miałam przy okazji nadzieję, że nie będzie oczekiwał zbyt wiele od Niego czy Niej, że ten brzdąc nie będzie pod ciągłą presją. Ze Andrew nie stwierdzi, że się zawiódł...

Oczy mi się zaszklily. Boże, znowu to robiłam. Sama się dołowałam. Dłubałam w ranach, odświeżałam dawne urazy. Musiałam zatrzymać tę lawinę. Starać się myśleć o czymś przyjemnym. Zrobić coś ze sobą.

Wstałam i chciałam pójść do pokoju cichej modlitwy, ale natknęłam się na wielki obraz Madonny z Dzieciątkiem. Bałam się kolejnego ukłucia w sercu, ale przestrzeń katedry okazała się kojąca.

Zamiast rozpaczać, zapaliłam spokojnie małą świeczkę — za dziecko, którego nigdy nie miałam, i to, które jeszcze kiedyś mogło się pojawić w moim życiu. Bo takie rzeczy się zdarzają. Zawsze jest nadzieja.

Potem wrzuciłam jeszcze kilka monet do puszek z datkami i zapaliłam dużą, żółtą świeczkę za Laurie i jej nowojorskie marzenia, śnieżnobiałą za Jacques'a, truskawkowoczerwoną za panią Laframboise, a za Sebastiena - niebieską.

- Jeśli masz zamiar zapalić wszystkie świeczki w tym kościele, możesz zbankrutować.

Odwróciłam się do niego z uśmiechem.

- Ta była dla ciebie!

Wyglądał na tak zaskoczonego i zbitego z tropu, więc chyba znowu przeholowałam... Może wcale sobie nie życzył, żebym modliła się w jego intencji, więc dla złagodzenia sytuacji dodałam:

- W tamach podziękowania, że zabrałeś mnie do Montrealu.
- Aha, okej. - Wzruszył ramionami. - Bajgiel by wystarczył.

Na zewnątrz było chłodno, ale słonecznie. Sebastien stwierdził, że resztę Vieux-Montreal - czyli dzielnicy, w której stoi Notre-Dame - mogę obejrzeć sama w wolnym czasie.

Po niespełna dwóch minutach jazdy znowu nacisnął hamulec - tym razem zatrzymaliśmy się przy deptaku prowadzącym aż na bulwary, niedaleko Place Jacques Cartier.

- Guy Laliberté zwykł występować tutaj jako połykacz ognia albo chodził na szczudłach.

Przykleiłam nos do szyby samochodu. Więc to tutaj narodził się Cirque du Soleil? Z trudem powstrzymałam emocje.

- Możesz nawet coś zjeść w jego restauracji, L'Auberge Saint-Gabriel. Znajduje się tuż za rogiem. Urządziliśmy tam parę niezłych przyjęć.

Od razu wyjęłam notes i drżącą ręką zapisałam nazwę. Już nie musiałam się zastanawiać, dokąd pójść na obiad.

— Może to głupie pytanie, bo w końcu cały świat jest wami zachwycony, ale z jakim nastawieniem lokalnych mieszkańców się spotkaliście? Ludzie odbierają was tu raczej dobrze?

— Och, tak. Bardzo! Bardzo! Każdy jest pełen uznania dla tego, co udało się nam osiągnąć. Guy każdego roku, żeby okazać

mieszkańcom naszej prowincji wdzięczność za wsparcie, wystawia dla nich spektakl za darmo.

- Fantastycznie!

- Zbudował też tutaj jedną z naszych siedzib, wraz z pomieszczeniem do szkoleń. Umyślnie wybrał biedną dzielnicę i zatrudniał ludzi, żeby ta część miasta jakoś się dźwignęła.

- Wow. Jak myślisz, ile osób tam teraz pracuje?

- W sumie około tysiąca ośmiuset - policzył szybko Sebastien.

- Słucham???

- Czteryśta z nich należy do samego działu odzieżowego.

- Dobry losie...

- Tak w ogóle - teraz przejeżdżamy przez Boulevard Saint-Laurent. Biegnie przez miasto z północy na południe i dzieli je na dwie części - francuskojęzyczni mieszkańcy w przewadze mieszkają na wschodzie, podczas gdy anglofoni - czyli twoi ludzie - zamieszkują wschodnią stronę.

- Ciekawa sprawa.

- Zobaczyłabyś tam mnóstwo różnych społeczności imigranckich: Żydów, Chińczyków, Włochów, Portugalczyków, Greków, Arabów, Haitańczyków...

- Dokładnie jak w Cyrku Słońca. - Zaśmiałam się.

- Wiesz o istnieniu Fundacji One Drop? - zapytał, gdy wjeżdżaliśmy na teren kolejnej dzielnicy, tym razem modnej, z wieloma sklepami.

- One Drop? - Pokręciłam głową. - Nie kojarzę. Sebastien wyjaśnił, że Guy Laliberté wszedł w kolaborację

z międzynarodową organizacją Oxfam, żeby wspólnymi siłami zaopatrywać w wodę kraje, w których panuje deficyt jej życiodajnych zasobów - na przykład El Salvador, Indie czy Honduras.

- W zeszłym roku byłem w Nikaragui, kiedy odbywaliśmy trasę. One Drop, poza wodnym projektem, pracują jeszcze nad innymi teczami - opowiadał dumny Sebastien. - Między innymi promują równouprawnienie i motywują młodzież, starając się zapewnić im jaśniejszą przyszłość.

- Naprawdę? Przytakiwał z zapałem.

- Prowadziliśmy warsztaty dla dzieciaków, próbowaliśmy je zaangażować do wspólnych działań. To było niesamowite...

Słuchałam opowieści Sebastiena i miałam wtażenie, że spotkałam zupełnie nową osobę - ze skorupy gbura wyłonił się energiczny, pełen pasji i przede wszystkim współczujący mężczyzna.

Stanęliśmy przed drzwiami Toi, Moi et Café, a ja zapytałam, czy przypadkiem nie jest już zmęczony.

- Nie, nie potrzebuję zbyt wiele snu - odparł, odpinając pas.

- Nie to mam na myśli. Pytam o czuwanie nad Jacques'em. Nie tęsknisz za własnym życiem? Za przebywaniem w towarzystwie twoich kolegów artystów? Pracą nad innymi ważnymi projektami? Za robieniem tego, co kochasz i co wychodzi ci doskonale?

Wydawało mi się, że jego oczy momentalnie zaszły mgłą.

- Tak, tęsknię za tym. Oczywiście, że mi tego wszystkiego brakuje. Ale gdyby zabrakło Jacques'a, za nim tęskniłbym o wiele bardziej.

- A jeśli on się nigdzie nie wybiera?

- Wyobrażałaś sobie kiedyś utratę kogoś bliskiego? - zapytał surowo. - Że odebrano ci kogoś, zanim nadszedł jego właściwy czas?

-Nie...

- Gdy ktoś zadzwonił, żeby poinformować, że Jacques wpadł do jeziora... rozmowę coś przerwało. Stałem tu, trząsłem się

w oczekiwaniu na ponowne połączenie. Myślałem, że chcą mi powiedzieć, że mój brat nie żyje. - Przygryzł wargi i starał się opanować łamiący się głos. - Właśnie w tamtym momencie przeżyłem jego utratę. Czułem, jakby to się stało naprawdę. Więc kiedy zadzwonili do mnie drugi raz i powiedzieli, że Jacques przeżył... to było jak otrzymanie jeszcze jednej szansy. Wtedy już wiedziałem, że muszę być przy nim. Muszę być tam dla niego. A to dlatego, że już nigdy więcej nie chcę takiego telefonu i nigdy więcej nie chcę się tak poczuć.

- Ale Sebastien - westchnęłam. - Naprawdę sądzisz, że targnąłby się na własne życie?

- Kto wie, co by się zrobiło w takich okolicznościach. Każdy reaguje inaczej. Mam rosyjskich przyjaciół, którzy dowiedzieli się o śmierci kogoś z ich rodziny parę minut przed występem. Po tym dzielnie weszli na scenę i zagrali bezbłędnie jak zawsze - nie ruszyło ich to, bo dla nich to pewien rodzaj normy. Część teatru życia. Trapez jest niebezpieczny, lina do balansowania jest niebezpieczna... - Zrobił w tym miejscu przerwę. - Ale poczucie odpowiedzialności za śmierć drugiej osoby, tak jak Jacques w przypadku Rémy'ego...

- To musi być nie do zniesienia - zgodziłam się. Siedzieliśmy w ciszy, ale w końcu postanowiłam to przerwać.

- Wiesz, co do czego mam absolutną pewność?

- Co to takiego?

- Że jestem potwornie głodna!

Chyba nigdy wcześniej nie widziałam śniadania podanego w tak wesoły sposób. Aż miło się patrzyło - a ja nie mogłam się doczekać, kiedy to wszystko spałaszuję! Dwa, bielutkie, ugotowane na miękko jajka siedziały wygodnie w podstawkach

wyglądających na pokolorowane kredkami świecowymi, chrupiące paseczki z tostów ciabatty tylko czekały, aż zanurzę je w żółtku. Do tego kawałki melona w kształcie uśmiechów (obydwie odmiany - zielona i pomarańczowa), sterta pieczonych ziemniaczków, garstka fasoli, trójkąt żółtego sera i — *piece de resi-stance* - pieczone jabłko z błyszczącą, pofałdowaną skórką!

Mój brzuch burczał zniecierpliwiony, ale najpierw musiałam coś załatwić.

- Zrobię tylko zdjęcie.

- Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego ludzie to robią.

- Przecież wszystko jest tak pięknie podane! Jesteś rozwydrzony, powinieneś spędzić trochę czasu w Anglii i zobaczyć, jak tam się mają sprawy z serwowaniem dań.

- A wiesz, że jeden z twoich kucharzy ma tutaj restaurację.

- Jeden z MOICH kucharzy?

- Gordon Ramsey. Jego lokal, Laurier, mieści się po drugiej stronie ulicy.

- Jadłeś tam kiedyś?

- Nie, ale wiem, że w karcie ma zarówno smażoną rybę z frytkami, jak i poutine.

Znowu to nieszczęsne poutine! Nie mogłam się opanować i zrobiłam grymas obrzydzenia.

- Wiesz, że musisz tego spróbować. To specjalność Quebecu!

Na szczęście nasza ruda kulinarna rozmowa została przerwana przez baristę, który wynurzył się zza kontuaru. Okazało się, że to dobry przyjaciel Sebastiena, więc podczas gdy oni rozprawiali o czymś po francusku, ja delektowałam się latte o smaku bakławy. Nie żartuję - kawa z miodem i dodatkiem czterech syropów

Coś najbardziej cennego, perełka (z fr.) - przyp. tłum.

(trzech orzechowych i cytrynowego), zwieńczona bitą śmietaną i posypana cynamonem.

Dla tej kawiarni byłam gotowa natychmiast przeprowadzić się do Montrealu.

Nie chodzi wyłącznie o menu - spodobali mi się goście. Lokal wypełniali ludzie w każdym wieku, istna mieszanka! Przy drzwiach wejściowych wisiały ozdobne zasłony, na drewnianej podłodze stały stoły z podniszczonymi blatami w miedzianym kolorze, a sufit zdobiły ciemne stropowe belki. Najciekawszy wydał mi się system srebrnych pojemników z kawą na ścianie za barem. Wszystkie gatunki palonych ziaren - od mocha mattari z Jemenu po jamajską blue mountain - zostały wypisane na tablicy ze złotymi ramkami. Na podziw zasługiwała również kelnerka - uśmiechnięta i troskliwa mimo dużego ruchu. Wymieniając rzeczy, które przykuły moją uwagę w Toi, Moi et Café, nie mogłabym zapomnieć o kuszącym, czekoladowym torcie wyeksponowanym w oszklonej gablotce...

Postanowiłam, że jeżeli zostanie mi trochę czasu, wtęcę tam na filiżankę herbaty tequila sunset-darjeeling z sokiem pomarańczowym, słodkim likierem z cytrusów i złotym rumem.

Wow.

Ale nadszedł czas, żeby się ruszyć. Już prawie byliśmy w drzwiach (ja szłam, trzymając się za pełny brzuch), gdy coś mi się przypomniało.

- Nie mieliśmy przypadkiem kupić kawy twojemu tacie?

- Stąd żadnej by nie wypił. Jest wierny Olímpico.

- Olímpico ma jakiś związek z Olimpiadą?

- Hmm, w pewnym sensie, ale to raczej miejsce dla fanów sportu.

Zobaczysz. A wiesz, że byliśmy gospodarzami Olimpiady w 1976 roku?

- Mhm - przytaknęłam niepewnie, bo nie chciałam przyznać się do niewiedzy.

- Jesteś na bieżąco z perypetiami Kardashianek?

- Słucham? - Myślałam, że to kolejna złośliwość.

- Wtedy ojczym Kim Kardashian - Bruce Jenner - zdobył tu złoty medal.

- Nie miałam pojęcia, że był lekkoatletą.

- Dziesięcioboistą - sprecyzował.

- Znasz tyle faktów i cytatów... - Uśmiechnęłam się.

- Pewnie dlatego, że ostatnia dziewczyna mojego taty była nauczycielką.

- Pracowity człowiek.

- Proszę?

- No, wiesz - z kobietami.

Sebastien natychmiast spochmurniał.

- Spałaś z więcej niż trzema mężczyznami w życiu? -Co?

- Myślisz, że skoro mój ojciec był dwukrotnie żonaty i miał jeszcze jedną partnerkę, to jest jakimś playboyem? Starym podrywaczem?

- Och, nie. Przepraszam. - To okropne. Dlaczego ciągle urażam go w ten sposób? - Nie chciałam nikogo obrazić.

- Był z moją matką siedemnaście lat, z matką Jacques'a - dwanaście. Policz sobie. Dorównałabyś stażem?

- Nie... - przyznałam cicho i poszłam za Sebastienem. Obiecałam sobie, że już więcej nie zejdem na intymne tematy.

Będę gadać o mieście, budynkach, sklepach... na przykład tym nietypowym meblowym.

- Zobacz! - Staralam się rozluźnić atmosferę. - Ta sofa jest cała obszyta dżinsem!

Zero reakcji. Rzeczywiście broni swoich bliskich jak lew. Normalnie taką opiekuńczość uznałabym za ogromną zaletę, ale Sebastien byłby zdolny ogrodzić ich drutem kolczastym, żeby nikt nie naruszył ich prywatności.

- Kiedy będziesz w kawiarni, ja skoczę szybko pooglądać książki - powiedziałam, gdy Sebastien otwierał drzwi do Olimpico, a mnie w oczy rzucił się szyld księgarni.

Przeciągłym wzrokiem zmierzył witrynę Librairie L'Ecume des Jour i westchnął żałośnie:

- Przychodziłem tu zawsze z Julie...

- Nie mam już do niego siły - żaliłam się Laurie, chowając się z telefonem za winkiem. - Przez moment wydaje się, że nieźle się dogadujemy, a nagle on znowu wybucha i obraża się na najdrobniejszą rzecz.

- Z doświadczenia wiem, że ludzie, którzy tak się zachowują - wściekli na świat - zazwyczaj są po prostu wściekli na samych siebie.

- Zranieni ludzie ranią ludzi.

- Właśnie. Dlatego rozumiem, że rozwiązanie wydaje ci się proste: „Wróć do Montrealu i wróć do życia!”.

-Tak!

- Ale on ma blokadę. Gdy widzi, co traci, wkurza się jeszcze bardziej.

- No to świetnie...

- Posiedź tu chwilę. Daj mu trochę przestrzeni. I weź dla mnie jakąś klawą książkę.

Mamy z Laurie taką umowę, że za każdym razem, gdy jestem za granicą, kupuję jej książkę w obcym języku - której oczywiście nigdy nie przeczyta, ale za to ma intrygującą okładkę albo tytuł.

W Montrealu wybór był aż za duży: WOLNOŚĆ NIE JEST
MIARĄ JOGURTU czy

CZY POŚLUBIŁAŚ PSYCHOPATĘ?

A może coś z serii „Dla Bystrzaków”? Na przykład:

SAKSOFON DLA POCZĄTKUJĄCYCH

W końcu nieumyślnie trafiłam do działu z książkami o macierzyństwie. Moją uwagę przykuła okładka z rysunkową mamą podrzucającą swoje wesołe zawiniątko, a ono wypluwało z buzi wymiociny, które jak woda z fontanny układały się w zgrabny łuk i trafiały prosto w twarz rodzicielki.

Mimo że nie byłam w stanie rozszyfrować ani podpisów, ani tekstów w komiksowych dymkach, tysunki były w pełni zrozumiałe. Po lewej stronie mamy La Rêve: szczupła mama z włosami związanymi w kucyk idzie zwawo przez park, pchając spacerówkę. Po prawej - La Réalité: kobieta leży na tapczanie, ogląda telewizję i obżera się chipsami.

Przerzucając strony, zdałam sobie sprawę, jak bardzo idealizowałam bycie matką. Kiedy się czegoś nie może mieć, najłatwiej patrzeć na obrazy sielanki - rozanielone uśmiechy od ucha do ucha, przytulanki, buziaczki i wszechobecne szczęście - i omijać codzienną harówkę.

Nie miałam nawet podstaw znajomości obowiązków domowych. Zresztą - magnes na mojej lodówce mówił wszystko: „Rozumiem koncepcję gotowania i sprzątania, pod warunkiem że nie dotyczy mnie”. Miałam pełną świadomość tego, jaką byłabym matką. Szczerze. Prawdą jest, że reprezentowałabym chaotyczny, przemęczony typ z bluzką upstrzoną plamami i odciskami małych paluszków, z resztkami płatków śniadaniowych we włosach...

- Gotowa? - Sebastien zajrzał do księgarni.

Speszona odstawiłam niezdarnie książkę na półkę w nadziei, że nie zdążył zobaczyć tytułu, i pospieszyłam w jego stronę.

- Co masz w torebce? - zapytałam w drodze do samochodu.

- Biscotti. Ulubione mojego taty.

Chciałam powiedzieć komplement, że ojciec musi mieć wobec tego mocne zęby, ale w potęg ugryzłam się w język - Sebastien odebrałby moje słowa uznania jako zdziwienie, że człowiek w tym wieku jest w stanie w ogóle gryźć, i pewnie znowu by się obraził. Dlatego już się nie odezwałam.

W mojej głowie kołatała się jednak jedna myśl: „O mój Boże! Zaraz poznam rodzica!”.

Podoba mi się ta dzielnica - powiedziałam, podziwiając szeregi uroczych domków z dziwacznymi ozdobami na dachach i wystającymi balkonami z zawijasami na balustradach. - To tutaj dorastałeś?

- Dokładnie tutaj. - Sebastien skręcił na podjazd przed cegła-stym budynkiem z kanciastymi oknami wykuszowymi i zatrąbił klaksonem.

Chwilę później na szczycie zewnętrznej klatki schodowej pojawił się dobrze zbudowany mężczyzna.

- To twój ojciec? - Spojrzałam w górę.

- Jesteś zaskoczona?

- Przystojny.

- Ma dopiero sześćdziesiąt pięć lat.

- Po prostu trochę inaczej go sobie wyobrażałam, ciągle rozmawialiście o fizjoterapii...

Szczerze — spodziewałam się wątłego staruszka poruszającego się o lasce. Tymczasem powitał mnie uśmiechnięty, jasnowłosy Alec Baldwin.

- *Bonjour*, Krista! *Bonjour*! Zna moje imię?

- Jak ci się podobają moje schody?

Spojrzałam na Sebastiena i zapytałam cicho:

- To jakaś tradycyjna forma powitania w Montrealu?

- Powiedz, że mają apetycznie zaokrąglone kształty.

- Co???

- Zrób to. Na pewno się ucieszy. Wzięłam głęboki oddech i krzyknęłam:

- Mają cudowne krągłości!

- Tak, tak! - Klasnął w dłonie. - Dokładnie tak! Chodźcie na górę!

- To jakieś sekretne hasło?

- Tę bawi to określenie, bo jest zuchwałe.

Sebastien wyjaśnił, że dawno temu kościół zażyczył sobie, żeby każdy budynek miał klatkę schodową na zewnątrz. Dzięki temu byłoby wiadomo, kto do budynku wchodzi i kto go opuszcza - żadnych potajemnych spotkań, nic do ukrycia.

- Tutejsi mieszkańcy mieli oryginalny pomysł na wygląd schodów, ale duchowni uznali zmysłowe zawijasy za zbyt wyzywające...

- Żartujesz?!

- Ani trochę! Więc wtedy znowu kazali wszystkie zakryć i wyłączyć z użytku.

- O, nie...

- Jednak teraz żyjemy w bardziej liberalnych czasach, więc schody ponownie znalazły się na widoku.

- W końcu każde miasto ma swoją historię, prawda? Wtedy ojciec znów wyłonił się z mieszkania i zawołał:

- Halo, co trzeba zrobić, żeby dostać kubek kawy?

Na podstawie wystroju biura Jacques'a mogłam się domyślić, jaką drogą poszedł pan Dufour przy dekorowaniu własnego mieszkania. Na pewno nie należał do minimalistów. Każdy

centymetr ścian i półek zajmowały nagrody, medale, trofea albo pamiątkowe fotografie z podium. Wisiała tam nawet oprawiona w ramy koszulka hokejowa - czerwono-biało-niebieska.

- Montreal Canadiens - przeczytałam. - Grałeś w hokeja? -Ja nie - odparł Sebastien. - Tata. Właściwie nadal gra.

- Co prawda już nie zawodowo, ale z przyjaciółmi - wyjaśnił pan Dufour, wychodząc z kuchni. Miał w ręku kubek z logo drużyny, w który chciał przelać kawę z Olimpico. - Tak właśnie zepsułem sobie to cholerne kolano.

- Ojciec był kiedyś ich gwiazdą - wymamrotał posłusznie Sebastien. - Jako środkowy.

- Wołałem określenie „atakujący” - dodał kokieteryjnie. -Wzięłeś dla mnie biscotti?

Sebastien popchnął papierową torbę wzdłuż stołu.

- Krista, musisz ich spróbować!

- Och, nie dam razy zjeść już ani kęsa. Przedawkowałam podczas śniadania.

Mimo moich zapewnień wcisnął mi kawałek, mówiąc:

- Na później.

- Dziękuję.

- Więc... - zwrócił się do Sebastiena. - Jakie to uczucie być z powrotem w Monttealu?

- Spoko - burknął, wiercąc się na krześle.

- Tylko tyle? Wzruszył ramionami.

- Na szczęście nie pisze na twój portal. - Mrugnął do mnie pan Dufour.

Rozmawiali jeszcze krótko na błahe tematy, ale Sebastien odpowiadał bardzo zdawkowo. Chyba nie chciał zdradzać za dużo, bo siedziałam obok.

- Wiesz co, pomagałem panu Tremblay'owi, temu z naprzeciwka, spisywać testament i chciałbym, żebyś wiedział, że przepiszę ci to mieszkanie. Zostawiam ci je, jak umrę.

- Mnie i Jacques'owi.

- Nie, Jacques już ma dom. A twój jest tutaj - westchnął. -Kiedy wrócisz, synu?

- Tato, rozmawialiśmy już o tym... - wykręcał się.

- Za dużo się martwi - wytłumaczył mi pan Dufour. - A ja się niepokoję o niego, kiedy się tak zadęcza. Ale się dobraliśmy... -popił łyk kawy. - Więc jak się ma Jacques?

- Jest okej...

- Mówiłem do Kristy.

Wtedy Sebastienowi przypomniało się, że ma coś do załatwienia w swoim pokoju. Zanim zebrałam się do odpowiedzi, poczekałam, aż zamknie za sobą drzwi.

- Poznałam go cztery dni temu, więc moja opinia nie będzie wyczerpująca...

- Ale będzie bezstronna, obiektywna i aktualna.

- Cóż, wydaje mi się, że dobrze się ttzyma, ogólnie rzecz biorąc.

- Boli go bardzo?

- Ma pan na myśli ból emocjonalny? Przytaknął.

- Jest obecny - powiedziałam cicho.

- Wyraźnie wyczuwalny?

-Tak. - Niestety nie mogłam skłamać. - Widać w jego oczach, że cierpi. Pan Dufour zwiesił głowę.

- Myślałem, że uda mi się go w jakiś sposób ukoić. Ale nie można pospieszać takich uczuć.

- Ma pan rację.

- Czasem mi się wydaje, że Sebastien histeryzuje i przesadza, a czasem... sam już nie wiem.

Bardzo mnie zmartwiły jego słowa. To znaczy, że Jacques ma większy problem, niż przypuszczałam?

- Na pewno brzmi weselej, odkąd cię spotkał - stwierdził z uśmiechem pan Dufour.

- Naprawdę? - Wiedziałam, że spłonęłam rumieńcem. - Sama mam podobnie...

- Czasem nieznamoma osoba może działać więcej niż rodzina.

- Mam nadzieję, że się nie narzucam. - Teraz ja się martwiłam!

- Zupełnie nie. - Złapał moją dłoń. - W końcu nie z każdym dziele się moim biscotti.

- Pistacja z cytryną?

- No, dalej - spróbuj!

Właśnie zanurzałam w ciasteczku zęby, kiedy z drugiego pokoju dobiegł głośny trzask. Lawina książek? Rzeczy spadające z półki na podłogę?

-Tato! — krzyczał Sebastien.

Pan Dufour przewrócił oczami.

- Jak na osobę poruszającą się z taką gracją w powietrzu, Sebastien na lądzie jest straszną łamagą. - Wstał od stołu. - Czuć się jak u siebie.

Zrozumiałam to jako „myszkuj swobodnie”, więc zabrałam się do dzieła. Oczywiście w pierwszej kolejności chwyciłam zdjęcia Jacques'a. Było ich mnóstwo, każde sprawiało, że stawałam się ckliwa i z tęsknotą szukałam następnych. No może nie tych, na których obejmuje pewną dziarską kobietę. Jednak przecież wszyscy mamy swoich byłych - ludzi, z którymi byliśmy jak papużki nierozłączki, a teraz ich unikamy. Wyobraziłam sobie, jak idę

wzdłuż galerii moich dawnych miłości. Mówiąc „miłości”, mam na myśli najszerze tego słowa znaczenie. Widzę się, jak zatrzymuję się przy każdym portrecie z wykrzywionym grymasem, wzruszeniem ramion, wzdrygnięciem albo pogardliwym spojrzeniem, podczas gdy w mojej głowie rozbrzmiewa niekończąca się mantra „Co ja sobie myślałam?”. Tylko jedno zdjęcie robi na mnie wrażenie. I sprawia ból. Byłby to portret Andy'ego. Jednak ten ból nie przeszywa już tak dotkliwie, zdołał zostać uśmierzony.

Westchnęłam. Czy to nie byłoby wspaniałe - odstawić tych wszystkich mężczyzn dla jednego właściwego? Widzieć twarz, która kojarzy się wyłącznie pozytywnie. Przybliżyłam się do fotografii Jacques'a skąpanego w promieniach słońca. Poczułam przyływ zachwyty i uwielbienia.

Gdyby tylko te uczucia były odwzajemnione...

Chciałam się napić i już sięgałam po szklankę z wodą, gdy moją uwagę przykuło zdjęcie młodej Indianki. Miała długie, czarne włosy, a na środku przedziałek, luźno przewiązane rzemykami. Na szyi zawiesiła przylegającą ozdobę, jej sukienka była postrzępiona i wyszywana koralikami, a w delikatnych dłoniach trzymała bukiet z piór. Miała w oczach coś szczególnego, co udało się uchwycić, kiedy pozowała przed obiektywem. Usta układały się już na kształt uśmiechu. Miała zaledwie kilkanaście lat, ale już wyglądała na zdeterminowaną i pewną siebie. Zdjęłam ramkę ze ściany, żeby przyjrzeć się bliżej, i wtedy poczułam obecność pana Dufoura za moimi plecami.

- Och! - Zrobiłam krok w tył. - Pomyślałam, że nie będzie miał pan nic przeciwko... Jest taka piękna!

- To matka Jacques'a. Jest do niej bardzo podobny.

- Czy ona jest... - zawahałam się, czy pytać o indiańskie korzenie.

- Kri - odparł.
- Wow. Zachwycające.
- Oczywiście to nie jest aktualne zdjęcie. Mieliśmy po szesnaście lat, kiedy zostało zrobione.
- Wtedy się poznaliście?
- Pokiwał głową i dodał z szerokim uśmiechem:
- Powiedziała, że zostanie moją dziewczyną tylko wtedy, gdy nauczę się najdłuższego imienia wodza Kri w historii.
- Uniosłam brwi.
- Chcesz je usłyszeć?
- Bardzo!
- Wziął głęboki oddech i przelitetował:
- A-h-c-h-u-c-h-h-w-a-h-a-u-h-h-a-t-o-h-a-p-i-t!
- Jak? - dopytywałam tozbawiona i namówiłam go, żeby napisał mi to imię na kartce.
- Ahchuchhwahauhhatohapit.
- To spore poświęcenie z pana strony.
- Och, była tego warta! Spędziłem z nią najlepsze lato w życiu. Ciągle ciepło o niej myślę - westchnął. - Ale nastolatek zawsze zdąży się zmienić, zanim zostanie mężczyzną. Szczególnie sportowcem.
- Wyglądał, jakby czegoś żałował. Jakby niepotrzebnie coś poświęcił.
- To były czasy pełne wymagań, adrenaliny, podróży... Nie chciałam być wścibska, ale zapytałam:
- Czy ona dalej mieszka w Quebecu? Przytaknął.
- Teraz jest bardziej na północy. Pomaga matce. Spojrzałam znowu na ścianę obwieszoną fotografiami.
- Jest tu gdzieś mama Sebastiena?

- Nie mamy teraz dobrych relacji...
- Ale byliście małżeństwem przez prawie dwadzieścia lat! - Nie mogłam się powstrzymać.
- I przez większość czasu wszystko było w porządku, ale koniec okazał się gorzki. - Zaczął otwierać po kolei szuflady i szperać w dokumentach. - Jej zdjęcie musi leżeć gdzieś tutaj...
- Byłam po prostu ciekawa, ale proszę sobie nie robić kłopotu... - Uśmiechnęłam się.
- Mam! - Wydobył z papierów zdjęcie blondynki kucającej za dzieckiem bujającym się w huśtawce dla niemowląt.
- Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu - malutki Sebastien już wtedy szybował w przestworzach.
- Spójrz na to! - Przekazał mi kolejną fotografię z Sebastianem w skomplikowanej gimnastycznej pozie.
- Wtedy jeszcze nie miał utlenionych włosów.
- Więc od kiedy Sebastien przygotowywał się do występów w Cyrku Słońca?
- Pierwsze lekcje zaczął pobierać w wieku pięciu lat.
- Nieźle. I od tamtej pory ciągle trenuje?
- Cóż. Była pewna przerwa. Na chwilę przestał. Zerknęłam w panice na drzwi.
- Nie przejmuj się, poszedł do piwnicy. Na pewno nas nie usłyszy.
- Młodzieńczy bunt?
- Nadał nowy wymiar temu stwiedzeniu. Żadne moje słowa do niego nie docierały, potem nic już nie mogłem zrobić... Było już tak źle, że Rémy musiał poprosić o interwencję Jacques'a.
- O Boże. Więc miał kłopoty z prawem!
- A Jacques'owi się udało?
- Sporym kosztem. Musiał zrezygnować z dalszego udziału w Idittod. A to był rok, w którym pobiłby dotychczasowy

rekord. Wiele miesięcy treningu poszło na marne... i wtopił około trzydzieści tysięcy dolarów. Z wrażenia rozszerzyły mi się źrenice.

- Oczywiście Sebastien oddał mu całą kwotę kilka lat później. Zbierał pieniądze od tamtego momentu.

- Nie wiedział, że wcale nie musiałby tego robić?

- Mam wrażenie, że miał potrzebę odpokutowania w jakiś sposób. Gdyby nie pocierpiał i nie zrezygnował z czegoś równie ważnego i cennego - to byłoby niesprawiedliwe. Chciał wyrównać rachunki.

Kręciłam głową z niedowierzaniem.

- Katolickie poczucie winy. To wyniesione ze strony jego matki...

Ja z kolei poczułam wtedy nagły przypływ odwagi. Postanowiłam, że zapytam o coś, co frapowało mnie od pierwszego zetknięcia z Sebastienem.

- Zdaje się, że nie chce dopuścić, żeby Jacques zaangażował się w telację z kobietą?

- Po prostu nie chce dopuścić do sytuacji, że ktoś mógłby go skrzywdzić. Wiesz, pomijając wszystko, gdyby spotkał kogoś, przywiązał się, a ta osoba nagle by się rozmyśliła i odeszła. Znowu straciłby kogoś, o kogo dbał...

- Racja. - Przełknęłam głośno ślinę.

Potem uświadomiłam sobie, że Sebastien, mówiąc: „Nie możesz go uratować”, chciał mi dać do zrozumienia, że to jego robota. Że to należy do jego obowiązków. Tym bardziej że też łączyła go zażyła znajomość z Rémym. I pewnie dlatego, że jemu w przeszłości narobił kłopotu, miał z tego powodu wyrzuty sumienia.

Usłyszałam tupanie butów na schodach, więc odwróciłam wzrok z powrotem na półkę z nagrodami.

- Musi pan być niezmiernie dumny z synów! Obydwaj tacy zdolni...

- Uważają, że jestem zbyt dumny - odparł pan Dufour. - Lubię się chwalić ich wyróżnieniami. To twarde dowód, że zrobiłem coś dobrego w życiu.

- Ale przecież we własnym również mnóstwo pan osiągnął! - Jak mógł w ogóle w to wątpić?

- Nie liczy się, jak zaczniesz, tylko jak skończysz - stwierdził i wzruszył ramionami. - Nie spodziewałem się, że będę mieszkał sam w tym wieku.

Współczułam mu. Sama zawsze bałam się tego najbardziej - dajesz z siebie wszystko, ale na starość doskwiera ci samotność. I żałujesz wielu rzeczy.

- Życie może zaskoczyć w każdym momencie - pocieszałam go. - Nagle może się pojawić ktoś nowy, niesamowity. Albo ktoś może wrócić... - powiedziałam, zerkając na zdjęcie matki Jacques'a.

- O wilku mowa! - Ożywił się na widok Sebastiena. - Masz zamiar się dzisiaj spotkać z Julie?

- Czekałem, kiedy o to zapytasz - warknął.

- Lubię Julie.

- Wiem, tato.

- Gdy tylko pierwszy raz ją zobaczyłem, powiedziałem: „To jest dziewczyna, która da mi wnuki”. Ciągle czekam, ale zaczynam tracić nadzieję...

Zacisnęłam pięści tak, że paznokcie wbijały mi się w skórę. Pomyślałam: „Błagam, tylko nie pytaj mnie o dzieci...”.

- Lubię, jak mnie otaczają. Lubię dzieci. Lubię też to, jakie są szczerze — walą prosto z mostu! I to między oczy!

- Dobra, tato. Myślę, że Krista chce już iść...

- A jakie są twoje plany na popołudnie, młoda damo?

- Właściwie to chcę zobaczyć jak najwięcej atrakcji w Montrealu, zanim się ściemni.

- Zabierzesz ją do głównej siedziby Cirque? Sebastien zmroził ojca wzrokiem.

- Jestem pewien, że by ci się spodobało... - Pan Dufour mnie podpuszczał.

- Och, kto by nie chciał podpatrzeć, co się dzieje za kulisami najlepszych spektakli na świecie? - Zrobiłam maślane oczy.

- I droga stąd zajmie zaledwie piętnaście minut... - kontynuował pan Dufour.

- Myślałem, że potrzebujesz samochodu. - Sebastien zmrużył podejrzliwie oczy.

- Ale przecież nie muszę go używać przez najbliższych kilka godzin. Poza tym nie zostawiłam tam przypadkiem paru osobistych rzeczy?

- Zostawiłam.

- Więc wizyta w siedzibie będzie doskonałą okazją, żebyś zabrał stamtąd swoje szpargały. I towarzystwo Kristy może cię tylko uratować przed rozmowami ze wszystkimi napotkanymi osobami - nie masz czasu, bo pokazujesz brytyjskiej pisarce miasto. Napięty harmonogram - sorry!

Nawet Sebastien nie mógłby tego zakwestionować.

- Och, no dobita... - poddał się wreszcie. - Ale plan jest taki: wpadamy, szybko załatwiamy sprawę, wychodzimy i jedziemy dalej. Umowa stoi?

- Pewnie! - skłamałam.

Spodziewałam się, że siedziba Cyrku Słońca będzie się mieściła w nieziemskiej budowli, czymś na wzór fantastycznych form Gaudiego w Barcelonie albo wielopiętrowego cyrkowego namiotu. Jednak moim oczom ukazała się dużo bardziej kanciasta i industrialna budowla - futurystyczna wersja biurowca z dzielnicy przemysłowej powiększona do maksymalnych rozmiarów.

Gdy szliśmy przez parking, Sebastien zdawał się podnosić w myślach na duchu.

- Będzie na co popatrzeć, ale nie możemy się zatrzymywać na długo - ponaglał.

Naszym pierwszym przystankiem był dział odpowiedzialny za kostiumy. Nie wiedziałam, na czym zawiesić wzrok, starałam się nim ogarnąć wszystkie bele materiałów, awangardowe nakrycia głowy i kilka rzędów białych, gipsowych odlewów. Przedstawały popiersia wszystkich artystów - od okrągłych jak kule do kręgli twarzy z pucułowatymi policzkami po pociągłe owale o rzymskich nosach.

Wszyscy byli pochłonięci skomplikowaną, ręczną, rzemieślniczą pracą - farbowaniem, pruciem, zakładaniem szwów... Ten budynek aż kipiał od kreatywności!

„Sebastien!” - słyszałam jego imię wypowiedziane ze wszystkimi możliwymi akcentami, kiedy przemieszczaliśmy się wzdłuż pracowni.

Szwalnia, szatnia, stołówka, charakteryzatornia, biuro menedżerskie - gdziekolwiek byśmy nie poszli, reakcja była identyczna - absolutna radość na jego widok i trzy kolejne pytania:

- Gdzie byłeś?

- Co tu robisz?

- Kiedy wracasz?

Robił zręczne uniki i nie udzielił żadnych konkretnych odpowiedzi, jednak z każdą rozmową jego zatwardziała poza, żeby trzymać każdego na dystans, wyraźnie miękła. Jeden gość - prawdopodobnie ktoś z szefostwa - powiedział, że na Sebastiena czeka miejsce w ekipie, która w przyszłym tygodniu wyrusza w trasę po Europie.

W spektaklu występuje Julie.

Na samą myśl moje serce zaczęło mocniej bić, ale Sebastien tylko beznamiętnie pokiwał głową. Mężczyzna położył rękę na jego ramieniu i zaprowadził go do przypominającego hangar studia, gdzie artyści ćwiczyli powietrzne akrobacje.

Ciężko byłoby nie zwrócić uwagi na ich ciała. Nie chodzi tylko o pięknie wyrzeźbione mięśnie, a sam sposób poruszania się -gracja, postura, gibkość i niesamowita siła. Dla porównania ja czułam się jak dygocąca galareta.

Nagle do pomieszczenia weszła drobna, rudowłosa dziewczyna ubrana w połyskujący, przylegający do ciała kostium, który zmieniał kolor pod światło; jej powieki również mieniły się wieloma odcieniami. Tłum performerów rozstał się jak Morze Czerwone, przygotowując dla niej ścieżkę. Ścieżkę wiodącą prosto do Sebastiena.

Po sposobie, w jaki na nią patrzył, od razu się domyśliłam, że to Julie.

Była tak pochłonięta rozmową z inną kobietą, że musiała minąć dłuższa chwila, zanim zorientowała się, że wokół panuje absolutna cisza. Odwróciła się i dostrzegła Sebastiena. Przez moment się wahała - pewnie nie wierzyła własnym oczom - ale kiedy dotarło do niej, że to naptawdę on, pognała w jego stronę jak zwinna gazela. Ich ciała się spotkały i wtedy Sebastien gładkim ruchem położył dłonie na jej biodrach i unióś ją w powietrze, tak że czubki palców u stóp miała skierowane w stronę sufitu. Zbliżyli do siebie twarze, stykali się nosami. Miałam wrażenie, że Sebastien zataz odstawi Julie na ziemię i ją pocałuje, ale zamiast tego złapał ją w ramiona i kołysał, kręcąc się w kółko.

Skala ekspresji ich ciał była nie do opisanania. Gdy w siedzibie Cyrku Słońca mówiło się: „Tak się cieszył, że zrobił salto”, nie miało się na myśli żadnej metafory.

- Julie! - Trener zawołał ją na próbę.

- Dołączysz do mnie? - zapytała, chwytając Sebastiena za rękę. Nie mógł się długo opierać, wszyscy skandowali i nalegali, żeby się rozebrał i ruszył tyłek. Czekałam niecierpliwie, a moja ekscytacja rosła stopniowo, jak odwieszał płaszcz, zdejmował bluzę, a w końcu pozbył się też T-shirtu. Zawsze myślałam, że jest szczuplejszy od Jacques'a, tymczasem miał nietypową figurę - Sebastien okazał się smukły i jednocześnie mocno umięśniony, jak prawdziwy gimnastyk. Zrzucił jeszcze buty i podszedł boso do sterty motków - pozwijanych jedwabnych pasm, którymi owijają się akrobaci. Sebastien najpierw nałożył na dłonie substancję przypominającą żywicę, a potem owijał ręce i nadgarstki taśmą, aż stały się usztywnione. Ułożył się w odpowiedniej pozycji do startu, wziął rozpęd i...

Poszybował.

Serce mi rosło, gdy przemierzał w powietrzu salę treningową gładkim łukiem... Czułam wiaterek, jaki robił, fruując zgromadzonym nad głowami. Oczy mi się zaszklily ze wzruszenia, kiedy wyobraziłam sobie wrażenie wolności, którego musiał doświadczać, będąc ponad nami. To wydawało się tak oczywiste i właściwie - Sebastien to osoba, która musi czuć powietrze wokół siebie. Nie może być uziemiony, nawet w pędzącym pod wiatr psim zaprzęgu.

W pewnym momencie w powietrzu dołączyła do niego Julie. Jej filigranowa figura współgrała perfekcyjnie z ciałem Sebastiena, kiedy oboje splatali się, wirowali, wspinali, nurkowali i skakali bez zabezpieczeń. Znakomicie ze sobą współgrali, dało się wyczuć harmonię i - przede wszystkim — bezgraniczne zaufanie. Byłam pod ogromnym wrażeniem. Dla mnie ci ludzie to magicy - to, co robili, wydawało się przekraczać ludzkie pojęcie i wszelkie granice rzeczywistości, wszelkie słabości i ograniczenia. Z tym, że nie było w tym wszystkim odrobiny iluzji, robili to naprawdę. A przeciętni śmiertelnicy mogli o tym tylko pomarzyć...

Nie chciałam, żeby Sebastien choćby przez moment pomyślał, że chcę go uczynić swoją niańką ani też własną obecnością przypominać mu o „drugim życiu” w Quebecu. Dlatego gdy tylko zszedł na ziemię, oznajmiłam, że idę pozwiedzać miasto.

- Jadłaś już bajgle z St-Viateur? - zapytał łysy, krępy gość.

- Niiieeeee, to musi być bajgiel z Faitmont! - zaprotestował inny.

- Albo możesz wypić popołudniową herbatkę w Hotelu Królowej Elżbiety - zasugerował jeden Brytyjczyk. - To tam John Lennon i Yoko Ono nagrali *Give Peace a Chance*.

- Naprawdę? - ożywiłam się.
- W pokoju numer 1724.
- A Elizabeth Taylor poślubiła Richarda Burtona w hotelu Ritz-Carlton - wtrącił się ekstrawagancki gej. - Tam też możesz się napić herbaty i przynajmniej nie znajdziesz kiszki wątrobianej na stoisku z ciastkami!
- Słucham?
- Najlepiej będzie - podeszła do mnie Julie - jeśli zdecydujesz się na któryś z koktajli w Baldwin Barmacie.
- Tuż naprzeciwko Toi, Moi et Cafe - dodał Sebastien.
- Pokazałeś Kriście Saint-Laurent Boulevard? - upewniała się. - Jest tam taki ptzeuroczy sklepik o nazwie Preloved - wszystko jest tam absolutnie unikatowe i wykonane ze szlachetnych materiałów...
Wszystkie propozycje nagrywałam na telefonie, ponieważ nie nadażyłabym ich zapisać, używając długopisu i kartki.
Akrobaci przekomarzali się i wręcz bombardowali mnie pomysłami.
- Super! - cieszyłam się, zasypywana sugestiami. - Teraz jeszcze mogę dopisać adnotacje w stylu: „rekomendowane przez litewskiego żonglera z Cirque du Soleil”.
- Poradzisz sobie z Mettem? - zapytał dla pewności Sebastien, kiedy już stałam w drzwiach.
Zapewniłam go, że jako miłośniczka i użytkowniczka londyńskich podziemnych połączeń na pewno dam radę.
- Tylko nie pomył metta z Podziemnym Miastem.
- A co to takiego? - zapytałam zaniepokojona, że ttafię na złowrogą społeczność żyjącą w kanałach ściekowych Montrealu.
- To szalone podziemne centrum handlowe - mieści dwa tysiące sklepów.

- Całkiem niezłe pomyslane ze względu na pogodę. Zaraz... Czy ty powiedziałaś „dwa TYSIĄCE”?

-Tak. Biegnie pod ziemią przez ponad dwadzieścia kilometrów.

- Ciągłe zaskakujesz mnie takimi ciekawostkami. Wzruszył ramionami, jakby chciał zapytać: „A co mam ci mówić?”.

- Oczywiście możesz tam pójść, jeśli masz ochotę. Po prostu nie sądzę, że zobaczysz tam najlepsze, co ma do zaoferowania Montreal.

- Celny strzał.

Sebastien poprosił mnie jeszcze o małą przysługę. Chciał, żebym odwiozła auto jego tacie.

- Mogę ci wytłumaczyć, jak do niego trafić. Wystarczy zapamiętać dwie ulice.

- Dobra, zrobię to. - Wzięłam głęboki oddech.

Może i nie potrafiłam założyć nóg za kark, ale z naciskaniem pedału gazu i kręceniem kierownicą nie miałam większych problemów.

- I napisz mi później, czy wracasz ostatnim pociągiem, czy zostajesz na noc.

- Jasna sprawa. - Naciskałam już klamkę, ale przypomniała mi się jedna rzecz. - Chcesz zabrać coś z samochodu, zanim odjadę?

- Nie, tutaj mam wszystko, czego potrzebuję.

- Prawda - wymamrotałam i wyszłam zadowolona.

Do domu pana Dufour trafiłam bez problemu. Zwrócenie mu samochodu okazało się tak proste, jak wrzucenie kluczyków do jego skrzynki na listy. Bez wątpienia był już w drodze na fizjoterapię - oczywiście pojechał tam swoim citroenem działającym bez szwanku. Uśmiechałam się, stąpając po apetycznych kątłościach klatki schodowej, a na dole zrobiłam im pamiątkowe zdjęcie. Kilka bloków dalej cyknęłam kolejne - tym razem uwieczniając bardziej nowoczesne i industrialne schody prowadzące do montrealskiego metra...

Musiałam przejechać trzy przystanki na pomatańczowej linii, a potem cztery na zielonej. Głęboki oddech...

Przygotowywałam się na zderzenie z masą biegnących na oślep ludzi, wszechobecny hałas i prawdopodobieństwo, że wejdę do złego pociągu, bo poniesie mnie fala tłumu, a ja nie będę miała wystarczająco dużo siły, żeby płynąć pod prąd. Oczywiście żadne z powyższych nie nastąpiło. Owszem, wagony były pełne, ale jechały z takim spokojem i płynnością, że podróż sprawiała mi przyjemność. I o dziwo - nie dostałam ataku klaustrofobii. W domu zawsze muszę stosować praktyki mistrza zen, żeby tylko przettwać tych kilka stacji. W Montrealu przy drzwiach widniały strzałki wskazujące drogę wchodzącym i wychodzącym, mające

na celu zapobiec przepychankom i chaosowi. Co zadziwiające - ludzie się do nich stosują. Nie ślepo i posłusznie jak owieczki, ale w uprzejmy i logiczny sposób. I kto powiedział, że tak się nie da? Po co blokować komuś wejście? Po co naciskać? Po co godzić łokciem osobę obok? Dobre maniery Kanadyjczyków znowu przywracały moją wiarę w ludzi. To było super!

Cudownie było jechać metrem w spokoju, a nie pocąc się i narzekając. Miałam swoją teorię, że w Montrealu pasażerowie mieli do siebie więcej zaufania. Nie trzeba było panikować, że nie uda się wysiąść na odpowiednim przystanku, zanim zamkną się drzwi, bo jakiś głupiec zablokuje bezmyślnie drogę, stojąc jak kołek na środku przejścia.

Od razu przypomniał mi się ojciec z Le Sachem, który klękał obok swojego synka i tłumaczył mu, że zawsze trzeba być świadomym otoczenia i traktować je z należyty szacunkiem... To zabawne, jak różne rzeczy przykuwają największą uwagę podczas pobytu w obcym kraju i jak one się zmieniają. Zawsze to krzykliwe cuda - rzeczy jaskrawe i efekciarskie - najbardziej na mnie działały. Od jakiegoś czasu jednak zaczęłam dostrzegać drobne sprawy, które pozwalają poczuć się inaczej... wewnątrz.

Niestety zrujnowałam całą tę wizję po wyjściu ze stacji na Sainte-Catherine Street. Może i piszę książki podróżnicze, ale przede wszystkim jestem kobietą, więc skoro dowiedziałam się o istnieniu największego centrum handlowego w okolicy, nie mogłam się powstrzymać. Musiałam rzucić na nie okiem!

Szybko zaczęłam żałować swojego wyboru. Było jeszcze bardziej zniechęcająco niż na Oxford Street. Ciągająca się ponad sześć kilometrów główna alejka była usłana nie tylko megasamami, ale i „behemotami” wśród sklepów. Podziwiając te przerośnięte owoce komercji, czułam, że przyczyniam się do upadku

społeczeństwa. Miałam wyrzuty sumienia wobec uroczych sklepików przy Mile End. Wiedziałam, że powinnam po prostu wyjść na powierzchnię, skręcić w boczną uliczkę, podziwiać zabytki, wejść do kościoła. Jednak zamiast tego utknęłam w najstarszym domu towarowym Kanady - The Bay.

Ta marka ma tak naprawdę angielskie korzenie, została założona w 1670 roku jako Hundonss Bay Company, gdy przodkowie zajmowali się jeszcze wymianą noży, czajniczków, pledów na futra bobrów od lokalnych traperów. Najbardziej pożądanym towarem wydawały się koce z gęstej wełny, które zresztą nadal są w sprzedaży, dostępne w ttadycyjne, zimowe wzory - śnieżnobiałe z czerwonym, żółtym i niebieskofioletowym paskiem. Było coś urzekającego w tym deseniu i zastanawiałam się nawet nad kupnem jednej z takich ciepłych narzut, dopóki nie zobaczyłam metki z ceną - dwieście pięćdziesiąt funtów za duży rozmiar! Można było sobie sprawić polarowy kocyk za dziesięć razy mniej, ale przecież to nie to samo... Ale ponieważ mieszkałam w miejskim bloku, a nie domku z drewnianych bali, uznałam drogocenny pled za jedną z tych pamiątek, którą należałoby pozostawić w jej naturalnym środowisku.

Chociaż w środowisku, w którym aktualnie się znajdowałam, trudno było się doszukać czegoś naturalnego... Po raz pierwszy od przyjazdu zobaczyłam kobietę w szpilkach, co było dość egzotyczne - w końcu wszyscy solidarnie ubierali się ciepło i starali się robić wszystko, żeby nie poślizgnąć się na oblodzonym chodniku. Jednak po chwili zdałam sobie sprawę, że właśnie wkroczyłam na teren, gdzie to moda dyktuje warunki. Nie do końca mi się to podobało, ale postanowiłam nie przerywać wędrówki po sklepach, aż światło jarzeniowe nie wysie ze mnie resztek radości i optymizmu.

- Laurie! - Zadzwoiłam do niej ze sklepu z bielizną. - Musisz mnie spoliczkować przez telefon na otrzeźwienie! Jestem w zakupowym transie i nienawiść do samej siebie mnie paraliżuje.

- W porządku. Wobec tego chciałabym, żebyś weszła do najbliższej windy i udała się w stronę wyjścia...

- Wszystkie te buty!

- Krista...

- Ale mają nawet japonki z paskami firmowymi Hudsons Bay!

- Tak, japonki będą idealną pamiątką z twojego uczestnictwa w Zimowym Karnawale.

- Ale one są takie śliczne!

- Klapki na oczach i śmiało je omijasz. Musisz się wydostać na świeże powietrze.

- Po przeciwnej stronie ulicy jest gigantyczny punkt Guess -oznajmiłam, wyłaniając się z podziemi.

- Nigdy w życiu nic od nich nie kupiłaś. -1 H&M!

- W Anglii jest ich mnóstwo. Wiesz, na czym powinnaś się w tym momencie skupić...

Odetchnęłam głęboko. Laurie miała rację... Jediną metodą, żeby się otrząsnąć, była wizyta w muzeum.

Wybrałam Muzeum Archeologii i Historii w Montrealu, żeby się zrehabilitować za skok w nowoczesność i kometcję, ale budynek tego muzeum okazał się najbardziej wypasionym w całym Old Port. A w środku czekało mnie mnóstwo multimedialnych atrakcji z digitalnym pokazem ewolucji Montrealu włącznie -czerwone cyfry odliczały czas od prehistorii po obecny dzień. Dowiedziałam się, że rdzenni mieszkańcy przybyli na kontynent w XIV wieku i zajmowali się rybołówstwem, później Francuzi i Brytyjczycy dotarli na ląd i przejęli go ostatecznie w 1760 roku.

Najbardziej podobała mi się podłoga, na której wyświetlały się wizualizacje wykopalisk. Jak się okazało, dokładnie w miejscu, w którym stałam, znajdowały się fundamenty pierwszej kolonii z 1642 roku!

Gdy opuściłam mury muzeum, na dworze było już ciemno. Zdążyłam porządnie zgłodnieć. Wszystko wzdłuż brukowanej ulicy Vieux-Montréal wyglądało niebywale kusząco, ale i drogo. Zerknęłam przez okno Chez L'Epicier, gdzie każdy talerz i jego zawartość stanowiły razem małe dzieło sztuki - jeden posiłek składał się z przegrzebka, który pływał w łódeczce z szynki pro-sciutto, wokół jak płatki kwiatów były rozsypane pojedyncze listki brukselki. Widziałam deser z jasnych kostek karmelu i dziwne, poskręcane farfocle zwieńczone czymś przypominającym ślinę kukulki. Oczywiście widziałam też klientów, którzy te wszystkie smakołyki konsumowali i z pewnością dysponowali większym budżetem niż ja. Taką ekstrawagancję byłabym w stanie usprawiedliwić, tylko stołując się w restauracji Guya Laliberté. Wiedziałam, że znajdowała się gdzieś w pobliżu...

Włócząc się alejkami, szurając w śniegu i widząc wszystkich tych szczęśliwych jedzących ludzi, czułam się trochę jak postać z powieści Dickensa.

W końcu dotarłam do najprzytulniej wyglądającego lokalu ze wszystkich - sosnowe stoły, powieszone nisko, dające czerwonawą poświatę lampy i muzyka z pianina na żywo. Knajpka nazywała się Stash Café, co sugerowało bardziej swobodny klimat i zanim się spostrzegłam, zajmowałam już miejsce tuż przy barze.

Dopiero w połowie lektury menu zorientowałam się, że restauracja jest polska. *Gołąbki, krokiety, wątróbka z drobiu po warszawsku.*

Nie miałam pojęcia, czym są wszystkie te potrawy, ale angielskie tłumaczenia niektórych z nich brzmiały niezbyt zachęcająco - flaki, śledź, duszona kapusta...

Przy tym wszystkim poutine wydało mi się jakoś nad wyraz apetyczne.

Zerknęłam w stronę drzwi - nie byłam gotowa znów zmierzyć się z przejmującym chłodem panującym na zewnątrz. Poza tym kelner postawił już na moim stoliku zamówiony kieliszek wina. Wzięłam łyżeczek i jeszcze jeden, i kolejny... I postanowiłam spróbować któregoś z dań. Kto mógł wiedzieć, czy właśnie nie spałaszuję najlepszych pierogów w życiu? Chociaż nigdy wcześniej ich nie jadłam...

Dziwna sprawa, bo moją głowę wciąż zaprzętała myśl o kocu z The Bay. Czekaając na jedzenie, połączyłam się z internetem i weszłam na stronę z zakupami online - co ciekawe, czytelnicy polecali zupełnie inny produkt, mianowicie podróżny pled z maską na oczy i dmuchaną poduszką! Ten sam wzór, ale cena bardziej kusząca. Akurat trwała promocja i można go było kupić za siedemdziesiąt pięć funtów. To fozumiem! Jeszcze jedna rzecz z wyprzedaży przykuła moją uwagę, a była to... siekiera. Wcale nie żartuję, topór marki Harrod dla drwali z krwi i kości. Chciałam przesłać link Laurie, ale przerwał mi sygnał esemesa.

To od Sebastiena:

„Mam zamiar zostać do jutra i wrócić porannym pociągiem. Co ty na to?”.

Wtedy chciałam zamienić wino na szampana! Co za fantastyczne wieści. FANTASTYCZNE! Chciałam dać znać Jacques'owi, że nasz plan działa. Na pewno się ucieszy!

Normalnie wyszłabym na zewnątrz, żeby pogadać, ale było za zimno, a ja byłam zbyt podekscytowana. Co prawda nie miałam

numeru do Jacques'a, ale przynajmniej mogłam zadzwonić na jego farmę.

- *Bonsoir*. - W słuchawce odezwał się damki głos.

Brzmiał dziwnie, jakby kobieta nie mogła złapać oddechu. Poza tym wołała kogoś po francusku i mówiła za szybko, żebym mogła wyłapać, o co chodziło.

- *Bonsoir*— odpowiedziałam. - Czy mogłabym prosić na słówko Jacques'a?

- *Pardon?*

- Yyy... *Est Jacques ici?* - pomyłka, *ici* znaczy „tutaj”.

Znowu powiedziała coś po francusku. Jedno słowo się powtarzało - *lopital*. Brzmiało jakoś znajomo... Och, nie! Nie może być! *L'hôpital?*

- On jest w szpitalu? - zapytałam głośno.

- *Oui*.

Wtedy rozmowę przerwało - dokładnie tak, jak wtedy, gdy Sebastien ottzymał pamiętny, nieszczęsny telefon z informacją, że Jacques wpadł do jeziora. Oddzwoniłam w amoku. Zero odpowiedzi - tylko sygnał... Zrobiło mi się niedobrze, cała się trzęsłam. Zadzwoniłam jeszcze raz. Ciągłe cisza. Co teraz? Zerknęłam jeszcze raz na wiadomość od Sebastiena. Zrobiłabym w tamtym momencie wszystko, żeby zostawić go szczęśliwego w ramionach Julie, ale nie mogłam nic przed nim ukrywać.

Mój palec zawisł nad przyciskiem połączenia - tę najstraszniejszą ze wszystkich wiadomości miała mu przekazać osoba, która jeszcze kilka godzin wcześniej zapewniała, że żadna krzywda nie stanie się jego ukochanemu bratu. Ta sama osoba, która zaaranżowała całą rękę wyprawę, zostawiając Jacques'a bez opieki.

Ja.

Boże, niech wszystko będzie w porządku. Pozwól mu żyć. Proszę, niech to się okaże po prostu niefortunnym zbiegiem okoliczności - zapaleniem wyrostka albo szczepionką na ugryzienie psa. Nie to, żeby któryś z jego psów był agresywny, ale może Jacques przypadkiem nadepnął czworonogowi na ogon albo bawił się z nieostrożnym szczeniakiem - a one mają bat-dzo ostre zęby... Niech to nie będzie nic poważniejszego. Byle nie upadek do zamrożonego jeziora. Proszę...

Droga powrotna do Quebecu była męcząca. Sebastien bardzo się bał. Julie starała się go uspokoić, a ja usiadłam za kółkiem jej minicoopera. Żadne z nich nie mogło prowadzić, bo zdążyli wypić do obiadu dwie butelki wina.

Sebastien postanowił nie martwić ojca, dopóki sam nie będzie wiedział więcej, ale nie mogliśmy zdobyć jakichkolwiek szczegółów, bo żaden ze szpitali nie miał Jacques'a na liście przyjętych pacjentów. W recepcji na farmie wciąż nikt nie odbierał, a Sebastien nie zapisywał numerów personelu, bo nie miał takiej potrzeby.

Czułam się paskudnie. To wszystko przez moje wtrącanie się. Chciałam dobrze, a wyszło całkiem odwrotnie. Nie spodziewałam się tego, ale teraz uznałabym obawy Sebastiena za słuszne

i nie dopuściłabym do sytuacji, żeby przy Jacques'u nikt nie czuwał. A teraz Sebastien będzie chciał go pilnować do końca życia. Na samą myśl przeszły mnie ciarki. Błagam, żeby to tylko dzisiaj nie nastąpiło.

Po trzech godzinach jazdy w ciemności znaleźliśmy się na parkingu przed szpitalem, do którego trafiło ciało Remy ego po wypadku. Sebastien powiedział, że zarówno on, jak i Jacques byli pełnoprawnymi dawcami organów, więc musieliśmy sprawdzić każdy oddział.

Zaczęliśmy od ambulatorium.

Tak się stresowałam, że chciało mi się wymiotować.

- Jesteś pewna, że powiedziała „szpital”? - Sebastien upewnił się setny raz, kiedy weszliśmy do windy, żeby spróbować szczęścia na innym piętrze.

- Tak - odparłam, chociaż moja pewność malała z każdą chwilą.

Aż nagle... drzwi windy się otworzyły, a osobą, która weszła do środka i do nas dołączyła, okazał się... Jacques. W normalnych ubraniach, a nie w szpitalnym fartuchu.

- Dlaczego jedziesz na górę? - zażądał odpowiedzi Sebastien zaskoczony i zmieszany brakiem urządzeń monitorujących serce i wenflonów.

- Chciałem zrobić kawę... Skąd się tu wzięliście?

- Powiedzieli, że... - Spojrzał oskarżycielsko w moją stronę. -TY powiedziałaś, że Jacques jest w szpitalu!

- Przecież jestem w szpitalu - potwierdził Jacques.

- Ale co ty tu ROBISZ?

Stłumiony uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- Nie uwierzycie... -CO?

- Musicie chwilę poczekać i sami zobaczycie - odwrócił się i nacisnął guzik na pulpicie windy.

- Gadaj! - domaga! się Sebastien.

Jacques odwrócił się do swojego bladego z nerwów i ze strachu brata i nagle spowaźniał.

- Myślałeś' pewnie, że...

- Nie, nie! - protestował Sebastien i odwrócił wzrok.

- Pomyślałeś to.

- Dobra, pomyślałem. - Zwiesił głowę. - Gdybym cię stracił...

- Nic podobnego. - Jacques łagodnie położył rękę na drżącym ramieniu Sebastiena. - Nie możesz mnie stracić. Jestem twoim bratem. I zawsze będę. Nawet kiedy nie będziesz mnie mógł zobaczyć. - Wziął głęboki oddech. - A jeśli potrzebujesz dowodu, że nigdy nie zrobię tego, o co mnie podejrzewasz, chodź i coś zobacz...

Wyszliśmy z windy i poszliśmy za Jacques'em wzdłuż korytarza. Otworzył delikatnie jakieś drzwi. W sali stała grupka ludzi. Otaczali łóżko, na którym leżała młoda kobieta z nowo narodzonego dzieckiem. Przez chwilę myślałam, że zemdleję. Więc Jacques jest świeżo upieczonym ojcem?

- Kto to? - zapytał Sebastien.

- Spójrz na dziecko. Nie przypomina ci kogoś?

- Nic nie rozumiem. Co tu się dzieje? - zapytał zaskoczony.

- Noc przed wypadkiem Remy przespał się z tą dziewczyną...

Nastała chwila drętwej ciszy, którą nagle przerwał wstrząśnięty Sebastien.

- Czy to jest dziecko Remy'ego?!

- Cudowny mały chłopczyk — powiedział Jacques, zerkając na różową, pomarszczoną twarz noworodka i kępki jego czarnych jak atrament włosów. - Trzy kilogramy dwieście gramów.

Wszyscy skierowaliśmy głowy w stronę młodej mamy i jej synka. Wtedy rozpoznałam jedną z osób stojących przy jej łóżku -Johannę Laframboise, szczęśliwą babcię. Schowałam się za Julie, mając nadzieję, że mnie nie zauważyła.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Sebastien z trudem łapał oddech. - On żyje. Remy żyje w nim!

Zaszklity mu się oczy i rzucił się na szyję Jacques'owi. Bracia stali tak przytuleni, aż cały sitach, napięcie i poczucie winy wyparowały.

Nagle zdałam sobie sprawę, że Remy wrócił do nich w nowej osobie - w małej istotce, która ma jeszcze przed sobą całe życie.

- To cud! - mamrotała Julie.

- Dokładnie tak - stwierdziłam z uśmiechem.

- I ty też dopiero się dowiedziałeś? - Sebastien szukał wyjaśnienia.

- Kilka godzin temu. Nie miałem jeszcze okazji, żeby do ciebie zadzwonić...

- Nie, nie. W porządku. Ja tylko... - Łypnął wymownie na świeżo upieczoną matkę.

- Wiem! - Uśmiechnął się Jacques. - Rémy wspominał, że kogoś spotkał, ale nie zdążyliśmy o tym dłużej porozmawiać. Nie wiedziałem nawet, kim jest ta dziewczyna. Do teraz...

Sebastien pochylił się nad bratem.

- Więc kto to?

Jacques uchylił drzwi i wyszliśmy na korytarz. Wszyscy usiedliśmy.

- Nazywa się Lily Bechet. Poznała Rémy'ego w supermarkecie, kiedy robił zakupy dla swojej mamy. Poszli na kawę, potem wypili kilka drinków, a po nich...

- Seks. - Sebastien spuentował opowieść.

- To, że jest w ciąży, uświadomiła sobie dopiero sześć tygodni po jego śmierci.

- A wiedziała, co mu się stało?

- Obejrzała wiadomości w telewizji - powiedział Jacques.

- To okropne...

- Tak się składa, że Lily nigdy nie chciała być samotną matką, dlatego nie wiedziała, czy zdecyduje się donosić ciążę. Jednak spotkała nowego mężczyznę, dla którego straciła głowę, a on szalenie chciał zostać ojcem. Umówili się, że Lily nikomu nie powie, że to nie jego synek. Postanowili wychowywać go tak, jakby mały był owocem ich miłości i nikt nie dowiedziałby się prawdy. - Przechylił się na plastikowym krześle. - Ale jakiś miesiąc temu, zdaje się, że do tego faceta zaczęło docierać, jak już niedługo będzie wyglądała rzeczywistość - obowiązki, zmiany w trybie życia... I ją zostawił.

- O rany.

- Wydaje mi się, że Lily opowiedziała swojej matce prawdziwą historię dopiero kilka dni temu, a dzisiaj - w drodze do szpitala — zadzwoniła do pani Laframboise. Ona z kolei dała znać mnie. - Jacques pogrążył się w zadumie. - Wciąż nie mogę w to uwierzyć...

- Wspaniałe. To jest wspaniałe.

- Chcecie wejść i się z nimi przywitać?

- A nie będzie nas tam za dużo? - martwił się Sebastien.

- To może ja pójde po kawę? - chciałam się wykręcić.

- Pójde z tobą! - zaproponowała Julie. - A wy, chłopaki, idźcie ich odwiedzić.

Nie byłam pewna, czy isrniał lek, który pomógłby mi opanować szok i wszystkie emocje, jakie mną w tamtym momencie

targały. Rzadko się zdarza, że najczarniejszy scenariusz okazuje się najlepszy, ale mimo szczęśliwego zakończenia ciągle się trzęsłam i byłam zdezorientowana.

- Jakie to niesamowite! - cieszyła się Julie. - Nie chcę zabrzmieć zbyt egoistycznie, ale dzięki temu wydarzeniu Sebastien może w końcu odzyskać wolność. Nie ma mowy, żeby Jacques zostawił małego Rémy'ego. To niemożliwe!

- Sebastien zdążyłby jeszcze wyruszyć w europejską trasę.

- Wziąłby go do ekipy z otwartymi tamionami. Bezdyskusyjnie.

Julie nie mogła się opanować i mocno mnie przytuliła, oplatając moje sflaczałe ciało rękami pięknie wyrzeźbionymi w Cirque du Soleil.

Nagle w jej oczach pojawiły się łzy. Wytarła je pospiesznie i powiedziała:

- Nie powinnam się tak nakręcać, ale myśl o jego powrocie...

- Wyglądała jak w gorączce. - I tak bardzo chciałabym dziecko. Chcę mieć dziecko z Sebastienem!

- Wiesz, że możesz w tej kwestii liczyć na wsparcie ze strony pana Dufoura! - Uśmiechnęłam się.

Po tych słowach to w mojej głowie pojawił się egoistyczny pomysł - że teraz cała uwaga Jacquesa skupi się na nowo narodzonym dziecku i babci Laframboise. Pozazdrościłam im, ale oczywiście tak powinno się stać. Poza tym jadę do domu za parę dni z poczuciem, że zdołałam osiągnąć wszystko, co planowałam

- Jacques'owi udało się pojednać z drugą rodziną. A na horyzoncie czeka już trzecia.

Gdy wracałyśmy z filiżankami kawy, poczułam się obco. Może powinnam pójść? Co prawda nie wiedziałam, gdzie znajduje się szpital, ale przecież mogłabym zamówić taksówkę i wrócić nią

do oberży. Problem miałabym za to z trafieniem do recepcji...

- Krista!
- Wujek Jacques! - Rozpromieniłam się na jego widok.
- Hej, podoba mi się to. - Spojrzał na mnie, a w jego oczach pojawił się błysk. - Udało nam się.
- Co takiego?
- Nakłonić Sebastiena, żeby wrócił do Montrealu!
- Więc wyruszy teraz w trasę?
- Ułatwiłem mu decyzję — zwolniłem go!
- Naprawdę to robiłeś? - Zaśmiałam się.
- Ma się wynieść i już. Dałem mu czas do weekendu.
- Surowy z ciebie szef.
- Oczywiście! - Wypiął dumnie pierś. - A tobie muszę podziękować za wkład. Za to, że Sebastien wtaca do Montrealu i zszedł się z Julie...
- Och, nie. Wszystko by się poukładało i bez mojej ingerencji.
- Przepraszam na momencik.

Wolał go Sebastien. Może chciał pogadać o odprawie?

To miłe ze strony Jacques'a, że przekazał mi wyrazy wdzięczności. Jednak ciągle czułam się niezręcznie, przebywając tam. Na oddziale położniczym. Jakaś okrutna część mnie odezwała się nagle: „Wyobraź sobie, że mogłabyś się tu znaleźć z innych powodów. Na przykład rodząc dziecko Jacques'a!”.

I wtedy, mimo że nie miałam odpowiedniego wytłumaczenia, łzy zaczęły płynąć po moich policzkach szybciej, niż byłam je w stanie wycierać.

„Nigdy mi się to nie przytrafi. Nigdy tego nie doświadczę. Nigdy nie będą mnie otaczać życzliwi ludzie cieszący się, że wydałam na świat nowe istnienie. Nie usłyszę gratulacji. Zawsze będę na zewnątrz, będę patrzeć przez szybę. Nigdy nie urośnie we mnie drugi człowiek i nie powiem, że jest naprawdę mój,

bo stanowi część mnie. Nie uda mi się nikogo przy sobie zatrzymać. Zawsze będę samotna. Zawsze będę sama".

Zamglonymi oczami wypatrzyłam damską toaletę, wbiegłam do niej i zatrzasnęłam się w kabinie. Szlochałam najciszej, jak potrafiłam, i chciałam szybko się wypłakać. Znowu. „Błagam, zostawcie mnie w spokoju - prosiłam wszystkie dręczące mnie myśli. - Przestańcie się zamęt. Myślałam, że się dogadałyśmy". Gdzie są moje uspokajające kadzidła?

Wychodząc z łazienki, zderzyłam się z Julie.

- Och, tutaj jesteś! Chcieliśmy się dowiedzieć, czy podwieźć cię do hotelu.

- Yyy... ja... - Nie byłam w stanie sformułować zdania.

- Dobrze się czujesz?

- Ja się nią zajmę - wciął się Jacques, który akurat wyłonił się zza togu.

- Nie, nie. Wszystko w porządku. - Udało mi się uniknąć kontaktu wzrokowego. - Wrócę taksówką. Tylko wyjmę torbę z samochodu...

- Przełóż ją do mojego - poprosił Sebastiena, wręczając mu kluczyki do auta.

- Jesteś pewien? Nie chcę ci zabierać czasu.

- Spokojnie. Lily i tak musi teraz odpocząć. Pozwól tylko, że pożegniam się z mamą Laframboise.

- Okej.

- Co za dzień! Co za dzień! - powtarzał Sebastien, który ciągle wyglądał, jakby musiał się napić mocnego drinka.

- Tyle wrażeń! - Zmusiłam się do uśmiechu. - Dzięki za wypad do Montrealu. Było super.

- Będziesz musiała kiedyś wrócić i obejrzeć przedstawienie Cyrku...

- Z przyjemnością. Bardzo miło było mi cię poznać - zwróciłam się do Julie. - Powodzenia ze wszystkim - dodałam, rzucając jej porozumiewawcze spojrzenie.

-Tobie też. - Zbliżyła się i jeszcze tak mocno przytuliła.

Po chwili poszli, a ja zostałam sama na środku korytarza. Mimo że zaraz miał po mnie wrócić Jacques, chciałam uciec i gdzieś się schować. Nie mogłam sobie wyobrazić wspólnej jazdy samochodem. Bałam się, że się rozkleję, ale nie chciałam, żeby zobaczył, jak beczę.

- Zdecydowali się już na imię dla dziecka? - zmusiłam się do zadania odpowiedniego pytania, gdy już znaleźliśmy się na zewnątrz.

- Tak. René. To znaczy ponownie narodzony.

- Naprawdę? - Rozpromieniłam się. - Pięknie! Jacques nagle się zatrzymał.

- Krista, mogę cię o coś spytać? Ooł...

-Tak.

- Ale nie musisz odpowiadać.

- Okej.

Cała już drżałam.

Jacques objął mnie swoim niedźwiedzim ramieniem.

- Może najpierw powinniśmy wejść do samochodu...

Wewnątrz uroczo zdezelowanego pojazdu Jacques'a było tak gorąco, a w powietrzu unosiło się tyle psich kłaczków, że jeszcze bardziej zaschło mi w ustach. O co on mnie chciał zapytać? To musiała być delikatna sprawa, bo dwa razy zbierał się, żeby coś powiedzieć, i w ostatniej chwili zmieniał zdanie. Już miałam przekazać mu wskazówki, jak dojechać do mojego hotelu, gdy wypalił:

- Moja żona ode mnie odeszła, bo nie mogłem jej zapewnić dziecka.

Otworzyłam usta zszokowana. Sam Jacques wydawał się lekko oszołomiony swoimi słowami.

- Jesteś dopiero drugą osobą, której to powiedziałem. Ciągle nie mogłam znaleźć odpowiednich słów, ale nie chciałam w takiej sytuacji milczeć.

- Ja-ja... powiedziałałam tylko jednej osobie - zaczęłam. — Do teraz.

- Spojrzałam na niego. - Mam to powiedzieć na głos? Jak na spotkaniu grupy AA?

Uśmiechnął się przyjaźnie.

- Tylko jeśli chcesz. Wzięłam głęboki oddech.

- Mam na imię Krista i nie mogę mieć dzieci.

- Miałem takie przeczucie. - Jego oczy zaszklily się ze współczuciem. - Po twojej reakcji ze szczeniętami i teraz w szpitalu... Ale nie byłem pewien.

- Tego dnia ze szczeniaczkami dowiedziałam się, że mój były mąż zapłodnił dziewiętnastoletnią dziewczynę sprzedającą w jego firmie kanapki - westchnęłam.

- O nieee - jęknął Jacques.

- Dokładnie tak. A ty? Wiesz, czy twoja żona... Potrząsnął głową.

- Nie mamy żadnego kontaktu. Przeprowadziła się do Vancouver w związku z pracą. To nasza oficjalna wersja - ona wyjechała za chlebem, a ja oczywiście nie ruszyłbym się stąd bez psów...

- Drogi się rozeszły. Przytaknął.

Zastanawiałam się przez moment, czy ma zamiar coś jeszcze dodać na ten temat, i ucieszyłam się, kiedy kontynuował.

- Próbowaliśmy trzy lata, zanim lekarze postawili diagnozę. Na początku nie mogliśmy im uwierzyć. W końcu zawsze ma się nadzieję, że złe wieści to wynik pomyłki. Ale miesiąc po miesiącu... Doszedłem do punktu, w którym postanowiłem dać jej wolną rękę. Nie chciałem pozbawić jej szansy bycia matką. Wiadomo, każdy mąż zrobiłby wszystko, żeby uszczęśliwić żonę.

- I co ona na to?

- Najpierw stwierdziła, że siedzimy w tym oboje. Że nawet nie przeszło jej przez myśl, żeby mogła mnie zostawić z takiego powodu. Jednak teraz mi się wydaje, że po prostu chciała mnie pocieszyć. Po jakimś czasie jej twarz często zaczęła przybierać specyficzny wyraz. Jakby... rozważała inne możliwości...

- To nie takie proste zrezygnować z kogoś. Andrew miał wrażenie, jakbym nie wywiązała się z kontaktu, jaki zawarliśmy

w dniu ślubu. Od początku rozmawialiśmy o dzieciach i pamiętam jego słowa: „Nie miałem o tym pojęcia, kiedy się z tobą żeniłem”. Oczywiście mnie również nic na ten temat nie było wiadomo, ale Andy chyba poczuł się oszukany. - Odwinęłam szalik z szyi. - Nawet nie wiem, czy z żalem mnie opuszczał. Nigdy nie powiedział wprost, że mu przykro. Ubzdurał sobie, że ja po prostu nie chcę tego tak mocno jak kiedyś. Ale przecież chciałam... - Łza spłynęła po moim policzku.

Jacques wyjął ze schowka pudełko z chusteczkami i dał mi jedną.

- Dziękuję. - Smarknęłam. - Wydawało mi się, że się z tym pogodziłam, ale ni stąd, ni zowąd. - Wskazałam na załzawione oczy.

- Wiem, co czujesz. Czasami to potrafi wrócić i zadać cios. — Obrócił się na siedzeniu i spojrzał mi w oczy. - Staralem się myśleć, co bym zrobił, gdyby role się odwróciły...

-I?

- Byłbym skłonny zdecydować się na adopcję. Właściwie już przerabiałem adopcję. To właśnie robię z moimi psami. Kocham je najbardziej.

Uśmiechnęłam się.

- I mam taką przyjaciółkę, Magalie, którą z Hairi adoptowała lokalna rodzina. I to prawdopodobnie najradośniejsza, najmiłsza i najznakomitsza osoba, jaką znam.

- Mój najlepszy przyjaciel ze szkoły był adoptowany. I tak samo - szczęśliwy, zdolny, życzliwy.

- Może dlatego, że są tak chciani i kochani. Ich rodzice musieli się nieźle namęczyć, żeby ich dostać.

- Chyba masz rację. Znasz Tony'ego Robbinsa? Tego gościa od motywacji? Słyszałam, jak opowiadał historię Steve'a Jobbsa

z Apple, który marudził, że jego biologiczni rodzice go odrzucili. Robbins mu odpowiedział: „Ale twoi nowi rodzice ciebie właśnie wybrali”. Jobs to zapamiętał - został wybrany. I jakie miał życie!

- Ale twój mąż nie chciał spróbować? Potrząsnęłam głową.

- Chciał swojego DNA. Jego mięsa i jego krwi. Nie sądził, że mógłby się tak przywiązać do dziecka innego mężczyzny. Poza tym, gdy już wiedzieliśmy na sto procent, zaczął na mnie inaczej patrzeć. Odczułam różnicę. Przestałam być matką jego przyszłego dziecka. Nie byłam już tą magiczną osobą, która wydałaby na świat kolejną istotę. Byłam tylko sobą. - Głośno przełknęłam ślinę. - A to mu nie wystarczało.

Jacques wyciągnął do mnie rękę.

- Ciężko czuć się chcianym i pewnym siebie, gdy ma się świadomość, jak bardzo się kogoś rozczarowało. I te słowa, których używają...

- Jałowy. - Wzdrygnął się.

- No właśnie. „Płodny” jest już samo w sobie dziwne, a co powiedzieć o „bezpłodnym”...

- Albo sterylny! To brzmi seksownie! Zaśmiałam się głośno.

- Wiem! Zupełnie tak, jakbyśmy wyszorowali nasze organy rozrodcze wybielaczem!

Teraz to Jacques wyglądał na rozbawionego.

- Nieurodzajny - dodałam dramatycznym barytonem.

- Bezproduktywny - wyliczał dalej Jacques. — Jakbyśmy byli parą obiboków!

Siedzieliśmy roześmiani, jednak po jakimś czasie moja mina zrzędała.

- Tylko przez to ciągle się zastanawiam, w jaki sposób mogę to nadrobić. Jak się zrekompensować. Powinam zrobić coś przełomowego? Zostawić po sobie ślad, żeby bilans się wyrównał?

- Za to, że nie przyczynisz się do zwiększenia populacji?

- To tak wygląda, jakby ludzie z dziećmi już wiedzieli, że zrobili coś dobrego i znaczącego ze swoim życiem. Nie umiem tego wytłumaczyć. Wszystko jest dla mnie takie niewyraźne.

- Sądzę, że matki i ojcowie mogą dalej szukać swojego sensu i osiągać różne cele. Mam świadomość, że mój ojciec chce czegoś więcej. Poza nami, chłopakami.

- Masz rację - zgodziłam się. - Zawsze się zadręczam i generalizuję. Każdy rodzic ma własne doświadczenie. Czasami jednak jestem tak sfrustrowana, że wszystko uogólniam i upraszczam na niekorzyść.

- Najtudniej jest zaakceptować własną sytuację - stwierdził Jacques. - Przekonałem się o tym po śmierci Rémy'ego. Nie mogłem się z tym pogodzić. Nie potrafiłem. Nawet nie chciałem! Zupełnie się zbuntowałem. Żądałem od sytuacji, żeby była inna.

- Nie mogę sobie wyobrazić tego rodzaju bólu.

Nie odważyłam się złapać go za rękę, ale położyłam dłoń na jego ramieniu, żeby okazać troskę.

- Czasem chce się cofnąć czas, chce się, żeby życie toczyło się inaczej. Ale życzyć sobie czegoś, co jest absolutnie niemożliwe - to zmarnowane życzenie.

Mrugnęłam do niego.

- Nie myślałam o tym w ten sposób.

Wtedy zadzwonił jego telefon. Dostał wiadomość. Może to dlatego, że ciągle staliśmy na szpitalnym parkingu, ale serce od razu zaczęło mi szybciej bić i poczułam lekki stres. Zapytałam, czy wszystko gra.

- Ludzie z farmy pytają, czy zdążę wrócić i będę gotowy na jutrzejszą przejażdżkę przy wschodzie słońca.

Gdy odpisywałam, wzięłam kilka głębokich oddechów i powoli wypuszczałam powietrze z płuc. Poczułam pewną ulgę. Po chwili jednak zaczęłam ziewać.

- Czas odwieźć cię do hotelu - zdecydował. - Miałaś długi i intensywny dzień.

- Aż trudno uwierzyć, że rano byłam w Montrealu!

I tymi słowami zakończyła się rozmowa bratnich serc, bratnich dusz i bratnich „sterylnych” organów.

Pogadaliśmy za to chwilę o ojcu Jacques'a i Sebastiena. Już dochodziliśmy do tematu indiańskiej żony pana Dufour, kiedy samochód zatrzymał się przy ośnieżonym krawężniku mojej oberży.

Czas się rozstać.

- Więc... - zaczęłam, odpinając pas - dziękuję pięknie za podwózkę i jeszcze raz gratuluję nowego członka rodziny!

- Czy to nie wspaniałe? Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę, czy ma jakieś cechy Remy ego - promieniał Jacques.

- Co najbardziej w nim lubiłeś? - Nagle zrobiłam się ciekawa. Poza tym jeszcze wcale nie chciałam mówić „dobranoc”. Jacques zastanowił się chwilę i powiedział:

- Jego energię. Zawsze był gotowy do działania. I zawsze walczył o to, w co wierzył. Był dobrym przyjacielem.

Nie do końca wiedziałam, co odpowiedzieć, więc postanowiłam otworzyć drzwi. Bezskutecznie.

- Daj, pomogę ci. Czasami się zacinają.

Myślałam, że znowu się nade mną pochyli, ale zamiast tego wyszedł i uwolnił mnie od zewnątrz.

- Dziękuję ci.

- I nie zapomnij swojej torby - powiedział, sięgając ręką na tylne siedzenie, a drugą przytrzymując mnie za ramię. - Odprowadzę cię pod wejście.

- W porządku. - Ucieszyłam się, bo rzeczywiście było ślisko. - Ale chciałam już na wstępie przeprosić, jeśli upadniesz razem ze mną.

- Nie martw się. - Złapał mnie mocniej.

Serce zabiło mi radośnie. Naprawdę jeszcze nie chciałam się żegnać. Nie chciałam, żeby poszedł. Ale musiał iść do pracy, w końcu miał umówioną poranną przejażdżkę, a niewiele czasu zostało do wschodu słońca.

- Masz swój klucz?

Otworzył drzwi na szczycie stromych, śliskich schodów i zamienił się ze mną miejscami. Bardzo mi się podobały jego świetne maniery. Problem tylko w tym, że stałam dużo wyżej od niego, patrzyłam na niego z góry - gdybym chciała się schylić i go przytulić, na pewno straciłabym równowagę i oboje zaczęlibyśmy się turlać po stopniach, aż w końcu udałoby się nam wylądować. Zapewne ktoś z nas zbiłoby sobie głowę i znowu trzeba by było jechać do szpitala.

- Dobrej nocy - powiedziałam.

Jacques pocałował mnie delikarnie w rękę i przyłożył ją na chwilę do swojego policzka.

- Dobranoc, Krista.

Kiedy drzwi między nami się zamknęły, oparłam się o ścianę, nie chcąc, żeby uleciało to cudowne wrażenie, którego przed momentem doświadczyłam.

Głos w mojej głowie krzyczał w euforii: „Kocham go! Kocham tego gościa!”.

Nie miałam do końca na myśli, że jestem zakochana, bo oczywiście było jeszcze za wcześnie na więcej niż zauroczenie. Jednak Jacques miał w sobie coś, co mnie absolutnie utzekało i zachwycało. I pocieszało. I rozgrzewało. I intrygowało.

I sprawiało, że już tęskniłam za kolejnym spotkaniem...

Następnego dnia nie dostałam od Jacques'a żadnej wiadomości. W zasadzie odkąd się poznaliśmy, to pierwszy dzień, w którym w ogóle się ze sobą nie kontaktowaliśmy. A ja bardzo odczuwałam jego brak. Tym bardziej że poprzedniej nocy byliśmy już tak blisko...

Obudziłam się późnym rankiem. Jeszcze nie zdążyłam się do końca otrząsnąć po dawce emocji z poprzedniej doby. Było po śniadaniu, więc żeby wrzucić coś na ząb, udałam się do knajpki Buffet L'Antiquaire w zabytkowej dzielnicy Dolnego Miasta. To jedno z tych miejsc, gdzie widzi się jajka i bekon smażone na ogromnej patelni wystawionej na widok. Podobało mi się to. I podobało mi się, że lokal był przesadnie ekstrawagancki. Bo sama nie czułam się wyjątkowo. Nie potrafiłam odgonić myśli, że wróciłam do bycia tylko mną. Czy to już koniec? Koło związane z Jacques'em się zatoczyło i domknęło? A może po prostu żałował osobistego wyznania, na jakie się zdobył zeszłej nocy?

Wypiłam kawę z masywnego, białego kubka i szykowałam się do zapłacenia rachunku. Nie miałam powodu do smutku. Może tylko czułam się nieco osamotniona po wyjściu z towarzyskiego wiru - wliczali się do niego pan Dufour, Julie i wszyscy,

na których trafiłam w siedzibie Cirque du Soleil - bo nie zanosilo się na żadne nowe spotkanie. Annique i Gilles myśleli, że ciągle jestem w Montrealu, a ja nie chciałam psuć im wolnego dnia. Zresztą - przecież mogłam robić mnóstwo rzeczy i dowolnie zagospodarować czas. To była moja idealna szansa na podbój sklepów w okolicy Petit Champlain - w pojedynkę, na spokojnie, we własnym tempie.

Okolica wyglądała jak żywa, bożonarodzeniowa pocztówka autorstwa Beatrix Potter. Był tam nawet lokal z motywem króliczka (ale nazywał się Le Lapin Sauté, a to znaczy Podsmażany Zając!). Bardziej przekonała mnie Głupia Świnka, więc tam postanowiłam zregenerować siły po kilku godzinach zaglądania w witryny ekskluzywnych sklepów, zakładów jubilerskich i przede wszystkim La Fudgerie-Boutique.

Zamówiłam wielką porcję gorącej czekolady. Popijając słodki napój, czytałam o fundacji One Drop, o której wspominał Sebastien. Dopiero wtedy dowiedziałam się o istnieniu Światowego Dnia Wody (odbywa się każdego marca) i akcji, żeby „zjadać mniej wody” - do produkcji dziennej porcji jedzenia jednej osoby zużywa się nawet dwadzieścia trzy tysiące litrów wody! A jeszcze więcej, żeby powstała jedna papierowa kartka. Postanowiłam ograniczyć pisanie w notesie.

Patrzyłam przez okno na port i nagle coś do mnie dotarło. Niesamowite, że w ciągu tak krótkiego pobytu, tak wiele miejsc zdążyłam zapełnić wspomnieniami. Auberge Saint-Antoine znajdowała się tuż za rogiem. Od czasu mojej wizyty w restauracji jeszcze tyle się wydarzyło...

To wielkie szczęście, że udało mi się poznać również Jacques'a, ale moja ogromna sympatia względem niego miała swoje plusy i minusy. Czulałam lekki stres, myśląc o nim. Coś szczególnego

wydarzyło się między nami w samochodzie, a potem w hotelowym ptogu. Czułam, że nie potrafię funkcjonować, nie mając z nim żadnego kontaktu. I właśnie w taki wspaniałomyślny sposób zawsze wszystko psuję - kiedy zdaję sobie sprawę, jak bardzo mi kogoś brak. A jego naprawdę potrzebowałam...

Nie sądziłam, że znajdę się w podobnej sytuacji i kiedykolwiek zdołam się jeszcze tak od kogoś uzależnić po rozstaniu z Andym. Nie sądzę, żeby Jacques był w stanie mnie skrzywdzić, na pewno nie celowo.

Jednak między nami było jeszcze sporo niedomówień. Oczywiście wiele dla mnie znaczyły słowa pana Dufour, że dzięki mnie Jacques stał się bardziej pogodny, że to ja rozjaśniłam mu dni. Ale czy to mogło być coś więcej poza ptzyjaźnią i współczuciem? Wciąż trudno powiedzieć.

Próbowałam zająć czymś swoją uwagę. Może skok do Muzeum Cywilizacji? Powinno się nazywać Muzeum Przygody! To kilkupiętrowy gmach, a na każdym jego poziomie znajdowała się inna, tematyczna ekspozycja. Pobudziłam się, trafiając na jedną poświęconą Rdzennym Narodom - wreszcie okazja, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o przodkach Jacques'a.

Pomysłowość tych ludzi była wptost zadziwiająca - potrafili wykorzystać każdy element drzewa, zwierzęcia albo ptaka do wytworzenia odzieży, rakiet śnieżnych, bębnów, pióropuszy i nakryć głowy, nosidełek, koszy, ekwipunku do polowania i wędkarstwa, ozdób, a nawet dzieł sztuki. Indiański kunszt to niewyczerpane źródło inspiracji.

Właśnie pochylałam się nad kanoe z pnia brzozy, kiedy zabrzączał mój telefon. Tak się spieszyłam, żeby odczytać wiadomość, że komórka wyslizgnęła mi się z rąk i wpadła na obszar wystawowy. W pobliżu nie było żadnego ochroniarza, ale wiedziałam,

że w muzeum jest wszechobecny monitoring, więc i tak zostałabym przyłapana na taśmie. Postanowiłam więc spróbować odstawić pantomimę i tłumaczyłam gestami przed jedną z kamer, dlaczego właśnie wchodzę na teren ekspozycji. Och nie! Do pomieszczenia wparowała szkolna wycieczka! Zamiast złapać telefon i wyskoczyć z powrotem poza barierkę, wpęłam do tipi.

Serce waliło mi jak młotem, gdy chowałam się w najgłębszym zakamarku indiańskiego namiotu. Po co ja to zrobiłam? To nie miała być zabawa w chowanego. Utknęłam na własne życzenie! A co, jeśli to był esemes od Jacques'a? Może właśnie miałam przyjąć propozycję życia, a on pomyśli, że zwlekam albo — co gorsza — ją odrzucam?

Słuchałam, jak nauczycielka opowiada dzieciakom historię, ale sama nie przyswoiłam żadnej nowej wiedzy, bo wykład był po francusku. Poza tym wydawało mi się, jakby trwał wieczność.

Nagle mój telefon zaczął dzwonić...

A ja przypomniałam sobie, że obudziłam się w środku nocy i zmieniłam melodię połączenia na *Ice Ice Baby*. Przynajmniej było mi go łatwiej namierzyć.

- Przepraszam, przepraszam! - kajałam się, człapiąc w jego stronę na czworaka.

Chwyciłam telefon i dałam susa, zahaczając nogą o barierkę. Udało mi się wylądować bez szwanku, więc czym prędzej pognałam do wyjścia. Wtedy naptawdę się cieszyłam, że nie rozumiałam ani słowa padającego z ust skonsternowanej nauczycielki.

Kiedy w końcu udało mi się zerknąć na wyświetlacz, odkryłam, że wiadomość wysłał mi Gilles. Poczułam ogromne rozczarowanie. Chciał wiedzieć, czy nazajutrz będę w stanie zjawić się w studiu, żeby pooglądać wszystkie zdjęcia z wycieczki. O szóstej po południu.

Nie miałam powodu, żeby odmówić, więc odpisałam mu: „Będę tam”.

Połączenie z kolei było od Laurie - a to akurat bardzo mnie zadowoliło. Zawsze miło ją usłyszeć.

- Jak leci w śnieżnej krainie? - zaszcebiotała, gdy do niej oddzwoniłam.

Miałam jej bardzo dużo do opowiedzenia, ale coś mi podpowiedziało, żeby pozwolić Laurie mówić pierwszej.

- Tak się składa, że mam parę niusów... _ Głos drżał jej z ekscytacji.

- No, słucham.

Wypuściła powietrze w słuchawkę i oznajmiła:

- Przeprowadzam się do Nowego Jorku! Wszystko się we mnie zatrzęsło.

- Krista?

- Jestem, jestem! Po prostu mnie zaskoczyłaś! - odparłam, przesuając się w stronę najbliższej ławki. Miałam nogi jak z galarety.

- Wszystko mi opowiedz!

- Pamiętasz osobistą stylistkę, którą poznałam podczas mojej ostatniej wycieczki? Tę, która ma obsesję na punkcie Londynu jak ja na punkcie Wielkiego Jabłka?

- Btianna?

- Zgadza się. Cóż. Straciła pracę, ale ma trochę oszczędności, więc chce przylecieć do Londynu i zostać tam jak najdłużej. Nie może tylko zostawić bez opieki mieszkania, więc...

-Ty się nim zajmiesz?

- Mamy zamiar się zamienić. Ja zamieszkam u niej, ona u mnie. Na razie rylko na trzy miesiące, żeby zobaczyć, jak nam się będzie żyło, jak sobie poradzimy... W tym czasie zorientuję się, co zrobić, żeby dostać wizę...

- Nieźle!
- Oczywiście nie zrezygnuję z pracy dla Va-Va-Vacation! W końcu nie ma potrzeby, żebym była ciągle na miejscu, w Londynie.
- „Ależ jest”, pomyślałam.
- I jak super będzie powiedzieć, że mamy też nowojorski oddział!
- Bardzo - zgodziłam się. - Ale jak rozwiążemy kwestię wspólnego podwieczorku?
- Szesnasta w Londynie to czas na drugie śniadanie w Nowym Jorku - zachichotała. - Na pewno znajdziemy jakieś rozwiązanie.
- W porządku. To wspaniałe, Laurie. Właśnie tego chciałaś!
- To pierwszy krok we właściwym kierunku. Może tym razem w końcu poznam odpowiedniego mężczyznę, który mi się oświadczy — i problem z głowy!
- Kiedy się przeprowadzasz?
- W przyszłym tygodniu.
- O mój Boże! - Zamknęłam oczy.
- Na kilka dni jadę do znajomych, ale gdy wrócę, a ty będziesz w Londynie - może zostań ze mną, aż wyjadę? Pomyślałam, że dobrze nam zrobi wspólny, przegadany czas.
- Byłoby cudownie. — Uśmiechnęłam się z wdzięcznością.
- I oczywiście będziesz mogła mnie odwiedzać w Nowym Jorku, kiedy tylko zechcesz.
- To do mnie przemówiło. Laurie rzeczywiście wylatuje.
- W j-jakiej dz-dzielnicy mieszka ta dziewczyna? — próbowałam zadawać adekwatne pytania.
- Małe Włochy! - cieszyła się. - Mój ulubiona część miasta! W tamtym momencie bardzo potrzebowałam towarzysztwa, ale równie mocno chciałam odłożyć słuchawkę. Musiałam na

spokojnie przetworzyć nową informację i oswoić się z perspektywą nowej sytuacji. Oczywiście oddzwoniłabym do Laurie i życzyła jak najlepiej - bo naprawdę chciałam jej dobra - ale moja pierwsza reakcja mogła nie brzmieć zbyt entuzjastycznie. Nie chciałam zacząć wyć: „Prooszę! Nie jedź!”.

- Och! Mam ją właśnie na drugiej linii. Muszę kończyć! Stałam bez ruchu przez ładnych kilka minut. Nie mogłam

sobie wyobtazić pustego miejsca Laurie w naszym biurze. Bez niej będzie tak ponuro! Wspaniale jest wyruszać w podróż, ale świetnie jest mieć do kogo wracać. Do kogoś, z kim czuję się jak w domu.

Zmusiłam się, żeby poczłapać w stronę drzwi, ale odechciało mi się wychodzić do miasta. Nie mogłam się zdobyć na to, żeby nacisnąć klamkę. Nagle uleciała ze mnie cała energia.

Na szczęście przypomniałam sobie kolejkę linowo-szynową zaledwie parę minut od muzeum...

Metalowy wagonik sunął w górę, ile sił w trybach, tymczasem ja w ogóle nie miałam siły. Dygotały mi kolana. Zastanawiałam się, jak to jest: jednego dnia dąży się dzielnie do celu, a następnego jest się zupełnie w tyle... Jak wtedy wrócić na właściwą drogę?

- Ups! - Wagonikiem zatrzęsło i kolejka się zatrzymała. Byłam na miejscu - przy Château Frontenac.

Zabawne, że tak późno dotarłam do ikonicznego punktu miasta. Właściwie mieliśmy już zaplanowaną tam kolację, ale tego wieczoru namówiłam Annique, żeby zrezygnowała z homarów i towarzyszyła mi w wyprawie do Wendake.

- Witaj! - Gdy otworzyłam mosiężne, błyszczące drzwi prowadzące z dziedzińca i weszłam do zamku, ujrzałam dużego psa

z długą, czarną sierścią i różowym nosem. Nie miał smyczy i siedział w przedsionku, merdając wesoło ogonem.

Hol był przestronny, wyłożony czarnym drewnem. Złote motywy na dywanach odbijały ciepłe światło ze świeczników. Rozejrzałam się w poszukiwaniu właściciela, ale ttafiłam na uśmiechniętą pracownicę hotelu - Genevieve.

- Wabi się Santol. To nasz psi recepcjonista.

- Och! Czy można... - Kucnęłam, żeby go pogłaskać.

- Ależ tak! Uwielbia skupiać na sobie uwagę.

Przyjemnie było zanurzyć rękę w jego czarnym futrze i bawić się oklapłymi uszami - to bardziej pokrzepiające niż dobra latte!

- Co to za rasa?

- Skrzyżowanie berneńskiego psa pasterskiego z labradorem.

- Nigdy przedtem takiego nie widziałam!

- Kiedyś był też psem przewodnikiem.

- Cudownie! - Pogładziłam go po biało zakończonych łapkach. - Co za miła forma powitania w hotelu.

-To prawda, Santol jest rozbrajający - zgodziła się dziewczyna. - Przed chwilą biznesmeni w garniturach leżeli na podłodze i się z nim bawili.

Słyszając to, Santol przewrócił się na grzbiet i zaczął się domagać drapania po swoim wielkim, kudłatym brzuchu. Pies tak mnie oczarował, że byłam skłonna kupić jego miniatutkę w hotelowym sklepiku z pamiątkami. Zamiast tego jednak zdecydowałam się na balsam do łap - pomyślałam, że jeśli jeszcze kiedykolwiek zobaczę się z Jacques'em, podaruję ten kosmetyk Sibérie, ponieważ był to pierwszy pies, jakiego spotkałam w Quebecu. Może to by wystarczyło za pretekst, żeby odwiedzić go na farmie - chciałam pożegnać się z psami i jeszcze raz, ostatni raz przejechać się sankami!

Zawsze jeszcze mogłam wyczekiwać wyścigu zaprzęgów. Oczywiście dużo fajniej by było, gdyby Jacques w nim uczestniczył. Rozmyślałam, czy istniała szansa, że się na to zdecyduje. Nie to, żeby ostatniej nocy nastąpił cud i wszystko nagle wróciło do normy, ale może trochę zmienił nastawienie? Teraz mógłby się ścigać na cześć Rémy'ego. A nagrodę przeznaczyłby małemu René.

I znowu się wtrącałam. Co za wścibskość! Cała ja - planowałam komuś życie, gdy powinnam się skupić na własnym. Zazwyczaj nowej energii dodawała mi myśl o kolejnej podróży. Jednak snując się wzdłuż zamkowego korytarza, myślałam: „Jak będę mogła porównać cokolwiek do tego, jak się czuję i co przeżywam w Quebecu?”.

Zatrzymałam się na chwilę na widok starszej kobiety wyrabiającej ręcznie pamiątkowe, karnawałowe szarfy. Autentyczne rzemiosło i godziny manualnej pracy odzwierciedlała cena, jednak pewien mężczyzna na moich oczach zaopatrzył we wstęgi całą swoją rodzinę.

Byłam ciekawa, co kryje w sobie ten zabytkowy hotel. Schodząc na niższe piętro, natknęłam się na sklep z futrami w królewskich odcieniach - od szkarłatnego przez bratkowy fiolet do ciemnoniebieskiego. Poczulałam też zapach kawy - obok znajdował się punkt Starbucksa.

Czekając na realizację zamówienia, zagłębiałam się w treść ulotki, którą wzięłam z recepcji. Nagle do mnie dotarło: „Dlaczego mam pić taką samą chai latte, jak w pięćdziesięciu ośmiu innych krajach świata, skoro równie dobrze mogę się delektować unikatowym drinkiem z martini w barze Saint-Laurent? I to siedząc przy kominku?”.

Odpowiedziałam sobie szybko.

W Saint-Laurent spędziłam prawie godzinę. Patrzyłam na żółte płomienie, pękające kawałki drewna i tańczące iskry. Udało mi się zrelaksować i pogodziłam się z myślą o przewodniczce Laurie. Życzyłam jej jak najlepiej i cieszyłam się z jej decyzji. Przecież nie stracimy kontaktu. Będziemy rozmawiać na Skypie i przez telefon.

Nie mogłam być smutna, nie trzeba się zachowywać egoistycznie. Przede wszystkim nie chciałam jej zepsuć całej frajdy.

„Och, Laurie! To takie wspaniałe! - napisałam jej. - Jestem szczęśliwa, że ci się udało”.

Po drugim drinku granica między jawą a fantazją zaczęła się robić niewyraźna. Przestałam się czuć jak dziewczyna z niepewną przyszłością, która przyjechała tylko na kilka dni, żeby pozwiedzać miasto - to był mój świat. Luksusowy, wygodny i zanurzony w historii. Gdy skończyłam, barman polecił mi obejrzeć kolekcję narciarskich plakatów z lat pięćdziesiątych i zdjęcia Grace Kelly z 1969 roku, kiedy była gościem honorowym Karnawału. Miała na sobie falbaniastą suknię balową - trochę bardziej marszczoną niż złoty, fantastyczny strój, w który była ubrana w *Złodzieju w hotelu*. Wchodząc po marmurowych schodach, wyobraziłam sobie, jak to ja stąпам po stopniach w obcisłej, połyskującej kreacji. Myślałam, że nikt nie patrzy, i chciałam wykonać finezyjny obrót, ale wtedy minął mnie mężczyzna w długim, karmelowym płaszczu. Miał wąsy jak strojniś i gdy biegł po schodach, wyglądał jak postać ze starego filmu.

— Ta woda po goleniu... - Wdychałam zapach, który pozostawił w powietrzu.

Był już na ostatnim schodku, gdy zapytał:

- Tym razem nie masz zamiaru mnie poszczuć psami?

Odwróciłam się. Tego cwanego tonu w głosie nie mogłam z niczym pomylić. Jednak wszystko inne sprawiało, że nie poznałabym go - fryzura, odcień włosów, wąsy, brązowe (nagle) oczy.

- J-jak ty to robisz?

- Myślisz, że tylko twój Człowiek Wilk może mieć różnokolorowe oczy?

- Ale twoja broda, dołeczek zniknął...

- Tak naprawdę nigdy go nie miałem - odparł z uśmiechem. - Namalowałem go. Ludzie koncentrują się na szczególe, więc zapamiętali mnie jako blondyna z dołeczkiem w brodzie. A dzisiaj jestem ciemnowłosym gościem z wąsami! Mogę spokojnie pójść, gdziekolwiek zechcę - nierozpoznany.

- Więc po co przede mną się ujawniłeś? - wydukałam. Szczególnie po ostatnim incydencie z psem. Zżerały mnie wyrzuty sumienia.

- Zanim zgłosisz mnie na policję, zdążę się zmienić. Nie jestem typem faceta z ograniczonym repertuarem.

Szukałam po omacku barierki, żeby się o nią oprzeć, jednocześnie starając się utrzymać z nim kontakt wzrokowy. Tego już za wiele.

- Tego dnia z promem... Dokąd uciekłeś?

- Do wody.

Miałam już krzyknąć: „Wiedziałam! Wiedziałam! Widziałam płetwę!”, ale ubiegł mnie, mówiąc:

- Nie, żartuję. Mieszkam niedaleko portu. Po prostu wróciłem do domu.

- Jesteś bezczelny! - parsknęłam. Wzruszył ramionami.

- Więc dokąd teraz?

Mój brzuch odpowiedział za mnie i zaczął przeraźliwie burczeć.

- Obiad. - Pokiwał głową. - Gdzie?

- Chciałam... - zaczęłam, zapominając, że powinnam raczej powiadomić policję, zamiast się zwierzać - spróbować czegoś w Voodoo Grill...

- Żeby poczuć się młodo i modnie?

- Pomyślałam, że spodoba się to moim czytelnikom.

- Ach, ci twoi internauci z Va-Va-Vacation!

Oczywiście już wiedział. Pewnie wyszukał w Google, kiedy poznał moje nazwisko w hotelowej recepcji.

- To niezły wybór. Mają wyjątkowo dobre jedzenie jak na miejsce, które tak głośno puszcza muzykę. I pracuje tam anglojęzyczna kelnerka, która ma iście królewskie maniery. Zajmie się tobą, jak tylko usłyszysz twój akcent.

Rzeczywiście zna miasto na wylot.

- Tak naprawdę chciałabym pójść do Aux Anciens Canadiens - zaryzykowałam. - Ale pewnie powiesz, że to typowy lokal dla turystów...

- Czy turyści tam chodzą? Owszem. Jednak słyszałem, że mięsny placek, który tam serwują, nie ma sobie równych.

Zerknął na mnie z ukosa.

- Oczywiście poleciłbym L'Initiale, gdyby nie to, że wszyscy policjanci zamawiają tam już faszerowaną przepiórkę.

Nie mogłam się powstrzymać i wybuchłam śmiechem. Nie dało się zaprzeczyć - ten facet miał swój urok. Nagle, w zaskakująco ludzkim odruchu, jego brzuch również zaczął burczeć.

Spojrzeliśmy na siebie. I zanim się spostzegłam, zaprosiłam na obiad wyjętego spod prawa człowieka, którego ściga cały Quebec...

Aux Anciens Canadiens wygrało, bo znajdowało się najbliżej zamku Fontenac. Niewielki budynek, w którym mieścił się lokal, wyglądał jak z opowiadania dla dzieci - pomalowane na biało, wysadzone kamieniami ściany i ostro zakończony, szkarłatny dach. Uznałam za odważne postawienie lodowej figury i paleniska przy tej samej ścianie.

Wystrój był swojski - stoły przykryto ktaciastymi, niebieskimi obrusami, a kelnerki chodziły ubrane w czarne princeski i bluzki z bufiastymi rękawami. Ledwo zajęliśmy miejsca, a obsługa już zapytała o zamówienia.

— Ta pani poprosi zupę z zielonego groszku i placek z nadzieniem mięsnym, a na deser ciasto z syropem klonowym. Dla mnie zupa cebulowa z przyrumienioną tartą bułką, ciasto Lac Saint-Jean i deser z karmelu.

Chciałam zaprotestować, bo nie lubię, kiedy ktoś decyduje za mnie w tak arogancki sposób, ale przekonał mnie słowami: „W ten sposób spróbujemy wszystkich klasyków z menu”. Brzmiało jak całkiem niezły plan.

- No, proszę - przechylił się bliżej mnie - pytaj. - O co?

- Wiem, że jest jedna rzecz, której pragniesz się dowiedzieć.
- Jedna rzecz? - zadrwiłam.
- Więc która z tych wielu jest najbardziej paląca?
- Hmm... - Zamyśliłam się. - Jestem rozdarta między dwoma pytaniami: „Dlaczego tobie to, co robisz?” a „Jak wyglądasz, kiedy jesteś sobą?”.

Wzruszył ramionami.

- Nie jakoś diametralnie inaczej - nie mam teraz doczepionej protezy nosa. Nic z tych rzeczy.

- Więc mówisz... - Zmrużyłam oczy. Zaśmiał się.

- Oczywiście wąsy są sztuczne. Chcesz, żebym je odkleił?

- Tylko jeśli myślisz, że w przeciwnym razie utoną w twojej zupie. Znowu zachichotał.

- Powiedz mi. Jak wyglądałeś, gdy byłeś chłopcem?

- Jak mały surfer w szkolnym mundurku.

- Blondyn?

- Bardzo jasny blond, prawie biały - potwierdził. - I nie cierpiałem obcinać włosów.

- Burżujska szkoła?

- Najbardziej z możliwych.

- Bogaci rodzice?

- Najbogatsi.

- I zachowywałeś się tak od dziecka?

- Wydaje mi się, że można tak powiedzieć. Nie podobało mi się siedzenie w zamkniętej sali lekcyjnej, przerabianie w kółko tego samego. Chciałem znajdować się na zewnątrz. Właściwie byłem skłonny zrobić cokolwiek, co wkurzyłoby mojego ojca.

- Dlaczego?

- Gdybyś go poznała, wiedziałabyś od razu. - W jego oczach pojawił się płomień.

- Terapeuta na pewno stwierdził, że chcesz w ten sposób zwrócić na siebie jego uwagę.

- Skąd pomysł, że chodziłem do terapeuty?

- Cóż - popiłam łyk wina, które wybrał - lubisz tajemnice, lubisz intrygować... Podejrzewam, że sam dla siebie jesteś największą zagadką.

- *Merci* — powiedział, kiedy kelnerka postawiła na stole zupę. - Jedz, póki gorące.

- Jeśli wciąż czekasz na akceptację ze strony ojca, tracisz czas. Wiesz o tym?

Słyszając to, zakrztusił się zupą. Szybko dałam mu szklanekę wody.

- Nie chciałam zabrzmieć okrutnie, ale zdążyłam się naoglądać wystarczająco dużo programów o dzieciakach z problemami. Dzieciaki z bogatych domów sięgają po narkotyki, bo ich ojcowie są zbyt pochłonięci zarabianiem milionów. Jeśli do tej pory to nie nastąpiło, już nigdy nie nastąpi.

- Dlaczego to powiedziałaś? — Wyglądał na kompletnie zszokowanego.

- Poza tym, że po alkoholu rozwiązał mi się język? -Tak.

- Po pierwsze nie chciałabym widzieć, jak się niszczysz.

- A skąd ta troska?

- To moja słabość. Taka już jestem, że martwię się o ludzi.

- A po drugie?

- Ponieważ jeśli zdołasz się pogodzić, że nigdy nie usłyszysz od ojca tego, co chcesz usłyszeć - staniesz się wolny. Po co marnować życie i żądać czegoś, czego nie możesz mieć? — Zmiotłam

resztki zupy kawałkiem kromki chleba. - Poza tym jest ktoś, czyja opinia znaczy dużo więcej.

- Błagam, tylko nie mów, że to Bóg.

- Chodzi o ciebie. Najważniejsze jest to, co sam o sobie myślisz.

- A co ty o sobie sądzisz? Zastanowiłam się przez chwilę i odparłam:

- Moja mama twierdzi, że jestem powsinogą. Że włączę się bez celu. Że to nie przyniesie żadnych owoców - więc po co w ogóle wychodzić z domu? Uważa, że moje podróże nic nie wnoszą. Przynajmniej jeśli chodzi o korzyści materialne, zewnętrzne. Tymczasem ja mam się za podróżnika. Wierzę, że podróże kształcą. One mnie inspirują i sprawiają, że z każdym wyjazdem na nowo zakochuję się w świecie. Więc kto ma rację?

- Nie przeszkadza ci, że matka źle wszystko ocenia?

- To nic nie znaczy. Tu chodzi o co innego - moja lekcja polega na tym, żeby przestać się przejmować jej sądami, a jej zadaniem jest zaakceptować moje decyzje i wybory.

Patrzył na mnie i mrugał w milczeniu.

- I tak - oglądałam mnóstwo odcinków programu Oprah Winfrey.

- A czy przypadkiem nie jest po części tak, że podróżujesz, żeby uciec?

- Podróżuję, żeby odkrywać. I żeby nie popaść w rutynę.

- I żeby się nie znudzić? To moje największe zmartwienie - przyznał.

- Byłeś w Indiach? - Tak.

- A w Afryce? - Też.

- Myślę, że robisz coś niewłaściwie. W końcu się uśmiechnął.
- Skakałem na bungee, schodziłem po linie i skakałem ze skały do morza na każdym kontynencie. Byłem od tego uzależniony. Jednak zapewniałem sobie skoki adrenaliny w podobny sposób przez zbyt długi czas, więc coraz trudniejsze stawało się dla mnie osiągnięcie adtenalinowego haju.
- A brałeś narkotyki?
- Coś sugetujesz? - Prychnął.
- Nieeeee! - zaprotestowałam przerażona. - Po prostu uznałam, że mógłbyś być skłonny, żeby po nie sięgnąć. Masz do tego predyspozycje...
- Mam - przyznał. - Ale to nie znaczy, że kiedykolwiek ćpałem.
- Dzięki Bogu. Ooooch! Czerwona kapusta! Kocham czerwoną kapustę!
- Niewiele ttzeba, żeby cię uszczęśliwić, prawda?
- Jeden kęs mięsnego ciasta wystarczył. Można nabić porcję na widelec, spojrzeć na nią i zażądać: „Daj mi smak!”, a potem pozwolić francuskiemu ciastu rozplynać się w ustach.
- Przypomina kornwalijski pieróg, tylko jest bardziej delikatny. Próbowales kiedyś?
- Przytaknął.
- Surfowałem tydzień w Newquay.
- Co sądzisz o Anglii?
- Jesteście zabawni. I niestety nie aż tak uptejmi, jak mówią ludzie...
- Och, już dawno przeminęły dni, kiedy byliśmy uosobieniem dobrych manier. Dlatego tutaj bardzo mi się podoba zachowanie ludzi. Wszyscy są racy dystyngowani.

- Ależ z ciebie wrażliwa duszyczka - droczył się. - Dla mnie jest aż zbyt elegancko i dystyngowanie. Za sztywno. Potrzebuję więcej pasji!

- I nowych wyzwań? Byłeś kiedyś całkowicie zaangażowany w jakiś projekt?

- Jeśli moją obecną działalność można nazwać projektem... Wszystko planuję z najdrobniejszymi szczegółami. Spróbuj tego. - Przysunął swój talerz.

- Długo ci to zajmuje? - drażylałam. — Kilka miesięcy?

- Raczej tygodni. Działam szybko. Jakbym miał ADHD.

- Wiesz, że można to wyleczyć?

- Tak, ale ciągle myślę, że musi istnieć coś, co mnie zatrzyma. Wyprostowałam się. Serce zabiło mi mocniej.

- Chyba mam coś takiego. Coś z gatunku „wóz albo ptzewóz”. Zaciekawiał się, ale nie wyglądał na przekonanego.

- I co to niby jest?

- Nie powiem.

- Dlaczego? - zapytał oszołomiony.

- Ponieważ uważam, że to jest wprost idealne, a ty możesz to sprofanować.

- Po co miałbym to robić?

- Nie potrafię teraz dokładnie wytłumaczyć. Nie wiem wszystkiego. Nie znam na pamięć. Musisz o tym poczytać sam. Jest taki portal... - Wyjęłam długopis i zaczęłam powoli pisać adtes.

Sięgnął ręką, żeby wyrwać mi kawałek papieru, ale go w porę powsrrzymałam.

- Jeszcze nie.

- Jeszcze nie?

- Dam ci to, jak się rozejdziemy. Żebyś mógł sam na spokojnie się wczytać i kontemplować. Zero rozpraszaczy.

Zmrużył oczy.

- Masz zamiar spróbować tego ciasta? Uśmiechnęłam się i wpackowałam spoty kęs do ust.

- Mmmm, to też jest pyszne. Tylko nie mów, z czego ta dziczyzna.

Jeszcze jeden kieliszek wina i zesłiśmy na tematy damsko-męskie. Najwyraźniej jedyna kobieta, na którą byłby w stanie zwrócić uwagę, to Angelina Jolie. Ale ona jest zajęta. Miałam przeczucie, że egzotyczne, mówiące różnymi językami istoty z Citque du Soleil również by go zainteresowały, ale na tamtym etapie postanowiłam jeszcze o nich nie wspominać - członkowie Cyrku Słońca stanowili część mojego genialnego planu...

W tym czasie gładko zaszufładował mnie jako kobietę, która leci na mężczyzn „z wyższej półki”. Zastanawiałam się, czy to znowu jakaś aluzja do Jacques'a - w końcu wcześniej rzucił hasło „twój Człowiek Wilk”, ale dłużej nie drążył. Nagle zdałam sobie sprawę, że Jacques nie jest tak do końca nieszczęsną, zatroskaną duszą. W każdej sytuacji ma wsparcie. Zawsze ktoś przy nim jest. I odnalazł w życiu pasję - w przeciwieństwie do człowieka, który siedział naprzeciwko mnie.

Gorzkie refleksje osłodził mi deser - właśnie podano do stołu nasze porcje... Wystarczyło, że spróbowałam mojego klonowego ciasta i zupełnie odechciało mi się wymiany na jego krówkowe чудо - choć właściwie desery wyglądały i smakowały podobnie. Gdybym jeszcze mogła dodać na czubek odrobinę gęstej śmietany Devon, umarłabym spokojnie...

- Masz coś jeszcze do zrobienia? Zanim spożyjesz tę śmiertelną porcję bitej śmietany?

- Oczywiście - zachichotałam. - Ciągle mam marzenia.

- Na przykład...?

Pomyślałam o tym najbliższym mojemu sercu - wspólnej jesieni z Jacques'em, pełnej przejażdżek psimi zaprzęgami, zbieraniem soku z klonu i pikników dla przyjaciół.

- Nieźle. Fajna sprawa, sądząc po twoim wyrazie twarzy. Westchnęłam głęboko.

- Chciałabym umieć przestać marzyć o zupełnie nieosiągalnych rzeczach, bo to zmarnowane życzenia.

- Dobrze, w takim razie opowiedz mi o tym, które może się spełnić.

- Chciałabym zobaczyć zorzę polarną. I wziąć udział w wyścigu psich zaprzęgów. I zjeść całe ciasto z syropem klonowym.

- Jedno z nich mogę dla ciebie spełnić choćby teraz. Zawołał kelnerkę i - ku mojemu zaskoczeniu - poprosił o rachunek.

- Więc nie chodzi o opcję z syropem klonowym? — Nieco zrzędła mi mina.

- Och, no chodź!

- Dz-dziękuję za obiad - jękałam się. Naprawdę mi smakowało. - Dokąd dokładnie idziemy?

- Poczekaj pięć minut, a wszystkiego się dowiesz.

- Wszystkiego? - powtórzyłam z niepokojem. Jednak tym razem nic nie odpowiedział.

Gdy tylko znaleźliśmy się na zewnątrz, skręcił w lewo i pewnym krokiem szedł w dół ulicy. Ja z kolei przesuwałam się niemal po omacku i desperacko szukałam czegoś, czego mogłabym się złapać i uniknąć upadku na oblodzony chodnik.

- Jesteś jak staruszka! - Zaśmiał się, widząc moje zmagania.

- Och, przestań! Staruszka to mi kiedyś pomogła przejść przez ulicę...

- Chyba wygodniej byłoby ci skakać z dachu na dach.

- To już bardziej w twoim stylu.

- Wiesz, że jeden gość przeszedł po linie między ostatnim piętrem Château Frontenac a tym wieżowcem Price? O rym, tutaj! - Wskazał na imponujący drapacz chmur z zielonym szczytem.

- Żartujesz?! - Spojrzałam z otwartymi ustami w niebo.

- To mu zajęło raptem piętnaście minut. Nie miał żadnych zabezpieczeń.

- Ale to nie byłeś ty, ptawda?

- Nie! - Zachichotał. - Jakiś Francuz. Jego popis stanowił część obchodów z okazji oktagonnej rocznicy założenia miasta.

-Aha...

- Ale chyba znam lepszy sposób, żeby jakoś szybciej cię przetransportować.

Zanim zdążyłam zapytać, na czym by ta metoda miała polegać, kucnął, pterzucił mnie przez swoje ramię i zaczął biec w dół ulicy. Ja przez całą drogę przeraźliwie piszczalam.

Odstawił mnie na ziemię prawie pod moim hotelem.

- O mój Boże! To było szalone!

Wciąż miałam przed oczami odwrócony obraz i stałam z zaciśniętymi pięściami, jakbym dalej kurczowo trzymała się jego płaszcza. Wtedy wziął mnie za rękę i minęliśmy moją oberżę. Po jakimś czasie stanęliśmy przed drzwiami hotelu Clarendon ozdobionymi w stylu art deco. Wtedy trochę otrzeźwiałam i wbiłam się obcasami w śnieg.

- Co my tu robimy?

- Mają jeden pokój ze szczególnym widokiem...

Pewnie powinnam była odmówić i odwrócić się na pięcie, jednak ciekawość wygrała. Poza tym byliśmy bardzo blisko mojego hotelu, więc czułam się dosyć bezpiecznie.

- Wchodzimy?

- Pewnie - odparłam.

Stłumiłam odbijający się echem głos Lautie, która radziła, żeby zgrzeszyć z właściwą osobą...

Hol emanował historycznym urokiem - stały w nim staroświeckie kufry, palmy doniczkowe, przy recepcji stała ozdobna krata z kutego żelaza. Miałam wrażenie, że gdzieś na sofie siedzi i obserwuje nas znad gazety Herkules Poirot.

- *Bonsoir*- przywitał się z recepcjonistką mój „nieznajomy”. -Czy pokój numer 409 jest wolny?

- Owszem.

- Ile kosztuje?

- Na ile nocy?

- Tylko jedną.

- Yyy... - Szarpnęłam go za rękaw.

- Nie przejmuj się, spędzimy tu tylko godzinę.

- Och, świetnie! - Przewróciłam oczami. Brzmiało to tak, jakbym była prostytutką.

- Potrzebują państwo pomocy z bagażem? - zapytała kobieta z recepcji.

- Nie, dam sobie z nią radę. - Puścił do mnie oko.

Chciałam go ochrzanić za te dwuznaczne teksty, ale zorientowałam się, że nawet nie wiem, jak się nazywa - zresztą pewnie i tak nigdy nie zdradziłby mi prawdziwego imienia. Zanim zdążyłam powiedzieć cokolwiek, już czekał w windzie.

Zawahałam się.

- Zaufaj mi - powiedział, przytrzymując dla mnie drzwi.

- Problem w tym, że nie potrafię - westchnęłam.

Pokój numer 409 był ciepły, przestronny, cały wystrój pomalowano na szarozielono. Ostentacyjnie ominęłam łóżko i podeszłam do staroświeckiego biurka stojącego pod oknem. Wyrzałam na zewnątrz - moja kochana Auberge Place D'Armes! Oczami wyobraźni widziałam siebie przez okno pokoju, który mi przydzielono - jak siedzę z laptopem na poddaszu ozdobionym motywami kwiatu lilii. Jednak wieczór potoczył się zupełnie inaczej.

Miałam tylko nadzieję, że nie wkroczyłam na niebezpieczny grunt i nie igram z ogniem. Pocieszałam się, że zawsze mogłam zerwać z parapetu okazały sopel i użyć go zamiast noża w akcie samoobrony.

- Chodź, dołącz do mnie w łazience!

- Co to za propozycja? - Zmarszczyłam brwi i wychyliłam się niepewnie zza framugi.

- Usiądź tu!

Usłyszałam kłapanie deski sedesowej.

- Wiesz chyba, że tutaj stoi sofa?

- Ale stąd jest lepszy widok.

Musiałam być pod jego urokiem, bo jak niewolnica dokładnie wykonywałam polecenia. Weszłam do łazienki.

- Co teraz?

- Odsłoń zasłony.

Pochyliłam się do przodu i je rozsunęłam. Moim oczom ukazała się ulica ze sklepami Simons i Le Sachem — tym samym, w którym kupiłam kładzidełka i oglądałam kolczyki z futrzanymi kuleczkami. Zobaczyłam też czarne, nocne niebo i smugi przypominające miejskie światła odbijające się w wodzie... Z tym że zamiast typowej dla ulicznych latarni żółtej poświaty na tle nieba tańczyła lśniąca purpura przechodząca w szmaragdową zieleń, następnie zamieniała się w żywy pomarańcz, potem elektryczny niebieski...

- Patrzysz na zorzę polarną.

Odwróciłam się gwałtownie i spojrzałam mu w twarz.

- Myślałam, że trzeba być na odludziu, na łonie natury...

- Nie w tym przypadku - zorza polarna to nazwa miejskiej instalacji świetlnej. Te kolory odbijają się od olbrzymiego silosu stojącego w Old Port.

Wpatrzyłam się dokładniej. Dopiero wtedy udało mi się odróżnić kształty wieży na tle nieba. Taniec barw był naprawdę hipnotyczny.

- Purpurowy najbardziej mi się podoba - przyznałam, a jemu zaczął wibrować telefon.

Przeprosił mnie na moment, odebrał i wyszedł porozmawiać do drugiego pokoju.

Klęknęłam bliżej okna i oparłam łokcie o parapet. Wyglądałam pewnie jak dziecko mówiące gwiazdom dobranoc. Wyobraziłam sobie, że zamiast w czarny płaszcz jestem ubrana w bielutką koszulę nocną, a na głowie mam bujne loczki. Gdybym bardziej wyteńczyła wzrok, zobaczyłabym Piottusia Pana lawirującego między dachami pokrytymi śnieżnym puchem.

- A co to za budynek tam na dole? Ten cały oświetlony na różowo? Czekałam na odpowiedź, ale było cicho.

- Ten budynek na rogu. Znowu nic.

Chciałam zawołać go po imieniu, ale znów złapałam się na tym, że go nie znam!

- Hej, Mistrzu Kamuflażu! - Wstałam i wyjrzałam z łazienki. - Zasnąłeś tam?

Zerknęłam do zaciemionego pokoju.

- Halo?

Zapaliłam światło, żeby się upewnić, czy przypadkiem nie bawi się ze mną w chowanego. Sprawdziłam szafę, zajrzałam pod łóżko. Pusto.

Tak, na pewno sobie poszedł.

Westchnęłam.

Czego ja się właściwie spodziewałam? Nie dało się nadażyć za tym mężczyzną.

Spojrzałam na zegarek. Zrobiło się późno. Zastanawiałam się, czy powinnam tam poczekać - może po prostu chciał porozmawiać na osobności, więc wyszedł, ale zaraz wróci? Bóg raczy wiedzieć, od kogo odbiera telefony.

Podeszłam do biurka i podniosłam leżące na blacie pudełko wiśni w czekoladzie albo - jak głosił kusząco francuski napis - *cerises enrobées de chocolat noir*. Pomyślałam, że to miły upominek i w słodki sposób wypełni moją drogę powrotną do hotelu. Wtedy zadzwonił mi telefon.

- Zostawiłeś dziewczynę samą...

- Przepraszam, miałem bardzo pracowity dzień.

- Jacques?!

- Duża grupa zamówiła wieczorną przejażdżkę. Dopiero wróciłem.

- A-ha - wydukałam, wciąż zbyt zaskoczona, żeby wykrztusić z siebie normalne słowo.

- Przepraszam, było trochę za głośno. Teraz jestem w środku. Więc na szczęście nie usłyszał dokładnie, co mówiłam.

- Tęskniłem za twoim widokiem.

Serce zaczęło mi bić jak szalone i zmiękły mi kolana. Nie mogłam uwierzyć, że właśnie to powiedział!

- Ja za twoim też. - Uśmiechnęłam się do słuchawki.

- Zastanawiałem się, czy będziesz miała jutro wieczorem czas i ochotę, żeby zjeść ze mną kolację?

- Tak! O mój Boże! Z radością!

- Mam spotkanie o osiemnastej, więc może przyjdę po ciebie, kiedy skończę?

- Fantastycznie! Pozwól, że podam ci adres studia Gilles'a. Będziemy tam przeglądać fotografie z mojego wyjazdu. Nie jestem pewna, jak długo nam to zajmie, ale zawsze możesz dołączyć i nam pomóc - przynajmniej powiesz, jak ma na imię każdy pies na zdjęciach...

- Brzmi nieźle! Tak się umówmy.

- Doskonale!

- W takim razie... - westchnął. - Śpij dobrze.

„Teraz na pewno będę!”, pomyślałam. Pozostało mi jedynie dostać się do drugiego hotelu.

Jadąc windą, rozważałam, czy powinnam się oficjalnie wykwaterować. A co, jeśli ON jednak wróci? Nie chcę go pozbawiać pokoju, za który sam zapłacił.

- *Oui, madame?* — zapytała recepcjonistka. Widziała, że się waham.

- Czy mężczyzna, z którym tu przyszedłam, powiedział coś, zanim wyszedł?

- Nie widziałam, żeby wychodził. Oczywiście. No jakże by inaczej...

- Więc nie ma żadnych wiadomości do pokoju numer 409? -Nie.

- W porządku. Proszę, oto klucz.

- *Merci.*

- Pokazywał mi tylko światła na silosie z ziarnem w porcie. Przytaknęła. Na pewno już to kiedyś słyszała. Otworzyła mosiężne drzwi i wyszłam. Powiało wieczornym

chłodem, ale ten podmuch sprawił mi przyjemność. Był taki... oczyszczający. Szłam do mojego hotelu, przypominając sobie, w jaki sposób zaczęłam dzień. Rano ogarniała mnie melancholia, ale teraz miałam tyle rzeczy, których nie mogłam się już doczekać! Czułam się szczęściarą. Prawdziwa randka z Jacques'em. Ciekawe, dokąd mnie zabierze? Zresztą to nieważne. Wystarczy, że będę w jego towarzystwie...

Układałam się już do snu, kiedy usłyszałam wycie syren alarmowych. Jednak nie chciało mi się nawet sięgać po zatyczki do uszu - miałam tak szampański nastrój, że zawodzenie alarmu brzmiało dla mnie jak najśłodsza kołysanka...

Na śniadanie zjadłam owsiankę i napiłam się zielonej herbaty. Zostało mi jeszcze pół godziny do spotkania umówionego z Annique, więc w postanowiłam jeszcze rzucić okiem na różowy budynek, który zaintrygował mnie poprzedniej nocy. Z informacji zawartych w moim przewodniku wywnioskowałam, że to Musée de L'Amérique Française - najstarsze muzeum w całej Kanadzie. Mieściło się w gmachu seminarium albo wydziału teologii.

Wyszłam na dwór pełna entuzjazmu, ale mijając Hotel Clarendon, poczułam wyrzuty sumienia z powodu Mala - jak nazwała go Laurie podczas naszej porannej rozmowy. Życzyłam sobie, żeby go już więcej nie zobaczyć, a jednocześnie miałam nadzieję, że jeszcze kiedyś na niego trafię. Dziwne rozdarcie.

- Nie zdziwię się, jak będziesz z nim wracać samolotem do Anglii.

- Och, przestań! Nie wytrzymałabym, gdyby przebrał się za stewardesę.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że mu uległaś. „Chodź, pokażę ci moją zorzę polarną” - co za tekst na podryw! Gorsze niż zaproszenie do obejrzenia kolekcji znaczków.

- Wiem, wiem.

Poczułam się trochę podle z powodu poprzedniej nocy. Gdybym wiedziała wcześniej, że zadzwoni do mnie Jacques i zaproponuje mi kolację, nie bratałabym się z Malem, tylko zjadła zapiekankę i szczęśliwa poszła spać.

Skręciłam za róg i stanęłam jak wryta.

Przed budynkiem stał kordon policji, a w pobliżu kręcili się dziennikarze telewizyjni.

Rozpoznałam jednego z funkcjonariuszy i natychmiast schowałam się za winkiem. Nie chciałam, żeby mnie zobaczył i pomyślał, że szukam sensacji i zawsze jestem świadkiem jakiegoś przestępstwa. Zapatrzyłam się w okno hotelu Clarendon. W okno, w którym sama stałam jeszcze kilka godzin wcześniej. Zaczęłam żałować, że w ogóle odzywałam się do recepcjonistki. Inaczej nie dowiedziałaby się, że Mai wymknął się z budynku niezauważony i zniknął w ciemności nocy. Dotarło do mnie, że właśnie teraz mógł znajdować się gdzieś w pobliżu. Na samą myśl przeszedł mnie dreszcz.

Nie wiedziałam, co począć. Uznałam więc za najlepsze rozwiązanie niepozorny powrót do recepcji mojej oberży.

- Rety! Ale zamieszanie! - Wzdrygnęłam się niewinnie. - Wie pani może, co tam się stało?

- To była... - Recepcjonistka pstrykała palcami, szukając odpowiedniego słowa.

- Kradzież z włamaniem? - zapytałam swoim najbardziej przerażonym tonem.

- **Out.**

- Co zabrali?

- W muzeum znajdowała się kolekcja pierścieni biskupów. Unikatowa biżuteria. Bardzo cenna.

Świetnie, więc teraz jest złodziejem klejnotów.

Recepcjonistka poinformowała mnie również, że w pobliżu promu została aresztowana niewłaściwa osoba - ktoś celowo wprowadził w błąd policję.

Poczułam, że zaraz zemdleję. Musiałam się położyć. Już ślaniałam się w stronę schodów, gdy dziewczyna z recepcji powiedziała:

- Mam dla pani jeszcze jedną przesyłkę.

„Och, nie”, głośno przełknęłam ślinę. Wcale nie chciałam jej otrzymać. Bałam się, że jeszcze bardziej się pograżę.

Stałam jak sparaliżowana i zastanawiałam się, żeby od razu spakować swoje rzeczy i wylecieć z Kanady wcześniej, byle tylko uniknąć dalszych komplikacji - ale jak mogłabym ominąć randkę z Jacques'em? Sama myśl o nim sprawiała, że topniałam od środka jak serek brie...

Poza tym nabrałam pewności, że niepotrzebnie się martwię. Mai na pewno nie chciałby mnie wciągnąć w tarapaty. Spacerowaliśmy. Rozmawialiśmy. Fajnie spędziliśmy czas. Zdążyliśmy się nawet trochę zakumulować. O Boże! Czy ja miałam być jego alibi?

„Nie, panie komisarzu. Byłem w tym czasie w pokoju 409 razem z Kristą Carter. Proszę ją zapytać”. Wtedy dodatkowo posypałoby się wszystko z Jacques'em.

- Proszę bardzo. - Recepcjonistka wręczyła mi pudełko owinięte folią bąbelkową.

- Dziękuję. - Wymusiłam uśmiech i pobiegłam z pudełkiem na górę, jakby zawierało tykającą bombę.

Przez długi czas nie mogłam się zdobyć, żeby otworzyć paczkę.

- Musisz! - nalegała Laurie.

- Tak sądzisz? Może odniosę ją do recepcji i poproszę, żeby powiedzieli, że nigdy jej nawet nie odebrałam, a potem zmieniałabym hotel...

- Znowu?

- A może wrócę do Lodowego Hotelu?

- Tak, na bank chcesz właśnie TAM się z nim spotkać w środku nocy.

- Celna uwaga. - Wzdrygnęłam się.

Wyobraziłam sobie, że uciekam przed nim owinięta śpiworem jak podczas wyścigu w workach.

- Śnieg zasypałby twoje ślady, nie pozostawiłabyś po sobie żadnego znaku...

- Dobra, już dobra. - Podałam się i zaczęłam rozrywać folię.

- Posłuchaj, jeśli dobrze dzisiaj rozegrasz sytuację, możesz wyładować na noc u Jacques'a. A gdzie będziesz czuć się bezpieczniej niż u niego?

- Nigdzie - przyznałam.

Nawet ktoś tak przebiegły jak Mai nie miałby szans z prawie setką husky, samojedem i owczarkiem niemieckim, który zresztą już zna jego zapach.

- Uważasz, że powinnam mu powiedzieć?

- Co - że poszłaś na obiad z wrogiem? Czy że wynajęłaś z nim pokój w hotelu na noc?

Och, psiakość! To nie brzmiałoby dobrze...

- Więc mam udawać, że prowadziłam dochodzenie na własną rękę? Że chciałam poznać jego tożsamość?

- Otworzyłaś w końcu to nieszczęsne pudełko? -Nie.

- Jeśli chcesz, żebym przy tym była - musisz to zrobić w tej chwili. Za pięć minut mam konferencję z agencją turystyczną z Miami.

- Z Florydy... - wymamrotałam. - Może mieliby tam miejsce na azyl dla świadka przestępstwa?

- Krista!

- Okej. - Usiadłam na łóżku. - Już...

Zdjęłam do końca folię i ostrożnie odchyliłam wieko granatowego pudełka.

- O mój Boże.

- Co to jest?

- O mój Boże.

- Racica łosia czy co? - Laurie skrzeczała zniecierpliwiona.

- To jeden z pierścieni skradzionych z muzeum. Głośno nabrała powietrza.

- Jak wygląda?

- Jest piękny - jasny ametyst osadzony w szczerym złocie.

- Czy to prezent?

- Czeka, tu jest jakaś karteczka.

Rozwinęłam zmięty papier. „Wymienię resztę kolekcji za ten adres e-mailowy”.

- Jaki znowu adres? Wcisnęłam się w oparcie.

- Umówiłam się z nim, że zdradzę mu rozwiązanie, jak ma sobie poradzić ze swoim hiperaktywnym mózgiem i poskromić chęć życia na krawędzi.

- I co to jest?

- To ma związek z Cirque du Soleil. Jest taki program charytatywny fundacji One Drop... Wszystko jej opowiedziałam.

- I co, masz nadzieję, że zejdzie na dobrą drogę?

- Myślałam tak, zanim zdałam sobie sprawę, że jest stuknięty. Nie chcę im polecać psychopaty.

- A jeśli wcale nie jest świrem? Może ma za dużo pieniędzy i nie wie, co z nimi zrobić?

- Też tak sądziłam - westchnęłam. - Co mam teraz zrobić?
- Dokonaj wymiany.
- Serio?
- Serio. Ale oczywiście w miejscu publicznym.
- Na karteczce prosi o spotkanie przy okazji skijóringu na Karnawale.
- A czym, u licha, jest ten cały skijóring?
- Nie mam pojęcia, ale chyba się dowiem. - Zawiesiłam się oszołomiona i po chwili głośno przełknęłam ślinę. - Myślisz, że jestem w niebezpieczeństwie?
- Weź ze sobą Annique - doradziła Laurie.
- Nie wiem, czy ona nadaje się na ochroniarza.
- Przynajmniej masz gwarancję, że każdy będzie się na nią gapił. Dzięki temu zapewnisz sobie wielu świadków.
- Och, to rzeczywiście bardzo pocieszające.
- Posłuchaj, naprawdę mi się wydaje, że on po prostu szuka wrażeń. Nie ma złych zamiarów. A co ty o tym sądzisz?
- Już się pogubiłam.
- Myślę, że zrobił to, żeby ci zaimponować.
- Po co miałby chcieć mi zaimponować? Jestem nikim.
- Tacy ekscentryczni goście lubią mieć publikę.
- Ale dlaczego ja, Laurie?
- Sama zawsze o sobie mówisz, że jesteś życiowym obserwatorem. Że jesteś ciekawa świata i ludzi. Podejrzewam, że on ma tego świadomość. Wybrał cię, bo był przekonany, że cię może zaintrygować.
- Usiadłam i schowałam twarz w dłoniach.
- Muszę lecieć - oznajmiła Laurie.
- Wiem, kochana. Udanego spotkania!
- Tobie też!

To wprost nierealne. I nawet więcej niż przerażające. Czy właśnie takie rzeczy się dzieją, kiedy oczekuje się czegoś od życia?

Półprzytomna przymierzyłam pierścień. Biskupi musieli mieć kiedyś bardzo małe dłonie, bo klejnot pasował na mój palec idealnie.

Poszłam do łazienki i podziwiałam przed lustrem najdroższy wyrób jubilerski, jaki kiedykolwiek na sobie miałam.

Szkoda, że to kradzione. A teraz jeszcze są na nim moje odciski palców. O Boże! I w dodatku nie mogę go zdjąć! Co robić? Annique będzie tutaj lada chwila...

Usłyszałam pukanie do drzwi. A jeśli to policja?

- *Allo?* - z jakiegoś powodu postanowiłam zapytać z francuskim akcentem.

- *C'est moi!* - zaszczębiotała Annique. - Gotowa na nasze ostatnie szaleństwa?

- Jeszcze minutkę!

Jedyne, co przyszło mi do głowy, to zakryć pierścioneń najgrubszą rękawiczką, jaką znalazłam. Miałam tylko nadzieję, że moja dłoń skurczy się na mrozie, a wtedy swobodnie zdejmę go z palca.

Żałowałam najbardziej, że włożyłam go akurat na palec serdeczny...

- Wszystko w porządku? - spytała zaniepokojona Annique.

- Tak, tak. Yyy... Nie wiesz przypadkiem, o której odbywa się skijóring?

Sprawdziła w harmonogramie.

- Właśnie się zaczyna.

- Możemy pójść od razu tam?

- Nie ma sprawy.

Byłyśmy już w połowie drogi na szczyt wzniesienia, kiedy zapytałam:

- Co to właściwie jest? Na czym polega ta dyscyplina?

Oczywiście to jedna z tych karnawałowych atrakcji, które wymagały najwięcej odwagi - rozpędzony koń ciągnął narciarza, który wykonywał slalom i ewolucje w powietrzu przy maksymalnej prędkości. Najwidoczniej jazda konna i narciarstwo samo w sobie nie były wystarczająco niebezpiecznymi aktywnościami sportowymi...

Jak tylko usłyszałam opis, miałam pewność, że Mai nie wcieli się w rolę biernego obserwatora. Zastanawiałam się tylko, czy będę w stanie go rozpoznać, kiedy założę gogle. Chociaż dlaczego ja się o to martwiłam? On sam zawsze mnie znajduje.

Dotarliśmy na Równinę Abrahama. Pierścionek ciągle nie chciał zejść. Wiedziałam, że gdybym zdjęła rękawiczkę, zimne powietrze pomogłoby skurczyć się mojej dłoni, ale nie mogłam tego zrobić - wszędzie kręcili się policjanci! Jak mogłabym wystawić na widok skradziony klejnot?

Za każdym razem, gdy mijali nas funkcjonariusze, robiło mi się tylko goręcej. Co, do diabła, miałam zrobić? Może poprosić Mała, żeby przyczepił do niego sznurek i pociągnął, zjeżdżając ze stoku z prędkością 70 km/h? To by się skończyło albo utratą palca, albo włókłby mnie przez całą długość górki. Najbardziej przydałoby mi się masło.

Wtedy dostrzegłam szyld straganiku z wypiekami Queues de Castor.

- Ogony bobra! - krzyknęłam.

- Próbowalaś już? Są przepyszne. - Annique podzielała mój entuzjazm.

- Ugryzłam kawałek któregoś dnia i przyznam, że zadowoliliby mnie nawet sama polewa z masła klonowego...

- Wrócimy tu od razu po skijóringu.

- Ale ja chcę teraaaz...!

Annique zmarszczyła nos, widząc moją desperację.

- Okej... Tylko uważaj, żebyś znowu nie wysmarowała całej kurtki lepką mazią...

- Trafna uwaga - powiedziałam, odbierając łakocie od sprzedawczyni z kramiku.

Odwrociłam się od tłumy, zdjęłam rękawiczki i wepchnęłam je do kieszeni. Następnie - choć wiedziałam, że to obrzydliwe - zanurzyłam całą lewą rękę w maślanej polewie podanej w kubeczku do ciastek.

- No dalej, złaź!

Mocowałam się z pierścionkiem.

Jęknęłam głośno, kiedy w końcu udało mi się zsunąć klejnot z palca - z tym, że pierścień wystrzelił i wylądował prosto w zaspie.

- Niiieeee! - Upadłam na kolana i zaczęłam desperacko szukać go w śniegu.

Musiałam zdążyć, zanim uczestnicy Karnawału stratują mnie i obryzgają błotem.

- Szybko, szybko! Pokaż się!

- Czy tego właśnie szukasz? - Annique trzymała pierścień tuż przed moim nosem.

- Tak! - Wydyszałam i wyrwałam jej ozdobę z ręki. - Jezu, dzięki! Całe szczęście - to rodzinna pamiątka. Miałabym kłopot, gdybym ją zgubiła.

- Doprawdy? Bo wygląda dokładnie jak pierścionek z pierwszych stron dzisiejszych gazet.

Spojrzałam na nią tępo, niezdolna, żeby wykrztusić choć słowo.

Zawiesiła wzrok na moich obklejonych masłem rękach i powiedziała powoli:

- Jeśli dam ci wilgotną chusteczkę, opowiesz mi, co tu się wyprawia?

Zdecydowałam, że jednak wytrę dłonie i powiem całą prawdę. Głównie dlatego, że w ciągu tak krótkiego czasu nie byłam w stanie wymyślić odpowiednio przekonujących argumentów - poza tym prowadziłam Annique prosto do paszczy lwa. Ku mojemu zaskoczeniu była zupełnie niewzruszona.

- Czy to on? A może ten? - zasypywała mnie pytaniami, gdy znalazłyśmy się na terenie narciarskich rozgrywek. - Gdybym tylko zobaczyła brodę!

- Och, state dzieje. Już dawno nie ma dołączka. Obserwowałyśmy, jak jeden z uczestników (w żółto-szarym kombinezonie) dojechał do końca trasy, a do rozpoczęcia zmagania szykował się już kolejny - ubrany na czerwono. Nie zareagowałam, dopóki nie wystartował następny zawodnik. Dostrzegłam szczególny ametystowy błysk na tle jego czarnego uniformu...

Nie zdobyłam się, żeby krzyknąć „To on!”, tylko w skupieniu i z kołatającym sercem podziwiałam, jak płynnie szusował i skakał, podciągając kolana pod samą klatkę piersiową; z finezją, a trochę od niechcenia. Tłum szalał i wiwatował. Dałabym słowo, że nawet zasalutował mi i Annique, gdy przy nas zakręcał. Imponujące. Z taką kondycją i sprawnością fizyczną idealnie wpasowałby się do grona ludzi z Cyrku Słońca - pod warunkiem że wcześniej nie da się wpakować za kratki.

-1 co teraz?

- Chyba powinnam trochę się oddalić. Tu jest za dużo ludzi.

- W porządku. - Annique kiwnęła głową. - Poczekam tutaj na ciebie.

Nigdy nie czułam się bardziej zakłopotana, niż gdy szłam w stronę konnej zagrody. Nie wiedziałam, na czym skupić wzrok - rozglądałam się gorączkowo, szukając Mała, policjantów, a nawet Jacques'a, który zazwyczaj pojawia się w najbardziej odpowiednim momencie, lecz wtedy wołałam na niego nie trafić... Nie mogłam się doczekać spotkania przy kolacji, ale gdyby napatoczył się wcześniej...

Wtedy wreszcie wypatrzyłam narciarza z ametystowym błyskiem. Szedł prosto do mnie. Żołądek już podchodził mi do gardła, ale zatrzymał się w połowie drogi - było coś obcego w jego chodzie. Poza tym miał za luźne ubranie...

Nagle zdjął gogle, a ja ujrzałam zupełnie inną parę oczu. Wiedziałam, że Mai jest mistrzem kamuflażu, ale żeby z dnia na dzień zmieniać rasę? Musiał używać efektów specjalnych! Otworzyłam usta, żeby mu coś powiedzieć, ale zupełnie mnie zignorował i poszedł dalej. Tego się nie spodziewałam.

Już zupełnie straciłam orientację. Chciałam się odwrócić i dać Annique sygnał, że się pomyliłyśmy, gdy nagle usłyszałam rzenie.

- Zamieniłeś się! - wydyszałam z trudem, widząc Mała siedzącego na koniu.

- Pomyślałem, że tym razem lepiej mieć wbudowany pojazd do ucieczki - powiedział, badając teren. - Masz dla mnie obiecaną kartkę?

Przytaknęłam.

- Masz biżuterię? - Z trudem do mnie docierało, że mówię to naprawdę, ale to było moje życie!

- Mam. Gotowa na wymianę? - zawahał się chwilę, odchylił na siodle i położył dłoń na biodrze jak dandys. - Wiedziałaś, że ametyst miał chronić przed upiciem się?

- Słucham?

- Serio. Nie byłoby chyba nic gorszego niż pijany biskup...

- Oj, daj już spokój - narzekałam. - Boli mnie od tego głowa. Zaśmiał się i rzucił w moją stronę aksamitny woreczek. Nie był

taki ciężki, jak się spodziewałam. Pewnie dlatego, że to wcale nie były klejnoty, tylko landrynki! Spojrzałam na niego zdezorientowana.

- O co chodzi?

- Och, panno Carter... Naprawdę myślałaś, że ja za tym stoję?

- A nie?! - Sama nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć. Zadarł nos.

- Wydaje mi się raczej, że ktoś chciał wykorzystać moją kiepską opinię i obarczyć mnie swoim dużo większym przestępstwem.

- Jak to miałyby się w ogóle udać?

- Przecież nie trzeba było cię długo przekonywać, żebyś uwierzyła w moją winę.

- Bo mi to wysłałaś! - Pokazałam mu pierścioneł.

- To podróba. Tylko się z tobą droczyłem. Przewróciłam oczami z irytacją.

- Naprawdę nie masz nic ciekawszego do roboty?

- Zdecydowanie nie - stwierdził z uśmiechem. - Chyba staniesz się moją ulubioną ofiarą.

Wzięłam potężny wdech. Pragnęłam razem z powietrzem wypuścić całe napięcie, które się we mnie wytworzyło. Spojrzałam na niego i po chwili namysłu powiedziałam:

- Te wszystkie żarty to musi być coś więcej niż wynik nudy. Zmrużył oczy i odparł z zawadiackim uśmieszkiem:

- Czuję, że nadchodzi kolejna z twoich wielkich teorii.
- Po prostu pomyślałam, że skoro twój ojciec nie ustalił żadnych granic, musisz przetestować najwyższy autorytet - prawo.
- Gdyby była teraz przy mnie moja terapeutka, zamieniłbym ją na ciebie. Jesteś znacznie lepsza.

Nie mogłam się powstrzymać od chichotu. Jednak po chwili spoważniałam i wręczyłam mu zwinięty kawałek papieru.

- Mimo wszystko chciałabym, żebyś to przyjął. I zaczął wykorzystywać swoje supermoce w dobrych celach.

- W przeciwieństwie do tych nikczemnych? — zadrwił.

- Nie uważam, że jesteś złym człowiekiem. Zwyczajnie brakuje ci celu w życiu. Serio myślę, że to może być odpowiedź na twoje potrzeby. Obiecuj mi, że przeczytasz każde słowo na stronie, zanim ocenisz ją i mój pomysł.

Próbował zabrać mi świstek, ale cofnęłam rękę.

- Najpierw obiecuj.

Odczekał chwilę, żeby dać mi do zrozumienia, że przemyślał sprawę, aż w końcu wycedził:

- Obiecuję.

- Naprawdę możesz przyczynić się do zmiany.

- Mogę? - Nie wyglądał na przekonanego. - Niby dlaczego?

- Ponieważ masz bujną wyobraźnię, polot, zamiłowanie, jesteś kreatywny i wiesz, jak ominąć podstępne przeszkody, i jesteś bystry, i możesz się być kimkolwiek, kto będzie potrzebny do wykonania porządnej roboty. I niczego się nie boisz. I wiesz, co jeszcze?

- Co takiego? - zapytał poważnym tonem.

- Możesz stać się kimś, kogo sam będziesz podziwiał. Ciągle milczał i siedział bez ruchu.

- I jeszcze! - kontynuowałam. - Możesz się zakochać w białoruskiej akrobatce!

W końcu go rozbawiłam.

- Naprawdę? - zapytał i patrząc mi w oczy, pochylił się tak, że jego twarz znajdowała się na wysokości końskiej grzywy. - Kri-sta, prawie pomyślałem, że we mnie uwierzyłaś.

W jego głosie było coś tak kruchego, że moje oczy od razu się zaszkliły.

- Wierzę w ciebie - odparłam łagodnie, a po moim policzku spłynęła łza.

Wyciągnął rękę i delikatnie złapał mnie za palec.

- Jedna kropla.

Mrugnęłam na niego zaskoczona. Już wiedział? Wzruszająca chwila została przerwana przez zniecierpliwionego konia, który zaczął się szarpać i trząść głową.

- Idą po mnie.

Krzyknął dla otuchy jak kowboj i pognał w dal na swoim rumaku...

Wróciłam do Annique. Ciągle nie mogłam się otrząsnąć, ale wszystko jej opowiedziałam.

- Więc jest niewinny?

- Aż tak dobrze bym go nie oceniała. W każdym razie to nie on ukradł biżuterię.

- Hmm... - zamyśliła się. - Dużo hałasu o nic.

- Nie do końca o nic. Przynajmniej będę mogła zatrzymać pierścione!

- Och, tak! - Zaśmiała się. - Ale lepiej go nie zakładaj, dopóki nie wrócisz do Londynu.

Zadzwoił telefon Annique. To Coco zapomniała czegoś do szkoły.

- Chcesz wrócić do domu i jej to zawieźć?

- Cóż, mamy jeszcze tyle do zobaczenia w ramach Karnawału.

- Dam sobie radę sama, naprawdę! Jedź! Spotkamy się później w pracowni Gilles'a.

- Skoro jesteś pewna.

- Oczywiście. I daj jej, proszę, ten worek słodczy.

- *Merci, merci!*

- Jeszcze jedna szybka rzecz. - Złapałam ją za ramię. - Ciągle masz kartę wstępu do ekskluzywnej części Hiltona?

- Niestety nie, ale jeśli szukasz pokoju ze świetnym widokiem — nie musisz się trudzić. Idź do Obserwatorium, ze szczytu zobaczysz wszystko. Albo do Loews, jeśli masz ochotę na drinka.

- Czy chodzi o miejsce z obrotową restauracją? Kiwnęła głową.

- Kupuję to.

Podobała mi się perspektywa małej rewolucji, która paradoksalnie uspokoiłaby myśli szalejące w mojej głowie. Po przekroczeniu progu LAstral czułam się trochę niepewnie

- ten okrągły lokal okazał się bardziej wyszukany, niż sądziłam. Wśród - ewidentnie zamożnych - i wymuskanych gości byłam jedyną turystką z rumianymi od wiatru policzkami i czerwonym nosem.

Jednak widok roztaczający się za oknami prezentował się zbyt spektakularnie, żebym mogła tak po prostu opuścić restaurację. Z góry wszystko wyglądało jeszcze bardziej fascynująco niż pierwszego dnia mojego pobytu w Quebecu - tym razem dodatkowo mogłam podziwiać z lotu ptaka Równinę Abrahama, a więc i cały teren Karnawału.

Wodziłam wzrokiem od głównego wejścia do diabelskiego młyna, potem od namiotu bistro do toru saneczkowego, następnie w stronę miejsca, gdzie odbył się skijóring i w końcu aż za ogromne lodowisko, na terenie którego Annique i Gilles nauczyli mnie jeździć na łyżwach. Nigdzie jednak nie wypatrzyłam Mała, a bardzo chciałam wiedzieć, czy wszystko u niego w porządku. Kilka razy wydawało mi się, że go namierzyłam, jednak były to fałszywe alarmy. Wyjęłam telefon i przeczytałam lokalne wiadomości - może kogoś już schwytano albo oskarżono? Może policja ma na oku podejrzanego?

Jeszcze nie.

To chyba dobrze. Tak sądziłam. Taką miałam nadzieję.

Minęło kilka minut. Rozejrzałam się ponownie. Sprawdziłam nowe wiadomości. Dalej nic. W końcu wpisałam w wyszukiwarkę hasła „ametyst” i „pijaństwo” i o dziwo wyskoczył link, który potwierdził ciekawostkę Mala - rzeczywiście nazwa tego purpurowego kamienia pochodziła od greckiego słowa *amethystos*, czyli „nie pijany”.

Rozgościłam się w restauracji. W jednej dłoni trzymałam koktajl, w drugiej ścisnęłam pierścień i obserwowałam delikatnie i stopniowo zmieniającą się scenerię. Powoli zaczęłam się oswajać z myślą, że mogę go już nigdy więcej nie zobaczyć.

Zaszło słońce.

Dzień się skończył, ale to noc należała do mnie. I do Jacques'a. Od spotkania dzieliła mnie jeszcze wizyta w studio Gilles'a...

Nie spodziewałam się czegoś więcej niż klikanie strzałką do przodu i pobieżne przeglądanie zdjęć przesuwających się na monitorze komputera, ale okazało się, że Gilles jest pasjonatem starych metod i tradycyjnej fotografii. Przygotowywał je cały tydzień, najładniejsze - jego zdaniem - wywołał, powiększył i powiesił na sznurku, przymocowane drewnianymi spinaczami.

-Ty tak na poważnie? - Zaśmiałam się, wchodząc do pracowni.

- To bije na głowę ślęczenie nad komorą bezcieniową - stwierdził z uśmiechem. - Chociaż i tak będziemy to robić!

- Nie ośmielę się nawet zapytać, ile zrobiłeś... Na każdej wolnej powierzchni leżały sterty zdjęć.

- Trochę je poprzerabiałem - te, które by ci się nie spodobały: ze zmarszczkami przy oczach, z podwójnym podbródkiem...

- Dobrze, dobrze! - Uciszyłam go. - Czasem lepiej, żeby fotografie mówiły za ciebie. Nie musisz się tłumaczyć.

- Od czego chciałabyś zacząć?

- Od początku oczywiście!

Gilles zabrał mnie więc na wycieczkę w technicolorze - retrospekcję z mojej podróży. Od Lodowego Hotelu przez śnieżne rzeźby, potem zjazd pontonem Tornado, wizytę w chatce pełnej słodczy i lepkich lizaków. Nie miałam pojęcia, że Gilles uwiecznił moment, gdy odurzona Caribou łąpczywie częstowałam się fondue... Potem była przejażdżka zaprzęgiem, cudowne chwile z puchatymi szczeniaczkami, rajd po sklepach, lunch w knajpce. Następnie obejrzałam swoje zmagania jako modelka Bonhomme'a w oryginalnym bikini i szaleństwa Śnieżnej Kąpieli... Tyle wspomnień, które chowałam w głowie - teraz w namacalnej formie! Jako piękne kolorowe zdjęcia.

- Czekaj! Cofnij!

- Do meczu w piłkę?

- Tak, tak. Mógłbyś dać zbliżenie na tego mężczyznę?

Mai. Oczywiście w przebraniu, ale to był bez wątpienia on. Nie miałam pojęcia, że Gilles nieświadomie go uchwycił. Ucieszyłam się, że będę miała na pamiątkę miniaturkę jednego z jego wcieleń. Choć akurat to był moment przed tym, jak poszczułam go owczarkiem Niko...

- Gotowa na kolejne?

Gilles pokazał mi serię uspokajających widoków z promu, a potem znajome wnętrza z wilczymi narzutami i wielkim kominkiem...

- Kiedy pojechałeś do Wendake? - zapytałam zachwycona. Udało mu się cyknać doskonale ujęcia hotelu Pierwszych Narodów. Uwiecznił nawet misternie zdobione artystyczne zastawy!

- Kiedy ty byłaś w Montrealu - odparł - Annique powiedziała, że jest godne sfotografowania.

- To prawda - przyznałam i spojrzałam na niego z ukosa. -A jak ci się z nią układa?

- Z Annique? - Wyglądał na zakłopotanego.

- Możesz mi przecież powiedzieć. Chcę, żeby była szczęśliwa.

- Nie o to chodzi - westchnął. - Tylko... -Tak?

- Jest perfekcyjna. W każdym calu.

- To naprawdę straszne. Biedaczysko z ciebie! - Przewróciłam oczami.

- Oprócz...

Oho, masz babo placek. „Oprócz?”.

- Nie wiem, czy jestem gotowy, żeby zostać ojcem. To duży krok. Zapytała, czy chciałbym poznać w weekend Coco, ale nie wiem, czy to dobry pomysł - westchnął ciężko i zaczął trzeć brwi. - Chodzi o to, że mam dopiero dwadzieścia trzy lata, moja kariera ciągle się rozwija...

- Poczekaj. - Położyłam dłoń na jego ramieniu. Chyba się przesłyszałam. - Masz dwadzieścia trzy lata? Jak to w ogóle możliwe?

- Jak to możliwe?

- Myślałam, że jesteś grubo po trzydziestce!

- Cóż, może za mało ostatnio spałem...

- Nie dlatego, że mizernie wyglądasz! Powiedziałeś, że przez dziesięć lat pracowałeś jako model, a potem kolejne sześć jako fotograf...

- To prawda. Byłem dziecięcym modelem. Zacząłem w wieku siedmiu lat, a potem jako nastolatek mocno zainteresowałem się fotografią...

Opadłam na krzesło. To był dla mnie szok. I zobaczyłam całą sytuację w zupełnie nowym świetle.

- Annique o tym wie?
 - Wie, że jestem młodszy. Ale nie wie dokładnie ile.
 - Chyba tutaj tkwi twoje rozwiązanie. Jeśli ją uświadomisz, automatycznie inaczej spojrzysz na wasz związek.
 - Tak sądzisz?
 - To przecież nie znaczy, że przestanie cię lubić. Po prostu przemyśli swoją przyszłość.
 - Więc mam jej powiedzieć prawdę?
 - Szczerze - to najlepsza polityka — doradziłam, chociaż sama nie zawsze praktykowałam właśnie tę metodę. - Podejrzewam, że przystopuje trochę w sprawie Coco, da wam więcej czasu. Sami zobaczycie, jak sprawy się potoczą.
- Zgarbił się lekko.
- Brzmi w porządku. Dziękuję ci - mówiąc to, położył mi rękę na ramieniu.
 - Puk, puk!
 - Jacques! - Rozpromieniłam się na jego widok.
- Sam wyglądał podejrzanie wesoło. Podeszliśmy do siebie, szeroko się uśmiechając, jednak ciągle nie byliśmy pewni, jakie powitanie będzie właściwe.
- Wtedy spostrzegł serię zdjęć z psami. Trudno orzec, czy powiedział „moje psy”, czy „moje dzieci”, ale w jego przypadku to synonimy.
- Jutro ich wielki dzień.
 - Bierzesz udział w wyścigu? Przytaknął.
 - Tego właśnie dotyczyło moje spotkanie. Przed chwilą potwierdziłem swój udział.
 - Och, Jacques! - Przytuliłam go. - Tak się cieszę! Będziecie biec przez miasto?

- Jeśli uda ci się zająć miejsce przy Chateau Frontenac, będziesz mogła zobaczyć zarówno nasz start, jak i finisz.

Gilles podniósł kciuki do góry. Na chwilę powstrzymałam entuzjazm i zapytałam dla pewności:

- Czy w dalszym ciągu masz czas na kolację? Spojrzał na mnie nieśmiało.

- Jeśli chcesz, mogę coś dla ciebie ugotować. Pewnie jesteś już zmęczona ciągłym stołowaniem się w restauracjach.

- Wspaniale, bardzo chętnie! Przejrzemy jeszcze zdjęcia krajo-
brazów i gotowe.

- Super. Mogę się rozejrzeć?

- *Biensur.* — Gilles pozwolił mu się rozgościć.

Trzeba przyznać, że miejskie pejzaże i zarysy Karnawału były zachwycające. Niezwykle podobał mi się sposób, w jaki Gilles obierał jakiś obiekt za centralny punkt, a tła używał jak refrenu dla gwiazdy, na której skupiała się cała uwaga. I efekt z zaokrąglonej soczewki prezentował się zjawiskowo. Wszystkie te zdjęcia miały w sobie dużo życia i osobowość. Zanosilo się na to, że Va-Va-Vacation! umieści najlepszą jak do tej pory galerię.

- Świetna robota, Gilles - przyznałam. - Powinieneś w ten sposób zarabiać na życie.

Przez chwilę spojrział na mnie zmieszany, jakbym dosłownie miała to na myśli. Po dniu pełnym napięcia potrzebowałam tego typu żartów, żeby się rozluźnić. Ale Gilles'a to odrzuciło. Więc i ja poczułam się gorzej z tą świadomością. Po chwili usłyszałam trzaśnięcie drzwi. Rozejrzałam się, ale Jacques'a już nie było.

- Dokąd on poszedł?

- Myślisz, że stał się zazdrosny z naszego powodu? Schyliłam się po zdjęcia, które upuścił na podłogę, zanim wybiegł, i mnie zmroziło.

O nie.

Odwróciłam się do Gillesa.

- Usuwasz podwójne podbródki, a takie rzeczy zostawiasz na widoku?

To były zdjęcia uwieczniające nasz pocałunek w Hotel de Glace. Wokół wirowały pióra z poduszek. Gilles zakrył usta teczką.

- Chciałem ci je pokazać, a potem odłożyłem je na bok. P-przepraszam...

- Oszalałeś? - wybuchłam. - A co, jeśli Annique by je zobaczyła? Wyobrażasz sobie, jak by zareagowała?

- Jak bym zareagowała na widok czego?

Stała dokładnie za mną. Zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, wyrwała mi zdjęcia z rąk.

Byłoby całkiem na miejscu, gdyby spoliczkowała Gilles'a albo zaczęła go okładać pięściami, jednak tego nie zrobiła. Zamiast tego zwróciła się do mnie:

- Czy to trwa od momentu waszego spotkania w Lodowym Pałacu?

- Nie! — zachnęłam się. - To był tylko jeden, dziwny moment.

- Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami.

I wyszła.

Przez chwilę staliśmy z Gilles'em jak sparaliżowani. To było gorsze niż pamiętne pozbawienie głowy śnieżnej rzeźby.

- Idę za nią.

- Pospiesz się!

- Zamkniesz za mnie drzwi? -Tak! Tylko biegnij już!

Usiadłam, bo miałam nogi jak z waty. Zrzuć te wszystkie związki w ciągu zaledwie kilku minut...

Wyjęłam telefon, żeby zadzwonić do Jacques'a, chociaż wcale nie oczekiwałam, że odbierze. Może esemes byłby lepszy. Tylko co miałam napisać? „To nie tak, jak myślisz!”, „To nic nie znaczyło!” czy „To był tylko jeden raz!”?

Same puste frazesy przychodziły mi do głowy. „To się zdarzyło, zanim się poznaliśmy” mogłoby być znośnym początkiem wiadomości. Problem w tym, że skłamałam, mówiąc, że nic mnie nie łączy z Gilles'em, kiedy Jacques podejrzewał, że mu się podobam. Nie chciałam go oszukać. Po prostu uznałam, że nie ma potrzeby się przyznawać. Gdybym mu to wcześniej wyznała, pewnie nie zaprosiłby mnie na kolację.

Pisałam i kasowałam, nie mogąc się zdecydować na odpowiednią treść esemesa. Ostatecznie wysłałam:

„Przepraszam, Jacques. Te fotografie dają mylne wrażenie. Mam nadzieję, że dasz mi szansę wszystko wyjaśnić”.

Dalej nie brzmiało to najlepiej, ale zupełnie nie wiedziałam, co jeszcze można dopisać. Część mnie była przekonana, że to daremne starać się go odzyskać. Po co? Następnego dnia miałam samolot do domu. Po co miałyby sobie zawracać głowę i szarpać nerwy? Jak by nie patrzeć, bez względu na to, jak krótki był moment uniesienia z Gilles'em, to ciągle znaczyło, że tydzień wcześniej całowałam się z innym mężczyzną. To nie stawiało mnie w zbyt jasnym świetle...

Usiadłam z powrotem przy komputerze. Starłam się dokończyć selekcję zdjęć i nie dopuścić do wybuchu hysterii. Wprost nie mogła uwierzyć, że to się stało. Byłam już tak blisko spędzenia przyjemnego wieczoru z Jacques'em, a jakieś głupie foty wszystko zepsuły!

Siedziałam w studiu do oporu, ciągle mając nadzieję, że Jacques wróci. Albo przynajmniej odpisze na moją wiadomość.

W końcu do mnie dotarło, że nie chciałabym tam być, kiedy wróciliby Gilles i Annique, więc szybko zgarnęłam swoje rzeczy i napisałam Gilles'owi kartkę. Chciałam się z nim zobaczyć przy punkcie startowym wyścigu zaprzęgów. Jednak w ostatniej chwili zmieniłam zdanie - w końcu ostatnią rzeczą, jaką Jacques chciałby zobaczyć przed rajdem, byłby widok mnie i Gilles'a wśród widzów. Wyrzuciłam więc liścik i nabazgrałam nowy:

„Spotkajmy się o 11 w Starbucksie Château Frontenac”.

Co teraz?

Moje plany na wieczór wzięły w łeb, więc postanowiłam zjeść coś w restauracji mojego hotelu - La Pain Beni.

Kelnerka usadziła mnie przy muralu przedstawiającym dwie zakonnice.

- Świetne zagranie, siostró - wymamrotałam pod nosem.

Nie miałam apetytu, więc zamówiłam od razu bananowo-koniakowy deser, którym zachwycała się przyjaciółka Annique. Jednak nie byłam w stanie go zjeść. Przecież taki deser to nagroda, a ja musiałam cierpieć. Potrzebowałam pokuty. Potrzebowałam poutine!

W recepcji upewniłam się, czy nie przyszła do mnie żadna paczka, i sprawdziłam kilkanaście razy, czy nikt do mnie nie napisał - jednak odpowiedzi były przeczące. Wyszłam z obozu, minęłam hotel Clarendon, okradzione muzeum, punkt Simons i szereg sklepów, do których witryn przyklejaliśmy się podczas zakupowej wycieczki. Zrobiło mi się przykro na widok knajpki, w której Annique mnie polubiła.

Minęłam ją pospiesznie, skręciłam w stronę Côtédu Palais i oto mój cel: Chez Ashton. Brzmi szalenie szykownie i ekskluzywnie, lecz w rzeczywistości to odpowiednik restauracji typu McDonald's w Quebecu.

W menu widnieli reprezentanci szybkiego jedzenia: hamburgery, hot dogi, „pieczeń wołowa”... oraz cała paleta różnych poutine. Do wyboru były trzy wielkości porcji: normalna, mini i szczególny rozmiar - podejrzewam, że stworzono go specjalnie dla ludzi, którzy chcą spróbować, a potem się tym pochwalić, ale trochę się boją - *bébé*.

Mogłam właśnie patrzeć Jacques'owi w oczy, sącząc z kieliszka czerwone wino i delektując się „specjalnością jego zakładu”, lecz zamiast tego siedziałam sama w barze szybkiej obsługi. Niedaleko stała kanapa pełna nastolatków, którzy właśnie szykowali się, żeby pochłonąć zawinięte w rozmoknięty papier „jedzenie” przypominające raczej więzienne pomyje.

Westchnęłam ciężko i wydałam z siebie żaloszny jęk.

Smacznego!

Ku mojemu zaskoczeniu Laurie uznała mój dramat za wielce ekscytujący. Skradzione religijne insygnia! Jazda na nartach z końmi! Skandaliczne zdjęcia z sekretnej schadzki! Jednak największe wrażenie zrobiła na niej informacja, że...

- Smakowało ci poutine?!

- Nie wiem, co powiedzieć - westchnęłam do słuchawki. -Można je kochać albo nienawidzić. Jednak kiedy już ci posmakuje, stajesz się uzależniona od pierwszego kęsa. Potem ciągle za nim tęsknisz i żadne inne jedzenie nie może cię usatysfakcjonować. Zamówię zaraz kolejną porcję.

- Na śniadanie? Nabijała się ze mnie.

- Nie oceniaj, dopóki sama nie spróbujesz!

- Poprosiłabym, żebyś mi trochę przywiozła, ale te grudki sera po całej nocy w samolocie...

- A wiesz, że zgrzytają w zębach, jeśli są świeże?

- Krista - powiedziała poważnym tonem - czy ty przypadkiem nie próbujesz jedzeniem stłumić myśli o tym, co zaszło między tobą a Jacques'em? Nie muszę chyba wspominać, że to twój ostatni dzień pobytu w Quebecu.

Wsunęłam się głębiej w pościel. Jeśli nie wstanę, mój dzień się nie zacznie - logiczne.

- Co zamierzasz zrobić w tej sytuacji?

- A co ja mogę? Realistycznie - zostało mi raptem kilka godzin do wylotu, a on przez większość czasu będzie na wyścigu - prychnęłam. - Nawet jeśli udałoby mi się z nim pogodzić i wszystko wytłumaczyć, jakie to będzie miało znaczenie?

- Chyba jesteś defetystką.

- Po prostu zdałam sobie sprawę, że moje zauroczenie to zwykła fantazja. Jestem odurzona, myślę tylko o swoich uczuciach względem niego, a nie o stronie praktycznej.

- Pamiętam, że miałaś już wizję swojej przyszłości - żyłabyś na île D'Orléans, jeździła psimi zaprzęgami, wytwarzała syrop klonowy i mówiła po francusku z brytyjskim akcentem.

- Miałam.

- A co z tym biednym szczeniátkiem, które potrzebuje mamusi?

- Teddym? - westchnęłam. Przypomniałam sobie moment, gdy jego puchaty łepok wychylił się zza kurtki Jacques'a. - Chyba nikłe są szanse, że Jacques poprosi mnie, żebym została. Zdarzają się wakacyjne miłości, ale my nawet nie jesteśmy na etapie romansu.

- W jego przypadku to przecież co innego niż pijacki flirt w barze na Ibizie.

- Poczekaj, mam kogoś na drugiej linii.

- Kto dzwoni? - zapytała Laurie.

- Nie wiem, nie znam tego numeru. Zaczyna się na 514...

- Odbierz koniecznie!

- Halo? - Nie udało mi się ukryć ostrożności w głosie.

- Krista?

-Tak?

- Tu Sebastien.

- Wszystko w porządku? - Od razu pomyślałam o Jacques'u.

- Tak, chciałem cię tylko prosić o drobną przysługę.

- Mów...

- Naprzeciwko twojego hotelu stoi kościół. Możemy się tam spotkać za godzinę?

- Oczywiście...

- Wyjaśnię ci wszystko na miejscu - powiedział i się rozłączył.

- Jak myślisz, czego on może chcieć? - zastanawiała się Laurie. - I dlaczego akurat kościół?

- Nie mam pojęcia. Mam tylko nadzieję, że nie dowiedział się o zdjęciach z Gilles'em. W końcu zawsze stara się chronić brata.

- Lepiej się szykuj - ponaglała Laurie. - I na wszelki wypadek ładnie się ubierz.

- Laurie?

- Słucham?

- Jesteś taką dobrą przyjaciółką, zawsze mogę na ciebie liczyć.

- Och, nie zaczynaj!

- Ale tak jest!

- Przywieź mi butelkę Caribou i będziemy kwita. Zakładając ubrania, czułam jednocześnie stres, ciekawość i smutek. Da się jakoś odwrócić tę całą sytuację? Myśl o powrocie do Londynu stawała się nieznośna.

Czas wychodzić.

W połowie schodów natknęłam się na Annique.

- Och! - Cofnęła się o krok. - Właśnie chciałam cię odwiedzić, ale widzę, że się spieszysz.

- Mam jeszcze pięć minut - odparłam. Ale to brzmiało dosyć bezdusznie, więc postanowiłam jej wyjaśnić: - Muszę się spotkać z Sebastienem. Chce, żebym coś dla niego zrobiła.

- Sebastien? Udało ci się dogadać z Jacques'em? Potrząsnęłam głową.

- Wysłałam mu wiadomość, ale nie odpisał.

- A może jego telefon nie odbiera esemesów?

- Może. A co z tobą i Gilles'em? Już jest okej?

- Nie... - westchnęła. - Ale to nic, wyjdzie mi tylko na dobre. Ręce mi opadły.

- Annique, chcę, żebyś zrozumiała, że nawet cię jeszcze nie poznałam, kiedy to się stało. Nie wiedziałam, że wy...

- Ty nie - ucięła. - Ale on wiedział.

- Ale Gilles świata poza tobą nie widzi...

- Wiesz w ogóle, ile on ma lat? Czy ja mam ci powiedzieć?

- Dowiedziałam się dopiero wczoraj - przyznałam cicho.

- Weź pod uwagę fakt, że jest za młody, że nie jest gotowy na bycie ojcem, że całował się z inną kobietą zaledwie dwa dni po tym, jak się poznaliśmy...

- Skoro tak...

- Musisz biec na spotkanie - powiedziała, zerkając na zegarek. Odprowadziła mnie do wyjścia i nacisnęła kławkę. - Nauczyłam się jednej rzeczy - potrzebuję mężczyzny, który cały swój czas poświęciłby mnie i Coco.

Dokładnie w tym momencie otworzyłam drzwi i zobaczyłam na parkingu przed kościołem pana Dufour - dojrzałego, szalonego na punkcie dzieci i mającego mnóstwo wolnego czasu... Odwróciłam się do Annique.

- Co myślisz o starszych mężczyznach?

Wzruszyła ramionami.

- Chciałabym, żebyś poszła ze mną. Muszę ci kogoś przedstawić.

- Ojej, nie teraz. Przeprowadziłam ze sobą Coco - czeka w sklepie z pamiątkami.

- Tak się składa, że to nawet lepiej.

- Naprawdę?

- Absolutnie.

Więc poszłyśmy do kościoła we trzy.

Nagle też zrozumiałam, skąd pomysł na takie miejsce spotkania - pod kościołem stały auta wszystkich uczestników.

- Krista! - Ucieszył się na mój widok ojciec Sebastiena.

- Dzień dobry, panie Dufour!

- Mów mi Philippe.

- Philippe, poznaj mademoiselle Coco.

Córka Annique to kochana dziewczynka z czekoladowymi, błyszczącymi oczami. Spod zawadiacko przekrzywionego beretu wystawały jej dwa jasne warkoczyki.

Pan Dufour zdjął czapkę i zakreślił nią łuk, kłaniając się szarmancko.

To rozbawiło małą Coco i odpowiedziała mu wdzięcznym dygnięciem.

- A to... - zawiesiłam głos dla lepszego efektu - jest Annique. Na jej widok rozszerzyły mu się źrenice.

- *Enchante...*

- Wnętrze ma jeszcze piękniejsze.

Odwrócił się do mnie, żeby sprawdzić, czy nie żartuję, więc kiwnęłam głową.

- Chciałabyś poznać pieski? - zwrócił się ponownie do Coco. - Podadzą ci łapki, a ty życzysz im szczęścia przed wyścigiem.

Dziewczynka spojrzała rozpromieniona na mamę, szukając aprobaty.

- Byłoby cudownie - zgodziła się Annique.

- Panie przodem... - Pan Dufour pokazał Coco drogę do vana z drużyną zaprzęgową, ale zanim za nią poszedł, zerknął na mnie porozumiewawczo i szepnął: - Chyba właśnie poznałem moją nową żonę...

Chciałam już pytać, gdzie się podział Sebastien, gdy nagle pojawił się u mojego boku.

- Dzięki za przybycie - wydyszał, jakby przed sekundą biegł.

- Wszystko gra?

- Uwijałem się przed wyścigiem, pomagałem przygotować parę rzeczy. Jacques już czeka na starcie z pierwszą grupą. Nie wiem, czy ci już mówiliśmy, ale startujemy kilkoma drużynami każdego roku.

-Nie...

- Miałem ruszyć jako drugi, ale - skrzywił się przesadnie - nadwyrężyłem sobie ramię, a nie mogę ryzykować kontuzji przed trasą z Cirque du Soleil. Rozumiesz mnie?

- Oczywiście.

- Więc zrobisz to? -Co?

- Wystartujesz w wyścigu za mnie.

- Chyba nie mówisz poważnie. Patrzyłam na niego z niedowierzaniem.

- Dlaczego nie?

- Widziałeś przecież, co się dzieje, gdy prowadzę zaprzęg pod presją - ląduję twarzą w śniegu! - parsknęłam.

- Nic ci się nie stanie.

- Sebastien! — rozpaczalam. — Nie mogę uwierzyć, że w taki sposób chcesz narazić reputację Dufourów! A jeśli dam plamę? Co jest

dalece prawdopodobne po tym, jak zrobiłam to już dwa razy - i to na ośnieżonym pustkowiu. Nie mam bladego pojęcia o poganianiu psów w centrum miasta, na oczach setek kibicujących ludzi!

- Zobaczysz, spodoba ci się. Totalny odlot.

Patrzyłam na niego oniemiała. To na pewno żart. Po chwili coś do mnie dotarło.

- Skoro godzinę temu już wiedziałeś, że nie dasz rady wziąć udziału w wyścigu, dlaczego nie poprosiłeś o zastępstwo któregoś z kolegów albo Lucy... ?

- Bo to musisz być ty.

Zanim wpadłam na jakikolwiek argument, dodał:

- I to musi być teraz.

Wtedy pan Dufour wyłonił się zza roku, prowadząc sześć nabuzowanych psów, które z radości podskakiwały na tylnych łapach.

- Chyba im teraz nie odmówisz, Krista? Pięknie, więc on też w tym siedzi?

- Uda ci się! - zachęcała Annique.

Chciałam jej wytknąć, że nie ma podstaw, żeby tak sądzić -w końcu kac nie pozwolił jej na przejażdżkę zaprzęgiem, więc nie widziała i moich zmagañ.

- Poprosiłam je, żeby biegły tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu nie biegły - dodała Coco.

- Dzięki... - wymamrotałam. Robiło mi się słabo.

Kiedy wchodziliśmy na szczyt wzniesienia, na którym znajdował się punkt startowy wyścigu, Sebastien cały czas mnie dopingował.

- Na pewno świetnie sobie poradzisz.

Spojrzałam na niego wzrokiem mówiącym: „Chyba kpisz. Zejdź na ziemię”.

- W końcu ten wyścig to tylko atrakcja w ramach Karnawału. Nie zrujnujesz nam kariery.

- Więc dlaczego to takie ważne?

- Bo nie chcę, żeby ostatnim obrazem ciebie, który pozostanie Jacques'owi przed oczami, było to zdjęcie, które zobaczył w studiu Gilles'a.

Żołądek mi się zacisnął. Więc on też już wiedział.

- Czuję się z tym paskudnie - Zwiesiłam głowę. - To była tylko krótka chwila uniesienia...

- Wiem. - Podniósł rękę. - Spotkałem Gilles'a w drodze do nas. Jacques nie chciałby z nim rozmawiać, ale ja to zrobiłem.

Westchnęłam.

- Umówiłam się z Gilles'em w Starbucksie...

- Już mu powiedziałem, że zmieniłaś plany. Spojrzałam poważnie na Sebastiena.

- Myślisz, że to naprawdę cokolwiek pomoże? Nie wkurzę tylko baidziej Jacques'a?

- Słuchaj, nie tylko ty znasz pokrętne sposoby na poprawę czyjegoś położenia.

Uniosłam brew.

- I nie udawaj niewinnej. Wiem przecież, że Montreal to był twój pomysł.

Przygryzłam wargę.

- Więc do zobaczenia na mecie, byłem ci to winien.

Z głośników rozbrzmiał komunikat. Sebastien przetłumaczył go dla mnie.

- Twoja kolej.

Wzięłam głęboki oddech. Duża ilość tlenu sprawiła, że zakręciło mi się w głowie. Tak głośno szumiało mi w uszach, że ledwo

słyszałam szczekanie psów, ale czułam napiętą uprząż. Ich niecierpliwe wyrazy pysków mówiły:

- Puść nas już! Chcemy biec! Sebastien chwycił mnie za drażące dłonie.

- Zaufaj sobie, zaufaj psom. Skręcaj w lewo, skręcaj w prawo. I przede wszystkim - baw się. W trzy sekundy staniesz się gwiazdą Zimowego Karnawału w Quebecu!

O mój Boże!

Ciekawie być pisarzem. Nikt ci nie kibicuje, gdy ślęczysz nocami przed komputerem. Tłumy ludzi nie zaglądają ci przez ramię, żeby zobaczyć, nad czym pracujesz. Nikt nie daje sobie kuksańców łokciem, żeby zająć lepszą pozycję wśród widowni i podziwiać to, jak doskonale stosujesz interpunkcję. Może i ktoś komplementuje efekt, ale sam akt pisania zdecydowanie nie należy do sportowych widowisk.

Dlatego ta prędkość, szaleństwo i poziom adrenaliny idący w górę jak rakietą były dla mnie zupełnie nowymi zjawiskami.

Oprócz łukowatej bramy, przez którą weszłam kiedyś na teren Starego Miasta, nie rozpoznawałam żadnych obiektów. Nie znałam ulic, wzdłuż których pędził zaprzęg. Nie kojarzyłam zakamarków miasta. Całkowicie polegałam na instynkcie psów i na nich się skupiałam. Starłam się nie wpadać w panikę i nie naciskać desperacko hamulca, gdy zjeżdżaliśmy z górki, ale kilka razy zdarzyło mi się zwolnić, żeby trzymać na wodzy histerię.

Mimowolnie i podświadomie moje kolana się uginały i przechylały zgodnie z ruchem sanek. Moje ciało wydawało się elastyczne, dopasowywało się do trasy, odpowiadało na bodźce. W pewnym momencie, gdy wjechaliśmy na pagórek, sanie podskoczyły, a ja razem z nimi. Jednak po chwili wylądowałam dokładnie na gumowanym stanowisku poganiacza. „To jest

najlepsze!", zdążyłam pomyśleć, zanim moim oczom ukazał się Château Frontenac. Radosne krzyki kibiców stawały się coraz głośniejsze.

- *Allez! Allez!* - poprosiłam psy o ostatni wybuch energii. Posłuchały. Koniec wyścigu.

Sebastien z ojcem podbiegli do mnie, żeby przejąć psy, a ja zesłam z sanek. Nogi miałam jak z galarety. Ale udało mi się! Zrobiłam to!

Podniosłam głowę i zobaczyłam parę rozpostartych rąk.

- Madame Laframboise!

- *Vous êtes tellement brave!*

- Dz-dziękuję! - wyjąkałam, chociaż nie byłam do końca pewna znaczenia jej słów, ale wydawały się pozytywne.

Pani Laframboise ciągle mnie tuliła, gdy znad jej ramienia zobaczyłam nadchodzącego mężczyznę. A tym mężczyzną był Jacques.

- Nie wiedziałem, że się znacie.

- To dobra dziewczyna. - Poglądziła mnie po policzku. - Bardzo się o ciebie troszczy.

Zarumieniłam się i spuściłam wzrok.

- To byłaś ty? - Jacques podszedł bliżej. - To z twojego powodu do mnie zadzwoniła?

- Jestem pewna, że i tak by to zrobiła ze względu na dziecko Rémy'ego...

Podniosłam głowę i spojrzałam mu w oczy. To była moja szansa. Chciałam przynajmniej spróbować go przekonać, żeby mi uwierzył, żeby zrozumiał.

-Jacques, przepraszam za te zdjęcia...

Jesteś taka odważna! (z fr.) - przyp. tłum.

- Stop. To mnie jest głupio, że tak się zachowałem. Zazwyczaj nie robię scen zazdrości. To po prostu było coś... Nie wiem. Czułem w stosunku do ciebie coś czystego... Ty mi się wydawałaś taka niewinna... więc kiedy zobaczyłem te fotografie, sama myśl o innym mężczyźnie...

- Wzdrygnął się.

- To trwało bardzo krótko, dałam się ponieść chwili...

- Wiem, wiem - pocieszał mnie. - Sebastien wszystko mi wyjaśnił. I pokazał, jaką odwagą potrafiłaś się dla mnie wykazać. Właśnie ukończyłaś Wielki Wyścig!

- Sama jestem w szoku! - Zaśmiałam się. Podszedł jeszcze bliżej.

- Byłaś cudowna. Ogień!

- Naprawdę?

- Jacques! Krista! - przerwał nam Sebastien. - Są już wyniki. Z moją zasługą Jacques pierwszy raz od dziesięciu lat nie został

ogłoszony zwycięzcą. I jak sam stwierdził — był z tego powodu szczęśliwy.

- Czas na zmianę. Czas na coś nowego. Pociągnął mnie za kurtkę i pocałował w czoło.

- Powiedz, że to nieprawda, że dzisiaj wyjeżdżasz - powiedział, patrząc mi głęboko w oczy.

Niepewnie pokiwałam głową.

- Nie możesz zostać chociaż dzień dłużej? Jestem ci dłużny kolację. Pomogę ci zmienić datę wylotu. Będziemy mieć cały wieczór dla siebie - ja, ty i setka psów.

Uśmiechnęłam się najszerzej, jak potrafiłam.

- Brzmi jak piękny sen!

- Więc zostaniesz?

- Zostanę. Z tobą. Wyglądał na zachwyconego.

- Wobec tego wykwateruj się z oberży i zapraszam do siebie. Chciałam piszczeć i krzyczeć albo tarzać się z radości w śniegu

- dokładnie tak, jak robił w tamtym momencie Jupiter. Wspaniale to za mało powiedziane! Wprost kipiałam ze szczęścia!

- Zróbmy tak: my tu zostaniemy i poskładamy wszystko po wyścigu, a ty wróć do hotelu i się spakuj. Gdy będziesz gotowa, daj znać - przyjadę po twój bagaż. I po ciebie.

Byłam pewna, że wystarczyłoby mi energii, żeby pobiec do oberży, ale w tej euforii nie chciałam sobie po drodze niczego złamać. W końcu czekała mnie najlepsza noc w życiu, dlatego zdecydowałam się na mój tradycyjny sposób - dreptać ostrożnie krok po krocisku z niewidzialną staruszką pod rękę.

Gdy przekroczyłam próg oberży, recepcjonistka zażartowała:

- Żadnych przesylek! Żadnych wiadomości!

- To nic! - zaszcebiotałam.

- Za to jakiś mężczyzna czeka na panią w restauracji...

Mina mi zrzęła. To nie mogło oznaczać niczego dobrego. Gdyby teraz coś stanęło mi na drodze... Szłam między stolikami i przyglądałam się każdemu siedzącemu przy beżowym nakryciu mężczyźnie - żeby się upewnić, czy któraś kombinacja oczu, koloru włosów i charakterystycznej brody nie wskazuje na „wiadomo kogo”.

Wtedy spostrzegłam twarz, która wyglądała identycznie od chwili mojego przyjazdu do Quebecu. To był Gilles.

- Wybrałem miejsce z daleka od okna, żeby nikt nas przypadkiem nie zobaczył razem.

Usiadłam po przeciwnej stronie blatu.

-Jacques zaraz ma po mnie przyjechać, więc nie mam za wiele czasu.

- W porządku. Chciałem ci tylko powiedzieć... - zabrakło mu słów.

Chciałam pogłodzić go po dłoni, ale zamiast tego powiedziałam tylko:

- Przykro mi z powodu Annique.

- Mnie też. Jednak czuję ulgę, że już więcej jej nie zawiodę i nie zrobię przykrości. Zasluguje na kogoś lepszego.

Pokiwałam głową.

Zdałam sobie właśnie sprawę, że przy pomyślnych wiatrach Annique może zostać moją macochą...

- Mam kilka świetnych ujęć z wyścigu - rozpromienił się.

- Serio? Zastanawiałam się, czy w ogóle zdołałeś się zorientować, że to ja. Wiesz, pewnie tylko ci mignęłam przed oczami.

- Jechałaś z zawrotną prędkością! Uśmiechnęłam się.

- Cieszę się, że zapewniłeś mi dowód. Nikt w domu by mi nie uwierzył, że to zrobiłam!

Wtedy coś do mnie dotarło. Powiedziałam „w domu”, ale wcale nie czułam, jakbym tam wracała. Wręcz przeciwnie - miałam wrażenie, że właśnie go opuszczam.

- Nie chcesz wyjeżdżać, prawda? - Gilles przechylił głowę.

- Nie - przyznałam. Cieszyłam się, że mogę przesunąć lot przynajmniej o jeden dzień mimo świadomości, że to tylko skomplikuje sprawę. - A kiedy ty wyjeżdżasz?

- Za kilka godzin.

- Z powrotem do Montrealu?

- Akurat jadę w góry na parę dni. Chciałbym poćwiczyć dynamiczne ujęcia, porobić trochę zdjęć akcji. Pomyślałem, że fajnie by było poeksperymentować w kurorcie narciarskim.

- Świetny pomysł.

- Poza tym muszę się nauczyć fotografować ludzi bez całowania.

- Nie jestem przekonana. Każdy fotograf powinien mieć swój znak rozpoznawczy...

Uśmiechnął się i położył na stole kopertę.

- Chciałem ci to podarować.

To było zdjęcie Jacques'a przytulającego mnie na mecie. Moja twarz wygląda jak porażona, ale jego mina...

- Kiedyś powiedziałaś, że nie wierzysz w miłość, ale uważam, że powinnaś uwierzyć w niego.

Podniosłam głowę i spojrzałam na dwudziestotrzyletniego mężczyznę, który brzmiał jak prorok.

- Dlaczego jesteś dla mnie taki miły?

- Żeby okazać wdzięczność.

- Za co?

- Za to, że pokazałaś mi, jak nudna i płytka potrafi być perfekcja.

- Nie do końca wiem, jak mam to rozumieć.

- Chodzi mi o idealne, wymuskane zdjęcia do katalogów mody, jakie wykonywałem do tej pory. Nie było na nich miejsca na prawdziwe emocje. Sam chcę czuć teraz więcej. A wszystko dzięki tobie.

- Bardzo chciałabym cię teraz przytulić, ale nie mogę.

- Już raz się przytuliliśmy. - Puścił do mnie oko i wstał. - Praca z tobą to była czysta przyjemność, Krista. Może nasze drogi jeszcze kiedyś się spotkają?

- Planuję odwiedzić niedźwiedzie polarne w Manitobie. Może akurat będziesz w pobliżu?

- Białe zwierzęta na białym tle? - jęknął. - Z pewnością.

Gdy Gilles już poszedł, odczekałam chwilę. Znowu zrobiłam się sentymentalna. Wszyscy się rozjeżdżają, każdy w swoją stronę. Przygoda zmierza ku końcowi. To naturalna kolej. Nic nie zostaje takie samo... Szkoda mi było opuszczać nawet mój hotelowy pokój z łóżkiem przykrytym patchworkową narzutą. Dziwne uczucie mnie ogarniało, kiedy brałam prysznic i pakowałam swoje rzeczy. Jednak gdy zamknęłam walizkę, na mojej twarzy pojawił się błogi uśmiech. Jadę do domu z Jacques'em.

Teraz to brzmiało dobrze. I ja się z tym lepiej czułam.

Zanim zostaliśmy sami, minęło ładnych parę godzin. Wracaliśmy z Sebastienem i panem Dufour, który był niezmiernie podekscytowany perspektywą kolacji w towarzystwie dwóch dam - Annique i Coco. Na farmę wpadł tylko na chwilę, żeby wziąć prysznic i się przebrać, więc do Montrealu Sebastien miał jechać sam.

- Nie musisz wszystkiego zabierać - powiedział Jacques, widząc, jak brat pakuje swoje rzeczy do bagażnika.

Mimo wszystko było mu żal, że Sebastien go opuszcza.

- I tak mam wrażenie, że fragmenty mnie są porozrzucane po całej prowincji. Czas się pozbierać.

- Wiesz, że w każdej chwili możesz wrócić, tylko nie na aż tak długo!

Sebastien zaśmiał się i przytulił brata. Nie chciałam im przeszkadzać, więc odwróciłam się i już miałam się oddalić, gdy poczułam oplatające mnie ramiona.

- Dałaś radę, Krista!

- Dz-dzięki! - wydyszałam mu w bark, czując nagły przypływ emocji.

Potem uwolnił mnie z uścisku, przerzucił torbę przez ramię i pomachał nam, wsiadając do auta.

- Dbajcie o siebie oboje.

- Jeszcze jedna rzecz! - zawołałam. - Pozwolisz mi go teraz uratować?

Zatrzymał się i spojrzał na mnie poważnie.

- Już to zrobiłaś.

Poszliśmy do psów. Cała nasza uwaga była skupiona na nich i kilku tonach surowego mięsa. Czułam się wspaniale, widząc merdające ogony i syte brzuchy czworonogów. Zasłużyły na ucztę. Sama stawałam się głodna, ale za to moje serce było pełne. Nie dało się nie poczuć wszechogarniającej miłości w otoczeniu uśmiechniętych, oblizujących się pysków.

- Coś ci się stało w łapkę? - zapytałam jednego z psów, który był zajęty czyszczeniem kończyny. - Pozwól, że zerknę...

Między jego palcami tkwiła spora drzazga, więc zdjęłam rękawiczkę, żeby usunąć zadziór.

- Teraz lepiej! - powiedziałam, chowając pęsetę do torebki.

- Masz dobry instynkt - pochwalił mnie Jacques.

- A tam... - Wzruszyłam ramionami. - Nauczyłam się od mojego psa. Nie mogą zawsze prosić o pomoc. Czasem trzeba się samemu domyślić na podstawie wyglądu czy zachowania.

Kiwnął głową i się uśmiechnął.

- No co?

- Nic. Po prostu miło cię tu mieć.

Obowiązki zostały wypełnione, więc weszliśmy do środka, żeby się umyć. Ja tylko porządnie wyszorowałam ręce, ale Jacques wszedł pod prysznic, a mnie zostawił w wygodnym fotelu z wielkim kieliszkiem wina. Jednak nie mogłam usiedzieć w miejscu -świadomość, że stoi nagi zaledwie parę kroków dalej, nie dawała mi spokoju...

Poszłam do kuchni. Rozglądałam się, bo byłam ciekawa, co znajdzie się w wieczornym menu. Jajka, paszтет, tabliczka białej czekolady... Na horyzoncie żadnego twarogu...

- Wyglądasz na tak głodną, że chyba byłabyś w stanie pożreć deskę do krojenia - powiedział Jacques, który już od jakiegoś czasu mnie obserwował. Stał w rozpiętej koszuli i z potarganymi włosami. - Chyba muszę szybko coś upichcić...

- Cokolwiek by to było, już mi smakuje. - Uśmiechnęłam się i usiadłam na stołku.

„Ale on ma piękny obojczyk”, pomyślałam, gdy schylał się do szafki po patelnię. Jakie imponujące ramię zobaczyłam, gdy podwinął rękawy koszuli. I jakie ponętne biodro, gdy stawał na palcach i sięgał na półkę po blachę do pieczenia.

- To na deser - wyjaśnił.

Potem kroił, siekał, ubijał, mieszał i gotował na wolnym ogniu, a w tym samym czasie mnie zagadywał, uśmiechał się i podchodził blisko, coraz bardziej mnie kusząc.

Wspaniałe uczucie przebywać w towarzystwie osoby, która się lubi, i odkrywać, że ta osoba również darzy cię ogromną sympatią. Gdzieś w głębi ma się świadomość, że zanosি się na pocałunek, ale nie trzeba się z rym spieszyć, bo jest na to jeszcze mnóstwo czasu. Oczywiście my nie mieliśmy, ale takie odnosiłam wrażenie. Siedząc w blasku świeczek, mogliśmy się delektować rozmową i wcale nie zwracać sobie głowy logistyką. Dziwnym zbiegiem okoliczności u Jacques'a wszystko wydawało się możliwe.

- Zastanawiam się, czy naprawdę musisz już jutro wyjeżdżać... - Spojrzał na mnie figlarnie.

- Z rozkoszą bym została, ale moja przyjaciółka Laurie wypro-wadza się do Nowego Jorku i mamy mało czasu, żeby się sobą nacieszyć.

- Wiesz, że do Nowego Jorku leci się stąd jakieś półtorej godziny?

- Naprawdę? - To zaczynało być interesujące.

- Mhm. A do Bostonu można się dostać w mniej niż siedem. Byłaś tam już na potrzeby swojego portalu?

- Jeszcze nie.

- Sądzę, że twoim czytelnikom by się spodobało. Nie to, żebym przewidywał, co się podoba kobietom.

„Ty się podobasz kobietom”, pomyślałam, kiedy zapraszał mnie do stołu.

Nie dość, że potrafił gotować, był szarmancki, honorowy i niezmiernie seksowny. I jeszcze te plotki o wilkach dodawały mu tajemniczości...

Zastanawiałam się, co miał na myśli jego ojciec, mówiąc, że w Jacques'u nie ma złego pierwiastka. Ogromnie mi się podobało to stwierdzenie. I byłam zadowolona, że nie muszę się go obawiać. Nie przestraszy mnie, nie wybuchnie nagle i nie zacznie mną szarpać, jak to miał w zwyczaju Andy. Poza tym znał już mój najmroczniejszy sekret - że nie mogę mieć dzieci. Z tym, że w jego przypadku to nie żaden defekt, a sprawa, która łączy.

- Jacques, to jest przepyszne! - krzyknęłam zachwycona po przełknięciu pierwszego kęsa naleśnika.

Do tamtej pory żyłam w przekonaniu, że najlepsze naleśniki na świecie robią w budce przy Hampstead High street, ale Jacques obalił moją teorię. Ser, szynka i szparagi doprawione pikantnymi ziołami - proste danie, a ile daje szczęścia.

- Chcesz jeszcze jednego?

Byłam rozdarta, ponieważ czułam już zapach ciasta dolatujący z piekarnika.

- A może zjemy na pół?

- Cudownie! - Podskoczyłam. Tym razem postanowiłam wspomóc go w kulinarnych zmaganiach. - Do czego się mogę przydać?

Wręczył mi ser i tarkę, a sam kontynuował opowieść o ostatnim Yukon Quest.

Nagle, ciągle mówiąc, podszedł do mnie i pogładził mnie po karku, a potem zanurzył palce w moich włosach, jakby robił mi to już wcześniej setki razy.

Zamknęłam oczy i poczułam, jak się rozpływam.

W końcu zamilkł. Podszedł bliżej. Poczułam jego oddech na moim policzku. Powoli odłożyłam tarkę i odwróciłam się w jego stronę.

Spojrzał na mnie. Spojrzał we mnie. Wtedy zaczął wyć alarm.

- Co to takiego? Co się dzieje? - panikowałam, gdy biegł do komputera.

- Musimy iść!

- Słucham?

- Weź dodatkowy płaszcz i koc! - wydawał polecenia, zgarniając swoje ciepłe rzeczy.

- Dokąd idziemy?

- Zobaczysz na miejscu.

- Bierzemy udział w jakiejś akcji ratunkowej? Ktoś ma kłopoty? - dopytywałam się, a Jacques schował butelkę brandy i zawołał Sibérie.

- Nie, ale każda minuta jest na wagę złota.

Po kilku minutach już siedzieliśmy w samochodzie, jadąc coraz dalej i głębiej w ciemność.

- Czy to już ten moment, gdy odkrywam, że jesteś seryjnym mordercą?

- Seryjnym? Nie wygłupiaj się. - Zachichotał. - Ty będziesz moją pierwszą ofiarą.

Doskonale.

- Istnieje możliwość, że poćwiartujesz mnie tu i teraz? Nie mogę już dłużej czekać! - Bębniłam zniecierpliwiona palcami.

- Musisz się zrelaksować - uspokajał mnie. - Tak jak Sibérie. Odwróciłam się. Pies leżał płasko na tylnym siedzeniu i pochrapywał. To się nazywał relaks.

- Już niedługo - zapewniał Jacques, chociaż wcale na to się nie zanosilo.

Zacęłam się martwić, że nazajutrz przegapię swój lot.

Wreszcie dotarliśmy na miejsce, ale dalej nic nie rozumiałam - jechaliśmy cztery godziny, żeby znaleźć się na śnieżnej równinie z kępką drzew, a przecież śnieżna równina i kępka drzew znajdowały się też przed farmą.

- Zostań w cieple - doradził, a sam wyskoczył z auta. - Wrócę po ciebie, gdy będziemy gotowi.

- Na co gotowi?

- Żebyś do nas dołączyła - odparł, lecz to niestety niewiele mi wyjaśniło.

Jacques zagwizdał na Sibérie, a sam obładował się pękającymi w szwach plecakami - po jednym na każdym ramieniu.

Wierciłam się w fotelu. Starłam się usadowić i nie myśleć o szarlotce z karmelem, którą Jacques obiecał mi na deser. Gdybym wiedziała, że zapuścimy się tak daleko, przemyciłabym kilka kawałków...

Ogarniało mnie zmęczenie, z trudem powstrzymywałam się od ziewania. Postanowiłam się zdrzemnąć. Naciągnęłam czapkę mocniej na głowę i zamknęłam oczy. Prawie wyskoczyłam z własnej skóry, gdy Jacques przestraszył mnie, pukając w szybę.

- Jesteśmy już gotowi...

- No to w drogę! - Staralam się podnieść siebie na duchu. Jacques brodził w śniegu, a ja szłam po wydeptanych przez niego śladach.

Kiedy zobaczyłam, co zajęło mu tyle czasu i dlaczego kazał mi czekać w samochodzie, wymamrotałam:

- I pomyśleć, że jeszcze niedawno uznałam bycie poćwiartowaną za kiepskie zakończenie wieczoru...

Namiot.

Jacques rozbił namiot.

Doszłam do wniosku, że to całkiem adekwatne - zaczynałam noclegiem w Lodowym Pałacu, skończę pod namiotem. Koło się zamknie. Koło niemal podbiegunowe. Wzdrygnęłam się od podmuchu arktycznego wiatru.

- Robimy obozowisko? - zapytałam, kuląc ramiona.

- Nie do końca. - Uśmiechnął się. — To tylko po to, żeby się ogrzać. „Ale przecież nam było ciepło!”, chciałam zaprotestować. Było tak przyjemnie w jego kuchni, z jego ręką na moim karku...

- Chodź, rozgość się!

Okej. Dobra. Może to nie najgorszy pomysł. Namiot był naprawdę mały, więc przynajmniej w środku znajdowaliśmy się blisko siebie. Właściwie to leżeliśmy razem w jednym śpiworze. Dookoła nas leżało mnóstwo dodatkowych pledów. Jacques objął mnie, a ja wtuliłam się w jego ramię - wtedy nie wyobrażałam sobie, żebym mogła znajdować się gdziekolwiek indziej. Na moment nawet zapomniałam, żeby dalej się zastanawiać, co my, do diabła, robiliśmy na tym śnieżnym odludziu!

Nagle Sibérie szczechnął cicho, dając Jacques'owi znak. Ten odpiął kawałek materiału z dachu namiotu.

- Mamy okno! — zachwyciłam się.

- Gwiazdy świecą tutaj mocno, a prądu nie ma w promieniu wielu kilometrów.

Więc to tak. Przejechaliśmy kawał drogi, żeby leżeć pod rozgwieżdżonym niebem. Miło. Nie byłam pewna, czy faktycznie potrzebowaliśmy aż syren alarmowych, ale wciąż...

Wtedy zaczęło się świetlne show. Najpierw tylko świetlista mgiełka. Potem niebo przeszła zielonkawa smuga, jakby ktoś wykonał gest różdżką.

Zadrżało mi serce. Czy to...? Czy to może być...?

Obserwowałam, jak zielony duch wił się po niebie jak piasek zdmuchiwany przez wiatr.

- Jacques. - Złapałam go mocno za rękę, gdy zieleń zaczęła świecić jak ultrafiolet. - Czy ja widzę to, co myślę, że widzę?

Kiwnął głową.

- Powiedz to!

- Krista, pragnę ci zakomunikować, że przed twoimi oczami tańczy zorza polarna...

Sięgnęłam pamięcią wstecz. Podobała mi się iluminacja, którą podziwiałam w towarzystwie Mala z okna hotelu. Ale to było znacznie lepsze. To było prawdziwe...

I Jacques był prawdziwy. A ja naprawdę leżałam z nim w namiocie i podziwiałam eteryczne fajerwerki rozświetlające niebo!

Odwróciłam głowę. Okazało się, że Jacques cały czas na mnie patrzył - tak czule, tak serdecznie...

Przymknął oczy, jego usta spotkały moje...

A kiedy mnie całował, czułam, jakby moje serce fruwało razem z tą zieloną, mistyczną mgłą nad nami. Wyobraziłam sobie nawet Sebastiena i Julie szybujących z gracją na tle jedwabnej smugi światła.

- Czuję się jak w niebie - wyszeptałam w przerwie na oddech. Wtuliłam się w ciepłą szyję Jacques'a. - Nie mogę uwierzyć, że to moja ostatnia noc!

- To nie наша ostatnia noc. To наша pierwsza - powiedział delikatnie, unosząc mój podbródek, żeby spojrzeć mi w oczy. -Dopiero zaczynamy...

PODZIĘKOWANIA

Nigdy nie zaczynałam oficjalnych podziękowań od miejsca, ale chciałabym podziękować całej „prowincji Quebec” za niesamowitą inspirację do napisania *Winter Wonderland* - to książka, którą zdecydowanie najlepiej mi się pisało!

Teraz kolej na ludzi: przede wszystkim Erin Levi z DQMPR, która poleciła mi Magalie Boutin, a ona z kolei przedstawiła mnie Paule'i Bergeron i Nathalie Guay w Quebec City Tourism. Na podziękowania zasługują również maestro karnawałowego PR-u Patrick Lemaire, Sarah Matthews z Hôtel de Glace, Jean Gaudreau z Hôtel-Musée Première Nations, Véronique Dufour z hotelu Clarendon oraz Geneviève Parent; psu Santolowi z Chateau Frontenac za ciepłe (mimo mrozu) powitanie i niebywałą gościnność!

Również moim prasowym współwycieczkowiczom: Glennowi, Davidowi, Adamowi, Adrianowi, Julii oraz Marie-Julie! Kocham towarzystwo dziennikarzy!

Dziękuję cudownej dwójce, z którą rozpływałam się nad szczeniaczkami husky - kurczę, zgubiłam wasze zamiary, ale jeśli znacie sobowtóra Doris Day, pozdrówcie ją ode mnie i poczęstujcie uśmiechem słodkim jak syrop klonowy!

W Montrealu seria szczerych *merci* leci do Hugo Leclerca za sugestie planu podróży i zwerbowanie tak stylowej przewodniczki jak Annique Dufour.

A teraz Londyn! Ach, Isobel! Chociaż idziesz w innym kierunku, muszę powiedzieć, że chciałabym kiedyś przeczytać twoją książkę. Masz wspaniałe przemyślenia! I Harriet - jesteś geniuszem dyplomacji i zawsze starałaś się pomóc - szczerze doceniam! Jaime z publicystyki, Anneka od design'u, edytorka Penny i cała rodzina wydawnictwa Hodder - wam też stokrotne dzięki. I mojej kochanej nowej agentce Claudii Webb.

Nick Wechsler - dzięki za inspirację do postaci Jacques'a, mimo że oglądałam twoją rozczochną głowę tylko na ekranie telewizora!

I w końcu, jak zwykle, dziękuję mojej cudownej mamie - Pamelii, i jej przystojnemu mężowi - Jonathanowi.